



Laurent Joffrin

Zapomniana księżniczka



Słowo wstępne

Większość bohaterów tej książki to osoby autentyczne; opisane w niej wydarzenia z okresu drugiej wojny światowej, dotyczące walk partyzanckich i Ruchu Oporu, to fakty historyczne. Jednak niektóre daty, nazwiska i miejsca zostały zmienione na użytek fabuły; jest to bowiem powieść.

Podziękowanie

Wyrazy wdzięczności kieruję przede wszystkim do Nicole Lattes, która od pierwszej chwili uwierzyła w historię Noor.

Bardzo dziękuję również Malcy Ozonnat, która z niezwykłą starannością i kompetencją opracowała mój rękopis.

Dla Sylvie, Pauline i Oliviero., którzy życzliwie przyjęli moją wyśnioną książeczkę...

Prolog

Była to najłagodniejsza bojowniczką, jaką znałem.

Podczas owej wojny totalnej, w której uciekano się do wszystkich środków, wyciągnięto ją z zaczarowanego świata, w jakim żyła, i wysłano do barbarzyńców. W tych bezimiennych zmaganiach, wśród tajnych szyfrów, nocnych morderstw i sal tortur księżniczka z baśni Tysiąca i jednej nocy miała większy udział i walczyła skuteczniej niż inni. Zazwyczaj księżniczki muszą zdobyć się jedynie na trud przyjscia na świat. Ona zaś zdobyła się na trud oddania dla nas życia.

W naszym pozbawionym pamięci świecie zaciera się wspomnienie o bohaterach. Ale dla mnie Noor jest ciągle żywa. O świcie, kiedy w kominku zaczyna trzeszczeć ogień, a w oddali migoce morze, na falach widzę jej twarz. W Granville, gdzie piszę, zwrócony ku zachodowi, moja normandzka plaża przypomina tamtą plażę z 6 czerwca 1944 roku. Może właśnie dlatego tu osiadłem... Tak jak w Omaha Beach grzywy fal pędzą ku otwartemu morzu, a w mokrym piasku odbijają się obłoki. Tak jak w Omaha Beach w pagórkach, otaczających brzeg, kryją się bunkry. Tak jak w Omaha Beach ze skały, która wrzyna się w wodę, można otworzyć amfiladowy ogień na zatokę. Co rano wbijam oczy w horyzont, wypatrując alianckiej flory, która mogła wylądować zarówno tam, jak w Courseulles czy Arromanches. Przed moim domem na wydmach przyływ codziennie wskrzesza ową jutrzenkę 6 czerwca. To dla niej poświęciła życie Noor. Jutrzenka swobody... To o niej śniła w więzieniu moja księżniczka, która tyle wycierpiała.

Przyszłością Noor miała być muzyka, poezja, stronice zapisywane w gorączce i uniesieniu duszy. Dlaczego rzuciła się w ów zamęt, skoro nic jej do tego nie zmuszało? Dlaczego wybrała najtrudniejszą z form walki, walkę toczoną bez munduru i bez praw? Dlaczego ona, żyjąca pośród pięknych książek i dźwięków harfy, stawiała czoło największemu z niebezpieczeństw? Dlaczego ona, która знаła jedynie bóstwa Wschodu, oddała życie za zachodnie ideały? Francja i Anglia zapomniały o niej, a wraz z nią o jej towarzyszach, choć wyszliśmy z tego piekła między innymi dzięki jej pomocy.

Dzisiaj, 6 czerwca 1964 roku, przypada rocznica. Nasza rocznica. Postanowiłem wreszcie napisać historię mojej księżniczki. Noor zasługuje bowiem na lepszy pomnik niż owa starta przez deszcze tablica na kamiennym nagrobku pośród angielskich pól. Ponieważ wszyscy, którzy zetknęli się z Noor, zarówno przyjaciele, jak wrogowie, nie zapomnieli o niej i pragną, by ożyła.

Ktoś musi bowiem dać świadectwo, ponieważ w naszym kraju nic się nie wie o owej armii ekscentryków, która wysłała Noor za linie wroga. O indyjskiej księżniczce, która miała walczyć z Hitlerem, o SOE... Służbie zwariowanych

bohaterów, o wielkim cyrku sabotażu — przedziwnym królestwie szalonych poczynań. A przecież nic nie powinno dziwić w owej zaimprovizowanej wojnie, wydanej faszystowskiemu porządkowi przez z góry przegrane demokracje.

Naszymi wojskami dowodzili sparaliżowany jankes i angielski alkoholik. Patton uważał się za Hannibala. MacArthur za rzymskiego prokonsula. Lekarska dokumentacja Winstona Churchilla, całe życie cierpiącego na ciężkie depresje, powinna odsunąć go od jakiegokolwiek dowodzenia. Ten rasistowski kolonialista, neurasteniczny malarz, obrońca monarchii, wielbiciel Mussoliniego, miał zostać rycerzem demokracji. Tymczasem kiedy w czerwcu 1940 roku Wehrmacht na parę lat usadowił się nad kanałem La Manche i Atlantykiem, to właśnie on wydał zbieraninie awanturników i najemnych zbirów, zbzikowanych arystokratów i marksizujących homoseksualistów rozkaz „podpalenia Europy”.

We Francji mało kto słyszał o Special Operations Executive: przysłoniły ją sławne czyny gaullistowskiego i komunistycznego Ruchu Oporu. Jednak bez tych tysięcy francuskich i brytyjskich agentów, którzy przeniknęli na okupowane terytorium, uczestnicy Ruchu Oporu spod znaku krzyża lotaryńskiego zostaliby bez broni, bez pieniędzy, bez łączności; członkowie Francuskiej Partii Komunistycznej Duclosa i Tillona byliby pozbawieni karabinów i materiałów wybuchowych. Gdyby nie SOE, powstańcy nie związaliby w Bretanii elitarnych oddziałów Wehrmachtu, tak bardzo potrzebnych Niemcom w Normandii. Gdyby nie SOE, dywizja Das Reich szybciej doszłaby do plaż północnej Francji i prawdopodobnie przechyliłaby szalę zwycięstwa na stronę nazistów. Gdyby nie SOE, amerykański dowódca oblegający Cherbourg nie mógłby przesłać komendantowi nazistowskiej twierdzy szczegółowego planu jego fortyfikacji, sporządzonego przez francuskich i angielskich szpiegów, dzięki czemu ten załamał się i poddał.

Przez pięć lat SOE wysłała przeszło pięć tysięcy agentów za linie wroga. Przed każdym ze zwoływanych codziennie posiedzeń sztabu generalnego Adolf Hitler dokładnie czytał raport relacjonujący działania gestapo przeciwko temu legionowi sabotażystów. Za owe minuty, wydarte geniuszowi zła, SOE zasłużyła na wszelkie pochwały. Płomień Ruchu Oporu nie zgasł, bo podsycala go SOE.

A w owej armii zapaleńców i idiotów, w której zajmowałem poczesne miejsce, na tym dziedzińcu cudów drugiej wojny światowej, Noor była księżniczką. Ja, który ją znałem, który walczyłem u jej boku, najlepiej potrafię opowiedzieć wam, kim była. Zrozumiałem to po upływie długiego czasu, po wielu rozmowach prowadzonych przez dziesięć lat z ludźmi, którzy uszli z życiem z tamtej bohaterskiej farsy. Książkę tę piszę dla nich i dla niej. Ponieważ znalazłem się na tym statku szaleńców. Ponieważ owa kobieta szpieg, o którą otarłem się w ciemnościach, jest kobietą mego życia.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poznałem księżniczkę Noor w blasku księżyca. Ona nie stała na kamiennym balkonie, a ja nie grałem pod nim na mandolinie, nie spotkaliśmy się też w wilgotny, tropikalny wieczór ze szklanką dzinu w ręce. Było to 16 czerwca 1943 roku w cuchnącej kabinie lysandra lecącego tuż nad morskimi falami ku okupowanej Francji.

Przez godzinę widziałem tylko profil mojej towarzyszki misji i jej cień wydobyty przez światło księżyca. Wchodząc do samolotu w Tangmere, zdążyłem jedynie uścisnąć w ciemności jej rękę i zaraz potem wystartowaliśmy nie zamieniwszy słowa, ogłuszeni hukiem silnika, wczepieni w poręcze obitej skórą ławeczki. W pobliżu francuskiego wybrzeża lysander skręcił na zachód, by ominąć przeciwlotnicze działa Cherbourga i poszukać słabiej bronionej Bretanii. Światło, padające dotąd z boku, nagle oświetliło Noor od przodu. Moim oczom ukazała się wschodnia madonna o delikatnej, matowej cerze, czarujących ustach, czarnych, opadających na ramiona włosach. Patrzyła na mnie wielkimi, przerażonymi oczami. Nieśmiały uśmiech ożywiał jej twarz, ale wargi drżały. Noor bała się i usiłowała to ukryć. Urzeczony jej urodą, odwzajemniłem ten uśmiech, nie mogąc wykrztusić słowa.

Przez chwilę, aby odzyskać panowanie nad sobą, obserwowaliśmy w milczeniu przesuwały się pod nami wysrebrzony krajobraz Bretanii. Potem, przewyciężając zaskoczenie i oczarowanie, zdobyłem się wreszcie na kilka słów. Nieśmiałość i huk silnika odebrały mi wszelki polot. Zrobiłem jednak olbrzymi wysiłek i krzyknąłem szorstkim, lecz serdecznym tonem: „Wszystko w porządku?”. Znowu spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, a jej oczy błagały o choćby najmniejszy przyjazny gest. Wysunęła z płaszcza rękę i, jak robił to Winston, podniosła do góry palce wskazujący i środkowy, pokazując literę V jak Victoria, jak Zwycięstwo. Oboje roześmialiśmy się i mówiłem dalej, przekrzykując warkot silnika:

— Nazywam się Sutherland, John Sutherland. Jadę do Paryża spotkać się z Prosperem.

— Nora Wilson!

I wyciągnęła do mnie smagłą, delikatną dłoń.

Noor zabroniono podawania jej prawdziwego indyjskiego nazwiska Noor Vijay Khan. Chodziło nie tylko o to, że było za długie, ale o to, by nikt nie dowiedział się, jakiej jest narodowości. Chętnie się na to zgodziła: część jej rodziny przebywała we Francji. Gestapo z radością by to wykorzystało.

Pilot bez trudu odnalazł Loarę i zostawił ją po swojej lewej stronie, by ominąć miasta. Leciał na wschód, trzysta stóp nad czarną równiną. Odwracał się tylko od czasu do czasu, by sprawdzić, czy nadal widać rzekę.

— Ja też jadę do Paryża — podjęła. — W Angers wsiądziemy do tego samego pociągu. Pan do pierwszej, ja do drugiej klasy. Jestem radiotelegrafistką, będę pracowała z Cinéma... Proszę mnie nazywać Aurora. Będę radiostacją Aurora.

Cinéma kierował odgałęzieniem dużej organizacji utworzonej przed rokiem przez Prospera. W SOE nie obowiązywała całkowita tajemnica. Wolno nam było podawać sobie pewne informacje pod warunkiem, że będą nieprzydatne dla wroga. W razie wpadki, gdyby ktoś zaczął sypać, Niemcy dowiedzieliby się, że w Paryżu i w zachodniej Francji pracują dwie siatki, którymi kierują Prosper i Cinéma. W rzeczywistości już to wiedzieli... Dowiedzieliby się także, że w Ilede-France zaczęła działać nowa radiostacja, radiostacja Aurora. Nie dowiedzieliby się najważniejszego: nazwisk, pod jakimi działamy Noor i ja, na które zostały wystawione nasze dokumenty i których żadne z nas nie miało prawa zdradzić sobie nawzajem.

Nagle Noor spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała przerażonym głosem:

— Myśli pan, że wrócimy?

Zamurowało mnie, serce mi się ścisnęło. Od pierwszego dnia wojny czułem w żołądku kamień. Miał zniknąć dopiero po kapitulacji Niemiec. Jego przyczyną był strach. Zanim przystąpiłem do SOE, byłem dowódcą komanda w Special Boat Service. Walczyłem już za linią wroga podczas kampanii francuskiej i w Libii. Z czasem nauczyłem się panować nad tym niepokojem, który osłabia wolę i wyostrza rysy twarzy. Zawahałem się. Co mogłem powiedzieć dziewczynie takiej jak Noor? Każdy w SOE wiedział, że agent wysłany do Francji ma jedną szansę na dwie, iż tam nie zginie. Gdy atakuje klasyczna piechota, ofensywę zatrzymuje się, gdy liczba zabitych przekroczy dziesięć procent. My byliśmy formacją samobójców. Przypadła nam w udziale najgorsza część wojny. Byliśmy obarczeni dodatkowym lękiem. Agentom SOE w razie wpadki przyszłoby może za długo czekać na śmierć. Wszystkim nam śniły się po nocach tortury.

Zrobiłem więc to, co każdy mężczyzna uczyniłby w takiej chwili. Otoczyłem ją ramieniem. Przytuliła się do mnie, dygocąc na całym ciele. Kiedy po dłuższym czasie odzyskała spokój, wyprostowała się i przygryzła wargę. Zobaczyłem, że jej paznokcie wbijają się w dłoń. Oswobodziła się z mego uścisku i patrzyła na rozgwieżdżone niebo, widoczne za szybą w stalowej ramie. „Przepraszam...”. W owej chwili poczułem się jak romantyczny angielski kretyń, ukryty pod maską tajnego agenta, którego zalała fala tanich emocji. I wiedziałem już, że ją pokocham.

Sylweta zamku w Angers prześlizgnęła się pod skrzydłem samolotu, przed nami lśniło zakole rzeki. Lysander wytracił wysokość, niemal ocierał się o korony drzew. Przed powstaniem SOE żaden z pilotów RAF-u nie zgodziłby się walczyć w tym zbyt ciężkim dwupłatowcu. Ze względu na swą powolność był łatwym celem dla obrony przeciwlotniczej. Ale dziwne koleje wojny sprawiły, że wada ta stała się zaletą. Żadna maszyna nie dorównywała lysandrowi w lądowaniu i startowaniu z wygaszonymi światłami na polu czy wrzosowisku, we wznoszeniu się nad ziemię zaledwie trzysta metrów po starcie. Dla członków Ruchu Oporu samolot ten był przyjaznym ptakiem księżycowych nocy.

Nagle na pogrążonej w ciemnościach ziemi, pośród jakby nierzeczywistych żywoptów, pojawiły się trzy światełka. Tworzyły odwróconą literę L. Lysander położył się na skrzydło, ustawił równolegle do dłuższego boku litery L i zmniejszył szybkość. Ustawiony zgodnie z zasadami pod wiatr, podskakując, wylądował na terenie Vieux-Briollay, jednego z lotnisk SOE. Potoczył się do drugiego światła, wykonał półobrót, potoczył się w przeciwnym kierunku i po raz ostatni zawrócił, ustawiając się znowu przodem do wiatru, gotów do startu. Pilot z pistoletem w dłoni wpatrywał się w ciemność w kierunku przeciwnym do świateł. Wiedział, że agenci powinni czekać po prawej stronie litery L. Dostał rozkaz strzelania do każdego, kto pojawiłby się z lewej...

Miał na nas czekać Henri Blauville. Spotkałem się z nim w Londynie, zanim wyjechał, by organizować przerzucanie naszych agentów w rejon Paryża. Blainville, największy as RAF-u, wywiązywał się z tego zadania z właściwą sobie elegancją i uprzejmością. Około roku 1938, podczas szkolenia, jakie odbywałem w Anglii, widziałem, jak wyskakuje z kokpitu po wykonaniu niezwykle niebezpiecznych akrobacji. Wyglądał, jakby wracał z partii brydża; jego gęste, ciemne włosy były gładko uczesane, niebieskie oczy patrzyły spokojnie, był uśmiechnięty i rozmowny. Legenda o nim zrodziła się po następującym zdarzeniu. Pewnego zimowego dnia, gdy podczas pokazu leciał tuż nad wodą ku skalistemu południowemu wybrzeżu Anglii, mróz pokrył szronem ciężła lotek. Samolot mknął wprost ku wapiennej ścianie, a stery przestały działać. Jeszcze minuta i samolot roztrzaskałby się. Zamiast uparcie szarpać drążek sterowy, jak zrobiłby każdy pilot, Blainville wstał i odprowadzany wzrokiem przerażonego drugiego pilota poszedł na tył samolotu. Odkręcił włącznik i uderzył kluczem nastawnym w ciężła. Potem odwrócił się ku przodowi i podniósł kciuk. Drugi pilot pociągnął za drążek sterowy i samolot wzbił się w górę, musnąwszy tylko wierzchołek skały.

Od początku 1942 roku Blainville zajmował się przerzucaniem tajnych agentów. W promieniu trzystu kilometrów wokół Paryża przyjmował wszystkie lądowania czy zrzuty z nieodmienną punktualnością i kurtuazją.

Z właściwej strony wysunęły się trzy cienie.

— Quick, quick! Wysiadać, wysiadać! — krzyknął pilot.

Wysunąłem się przez otwór na zewnątrz, zszedłem po stopniach umocowanych z boku kabiny i zeskoczyłem na trawę. Potem cofnąłem się i wyciągnąłem rękę do Noor. Najpierw zobaczyłem w powietrzu dwie zgrabne nogi. Potem poczułem uścisk jej ciepłej dłoni i musnięcie ramienia, na chwilę owionął mnie jej zapach, co do reszty rozpało serce zapóźnionego w rozwoju chłopca.

Blainville wskazał na drzewa i powiedział: „Szybko! Tam!”. Gdy bieглиśmy się ukryć, w jeszcze ciepłym powietrzu unosił się zapach łąk. Dwaj mężczyźni, z którymi minęliśmy się, wdrapali się do opuszczonego przez nas tylnego kokpitu. Po wojnie Blainville powiedział mi, że jeden z nich został znanym we Francji politykiem. Był nawet parokrotnie ministrem. W Ruchu Oporu nosił nazwisko Morland, ale naprawdę nazywał się François Mitterrand. Blainville miał co do niego pewne wątpliwości: przed paroma tygodniami Mitterrand zajmował się jeszcze sprawami jenieckimi w rządzie Vichy...

Silnik Iysandra zawarczał. Kilka sekund później samolot był już tylko punktem na niebie i szybko znikł w nagle uciszonej nocy. Przy wtórze śpiewu świerszczy Blainville obszedł łąkę,

by zabrać trzy elektryczne latarki. Poza kawałkiem zgniecionej trawy na owej łące w Touraine nic już nie wskazywało, że przed chwilą dwoje wystraszonych agentów SOE niepostrzeżenie rzuciło się w paszczę lwa.

W lasku były ukryte trzy rowery. Zaczęliśmy pedałowac po drobnym piachu, który prowadził do drogi departamentalnej. Koła rowerów zapadały się i musieliśmy wolno jechać jedną z dwóch białych ścieżek oddzielonych pasem trawy i krzewów, biegnącym środkiem drogi. Widziałem przed sobą Noor; pedałowala na stojąco, jej biodra kołysały się rytmicznie, smagłe łydki kolejno napinały się z wysiłkiem; na nogach, zgodnie z modą obowiązującą w 1943 roku, miała drewniaki, w które wyposażyła ją SOE. Na asfaltowej drodze departamentalnej zwiększyliśmy szybkość. Na twarzy czuliśmy miły powiew powietrza kończącej się nocy. Jechaliśmy wzdłuż Loary, lśniącej w księżycowej poświacie niczym długie lustro poprzecinane czarnymi wyspami i ławicami białego piasku. Była to cudowna, spokojna chwila. Ale zżerał nas strach.

Dojechaliśmy z Blainville'em do przedmieść Angers. Wstawał świt, godzina policyjna miała się wkrótce skończyć. W oddali piałą koguty. W domach z białego tufitu zapalały się światła. Blainville skręcił w jakieś obskurne podwórze.

— Zaczekamy tutaj na pociąg. Mam w termosie gorącą kawę...

Podszedł do roweru, wyjął z chlebaka blaszany kubek i kolejno go nam podawał. Noor wypila duszkiem i podziękowała. Kawa wydała mi się za mocna, ale była gorąca i postawiła mnie na nogi.

— Podczas jazdy nie patrzcie na żołnierzy — ciągnął Blainville — najlepiej udawajcie, że jesteście zajęci swoimi sprawami. W dni powszednie ludzie jeżdżą pociągiem do pracy. Nie interesujcie się nikim, nie rozglądajcie się dokoła. Od trzech lat Francja jest krajem okupowanym. Wszyscy się już do tego przyzwyczaili... — Potem rzucił szorstko: — Może nawet zanadto.

Gdyby nie ta ostatnia uwaga, wziąłbym go za któregoś z instruktorów SOE.

— Pani zamieszka w mieszkaniu wyszukany przez ludzi Cinéma — powiedział do Noor. — To świetna kryjówka. Nikt nie zna jej adresu, nawet ja. Może pani być spokojna. Jest tylko jedna ważna sprawa: musi pani zapamiętać hasło. Trzy tygodnie temu wyleciało z głowy pewnemu agentowi. O mało go nie wyrzucili na zbitą twarz.

— „Pociąg z Mans był opóźniony — wyrecytowała Noor — zabrakło węgla”...

— Nie powinna mi pani podawać hasła — powiedział Blainville. — Proszę go nie zapomnieć, to wszystko.

Noor miała wsiąść do pociągu pierwsza. Podróżowała sama jako Jeanne-Marie Firmin, guwernantka, ja natomiast miałem pojechać do Paryża pierwszą klasą z Blainville'em. Mówiłem jeszcze z lekkim angielskim akcentem. Lepiej było, żeby podczas przechodzenia przez kontrolę ktoś mi towarzyszył.

— Było mi bardzo miło poznać tak uroczą osobę — zwrócił się Blainville do Noor tonem światowca. — Dworzec jest dwieście metrów stąd na końcu alei Hoche'a. Dojdzie pani do rogu, a potem skreśli w lewo. Na pewno pani trafi. Do widzenia. Proszę złamać rękę i nogę!

Noor podziękowała, zdziwiona jego ostatnimi słowami. Potrząsnęła jego ręką, jak robią Anglicy. Potem zwróciła się z uśmiechem do mnie. Ale zamiast podać mi dłoń, rzuciła się do przodu i ucałowała mnie w oba policzki. Stałem ogłupiały, podczas gdy jej sukienka zniknęła za bramą w smudze światła.

Dwadzieścia minut później, kiedy mówiąc do siebie szeptem, szliśmy aleją Hoche'a, minęło nas dwóch głośno rozmawiających niemieckich żołnierzy. Dotarliśmy do mrocznego dworca. Senny kasjer czuwał za szybą okienka. Na drewnianej ławce siedziało trzech podróżnych. Pociąg do Paryża miał odjechać o szóstej pięćdziesiąt trzy. Ponury kontroler przeciął nasze bilety, przygotowane w Londynie przez podwładnych Maurice'a Buckmastera, szefa francuskiej sekcji SOE. Wczesnym rankiem na

peronie czekało dużo ludzi. Trzydzieści metrów od nas zobaczyłem Noor, która wpatrywała się w nas, nie zachowując żadnej ostrożności. Po dziesięciu minutach

na peron wjechał pociąg, sapiąc i wypuszczając kłęby dymu. W ślad za Blainville'em, obojętnym, ubranym w szary płaszcz od deszczu, miałem wejść do wagonu pierwszej klasy. Gdy stawiałem nogę na stopniu, zerknąłem na następny wagon. Noor zatrzymała się i zdawało mi się, że na mnie spojrzała. Na chwilę puściła poręcz i nim wsiadła do wagonu, przez sekundę widziałem jej uniesioną rękę. Wyprostowane palce, wskazujący i środkowy, były skierowane ku niebu. Pokazywały literę V, znak zwycięstwa.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie uświadamiałem sobie wtedy, że już kiedyś zetknąłem się z Noor. Było to w północnej Szkocji, nad morzem, w parku Arisaig, w szlacheckim dworze, gdzie SOE uczyła agentów swych chuligańskich metod. Chłodne światło lutego padało na zrudziałe od mrozu wrzosowisko. Morskie fale biły o zlodowaciałe plaże i mroczne zatoczki. Wiatr zginał wrzosa porastające pagórki. Na stokach stromych dolin wznosiły się ponure zamczyska, do których dostępu broniły zwodzone mosty. Wystające spod wody skały, którymi była usiana zatoka w Firth, wyglądały we mgle jak zjawy. Byliśmy niczym rycerze Okrągłego Stołu zgromadzeni pośród mrocznych lasów i zębatach wież, by nauczyć się, jak walczyć ze smokiem. Parę mil stąd, w granitowej budowli wzniesionej na brzegu rzeki i otoczonej torfowiskiem, produkowano najlepszą w świecie whisky.

Byłem wówczas instruktorem. Noor należała do małej, oddzielnie szkolonej grupki kobiet. SOE nie wahała się posyłać dwudziestoletnich dziewcząt do walki z gestapo, ale nie chciała narażać je na wspólne z mężczyznami ćwiczenia gimnastyczne! Zawsze ta sama Anglia...

Dziewczętami zajmowała się Joan Sanderson, która trzymała je żelazną ręką. Nie jestem pewien, czy ich cnota była przez to lepiej chroniona. Moja koleżanka Joan, nieustraszony oficer, miała jasne, bardzo krótko obcięte włosy i starała się wyglądać jak mężczyzna. Darzyła swe kursantki tak czułą uwagą, że dostawała upomnienia od dowództwa. Kiedy rozmawiałem z nią po wojnie, pracowała w agencji modelek i była nadal równie jasna, piękna i męska. Zajmowała się, jak się to nazywa w Anglii, castingiem... Świetnie pamiętała Noor. Moja księżniczka z pewnością podobała się Joan, ale wyraźnie faworyzowała Violette Laszlo, sobowtóra Greta Garbo, dziewczynę o wystających kościach policzkowych, królewskim spojrzeniu i czarnych jak węgiel włosach, która była najlepszym strzelcem w SOE: potrafiła wpakować dziesięć na dziesięć kul w cel oddalony o trzysta metrów.

Obecność małego kobiecego szwadronu budziła żywą ciekawość w szykownej grupie, jaką tworzyli nasi adepci. Pierwszego wieczoru, jeszcze przed rozpoczęciem szkolenia, zaczęły się ciche podchody. W wielkiej sali dworu, której okna wychodziły na krótko wystrzyżone boisko do krykieta, SOE pozwoliła uruchomić bar. Oficerowie komandosów, do których należałem, potępiali ten dziwny liberalizm. Jednak podobno agenci powinni umieć zachować zimną krew w każdym okolicznościach, nawet pod wpływem alkoholu. Zatem utworzenie pubu w sercu naszego obozu należało do wojskowego przeszkolenia... Wszystko to wydawało mi się dziwaczne.

Koło dziewiątej — wieczory były już ciepłe — przyszedłem do baru napić się piwa. Pod lodowatym spojrzeniem Joan Sanderson wokół każdej z przyszłych siedmiu kobiet szpiegów utworzyły się niewielkie grupki młodych mężczyzn w mundurach. Oczywiście pierwsza olśniła mnie Violetta Laszlo. Ze szklaneczką pimm'sa w ręce, olśniewająca w niebieskim uniformie RAF-u, który udawało jej się nosić tak, że był obcisły, perorowała, stojąc przed czterema młodymi mężczyznami, którzy śmiali się po każdej z jej uwag i nie odrywali od niej oczu. Jej długie włosy i wysoki wzrost sprawiały, że była ośrodkiem zainteresowania całej sali. Pearl Witherington siadł do pianina i cicho grał *As time goes by*, piosenkę z filmu *Casablanca*. Noor znajdowała się w drugim końcu sali. Nieśmiała, nierzucająca się w oczy, rozmawiała z instruktorem Donaldsonem, który pochylał się ku niej z uśmiechem pełnym czułości. Przesłaniał mi ją obłok dymu.

Koło pół do dziesiątej Roger de Wesselow, facet o cienkich wąsikach i ciętym dowcipie, starszy syn rodziny o flamandzkich korzeniach, którego przodkowie, bracia i kuzyni walczyli pod Waterloo, zakaszłał, usiłując zmusić obecnych, by umilkli. Wesselow owiazywał szyję białym szalikiem, palił lucky strike, które wkładał do fifki, i przez większość czasu rozprawiał o polowaniu z nagonką, co wydawało mi się śmieszne. To on kierował obozem. Na początku każdego kursu, wsparty o pianino, wygłaszał przemówienie do nowych uczestników. Ponieważ gwar nie cichł, wysoki brunet o wysuniętym podbródku i bystrym spojrzeniu, John Starr, malarz pejzażysta o marnej reputacji i niewyparzonej gębie, z którego SOE zamierzała zrobić wirtuoza w fabrykowaniu fałszywych dokumentów i fikcyjnych kartek żywnościowych, zawołał uroczystym, a zarazem kpiącym tonem:

— Cisza, dobrzy ludkowie i wielcy panowie! Cisza! Przemówi do was generał Wesselow!

Podczas gdy rozmowy kolejno cichły, Wesselow obrzucił go złym spojrzeniem. Nie był generałem, lecz majorem. Miłość do obozu szkoleniowego w Arisaig odsunęła od walk i awansów tego ostatniego żołnierza z ostatniego brytyjskiego batalionu korpusu ekspedycyjnego, który w 1940 roku pod gradem pocisków Wehrmachtu i bomb rzuconych przez stukasy wszedł na pokład ostatniej łodzi ewakuującej pokonaną na plażach Dunkierki armię. Wypowiedziane przez Starra słowa były w niezamierzony sposób bardziej złośliwe, niż się wydawało.

Major zwrócił się do zgromadzonych:

— Panie i panowie, chciałbym powitać was na obozie wakacyjnym w Arisaig.

To krótkie zdanie wywołało uśmiech na twarzy paru osób.

— Nazywam się major Wesselow, jestem kierownikiem kursu... — zrobił pauzę

— a zostanę mianowany generałem, jeśli uda mi się z was zrobić dobrych żołnierzy

i dobrych szpiegów... — Potem, patrząc na Starra, powiedział rozindyczony: — Co oznacza, jeśli się przyjrzeć niektórym z was, że moje szanse na awans są kiepskie!

Wybuch śmiechu, wzmocnionego przez alkohol, rozległ się w sali z sufitem ozdobionym herbem.

Wesselow ciągnął:

— Wojna, w której tajniki będziemy was tutaj wprowadzać, nie jest wojną w białych rękawiczkach; jej reguły nie mają żadnego związku z zasadami markiza Queensbury.

Joan Sanderson opowiedziała mi w 1950 roku, że w tym momencie Noor pochyliła się ku niej i szepnęła: „Kto to jest ten markiz Queensbury?”. A ona wyjaśniła cicho: „Ustanowił zasady boksu”. Widząc, że Noor nadal niezbyt rozumie, dodała: „To sport chuliganów uprawiany przez dżentelmenów!”. Tymczasem Wesselow mówił dalej:

— Nasza wojna, proszę państwa, jest sportem uprawianym przez chuliganów! Tak się bowiem niestety składa, że nasz przyjaciel Adolf Hitler nie jest dżentelmenem. — Poglądził górną wargę. — Przede wszystkim nosi prostackie wąsy... — Śmiechy. — Tak się też składa, że nasz przyjaciel Hermann Göring ma złego krawca. — Śmiechy. — I że pan Himmler wygląda na księgowego... I że podczas blitzu dali dowody braku gustu, oszczędzając katedrę Św. Pawła!

Rozległy się nieco tłumione śmiechy: w oczach Anglików wielka katedra zbudowana przez Wrena, która pomimo bombardowań stała nadal — i nadal była równie brzydka — była ucieleśnieniem oporu ich stolicy.

— Tak się, proszę państwa, składa, że nigdy w historii podobna zgraja oprawców nie stała na czele wielkiego kraju!

Zapadła cisza. Dreszcz wrogości przebiegł przez obecnych niczym prąd elektryczny. Zrozumiałem, że Wesselow jest mistrzem w sztuce wojskowego sprytu. Mówił dalej, natężając głos:

— Panie i panowie, nie możemy pozwolić, by te męty rządziły Europą. Nie możemy pozwolić, by wszystkich pozabijały. Nie możemy pozwolić, by pluły nam w twarz. Pokażemy im więc, że imperium brytyjskie także potrafi stworzyć bandę chuliganów równie skutecznych jak ich chuligani i że pobiją ich oni na ich własnym terenie, nawet w Berlinie! A tą bandą, panie i panowie, jesteście właśnie wy!

Przemówienie majora zostało przyjęte burzliwą owacją. Wesselow odczekał, aż oklaski umilkną. Potem dodał:

— Z wyjątkiem Johna Starra, który jest tchórzem! Pośród ogólnego śmiechu Starr rzucił na stronie:

— Proszę nie strzelać, poddam się! Ale Wesselow jeszcze nie skończył.

— Pewnego dnia, który jest może bliższy, niż nam się zdaje, sojusznicze armie wkroczą na kontynent. Nie będzie to rzeczą łatwą. Kanadyjczycy...

W głębi sali usłyszeliśmy głośniego bąka, podrobionego przez jakiegoś rozrabiakę. Wesselow zmienił się na twarzy i podniósł głos.

— ...Kanadyjczycy, którym nigdy nie dorównacie odwagą, pokazali nam, ginąc pod Dieppe, że lądowanie nie będzie niczym zabawnym.

Nikt nie zamierzał mu już przerywać.

— Losy całej wojny rozegrają się jednego dnia. Jeśli Niemcy będą wypoczęci, w formie, innymi słowy, jeśli zostawimy ich w spokoju, rozniosą naszych chłopaków na strzepy. Nasza rola, wasza rola będzie polegała na tym, by nie dawać im ani chwili wytchnienia. Wszystkie chwytaki są tu dozwolone. Macie dwanaście tygodni, by nauczyć się niektórych z nich. Będziecie pierwszym przyczółkiem sojuszniczych armii w Europie. Nigdy o tym nie zapominajcie. Nic na tym nie zyskacie. Żołnierze regularnych wojsk padają w pełnym świetle, pod okiem swych dowódców. Wy będziecie ginąć w mroku i nikt tego nie zobaczy. Zapomną o was. Może dostaniecie jakiś medal. Ale pośmiertnie. Wasi potomkowie włożą go do szuflady. Ale jeśli przeżyjecie, na starość będziecie mogli sobie powiedzieć: „Nie dałem łobuzom ani chwili spokoju. Jak na takiego kretyna jak ja, to już wcale nieźle”.

W sali zapadła ciężka cisza. Wesselow zakończył swe przemówienie słowami oficera sławniejszego niż on:

— A teraz, panie i panowie, Anglia czeka, by każdy spełnił swój obowiązek! — Potem jakby się zawahał. — A moim obowiązkiem jest upić się z Johnem Starrem.

Pośród wiwatów objął młodego malarza ramieniem.

Przemówienie wydało mi się świetne, ale sam wieczór nie wróżył niczego dobrego. Jak z tych amatorów whisky przez dwanaście tygodni zrobić doborowych żołnierzy? Normalne przeszkolenie wojskowe trwało sześć miesięcy. A my w czasie dwa razy krótszym mieliśmy zrobić z tej bandy cywilów wytrawnych komandosów. Za SOE, traktowaną z góry przez tradycyjne tajne służby, utworzoną w wyniku szalonego pomysłu Churchilla, wyposażoną w niezależną organizację, ponieważ laburzystom, przyjętym właśnie do koalicji rządowej, należało zapewnić kontrolę nad jednym z owych biur wywiadu, których się słusznie obawiali, ciągnęła się reputacja amatorszczyzny. Widok tych suto zakrapianych szkockich wieczorów kazał mi obawiać się najgorszego. Zapowiedziałem całemu towarzystwu, że o piątej rano jest pobudka, i poszedłem spać.

Nazajutrz starałem się wybić wszystkim z głowy powtórkę z podobnych imprez. Po dwóch godzinach szybkich biegów po wrzosowisku aż do utraty tchu i godzinnej gimnastyce w rytm krzyków i gardłowych rozkazów, zebrałem oddział w bardzo wysokiej szopie, w której suficie był wycięty kwadratowy otwór. Każdy

musiał wejść po drabinie na strych i usiąść ze spuszczonej nogami na krawędzi otworu. Na rozkaz mieli rzucić się w próżnię i wylądować cztery metry niżej. Była to górna granica wysokości, powyżej której było pewne, że się połamią. Skończyło się tylko na dwóch niegroźnych zwicnięciach. Po południu zaczęli uczyć się walki wręcz. Powalałem moich kursantów na ziemię, wykręcałem im ręce i tłukłem ich w brzuch. Koło szóstej zabrałem całe towarzystwo na dodatkowe godzinne ćwiczenia z dwudziestokilogramowymi plecakami na grzbiecie. „Bezpieczeństwo żołnierza to jego mobilność”, wyjaśniłem. Wieczorem tylko John Starr zjawił się w barze. A o wpół do dziewiątej był już w łóżku.

W innej części parku mieszkająca w przybudówce Noor przechodziła nieco lżejszy trening. Biegi trwały tylko piętnaście minut. Gimnastyka pół godziny. Mogła zacząć szkolenie teoretyczne. Po wstąpieniu do RAF-u nauczyła się telegrafii bez drutu. Potrafiła już przekazać dwadzieścia słów na minutę alfabetem Morse'a, gdzie każda litera składa się z zespołu kropek i kresek. Cywilni operatorzy dochodzili zaledwie do dwunastu słów na minutę. Ona musiała osiągnąć szybkość osiemdziesięciu słów na minutę.

Szybkość transmisji była czynnikiem decydującym: na terytorium okupowanym pracujące na okrągło stacje wojskowe i gestapo nieustannie przeczesywały eter. Po wykryciu nowej radiostacji służba podsłuchu telefonowała do trzech stacji namiernikowych rozmieszczonych na planie trójkąta obejmującego całą Francję: Brest, Augsburg, Norymberga. Po usytuowaniu strefy nadawania w polu o boku piętnastu kilometrów natychmiast wyjeżdżały trzy ciężarówki wyposażone w goniometry. Wolno przemieszczały się po wyznaczonym terenie, a antena, zakończona stalowym kołem, starała się namierzyć tajną radiostację. Z zamiaru trzech goniometrów Niemcy mogli zlokalizować radiostację z dokładnością do dwustu metrów. Piesi technicy, wyposażeni w mały detektor, starali się znaleźć dokładne miejsce nadawania. Za ciężarówkami postępował pluton żołnierzy, często esesmanów. Ekipy wykrywające potrzebowały średnio trzydziestu minut, by wejść do domu, w którym pracował radiotelegrafista. Po wojnie SOE stwierdziła, że wpadał jeden radiotelegrafista na dwóch. Większość z nich była torturowana, deportowana i likwidowana w Dachau lub Buchenwaldzie.

Po dwudziestu pięciu minutach, to znaczy po około pięciuset słowach lub tekście obejmującym pięćdziesiąt wierszy, transmisja wkraczała w niebezpieczny przedział czasu. Gdyby zatrudniano do tego zwykłych radiotelegrafistów, natężenie transmisji Ruchu Oporu w Europie byłoby o połowę mniejsze. Albo też przy tej samej liczbie przekazów ryzyko byłoby podwojone. Po tygodniu szkolenia Noor i jej koleżankom po nocach śnił się alfabet Morse'a...

Mój najlepszy kursant nazywał się Derek Darbois. Był homoseksualistą, który nie potrafił ukryć swych skłonności. Zdradzały go wyszukany sposób wystawiania się i zniewieściałe ruchy. Był rozbrajająco miły i do wszystkich odnosił się z wielką atencją. Pierwszego dnia Starr rzucił pod jego adresem parę docinków przyjętych sprośnymi uśmiechami. Darbois zacisnął zęby i zamknął się w sobie. Wieczorem, pod koniec zajęć, wyprzedził o minutę pozostałych, niosąc plecak wypełniony kamieniami.

Po zaprawie w szopie przyszli sabotażyści zaczęli ćwiczyć na wyciągu: podnosiłem ich na linie i gdy uruchamiał się mechanizm wahadłowy, zaczynali się huścić. Kiedy pod koniec każdego wychylenia osiągnęli położenie horyzontalne, puszczałem linę: mieli zwinąć się w powietrzu, wylądować nogami do przodu i potoczyć się po stwardniałej od mrozu ziemi. Następnie kazałem im wspinać się na drzewa i skakać z coraz wyższych gałęzi. Mieszkający wokół Arisaig cywile nazywali naszą siedzibę „małpim dworem”. Po dwóch dniach zorientowałem się, że Darbois zwichnął nogę w kostce. Nic nie powiedział, tylko poprosił pielęgniarza, by bardzo mocno obandażował mu staw, i wrócił na trening.

Tydzień później wdrapywali się trójkami do wiklinowego kosza przyczepionego pod jednym z owych dużych, podłużnych balonów użyczonych nam przez wojsko. Zazwyczaj te olbrzymie, napętnione helem kielbaski z błony, połączone z ziemią linkami, obrona przeciwlotnicza umieszczała nad miastami i węzłami kolejowymi. Dla zaoszczędzenia paliwa, zamiast skakać z samolotu, kursanci mieli wprawiać się, skacząc w pustkę z owych kruchych koszy. Sami zwijali spadochrony, tysiąc razy powtarzali ruchy, jakie trzeba wykonać, a przede wszystkim musieli opróżnić pęcherz. Przy nabieraniu wysokości kosz drżał i kołysał się pod wpływem wiatru, grożąc w każdej chwili oderwaniem. Nie widziałem, by ktokolwiek, wsiadając do niego, nie zbladł.

W trzeciej grupie byli John Starr, Derek Darbois i Peter Greenwood, młody, elegancki bankier, który przed wojną spędził kilka lat na placówce w Paryżu. Kiedy rozkołysany kosz wzbijał się nad ziemię, zobaczyłem, że wszyscy kurczowo trzymają się uchwytów zabezpieczających. Park Arisaig szybko malał w oczach, a zabudowania wydawały się makietami ustawionymi na wrzosowisku; na prawo było widać szarą wodę zatoki usianą dużymi czarnymi skałami. Nawet Starr przestał żartować i patrzył w ziemię jak zafascynowany. Darbois był trupio blady.

Jeśli w przyszłości zostaną zrzućeni nad Francją, samolot będzie leciał z maksymalną prędkością na wysokości stu metrów, aby żadna zmiana parametrów lotu nie zaintrygowała ewentualnych świadków. Był to niebezpieczny manewr: gdyby pilot pomylił się i zrzucił pasażerów nad wzgórzem, spadochrony nie zdążyłyby się otworzyć i skoczkowie roztrzaskaliby się o ziemię. Nie mogliśmy

postępować inaczej. Nawet w nocy spadochrony były widoczne z daleka. Należało skrócić do minimum czas opadania i ludzie skakali na absolutnej granicy normy bezpieczeństwa. Po sekundzie swobodnego opadania czas spadochronu otwierała się samoczynnie. Wtedy skoczkowie puszczaali zasobniki umocowane na czterometrowej linie. Pierwszy uderzał w ziemię zasobnik. Pozbawiony balastu spadochron zmniejszał prędkość opadania, a skoczkowie toczyli się po trawie z nadzieją, że w owej chwili żaden Niemiec nie spogląda w niebo.

Pierwszy skok z kosza nastąpił z wysokości stu dwudziestu metrów. Tylko dwadzieścia metrów marginesu... Oto los spadochroniarzy: im więcej trenują, tym bardziej ryzykują. Kiedy przytrzymywany linką balon znieruchomiał, otworzyłem zapadnię, przez którą było widać krajobraz kołyszący się w rytm podmuchów wiatru. Klepnałem w plecy Greenwooda, który nie patrzył w dół. „Go!. Młody bankier z determinacją rzucił się w przepaść, wydając okrzyk przerażenia. Spadochron natychmiast się otworzył i po paru sekundach Greenwood wylądował na ziemi z głośnym śmiechem. Teraz klepnałem w plecy Darbois. „Go!. Bez skutku. Wytrzeszczając oczy, Darbois trzymał się kurczowo krawędzi otworu zbiegającymi dłońmi, był jak sparaliżowany. Powtórzyłem: „Go!". Darbois nie drgnął. Już miałem chwycić go za ramię i wyrzucić z kosza, gdy zbliżył się do niego Starr. Objął jego plecy ramieniem i popchnął w pustkę, krzyżąc: „Leć, pedale, oczekując na ziemi!". Kiedy Darbois wylądował, zanim zdążyłem zawołać: „Go!", skoczył z kolei Starr.

Podczas gdy trzej nowicjusze zbierali swe spadochrony, kosz się opuścił. Skierowaliśmy się do baraku, w którym odbywały się briefingi. Pochód otwierał nieposiadający się z radości Greenwood. Ja, śmiejąc się, postępowałem za nim. Dwaj pozostali szli z tyłu. Darbois powiedział do Starra: „Dziękuję ci za pomoc, sam nigdy bym nie skoczył!". Odwróciłem się, słysząc stłumiony hałas. Starr leżał na ziemi powalony prawym sierpowym przez Darbois. Pochylony do przodu, z zaciśniętymi pięściami, przylegającymi do ciała łokciami, przestępując z nogi na nogę, Darbois dodał z rozpromienionym spojrzeniem: „I będziesz wiedział, że pedały są lepsze w boksie niż w skakaniu ze spadochronem". Starr wstał, rozcierając szczękę. Miałem już ich rozdzielić, gdy rzekł: „Przykro mi, Derek, jestem kretynem". Wyciągnął rękę, którą Darbois przyjął. W oczach miał łzy. Starr uścisnął go i rzucił z uśmiechem: „Naprawdę cię przepraszam. Masz rację, że się bronisz. Nie wiem zresztą, dlaczego nie miałbyś skakać na różowym spadochronie!". Darbois wybuchnął śmiechem. Pociągnąłem Greenwooda w stronę baraku.

W następnym tygodniu usłyszałem o Noor. Doszło do pewnego zatargu między nią a sierżantem Timothyem Keeganem, instruktorem strzelania, facetem o

zmarszczonych brwiach i rudych, zawadiackich wąsach. Pewnego słonecznego dnia pod koniec zimy, na środku zamkowego dziedzińca Keegan, który czuł się nieco upokorzony faktem, że on, były żołnierz armii Indii, musi szkolić ten dziwaczny kobiecy batalion, ułożył na dużym pięknym drewnianym stole wyniesionym z jadalni broń, w jaką SOE wyposażała swych agentów, i rozkazał młodym kobietom, by stanęły kołem wokół niego. Były tam rewolwery Bulldog i Colt z obrotowym bębniem, podobne do broni, jaką widuje się na westernach. Były też pistolety Ruby, Colt i Le Français, z magazynkami w kolbie, podobne do owych czarnych browningów, jakie widywaliśmy po wojnie w rękach gangsterów na filmach kryminalnych. A przede wszystkim pistolet maszynowy Sten, który już był legendarną bronią Ruchu Oporu w walce z nazizmem.

— STEN — wyjaśnił Keegan — to akronim utworzony od pierwszych liter nazwisk dwóch inżynierów, Shepherd i Turpina, oraz nazwy miasta Enfield, gdzie jest produkowany: S. T. E. N.

Fabryki brytyjskie miały wypuścić dwa miliony egzemplarzy stenów.

— Potrafi wypalić samoczynnie — dodał Keegan — ale jest odporny na mróz i wodę. Poza tym to najporęczniejsza broń dla morderców!

W kilka sekund rozmontował stena, który rozkładał się na trzy części: właściwą broń, kolbę z lekkiego metalu i prostokątny magazynek.

— Można go przenosić w teczce albo nawet przy sobie pod płaszczem — powiedział Keegan, składając pistolet. Pokazał, jak działa, najpierw na pusto, a potem załadował go magazynkiem i wystrzelił kilka serii w ziemię.

— Strzelajcie krótkimi seriami, inaczej szybko opróżnicie magazynek. Wystarczy wycelować z biodra, mocno przytrzymując pistolet, o tak, na oko. Jeśli wróg jest odsłonięty, automatycznie wyprawicie go na tamten świat.

Potem podał stena pierwszej kursantce po swojej prawej stronie, a ta musiała go rozłożyć, złożyć i strzelić do drewnianego manekina ustawionego na środku dziedzińca.

Dziewczęta wprawiały się z wdziękiem debiutantek. Pearl Witherington zapytała, czy proch czerni ręce. Potem wycelowała lufę, drżąc na całym ciele, ale strzelała z dzikim uśmiechem. Yvonne Beekman, naciskając spust, zamknęła oczy, więc kule poszły Panu Bogu w okno. Cecily Lefort przy pierwszej serii wydała krótki zmysłowy okrzyk. Violetta Laszlo chwyciła stena jak stary zawodowiec i nie mierząc, umieściła krótką serię w piersi drewnianego manekina.

— Ho, ho, moja panno, po prostu wspaniale! — powiedział Keegan.

— Nauczyłam się strzelać od męża — odpowiedziała Violetta. Mathias Laszlo, węgierski przemysłowiec, zabierał żonę na polowania na grubego zwierza w różne rejony świata. Violetta polubiła ten sport. Dzięki zdobytemu doświadczeniu została

doskonałym strzelcem. W 1941 roku jej mąż przystąpił do Ruchu Oporu, ale wpadł i Niemcy go aresztowali. Od tej pory Violetta przygotowywała się na dzień, gdy zobaczy w swym celowniku zielonoszary mundur.

Nadeszła kolej Noor. Księżniczka spokojnie podniosła rękę i powiedziała cichym głosem:

— Nie, ja dziękuję. Ja nie będę się tym posługiwać. Keegan spojrział na nią z uśmiechem.

— Ależ tak, zobaczy pani, to bardzo łatwe. Teraz Noor uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— Nie chcę się tym posługiwać... Keegan zdziwiony wlepił w nią oczy.

— Jak to, nie chce się pani tym posługiwać! To obowiązkowe, należy do szkolenia.

— Wiem, ale nie mogę tego robić.

— Wszyscy mogą to robić! Wszyscy muszą to robić! Jeśli ktoś będzie do pani strzelał albo panią gonił, przecież będzie się pani musiała bronić.

— Nie, nie będę do nikogo strzelała. Nie chcę nikogo zabić.

— Na wojnie, proszę pani, zabija się wrogów. W przeciwnym razie to oni panią zabijają.

— Bardzo mi przykro, sierżancie, rozumiem, co pan mówi, mam najwyższy szacunek dla pana i dla wszystkiego, co tu robimy, ale muszę odmówić.

Keegan spojrział na nią zbity z tropu. Poczerwieniał na twarzy, wąsy mu drżały. Miał już wybuchnąć, gdy Violetta Laszlo ujęła go za ramię.

— Sierżancie Keegan, ona mówi panu, że tego nie robi. Wydaje mi się, że nie powinien pan nalegać. Ostatecznie jest radiotelegrafistką. Nie musi do wszystkich strzelać.

— Nie do wszystkich, proszę pani. Do szwabów.

— Oczywiście, ale nie może tego zrobić. To sprawa przekonań religijnych.

Keegan, osłupiały, zwrócił się do Noor.

— Przekonań religijnych?

Noor skinęła głową. Violetta Laszlo powiedziała, że Nora Wilson jest z pochodzenia Hinduską. Wtedy Keegan wybuchnął:

— Ależ nie rekrutowaliśmy do tej armii fakirów! Albo młodych Japoniek w sari! Jest wojna! Nie mamy czasu do stracenia! To ten Gandhi przewrócił wam w głowie. To nie Indie i nie walczy pani z dżentelmeńską armią Jego Królewskiej Mości. Walczy pani z Adolfem Hitlerem! Wie pani, kto to jest? Myśli pani, że daje prezenty tym, którzy nie strzelają? Zechce pani zrobić mi tę przyjemność i zacząć strzelać do tego cholernego manekina.

Po policzkach Noor płynęły łzy.

— Powiedziałam o tym panu Jepsonowi — wyszeptała. — Zgodził się...

— Jepson? Nie ma tu żadnego Jepsona! Kto to taki ten Jepson? Wielki Mogoł? Zaklinacz węży? Komunista?

I tym razem Violetta uratowała Noor.

— Sierżancie Keegan, powinien pan porozmawiać z majorem Wesselow. On panu wyjaśni...

— Wesselow wie coś na ten temat? Już ja z nim pogadam! Poinformuję go, że nasze panie postanowiły obalić Trzecią Rzeszę wachlarzami!

Powoli się uspokajał. Szorstkim gestem podał stena Dianie Rowden. Młoda kobieta zacisnęła wąskie wargi, potrząsnęła kokiem i jedną serią ścięła głowę manekinowi, czym udobruchała sierżanta.

Selwyn Jepson, autor dramatyczny, był werbownikiem SOE. Szefowie SOE wybrali go, licząc na jego psychologiczne wyczucie, niezbędne do tego zadania. Nie omylili się: zanim Jepson z powodzeniem powrócił do kariery dramaturga, oddał organizacji wybitne usługi. Aby odnieść się do skarg Keegana, Wesselow zagłębił się w raporcie Jepsona na temat Noor, w którym wspominał o przekonaniach religijnych Noor. Ale interpretował je na jej korzyść: motywy, jakimi się kierowała, uważał za „w najwyższym stopniu szlachetne”. Jego wniosek był jednoznaczny: Noor będzie doskonałą agentką SOE. Była odważna, cierpliwa, systematyczna i wspaniale obsługiwała radiostację. Wesselow prosił Keegana, by kontynuował szkolenie, jakby nic się nie stało. Noor będzie zwolniona z zajęć ze strzelania. W razie potrzeby da sobie jakoś radę. Radiotelegrafiści nie muszą strzelać. Przeciwnie, dostali rozkaz, by unikać wszelkiego gwałtownego działania i skoncentrować się na swym podstawowym zadaniu. Jeśli Noor nie chce nauczyć się strzelać, to jej sprawa, a kompetentnych radiotelegrafistów jest za mało, by się na nią dąsać.

Sprawy księżniczki ułożyły się pomyślnie w następnym tygodniu. Jednocześnie ze strzelaniem Keegan uczył młode kobiety tego, co zwykło się nazywać „specjalnym torem przeszkód”. W normalnych jednostkach polegało to na skakaniu do rowów, wdrapywaniu się na mury, czołganiu w błocie i pokonywaniu rozmaitych przeszkód. SOE podniosło poprzeczkę, wzorując się na szkoleniu w oddziałach doborowych. Kursanci musieli więc skakać z murów mających nie dwa, lecz cztery metry wysokości, maszerować dwa kilometry w rzekach, zanurzeni po szyję w lodowatej wodzie, wytrwać dwanaście godzin w błocie, czołgać się pod ogniem karabinów maszynowych, strzelających pięćdziesiąt centymetrów nad ziemią, zejść z pięćdziesięciometrowej skały, wdrapać się na tę samą skałę, dzięki upatrzonym wcześniej punktom zaczepienia, bez jakiegokolwiek zabezpieczenia pasami, nauczyć się atakować od tyłu wartownika i zabić go, pakując mu w plecy

sztylet lub łamiąc kark gwałtownym skręceniem głowy. Kobiety miały przechodzić nieco złagodzoną wersję tych ćwiczeń, które odstraszyłyby większość rekrutów w regularnej armii.

Pewnego popołudnia Keegan zebrał swój czarujący batalion przy drzewie, wokół którego na wysokości dziesięciu metrów była zbudowana platforma z grubych desek. Z jednej z gałęzi zwisała lina, która przechodziła przed platformą i sięgała ziemi. Keegan kazał im kolejno skoczyć z platformy, w locie chwycić oburącz linę i zejść po niej na dół. Gdy grupa złożona z czterech kursantek weszła na tę prowizoryczną podłogę, Keegan zawołał, by podchodziły do krawędzi i skakały.

Kiedy Pearl Witherington zbliżyła się do przepaści, spostrzegła, że lina zwisa prawie dwa metry od krawędzi platformy. Należało jednym susem pokonać tę odległość i złapać linę, inaczej groził upadek z wysokości dziesięciu metrów. Oczywiście lądowało się na trawie. Ale ci, którzy ćwiczyli już skoki ze spadochronem, dobrze wiedzieli, że jeśli nawet upadek z wysokości przekraczającej cztery metry nie kończy się śmiercią, musi się skończyć szpitalem. Pearl zbladła, popatrzyła na linę, potem w dół na ziemię i krzyknęła do Keegana, że to zbyt niebezpieczne.

— Gestapo jest bardziej niebezpieczne — odpowiedział Keegan. — Ściga panią, niech pani skacze!

Pearl cofnęła się już i znajdowała się poza zasięgiem wzroku Keegana. Sierżant wiedział, jak niebezpieczne jest to ćwiczenie. Poszedł na ustępstwa.

— Dobrze, zaczniemy od Violetty ! Violetto, proszę pokazać, że pani nie stchórzy!

Violetta Laszlo podeszła do krawędzi. Ona także oceniła najpierw wysokość, potem odległość, jaką należy pokonać, by chwycić linę, i zbladła.

— No prędzej, niech pani skacze, do diabła! Panią też obleciał strach? — wrzasnął Keegan.

Violetta zdecydowała się. Biała jak ściana dała cztery kroki do tyłu, oparła się o pień i rzuciła do przodu. Odbiła się lewą stopą i skoczyła ku linie. Wyciągnęła ręce, by ją złapać. Lewa ręka chybiła celu. Kiedy prawa dłoń zamknęła się na konopnej linie, Violetta już spadała. Uchwyt okazał się niedostatecznie silny. Spadała więc nadal, ściskając linę jedynie prawą ręką. Krzyczała z bólu, paliła ją dłoń, trąca o szorstkie konopie. Kiedy była dwa metry nad ziemią, rozkołysana lina okręciła się wokół jej nagiego uda. Wyhamowało to szybkość spadania i Violetta zderzyła się z ziemią, nie robiąc sobie większej krzywdy. Podniosła się rozdygotana i spojrzała na swoją prawą rękę. Wnętrze dłoni było czerwone, skóra zdarta. Krew z rany płynęła na rękaw bluzki. Purpurowa pręga znaczyła jej udo, czego jeszcze nie zauważyła. Keegan podszedł do niej speszony.

— Brawo, Violetto — powiedział niepewnym głosem. — Pokazała im pani, jak się do tego zabrać.

— Niech pan przerwie to ćwiczenie, sierżancie Keegan. Z całym szacunkiem, to zbyt niebezpieczne — powiedziała tylko Violetta cicho. — Jeśli nie chwycą liny, pozabijają się.

Keegan był rozdarty między obowiązkiem nieugiętego instruktora a zdrowym rozsądkiem, który kazał mu dbać o zachowanie kursantek przy życiu. Spojrzał na Violette, potem na drzewo i postanowił ustąpić. Powstrzymał go cichy głos. Ku zdumieniu koleżanek Noor podeszła do brzegu platformy.

— Sierżancie Keegan! Zdaje się, że wiem, jak to zrobić! Keegan wahał się chwilę, zaciekawiony, jak Noor chce wykonać to ćwiczenie...

— Brawo, miło mi to słyszeć! Proszę uważać! Trzeba obiema rękami mocno ścisnąć linę. Niech pani zdecydowanie skacze i dobrze wyceluje.

— Nie, nie trzeba skakać, sierżancie. Niech pan pozwoli zrobić mi to po swojemu.

Noor stała na krawędzi desek, nad przepaścią. Reszta patrzyła na nią zafascynowana. Noor opuściła ręce wzdłuż ciała, uniosła podbródek i zamknęła oczy. Upłynęło trzydzieści sekund. Słyszać było tylko szum liści. Noor miała nadal zamknięte oczy jak podczas medytacji. W momencie gdy Keegan zamierzał coś zrobić, Noor otworzyła oczy, lekko pochyliła się do przodu i wyciągnęła ręce poziomo w kierunku liny. Potem wolno wychyliła się w próżnię z wyciągniętymi do przodu rękami i wyprostowaną sylwetką. Z piersi Diany Rowden wydarł się cichy okrzyk. Keegan patrzył na nią znieruchomiały, na czoło wystąpiła mu kropelka potu. Szttywne ciało Noor odchyliło się teraz do czterdziestu pięciu stopni. Za chwilę upadnie. Ale w tej pozycji jej dłonie dotykały liny. Zamknęła je, jej stopy zsunęły się z platformy i zawisła na linie, trzymając się na rękach i skrzyżowanych kostkach u nóg. Szybko spuściła się w dół. Kiedy była już na ziemi, odwróciła się z uśmiechem do Keegana. Na sekundę zapadła cisza, potem Violetta Laszlo zawołała:

— Na cześć Nory Wilson, hip, hip!

— Hurra! — odpowiedziała reszta.

Pośród oklasków Keegan zachował powagę. Jednak oczy mu błyszczały. Jego podopieczne kolejno robiły to, co Noor, i bez problemu chwyciły linę. W drodze powrotnej Keegan powiedział donośnym głosem:

— Dobrze rozegrane, panno Wilson! Nie wiem, czy panią zaangażujemy. Ale jeśli nie uda się pani u nas, zawsze będzie pani mogła szukać pracy w cyрку!

ROZDZIAŁ TRZECI

Przed wyjazdem minąłem się z Noor jeszcze raz. Znowu jej nie zauważyłem. W ciągu trzech miesięcy fizyczne i wojskowe przeszkolenie agentów zostało ukończone. Wesselow odrzucił dziesięcioro kandydatów, których odesłano do ich macierzystych jednostek. Joan Sanderson chwaliła dokonania Noor. Jej głos przeważał nad górnolotnymi zastrzeżeniami Keegana, który nie rozumiał, dlaczego wysyła się zwolenników Mahatmy Gandhiego, by walczyli za króla Anglii, podczas gdy przecież on świetnie wie, że te przebiegłe kreatury nie ustaną, póki nie zniszczą imperium brytyjskiego.

Po jednej z przerw cały kurs spotkał się w wiejskim dworcu w Surrey, niedaleko Beaulieu, w szkole służb bezpieczeństwa, kierowanej przez pułkownika Franka Spoonera, sztywnego rudzielca o niebieskich oczach. Zamieszkaliśmy więc nad brzegiem rzeki, która wiała się przez wieś, a potem wpadała do cieśniny Solent, oddzielającej wyspę Wight od wybrzeża. Pola były tu otoczone żywopłotami, którymi poruszał wiatr od kanału La Manche. Nad rzeką kryły się małe, pachnące świeżym drewnem stocznie marynarki i puby o podłogach z małych, wytartych płytek. Wieczorem wszędzie rozlegały się śpiewy marynarzy. Miejsce to słynęło z wyścigów żaglówek i wznoszących się nad wodą zameczków.

Rothschildowie i parę innych przebogatych rodzin użyczyło swych posiadłości wojsku. Lord Mountbatten zainstalował się ze swym sztabem generalnym parę kilometrów od naszego dworku, by przygotować operację lądowania połączonych wojsk. Na rzece testowano łodzie, którymi w przyszłości szturmujące oddziały miały dopłynąć do plaż Normandii. Na osłoniętych wodach, na których zrodził się puchar Ameryki, zgromadzono, podobnie jak niegdyś Drake i Nelson, dużą część Royal Navy. Na osobisty rozkaz Churchilla zbudowano „Mullberries”, owe duże pływające groble, które miały zostać później doholowane na drugą stronę kanału La Manche i posłużyć do zbudowania sztucznych portów w Arromanches i Colleville. Zameczek położony w sąsiedztwie naszego dworku oddano do dyspozycji kontrolowanej przez de Gaulle'a i kierowanej przez pułkownika Passy francuskiej organizacji pokrewnej SOE, która zazdrośnie strzegła swej autonomii, tym bardziej że była uzależniona od materialnej pomocy armii brytyjskiej.

Panująca tu atmosfera nie miała nic wspólnego z atmosferą w Arisaig. Spooner nie przyjmował kursantów mową przerywaną oklaskami, a wieczorem nie raczono się alkoholem. Wyjaśnił nam autorytatywnym tonem, że średni czas przeżycia agenta SOE we Francji szacuje się na trzy miesiące. W śmiertelnej ciszy dodał, że techniki, jakich naucza się w Beaulieu, mają na celu wydłużenie tego okresu. Słowa te były warte wszystkich przemów.

Działalem już za linią wroga we Francji w czerwcu 1940 roku, a przede wszystkim w Cyrenajce w 1942 roku, gdy trzeba było zniszczyć samoloty Luftwaffe na lotniskach usytuowanych w głębi pustyni libijskiej, daleko za frontem utrzymywanym przez Afrikakorps. Tym razem chodziło o coś innego: o przetrwanie na terytorium okupowanym, nie na pustyni, ale wśród francuskiej ludności, w którą należało się wtopić, by mieć szansę na przeżycie. Teraz nie byłem już instruktorem, ale nowicjuszem. Dlatego też każdego ranka, gdy na kominku płonął ogień, siadałem razem z moimi byłymi uczniami w poplamionych atramentem ławkach, zarekwirowanych w szkole średniej w Beaulieu i ustawionych w wielkiej sali dworu.

Pewien ekspert od tajnych kodów uczył nas szyfrowania wiadomości metodą podwójnej transpozycji w kolumnach; pewien policjant — sztuki pisania anonimowych listów, które mogą rozregulować najlepszą administrację, rozsiewając w jej łonie plotki, kalumnie i nieprawdziwe informacje; pewien związkowiec o szorstkim sposobie bycia, specjalista od pikiet strajkowych górników z Yorkshire, wykladał nam zasady propagandy i robotniczej agitacji; dwaj inżynierowie wskazywali słabe punkty w stacjach rozrządowych, elektrowniach i fabrykach silników, byśmy potrafili dobrze rozmieszczać materiały wybuchowe, których wcześniej czy później będziemy musieli używać do celów sabotażowych; pewien osobnik mówiący londyńską gwara, wyciągnięty przez wojsko z więzienia, gdzie odsiadywał karę dwudziestu lat za napady z bronią w rękę, zyskał wielkie powodzenie, prowadząc tygodniowy cykl wykładów po trzy godziny dziennie, poświęcony nocnym włamaniom do instytucji publicznych.

Najbardziej ceniliśmy sobie wykłady Harolda „Kima” Philby'ego. Był to szczupły trzydziestolatek o czarnej czuprynie, opadającej na szerokie czoło i ukrywającej skupione spojrzenie, któremu towarzyszył nieodłączny uśmiech. Philby z łatwością osiągnął sukces: tematem jego wykładów było „bezpieczeństwo agenta w terenie, środki stosowane przez policję i obrona przed nimi”. Innymi słowy, uczył nas, jak ratować swoją skórę.

Wykłady Philby'ego, byłego dziennikarza zwerbowanego przez Intelligence Service, odznaczały się precyzją, przy tym zaś okraszał je nutą humoru, filozofii, a nawet poezji, czym nas zachwycił. Poznałem go w Cambridge i zaprzyjaźniliśmy się. Należał do owych niespokojnych duchów, których potrafią przyciągnąć wszystkie wielkie sprawy. Z jedną tylko różnicą: po wojnie nie wiadomo już było, za jaką sprawę naprawdę walczy Philby. Wraz ze swymi kolegami Burgessem i Mac-Leanem znalazł się wówczas w centrum jednego z największych skandali, jakie zna historia wywiadów. Już w latach trzydziestych XX wieku całą tę trójkę zwerbowała w Cambridge brytyjska partia komunistyczna i skierowała ją do

stalinowskiego GPU. Philby i jego dwaj koledzy, idealistyczni, pełni odrazy do angielskich wyższych sfer, ich kastowych rytuałów i pogardy dla klasy robotniczej, poświęcili życie rewolucji bolszewickiej.

Kazano im wstąpić do tajnych służb brytyjskich z zadaniem infiltrowania ich na rzecz ZSRR. Błyskotliwi, odważni, wykształceni, pieli się po szczeblach Intelligence Service. Po napaści Hitlera na Związek Radziecki tym mocniej angażowali swą inteligencję i energię, że sprawa ich rządu i sprawa rządu sowieckiego połączyły się. Szkoląc rekrutów SOE, Philby wiedział, że walczy przeciwko śmiertelnym wrogom swych obu ojczyzn, ojczyzny, której służył, i ojczyzny, którą zdradził. Przez trzy lata miał żyć w zgodzie z samym sobą. Może dlatego podczas całego naszego kursu wyglądał na człowieka wewnętrznie szczęśliwego. Waga świadczonych przez niego usług zapewniła mu karierę elitarnego szpiega: zanim został zdemaskowany jako sowiecki agent, w latach pięćdziesiątych uznawano go za agenta numer trzy wywiadu brytyjskiego. Uciekł do ZSRR. i zakończył życie w dacy pod Moskwą z medalem bohatera Związku Radzieckiego.

Tego dnia Philby znowu mówił o dniu powszednim tajnego agenta, pełnym strachu i niepewności.

— Najlepszym sposobem, by zachować życie — mówił — jest zostać cały dzień w domu. A także całą noc. Nic nie robić, nic nie mówić, z nikim się nie spotykać: tylko to gwarantuje bezpieczeństwo. Kłopot z tym, że jeśli pójdziecie za tą radą, będziecie dla nas bezużyteczni. Inaczej mówiąc, wcześniej czy później agent musi zacząć działać: nawet jeśli jest załamany, u kresu sił, sparaliżowany strachem, musi coś zrobić. Na przykład wyjść na ulicę i krzyknąć: „Precz z Hitlerem!”.

Rozległy się śmiechy. Philby uśmiechnął się także, potem ciągnął:

— Nie. Niezależnie od wszystkiego musicie wychodzić z domu, podróżować, spotykać się z innymi agentami, przygotowywać różne operacje, przekazywać informacje. Właśnie po to wysyłamy was do piekła. Nie po to, byście się zakopali w jakiejś zapadłej dziurze we Francji. Niektórzy agenci tak robią. Inni wysyłają nieprawdziwe raporty ze swej działalności. To jest, oczywiście, jeszcze gorsze. (Potem przybrał ton bardziej uroczy). Musicie się nauczyć panować nad tym strachem. W przeciwnym razie nic nam po was. Po pewnym czasie sama SOE zadencjuje was, by nie wypłacać wam żołdu. Szmer powątpiewania przeszedł przez salę.

— Oczywiście żartuję. — Parę osób się roześmiało. — Czy ja zresztą wiem...

Mówił dalej:

— Zatem punkt pierwszy: przykrywka. Wiarygodny zawód, który pozwala podróżować, wychodzić z domu i wracać o różnych porach. Na przykład kontroler

w metrze nie jest dobrą przykrywką. Będą wam płacić, żebyście dziurkowali bilety i co wieczór wracali do domu o wpół do siódmej. SOE nie wyjdzie na swoje. To samo dotyczy urzędnika bankowego lub sprzedawcy w wielkim magazynie. Dobrą przykrywką jest przedstawiciel handlowy. Ale to oklepane: policja ma takich na oku. To samo, a może jeszcze gorzej w wypadku dziennikarza. Takich zawodów należy unikać. Nie trzeba podawać się za pracownika fizycznego, jeśli nie ma się brudnych paznokci i stwardniałych dłoni. To samo dotyczy zawodów technicznych, jeśli się na nich nie zna. Inżynier, handlowiec, sprzedawca itd. Musicie nauczyć się na pamięć wszystkich tajników danej profesji. Umieć ze znajomością rzeczy rozmawiać przez wiele godzin ze specjalistami z danej dziedziny. To samo dotyczy stanu cywilnego. Macie nowe życie: musicie je znać równie dobrze, jak poprzednie. Inaczej po trzech dniach was złapią. Nauczcie się reagować na swoje nowe nazwisko, a przede wszystkim nie reagować na dawne. Zawsze możecie się natknąć na kogoś, kto was znał przed wojną... Jeśli ktoś wymieni wasze nazwisko, musicie zachować kamienną twarz, a potem dyskretnie dać mu do zrozumienia, że stawia was w kłopotliwej sytuacji. W podróży nie nawiązujcie z nikim znajomości. Nie wdawajcie się w żadne rozmowy: byłoby to mnożeniem ryzyka. Chodźcie spokojnie, nie patrząc w przestrzeń ani nie przypatrując się przechodniom, sprawiajcie wrażenie ludzi zajętych własnymi sprawami, pogodnych i skupionych. W środkach komunikacji udawajcie, że drzemiecie: odstraszyacie natrętów. Albo żujcie tabakę: nikt nie będzie miał ochoty do was zagadać. Ale to nieco nazbyt rzuca się w oczy. Kiedy zjawia się konduktor albo policjanci, udawajcie, że śpicie. Ludzie śpiący budzą większe zaufanie. Wyciągnijcie wszystkie dokumenty naraz: dowód osobisty, ausweis, kartki żywnościowe, bilet kolejowy. Będzie ich mniej kusilo, by się im dokładnie przyjrzeć.

Potem Philby długo omawiał temat hasała. Owe nieco śmieszne zdania, jakie dwaj agenci, którzy się nie znają muszą powiedzieć, zanim przejdą do sedna sprawy, odgrywają ważną rolę w zapewnieniu bezpieczeństwa. Należy doskonale je znać, powiedzieć w stosownym momencie, najbardziej naturalnym tonem, inaczej bowiem drugi agent może nie być pewien, zerwać kontakt lub, co gorsza, popełnić nieostrożność. Philby rozśmieszył zebranych, opowiadając kilka historyjek o zapomnianych hasłach. Aż do chwili, gdy wspomniał o nieszczęsnym spotkaniu, gdy pewnemu agentowi całkiem wyleciały z głowy umówione słowa. Zbyt nieufny szef siatki długo go przesłuchiwał, a potem kazał delikwenta bezzwłocznie rozstrzelać.

Słuchając go, każdy z nas wczuwał się w nową dla siebie osobowość szpiega.

— Bardzo często będzie się wam wydawało, że ktoś za wami idzie. To normalne. To efekt strachu. Tajny agent jest paranoikiem. Poza tym ma wielu

wrogów. — Na jego ustach pojawił się przelotny uśmiech. — Zaczynicie od sprawdzenia, czy rzeczywiście tak jest. Kiedy dwa lub trzy razy skręcicie w mniej uczęszczane ulice, najczęściej przekonacie się, że nikogo za wami nie ma. Ale może się zdarzyć, że się nie mylicie: rzeczywiście ktoś was śledzi. Nie wpadajcie w panikę. Macie jeszcze trochę czasu. Gdybyście zostali zdemaskowani, natychmiast by was aresztowano. Wróg nie jest pewny swego: dlatego za wami idzie. Jeśli macie dobrze opracowany plan, wymkniecie się mu.

Przerwał, a potem wskazał palcem Violette Laszlo, która rozmarzonym wzrokiem wpatrywała się w niego z głębi sali.

— Panno Laszlo, jak by się pani zachowała?

Violetta zaczerwieniła się raptownie, podniosła oczy i rozejrzała się wokół. Wielu kursantów mrugało do siebie porozumiewawczo. Violetta nie mogła ukryć, że Philby jej się podoba. Przed jego wykładami malowała się starannie, rzucała mu przeciągłe spojrzenia i uśmiechała się przy każdym jego słowie. Uczennica też podobała się profesorowi. Widziano ich spacerujących razem nad brzegiem rzeki.

— Nie wiem... — powiedziała. — Na... na przykład mogłabym odwrócić się na pięcie i przejść obok człowieka, który mnie śledzi. Jeśli on także zawróciłby, miałabym pewność, że się nie mylę.

Philby znów się uśmiechnął.

— Nie, droga Violetto. Jeśli pani tak postąpi, policjant będzie wiedział, że go pani zauważyła. Będzie miał potwierdzenie tego, co podejrzewał: że jest pani agentką lub członkiem Ruchu Oporu, w każdym razie kimś, kto ma nieczyste sumienie. Nie. Musi pani dyskretnie pozbyć się policjanta. Jeśli zamierza pani uciec i podejmie jakieś widoczne manewry, policjant utwierdzi się w swych podejrzeniach.

Violetta odparła nieco urażona:

— Jeśli uciekamy, wróg to widzi. Philby odpowiedział spokojnie:

— Niekoniecznie. Na przykład spostrzeża pani na końcu ulicy nadjeżdżający autobus albo taksówkę. Zaczyna pani zerkać na zegarek i zachowywać się jak ktoś, kto sobie nagle przypomniał, że jest umówiony. Kiedy autobus albo taksówka znajdzie się na pani wysokości, wsiada pani w locie. Policjant nie zdąży wskoczyć za panią. I nie będzie do końca pewny, czy go pani zauważyła. Inaczej mówiąc, trzeba uciec w sposób możliwie najbardziej naturalny.

Starr odezwał się ze swej ławki:

— Może jakieś inne przykłady?

— Sklep z dwoma wejściami. Wchodzi pan jednym i bardzo szybko wychodzi drugim. Policjant będzie dezorientowany. Kiedy wejdzie do sklepu, pana już tam nie znajdzie. Pod warunkiem, że drugie wejście jest wejściem dla wszystkich,

dużym i widocznym. Jeśli to wejście służbowe, zrozumie, że chciał go pan zgubić. Zostanie pan zidentyfikowany jako agent. Innymi słowy, kiedy dotrzecie do Francji, jednym z waszych pierwszych zadań będzie przygotowanie sobie w pobliżu swej kwatery głównej dróg ucieczki, pozwalających w naturalny sposób wywieść w pole śledzące was osoby. To prawdziwa praca, długa i trudna. Ale warto ją wykonać...

Teraz rękę podniósł Greenwood.

— Czy zawsze trzeba nosić przy sobie broń? Przypuszczam, że w najgorszym wypadku można uciec, walcząc...

Philby zasepił się.

— Niech pan nigdy nie nosi przy sobie broni, nieszczęsny człowieku! Jak pan wytłumaczy, że przedstawiciel handlowy przechadza się z coltem? Trzeba się zachowywać zwyczajnie, swobodnie, w pełnej zgodzie ze swą oficjalną działalnością. Wróg będzie się starał przede wszystkim wykryć nielogiczności w pańskich odpowiedziach. Wszystko będzie zależało od solidności pańskiej przykrywki.

Z pierwszego rzędu odezwał się dźwięczny głos. Była to Noor, ale widziałem tylko jej długie czarne włosy.

— A radiostacja? Philby spytał:

— Jak to, radiostacja? Noor mówiła dalej:

— Przecież trzeba zmieniać miejsca nadawania. To jedna z podstawowych zasad, jakich nas uczono. Trzeba więc przemieszczać się z radiostacją, prawda?

Philby uśmiechnął się.

— Ma pani rację, panno Wilson. Dlatego funkcja radiotelegrafistki jest najtrudniejsza. Będzie pani musiała regularnie przenosić swą radiostację. Waży piętnaście kilo. Jeśli zostanie pani z nią zatrzymana, to koniec. Niech się pani zawsze stara twierdzić, że to sprzęt elektroniczny lub fotograficzny. Może się uda... Ten sam dźwięczny głos pytał dalej:

— A jeśli nas złapią?

Na sali zapadła całkowita cisza.

— Jeśli będzie się pani ściśle stosowała do moich instrukcji, ma pani dużą szansę nie wpaść...

Jednak Noor nie ustępowała:

— Pan Spooner powiedział nam, że możemy mieć nadzieję na przeżycie trzech miesięcy. Jest więc duża szansa, że nas aresztują. Proszę mnie nie posądzać o defetyzm. Powtarzam tylko to, co nam powiedział pan Spooner.

Philby wahał się. Violetta Laszlo poparła Noor.

— Przecież musi istnieć jakaś procedura na wypadek, gdyby nas aresztowano! Na twarzy Philby'ego malowała się teraz powaga i czujność.

— Rzeczywiście jest taka procedura... Miałem zamiar powiedzieć wam o tym w przyszłym tygodniu...

Z głębi sali Starr zawołał:

— Nie, prosimy zaraz. Ostatecznie to rzecz najważniejsza! Philby uśmiechnął się.

— Jeśli was złapią, z uporem trzymajcie się swojej przykrywki.

Ale Starra to nie zadowoliło.

— Nie, niech pan mówi wyraźniej. Co wtedy zrobią? Philby rzucił mu ponure spojrzenie.

— Dobrze, jak pan sobie życzy. Wróg często was podejrzewa, ale nie ma pewności. Zadenuncjował pana sąsiad lub kolega. Otóż jest mnóstwo fałszywych donosów. Albo wydał pana kolega, którego torturami zmuszono do mówienia. Ale gestapo nie może być pewne jego słów: torturowany agent mógł kłamać lub zmyślać. W tym wypadku, powtarzam jeszcze raz: pańskim jedynym ratunkiem jest przykrywka.

Starra to nie zadowoliło, poparli go Greenwood i Darbois.

— No więc? Jak postąpią? Philby kontynuował:

— Najpierw sięgną po wasze dossier. Będą badali wszystko, co może im się przydać. To dobrzy profesjonaliści. Gestapo często werbowało niemieckich przedwojennych policjantów. Potem wprowadzą was do pokoju o prawie nagich ścianach. Jeśli zobaczycie w nim lustro, możecie być pewni, że to lustro weneckie i że obserwują was z sąsiedniego pomieszczenia. Policjantów jest zawsze dwóch. Pierwszy przesłuchuje was, siedząc za biurkiem, i robi notatki, drugi siedzi z tyłu przy drzwiach. Jest demonstracyjnie uzbrojony. Ma to was zniechęcić do wszelkich prób gwałtownego działania. Pierwszy jest brutalny, arogancki, groźny. Drugi milczący. Kiedy pierwszy wyjdzie, drugi może zwrócić się do was współczującym tonem, jakby nie aprobował metod pierwszego. To najbardziej klasyczny chwyt: drugi będzie się starał naciągnąć was na zwierzenia. Albo zaprowadzą was do gabinetu któregoś z przełożonych, a ten, by zdobyć wasze zaufanie, da wam do zrozumienia, że nie popiera metod swych podwładnych. Albo sprzątaczką, pielęgniarzką czy portierem, nawiązując przyjacielską rozmowę, zaczną się zwierzać, że nie lubią nazistów. Na początku będą zadawać pytania dotyczące waszego zawodu. Mogą również stawiać podchwytliwe pytania na temat Francji, życia codziennego, waszego dzieciństwa, poglądów politycznych, celu podróży w chwili zatrzymania. Chcą was złapać na niezajomości faktów drugorzędnych, lecz znaczących: mieszkanie we Francji, a nie znacie nazwiska ostatniego prezesa Rady Ministrów. Nie wiecie, ile kosztuje chleb. Liczycie po angielsku, nie po francusku. Nie wiecie, jak się nazywa zwycięzca Coupe de France itd. Albo zniechęca

podadzą wam nieprawdziwą informację o mieście, do którego mieliście pojechać, czy też o ludziach, z którymi się spotkaliście. Na przykład: „Pamięta pan Café Glacier w Antibes?”. Jeśli nie sprostujecie, już was mają: w Antibes nie ma Café Glacier. Zapamięta to pani, panno Laszlo?

Violetta skinęła głową.

— Z tym tylko, że w Antibes jest Café Glacier. To najbardziej znana kawiarnia na głównym placu.

Philby znowu się uśmiechnął.

— Mogą powracać dwadzieścia razy do tej samej kwestii, tego samego zdarzenia. Od czasu do czasu zrobią przerwę, by zaproponować wam papierosa lub kanapkę i zacząć nieformalną rozmowę na obojętne tematy. To oczywiście zasadzka. Albo podsuną wam pod nos zeznania — fałszywe — innego agenta, w których was obciąża. Opiszą SOE, mówiąc, że znają każdy szczegół jej działania i waszej pracy. To bez wątpienia najtrudniejsza sytuacja: będziecie mieli wrażenie, że wszystko wiedzą, że są wśród nas zdrajcy itd. W rzeczywistości mieszają prawdę z fałszem. Wiedzą dużo. Ale o wiele mniej, niż będą utrzymywać. Jeśli pozostaniecie uważni, spokojni i wasze zeznania będą spójne, nic wam nie zrobią. Nie zastosują tortur. Nie dlatego, że są humanitarni, po prostu nie lubią tracić czasu. Jeśli mają jeszcze jakieś wątpliwości, wypuszczą was, przeproszą i otoczą wzmocnionym nadzorem. W takim wypadku najlepiej będzie zniknąć i wrócić do Anglii. SOE nie zatrudnia agentów, którzy byli aresztowani, bo nie mamy pewności, czy sypali, czy nie. Najlepiej jest po prostu takiego agenta wycofać. Żadnego kontaktu z organizacją i powrót do domu przez Szwajcarię lub Hiszpanię. Chyba że przeniesie się go do innego regionu i zmieni się mu przykrywkę. Ale to bardzo skomplikowane... Najlepiej poprosić Londyn o instrukcję drogą radiową.

Teraz ja podniosłem rękę.

— A jeśli wiedzą, kim jesteśmy?

Czuło się, że Philby czekał na to pytanie i bał się go.

— Wtedy będą się starali zmusić was do mówienia. Do wydania nazwisk innych agentów, miejsc rzutów, procedur, skrzynek kontaktowych, skrytek na broń itd. Jeśli będziecie się opierać, przejdą do bicia, a potem do tortur...

Przerwał mu Starr:

— Przypuszczam, że cokolwiek się stanie, mamy zachować milczenie...

Philby odpowiedział powoli, uroczyście.

— Żądamy od was tylko jednego: wytrzymajcie czterdzieści osiem godzin. To czas niezbędny, by inni członkowie siatki ukryli się, oczywiście zakładając, że wiedzą o waszym aresztowaniu. Ponieważ jednak pracujecie w grupie, dowiedzą się. Tylko czterdzieści osiem godzin. Potem zostajecie zwolnieni z przysięgi. Nikt z

was nie jest pewien, czy wytrzyma traktowanie, jakiemu zostaniecie poddani. Nawet najodważniejsi. Żądamy od was tylko czterdziestu ośmiu godzin. Wiem, że to dużo. Ale wasi prześladowcy muszą zdawać sobie sprawę, że jeśli będą zbyt brutalni, mogą zabić swą ofiarę i stracić źródło informacji. Trzeba wytrzymać czterdzieści osiem godzin. Potem możecie wszystko im zeznać. Rozumiecie więc, dlaczego powinniście wiedzieć o organizacji jak najmniej i dlaczego używamy całego tego arsenału fałszywych nazwisk, pseudonimów i przykrywek.

Noor znowu zabrała głos.

— A jeśli złapią radiotelegrafistów na gorącym uczynku? To czy po czterdziestu ośmiu godzinach można podać szyfry, częstotliwości, dane zabezpieczające?

Philby odwrócił się do niej.

— Tu obowiązuje szczególna procedura. Idealem jest oczywiście nic nie powiedzieć. Gdy Niemcy poznają szyfry i dane rozpoznawcze, będą nadawali sami, udając, że robi to uwięziony radiotelegrafista. Jeśli wprowadzą nas w błąd, mogą poprosić o zrzuty, które przejmą, o wysłanie agentów, których aresztują, przekazywać fałszywe informacje itd. Są bardzo sprytni. Wiedzą, że każdy radiotelegrafista ma własny styl, że można go rozpoznać po sposobie, w jaki nadaje alfabetem Morse'a. Kiedy więc namierzą radiostację, nie poprzestaną na szukaniu jej goniometrami. Przydzielą do niej swego agenta, który będzie jej słuchał dzień i noc i uczył się naśladować styl nadającego. I jeśli przejmą radiostację, mogą natychmiast podmienić aresztowanego radiotelegrafistę na operatora, który będzie umiał naśladować jego sposób pracy. Noor zaoponowała:

— Mamy przecież znaki rozpoznawcze. Najpierw początkowy sygnał identyfikacyjny, potem umyślny, umówiony z Londynem błąd ortograficzny, by mogli nas rozpoznać... Jeśli zabraknie tego błędu, Londyn zrozumie, że zamiast nas nadaje ktoś inny.

Philby przytaknął.

— O to będą pytać na przesłuchaniu. Będą usiłowali wyciągnąć z was szyfry. Dostaniecie od nas jedwabne chusteczki do nosa z zapisanym na nich szyfrem i nauczycie się na pamięć kluczy do tych szyfrów. Właśnie tego będą od was żądać. Będzie im przede wszystkim chodziło o znaki rozpoznawcze, o których wspomniała panna Wilson. Jeśli po czterdziestu ośmiu godzinach zaczniecie mówić, podajcie im pierwszy znak zabezpieczający, ale nie podawajcie drugiego. Będziemy wtedy wiedzieli, że radiostacja wpadła w ręce Niemców. Będziemy postępowali, jakby nic się nie stało, by was chronić; potem, po paru tygodniach, pod jakimkolwiek pretekstem przerwiemy łączność. Na tym sprawa się zakończy.

Violetta Laszlo powiedziała bezdźwięcznym głosem:

— A jeśli poczujemy, że nie wytrzymamy czterdziestu ośmiu godzin?

Philby rzekł twardo:

— Musicie wytrzymać. To zasada naszej organizacji. Jesteście żołnierzami. To nie zabawa, Violetto. Są obowiązki, którym trzeba sprostać. Kiedy nasze wojsko wylądaje we Francji, żołnierze z pierwszych linii również będą ginąć. Tu chodzi o wasz honor. Jeśli zaczniecie mówić wcześniej, wydacie wyrok na swych kolegów. Będziecie mieli na sumieniu ich śmierć.

Pozwolił, by na chwilę zapadła cisza.

— Jeśli nie będziecie mogli wytrzymać tortur, macie dwa wyjścia: ucieczkę lub samobójstwo. Ucieczki rzadko się udają.

Ale trzeba próbować przy każdej nadarzającej się okazji. Co zaś do samobójstwa, dostaniecie małe pigułki. Jeśli będziecie u kresu sił, zażyjcie je! Jeśli je wam odbiorą podczas rewizji, pozostaje okno, ściana, przewody elektryczne itd. Rozległ się cichy, stanowczy głos Noor:

— Tak, panie Philby, musimy wytrzymać. Nie ma innego wyjścia. Ale co będą z nami robić? Bić nas?

Philby spojrzał jej prosto w oczy.

— Dostałem instrukcję, by nie omawiać szczegółowo tortur. W każdym razie wszystko jest możliwe. Wrócili do średniowiecznych metod, taka jest prawda, panno Wilson. To jedna z przyczyn, dla których walczymy. To faszyści. Mają w pogardzie życie ludzkie i wszystkie nasze wartości. Uważają, że najgorsze potworności są obowiązkiem, jeśli służą ich sprawie. Nie mają żadnych skrupułów, żadnych oporów, żadnych wahań. Co do reszty, odsyłam was do naszego podręcznika: Naziści łączą sadyzm z nauką. To jasne, prawda?

Na dworze było już ciemno. Nikomu nie przyszło do głowy, by zapalić światło. W przygnębiającej ciszy siedzieliśmy w półmroku, rozjaśnionym jedynie światłem księżyca.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Detektyw Sherlock Holmes mieszkał pod numerem 221B przy Baker Street. Maurice Buckmaster, wytrawny szpieg, rezydował pod numerem 64. Arthur Conan Doyle kazał ongiś swemu fikcyjnemu bohaterowi zamieszkać pod owym adresem, który przeszedł legendą. Niezamierzony żart losu sprawił, że Winston Churchill przydzielił SOE budynek na tej samej ulicy. Tajna armia premiera pracowała trzysta metrów od najsłynniejszego detektywa świata: sąsiedztwo to musiało radować romantycznego stratega, jakim był Churchill.

O dziewiątej rano 15 czerwca 1943 roku wysiadłem z czarnego samochodu, który zaparkował przed kupiecką kamienicą o dużych oknach z małymi szybami, w której mieściła się kwatera główna SOE. Praktycznie niemy wojskowy kierowca przywiózł mnie do Londynu wprost z Beaulieu przez cudowną angielską wieś i odrapane przedmieścia. „Buck” chciał się ze mną zobaczyć. Szef sekcji F (sekcja francuska) SOE nie czekał. Przerwałem szkolenie na kursie dla tajnych agentów i wróciłem do stolicy.

Byłem szczęśliwy, odnajdując miasto, z którego wygnała mnie wojna. Dzieciństwo spędziłem w Cowes na wyspie Wight pośród krów i pływających po cieśninie Solent żaglówek, daleko od Londynu. Kiedy byłem studentem w Cambridge, w czasie weekendów odkryłem zatrute powietrze, mokre chodniki i gorące namiętności miasta, gdzie wszystko się działo, wszystko błyszczało. Jako początkujący dziennikarz, przydzielony do kroniki wypadków, zagłębiałem się z pasją w miejskie czeluście, gdzie bez żadnych osłonek panoszy się ludzki występki. Dni spędzałem, zajmując się wydarzeniami z nizin społecznych, a noce w rozgrzanych pubach i na wieczorach urządzanych przez gentry. Moim przewodnikiem był Dickens, a Londyn polem działania ambitnego reportera, jakim się stałem; byłem brytyjskim Lucjanem de Rubempre, dzielącym swój czas między dziwki z Whitechapel a intelektualistów z Bloomsbury. Znałem idealistycznych naukowców z London School of Economics równie dobrze, jak pozbawionych złudzeń policjantów z dzielnicy doków. O czym więcej marzyć, gdy człowiek czuje w sobie pasję do namiętności ludzkich, pasję, która tworzy dobrych dziennikarzy?

Wojna zdwoiła moją miłość do Londynu. Miasto poszarpane przez niemieckie naloty, podzielone na kwartały przez Home Guard, oświetlone nocą reflektorami obrony przeciwlotniczej, zaciemnione, na dnie rozpaczy znalazło swą prawdziwą wielkość. Powiedział to Winston: dla niego, tak jak dla całego imperium, była to, jego najpiękniejsza godzina". Nieustraszony pod bombami, zdziesiątkowany przez Luftwaffe, ukryty w stacjach metra, Londyn pozostał równie nieugięty, jak jego monarcha, który odmówił opuszczenia idealnego celu, jakim był Buckingham

Pałace. Pośród wybuchów i wycia syren wszyscy, aroganccy arystokraci i zrezygnowani robotnicy, gracze w polo i bukmacherzy przyjmujący zakłady w psich wyścigach, uczesane w kok wdowy i piwosze, wychudzeni i zjednoczeni w obliczu tej próby, walczyli w ten sam sposób, humorem i obojętnością, świadomi, że zawdzięczają życie garstce pilotów wyglądających na studentów i że okazanie najmniejszej słabości byłoby błogosławieństwem dla Goebbelsa. Po wojnie wszyscy, zarówno chuligani, jak i dżentelmeni, będziemy z nostalgią wspominać owe chwile. Winston był w swej najlepszej formie. Hołd, który złożył bohaterom RAF-u, był na wszystkich ustach — „nigdy w historii wojen tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu”. Od czasu do czasu opuszczał swą siedzibę, by obejrzeć lej po bombie, przejść się po dymiących zgliszczach lub pożartować z jakimś ledwo żywym rannym. Za każdym razem po brawach, jakimi go witano, jego uśmiech stawał się szerszy, a ogromne cygaro, które trzymał w ustach, sprawiało, że uśmiech ten wydawał się krwiożerczy.

Potem działania wojenne przycichły. Niemieckie lotnictwo było potrzebniejsze w Rosji. Wraz z rozwojem operacji i przystąpieniem do wojny Ameryki na ulicach pojawiły się przeróżne mundury, a razem z nimi echa saksofonów. Wychudzone, lecz seksowne Angielki uśmiechały się do dobrze odżywionych boys, których setki tysięcy wysypywały się z libertyships przybyłych z Nowego Świata. Dym papierosów z jasnego tytoniu wypełniał puby, a donośne riffy Glena Millera — zakrapiane alkoholem wieczory, na których wirowały spódniczki dziewcząt z pomocniczej służby kobiet. W BBC wiadomości z frontu mieszały się z akcentami bebopu. Niemcy cofali się w rytmie jazzu.

Po każdej operacji, po każdym treningu jak najszybciej wracałem do Londynu niczym zwierzę do swej nory. W owe wieczory pośród wyczerpanych i ufnych ludzi, w atmosferze ponurego dramatu i szalonej nadziei, za żadne skarby świata nie chciałbym znaleźć się gdzie indziej. Trzeba było być właśnie tutaj, właśnie tutaj trzeba było walczyć. W owych decydujących dla ludzkości latach tkwiliśmy w epicentrum Historii: Londyn był stolicą wolności.

Dziewczyna z pomocniczej służby kobiet z przypiętą do jasnych włosów furażerką wprowadziła mnie do bezosobowego gabinetu. Buckmaster, siedzący w fotelu za wielkim biurkiem krytym zieloną skórą, nie był sam. Po jego lewej ręce, na twardym krześle, zobaczyłem jego adiutanta, Nicka Bodingtona. Może sprawiła to bliskość Baker Street, której gwar dochodził przez okno, że para ta nieodparcie nasunęła mi na myśl jej legendarnych sąsiadów, Sherlocka Holmesa i doktora Watsona. Buckmaster był wysoki i chudy, miał żywe spojrzenie i nieco pogardliwy wyraz ust. Mówił jednostajnym, dobitnym, uprzejmym głosem. Bodington był okrągły i entuzjastyczny.

Buckmaster odezwał się pierwszy i wskazał mi krzesło naprzeciwko siebie.

— Miło pana widzieć, Sutherland. Jacy są ci nowi?

— To dobra grupa. Wesselow wyeliminował kulawe kaczątko, a ostatecznego wyboru dokonał Spooner. Ci, którzy wyjdą z Beaulieu, będą doskonałymi agentami.

— Tak, znam ich dossiers. Przyjmujemy ich z otwartymi ramionami. Organizacja ich potrzebuje. Nasze siatki we Francji mogą już przystąpić do działania. Wkrótce wejdą w fazę pełnej aktywności. Potrzebują sprawnej łączności, dużej ilości broni, radiotelegrafistów, kurierów. Myślimy, że wprowadzenie przez Petaina wyjazdów do pracy przymusowej stwarza nam jedyną okazję. Francuzi są kunktatorami. Ale nie chcą jechać do Niemiec. Wolą działać w podziemiu. Możemy teraz przeprowadzić masową rekrutację. Gaulliści i komuniści już zaczęli to robić. Potrzebują jednak wsparcia logistycznego i właśnie to będzie zadaniem pańskich elewów. Mogę panu zresztą powiedzieć, że szykuje się lądowanie. Domyśla się pan tego, nie zdradzam tajemnicy państwowej. Ale może do niego dojść szybciej, niż pan sądzi. Może nawet tej jesieni...

— Rozumiem. Wrzucamy wyższy bieg.

— Właśnie. Wojna podjazdowa z Intelligence Service uspokoiła się. Doszli do wniosku, że jesteśmy użyteczni. Już nie starają się pozbawić nas środków działania. Mamy samoloty, broń, radiostacje. Teraz nasza kolej...

— MI5 zacznie traktować nas serio? Teraz do rozmowy włączył się Bodington:

— Kiedy dostarczyliśmy im pierwsze plany fortyfikacji wybrzeży La Manche, musieli przyznać, że się do czegoś przydaliśmy. „C” powiedział to nawet na zebraniu połączonych sztabów!

Po wojnie dowiedziałem się, że „C” oznaczało Stewarta Menziesa, szefa MI5 i MI6, dwóch wielkich wydziałów Intelligence Service, w pierwszym przypadku wywiadu, a kontrwywiadu w drugim. W 1940 roku Menzies uznał utworzenie SOE za afront pod swoim adresem i stawał na głowie, by przeszkodzić powstaniu owej armii amatorów. Widząc wyniki ich pracy, w końcu uznał swą pomyłkę. Buckmaster mówił dalej:

— Poleci pan do Francji w najbliższą księżycową noc. Musimy tam mieć profesjonalistów. Wkrótce trzeba będzie przejść do działania. Wszystko, co robimy od trzech lat, zmierza do tego celu.

— Chce pan powiedzieć, że bardzo szybko przejdziemy do działań wojennych, nawet przed D day?

— Możliwe. Decyzja jeszcze nie zapadła. Kiedy znajdzie się pan we Francji, przekazemy panu instrukcje drogą radiową. Ale spotkaliśmy się nie po to...

Buckmaster zrobił przerwę, złączył dłonie i wpatrywał się we mnie z uwagą. Czułem, że dochodzimy do sedna sprawy.

— Nasze siatki pokrywają teraz całe terytorium francuskie. Pracują raczej dobrze. Jesteśmy szczególnie zadowoleni z siatki w Ilede-France. Kieruje nią wspaniały facet, Francis Suttill, którego nazywamy Prosperem. Przez dwa lata Prosper skrzyknął przeszło tysiąc patriotów z regionu paryskiego. Ma kilku radiotelegrafistów, sporo kurierów oraz agentów we wszystkich ważniejszych miastach wokół Paryża. Przygotował kryjówki, strefy lądowania i zrzutów, przeszkolił swoich ludzi. Dostarczył nam wielu informacji, a przede wszystkim zaczął działania sabotażowe w podstołecznych fabrykach, na dworcach i szynach kolejowych. Gaulliści mają mniej ludzi niż on, a komuniści mniej wyszkolonych bojowników.

Niezbyt rozumiałem, dlaczego Buckmasterowi tak bardzo zależy na szczegółowym opisanu mi sukcesów siatki Prospera. Kiedy się znajdę we Francji i zostanę aresztowany, będę za dużo wiedział... Ale zanim zdążyłem o to zapytać, Buckmaster rzekł:

— Zastanawia się pan, dlaczego to wszystko opowiadam. Słusznie. Jest pewien powód...

Spojrzał na Bodingtona, który wiercił się na krześle.

— Niepokoi się o Prospera — zaczął Bodington. — Przede wszystkim chodzi o informacje, jakie uzyskaliśmy od kilku agentów, którzy przyjechali po instrukcje. Szczerze mówiąc, Prosper zachowuje się niezbyt ostrożnie. Jest nieprawdopodobnie odważny. Ale uważamy, że nazbyt ryzykuje. A przede wszystkim doszło do incydentów, które dają nam do myślenia. Kilkakrotnie zrzucaliśmy broń, materiały wybuchowe i radiostacje wokół Vendôme. Mieliśmy sprawdzony pewien teren nad Loarą, niedaleko zamku, którego właściciel należał do siatki Prospera. Teraz już wiemy, że wszystkie pojemniki zostały przechwycone przez Niemców. Właściciel zamku musiał zniknąć. Niewiele brakowało, a wpadłby w ręce gestapo... Wiemy również, że w Paryżu namierzono kilka skrzynek kontaktowych. Normana, radiotelegrafistę Prospera, dwa razy o mało nie nakryli podczas pracy. A nadawał dopiero od pięciu minut...

— Takie rzeczy się zdarzają — powiedziałem. — Pech. To wcale nie znaczy, że Prosper jest spalony albo że w jego siatce dzieje się coś złego...

— Oczywiście — podjął Bodington. — Ale mamy poważne powody do niepokoju. Radiotelegrafista siatki Tailora, kontrolowanej przez Prospera organizacji w rejonie Chartres, bez uprzedzenia przerwał łączność. Po pięciu dniach zaczął nadawać znowu. Rzecz w tym, że zapomniał o drugim znaku zabezpieczającym. Zachowaliśmy się, jakby nic się nie stało, i rozmawialiśmy z

nim normalnie, nie przekazując jednak niczego ważnego. Po tygodniu poprosił o zrzućenie broni w Vendôme. Aby go nie spłoszyć, zorganizowaliśmy zrzut, ale nie informując Prospera; zawiadomiliśmy o nim natomiast innego agenta, który dyskretnie udał się na miejsce. Widział, jak nasze pojemniki przejmują Niemcy.

— Oznacza to — rzekł Buckmaster — że radiotelegrafista Tailora wpadł, że sypał i że Niemcy używają jego radiostacji, by się pod niego podszywać. Jeśli uda się im „odwrócić” inne radiostacje, może nas czekać seria prawdziwych katastrof. Musimy sprawdzić, co się dzieje. Zakładamy, że do siatki Prospera przeniknął wróg. Prosper ma u siebie zdrajcę lub zdrajców. Jeśli powiadomimy go o tym drogą radiową, możemy go zgubić. Jeśli bowiem zdrajca znajduje się blisko niego, dowie się o wszystkim i doprowadzi do jego zatrzymania. Ktoś zaufany powinien więc przeprowadzić śledztwo na miejscu.

Zrozumiałem, o co im chodzi, jeszcze zanim doszedł do tej konkluzji. Rzeczywiście Baker Street była źródłem natchnienia: miałem się zamienić w detektywa, by wykryć zdrajcę, zagrażającego najważniejszej siatce sekcji F. Sherlock Holmes nie musiałby wyrazić na to zgody. Ja tak.

— Jest pan pewien Prospera?

Moje pytanie równało się akceptacji. Zręcznie ominąłem ceremonię wyrażania zgody. Przeskoczyłem do następnego etapu. Odpowiedział mi Bodington.

— Tak, w stu procentach. To mistyk, ma mentalność krzyżowca. Z radością wybrałby śmierć za sprawę. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— Zatem podejrzewacie kogoś innego?

— Nie. Błądzimy we mgle. Prosper ma łączniczkę, Andrée Borrel, bardzo piękną kobietę. Jest jego kochanką. Nie mamy żadnego powodu, by ją podejrzewać. Może się pan na niej oprzeć. Norman, jego radiotelegrafista, wydaje się mniej pewny. Może pękł... Zobacz pan na miejscu. To jeden trop. Jest także Blainville, właśnie on organizuje transporty. Można mu ufać. Bez zastrzeżeń. Poznałem go przed wojną. To znakomity pilot; właśnie on wybierał nam lądowiska i nigdy się nie pomylił. Przyjechał do Londynu, pokonując mnóstwo niebezpieczeństw, teraz, po powrocie do Francji, oddaje nam znaczne usługi. Może mu pan zaufać i liczyć na jego pomoc. Ale rozmawiać może pan tylko z nim i z Prosperem. Co do reszty nie mamy pewności.

— Czy macie dokładny opis siatki?

— Tak — odpowiedział Bodington. — Znajdzie go pan w swoim hotelu.

Ta odpowiedź rozśmieszyła mnie. Holmes i Watson wszystko przewidzieli. Nie mogłem powiedzieć nie. W zasadzie SOE opierała się na ochotnikach. Ale Buckmaster i Bodington wiedzieli, kogo mają przed sobą. Dokumenty dotyczące mojej służby mówiły same za siebie. Oficer komandosów nie odmawia wykonania

misji. Musiałem wykryć zdrajcę, zagrażającego siatce Prospera, bez którego lądowanie aliantów mogło się nie powieść. W gruncie rzeczy wszystko było proste. Powiedziałem nieco oschłym tonem:

— Kiedy mam wyjechać?

— Jutro wieczorem, z Tangmere.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez ten czas w samotności i trwodze Noor stawiała pierwsze kroki w zawodzie kobiety szpiega. SOE wprowadziła pewien zwyczaj: nowicjuszy wydawano na sąd boży. Każdemu agentowi przydzielano jakieś zadanie w Anglii. Musiał pojechać do któregoś z miast na drugim końcu kraju i przez trzy dni nadawać przez radiostację. Albo sporządzić jak najdokładniejszy plan wytypowanej fabryki broni czy elektrowni. Albo też ustalić rozkład zajęć i zwyczaje polityka, który ma zostać zlikwidowany. Oczywiście władze brytyjskie nic nie wiedziały o tych mniej lub bardziej dziwnych zabawach w podchody. Debiutant w szpiegowskim zawodzie musiał zmylić czujność i surowy nadzór policji i wojska, ale także stworzonej przez Churchilla Home Guard, której miliony uzbrojonych, czujnych i nerwowych członków — starców, podrostków, inwalidów czy weteranów — patrolowały dzielnice, miasta i wsie w całym kraju. Były również służby kontrwywiadu MI5, koncentrujące się na celach strategicznych. Ten system bezpieczeństwa w ciągu kilku miesięcy doprowadził do zniszczenia wszystkich siatek niemieckich w Wielkiej Brytanii. Abwehra i gestapo starały się ulokować tam nowych agentów: wszystkich po paru dniach wyłapano i rozstrzelano bez sądu. MI5 zdołało nawet zwerbować wielu z nich, potem pracowali dla Intelligence Service. Inaczej mówiąc, uczniowie

Spoonera i Philby'ego musieli sobie poradzić tam, gdzie nie udało się zawodowym niemieckim szpiegom.

W wypadku aresztowania agent SOE miał rozkaz trwać przy swej przykrywce. Gdyby jego fizyczne bezpieczeństwo zostało bezpośrednio zagrożone, miał prawo podać numer telefonu SOE. Nie ma potrzeby dodawać, że był to koniec kariery niezbyt uważnego lub pechowego agenta.

Noor wysłano do Portsmouth z prostym zadaniem: policzyć okręty wojenne stojące na redzie, opisać ich typy oraz uzbrojenie i przesłać te informacje drogą radiową do centrum nasłuchu 53A w Grendon. Było to trudne zadanie: Grendon stanowiło jeden z ośrodków łączności z agentami rozsianymi po całej Europie. Operatorki tej organizacji nieustannie czuwały pod groźnie brzmiącym napisem: Remember, the enemy is listening (pamiętaj, że wróg cię słucha). Te telefonistki, z których każdą przydzielono do pewnej liczby tajnych radiostacji, były niewidzialnymi matkami chrzestnymi europejskiego Ruchu Oporu.

Z Londynu Noor pojechała do Portsmouth pociągiem odchodzącym z Victoria Station. Na użytek tego scenariusza kazano jej wyjechać z Londynu. Miała już swą przykrywkę: w Anglii była Norą Wilson, boną pracującą w eleganckich rodzinach, która jedzie na południe, by rozejrzeć się za pracą w nadmorskich kurortach.

Natomiast we Francji miała być panną Jeanne-Marie Firmin, guwernantką mieszkającą w Paryżu i szukającą pracy. Uwagę na nią mogła zwrócić jedynie ciężka walizka, w której była radiostacja Mark II. Uprzejmi mężczyźni wielokrotnie pomagali jej nieść ten ciężar. Oddając jej walizkę, pytali niezmiennie: „Ale co pani w niej wiezie?”. Na co odpowiadała z uśmiechem: „Książki. Zajmuję się tłumaczeniami”. Walizka była zamknięta na klucz. Tylko policja mogła sprawdzić, co w niej jest. Ale papiery Noor były w porządku: bez trudu przechodziła kontrole.

Po przyjeździe do Portsmouth wynajęła pokój w hotelu bed and breakfast w pobliżu dużej plaży zwróconej w stronę cieśniny Solent. Noor zdobywała ostrogi w zawodzie szpiega tam, gdzie dorastałem, w owym handlowym i wojennym porcie o ulicach pachnących odpływem, ściśniętych wokół doków z czarnymi żurawiami i zardzewiałymi pontonami. Znak losu... Portsmouth było jedną z głównych baz Royal Navy. W przewidywaniu D day gromadziły się tam już statki o najrozmaitszym tonażu. Duże okręty wojenne stały na redzie na wschód od Cowes, między wyspą Wight a wybrzeżem, tam gdzie okręty liniowe Nelsona i Collingwooda przyływały na odpoczynek między dwiema kampaniami przeciwko marynarce francuskiej. Port wojenny był strefą zakazaną. Ale żadne środki bezpieczeństwa nie mogły zabronić młodej, próżnującej kobiecie przechadzać się pośród pierwszych tegorocznych amatorów kąpieli po nasłonecznionej plaży ze składanym krzeselkiem i niewielkim zestawem farb.

Noor zostawiła walizkę w hotelu i włożyła lekką sukienkę. Z krzeselkiem pod pachą i pudłem farb w wiklinowym koszyku powędrowała na plażę między jeszcze zamkniętymi sklepami z odzieżą i hotelami o fasadach ozdobionych kolumnami. I tam, zwrócona twarzą do morza, na odwrocie bloku rysunkowego pisała raport. Dzięki dokumentacji, jaką jej dostarczono w Beaulieu, nauczyła się rozpoznawać sylwety wielkich okrętów. Używając szyfru, sporządzonego na własny użytek, zanotowała: „Dwa ciastka z rumem, wiśniami i plasterkami ananasa, trzy kawałki jabłeczniaka, pięć eklerków z czekoladą i dwanaście rogalików”. Podejrzliwy policjant, któremu przyszłoby do głowy sprawdzić jej notatki w powrotnej drodze, z trudem wyobraziłby sobie, że znaczy to: „Dwa pancerniki z armatami obracającymi się o trzysta sześćdziesiąt stopni i artylerią przeciwlotniczą, trzy krążowniki, pięć niszczycieli i dwanaście kutrów torpedowych”.

Sprawy skomplikowały się, gdy trzeba było przekazać te wyniki do Grendon. Za hotelem Noor wypatrzyła pusty magazyn, gdzie przechowywano sprzęt sportowy dla letników; ponieważ sezon jeszcze się nie zaczął, nikt tam nie zaglądał.

Wieczorem w dniu przyjazdu, po kolacji i rozmowie z gospodynią o wpływie wojny na turystykę, Noor wróciła do swego pokoju. Koło północy wymknęła się na dwór przez tylne drzwi ze swą ciężką walizką w ręku. Spędziła dwie godziny na

szyfrowaniu informacji, choć nie były długie. Ale praca ta wymagała niebywalej dokładności: jeden błąd mógłby wzbudzić wątpliwości u odbiorców i trzeba by ponowić nadawanie innego dnia.

Magazyn przytykał do podwórza za hotelem. Noor, której przeszkadzała walizka, z trudem przedostała się przez siatkę ogrodzenia i skierowała do magazynu. Drzwi były zamknięte. Na szczęście w Beaulieu, słuchając wykładów swego malowniczego profesora od włamań, nauczyła się otwierać proste zamki kawałkiem grubego drutu. Słaby blask księżyca wpadał do środka przez małe okienko. Lawirując między masztami i żaglami, weszła po kilku stopniach do warsztatu pachnącego drewnem i klejem, gdzie składowano olinowanie i inne elementy wyposażenia łodzi. Jedno z okien wychodziło na ulicę. W świetle księżyca Noor otworzyła walizkę, rozciągnęła trzymetrową antenę z metalowej linki i uruchomiła aparat. Małe lampki Mark II rzucały na ściany czerwone światło, którego blask wydał się jej przerażający. Wyjęła chusteczkę do nosa i nakryła nią lampki. Światło przebijało jeszcze, ale bardzo słabo. Noor czuła, jak grube krople potu spadają z jej czoła na czarny bakelit radiostacji.

W 1941 roku pierwsze radiostacje SOE musiały być zasilane z miejskiej sieci energetycznej. Była to poważna wada. Kiedy Niemcy zlokalizowali dzielnicę, z której nadawano, wystarczyło na parę sekund wyłączyć w rozdzielni elektryczność dom po domu. Chwilowy zanik sygnałów wskazywał, w którym budynku pracuje radiostacja. Dlatego w nowych aparatach, takich jak Mark II, instalowano akumulatory. Noor wyjęła z przegródek dwa kwarcy, które ustalały częstotliwość nadawania. Przed sobą, na otwartym wieku walizki, oparła notatnik jak na pulpicie pianina, obok radiostacji położyła deseczkę, do której był przymocowany klucz telegraficzny, i wysłała swój sygnał rozpoznawczy. W magazynie rezonowały wysokie dźwięki pracy klucza i miała wrażenie, że syrena alarmowa nie zrobiłaby mniejszego hałasu. Przeszła na nasłuch i rzuciła okiem na zewnątrz. Ulica była pusta. Naprzeciwko widziała tylko długi, ślepy mur z dwuskrzydłową, żelazną bramą.

Grendon odpowiedziało według umówionego szyfru: mogła rozpocząć nadawanie. Noor spojrzała na notes, w którym była zaszyfrowana wiadomość, i aby ją odczytać, zdjęła z czerwonych lampek chusteczkę i przysunęła go bliżej. Białe ściany odbijały czerwone światło. Pierwszy przechodzień, który podniósłby głowę, zobaczyłby w środku ten blask i wszcząłby alarm. Ale nie miała wyboru. Sparaliżowana strachem, zdenerwowana do ostatecznych granic piekielnym hałasem wywołanym pracą klucza, Noor zaczęła nadawać swój tajny meldunek. Bakelit był zroszony kroplami potu. Obliczyła, że wysłanie wszystkich wiadomości: wykazu okrętów, danych dotyczących ich uzbrojenia i rozmieszczenia

w porcie oraz paru uwag na temat systemu ochrony, zajmie jej około dziesięciu minut, czyli znacznie mniej aniżeli norma bezpieczeństwa, która wynosiła dwadzieścia pięć minut...

Pięć minut później na pustej ulicy rozległ się przeciągły, mechaniczny zgrzyt. Noor spojrzała w okno i zadrżała: żelazna brama otworzyła się i pojawiło się ostre światło. Z dużą szybkością wyjechały na ulicę trzy ciężarówki. Dwie skręciły w lewo, jedna w prawo. Na dachu każdej z nich, nad szoferką, zaczęła się obracać żelazna obręcz: była to antena poszukiwawcza, o której tak często jej mówiono.

Natychmiast przerwała nadawanie, przygryzła wargę i zaczęła się zastanawiać. Dotarła do niej przerażająca i zabawna prawda. Wynajęła pokój za blisko portu. Za ślepym murem, który widziała po drugiej stronie ulicy, znajdowała się baza Navy. Jak we wszystkich wojskowych bazach, funkcjonował tu system podsłuchu i czuwały goniometry. Pojawienie się w eterze nieznanego, pochodzącego z terytorium brytyjskiego sygnału, wywołało alarm. W ciągu dwóch minut ośrodki podsłuchu poprzez triangulację zlokalizowały Portsmouth jako miejsce nadawania, zawiadomiły jednostkę goniometryczną i właśnie jej wyjazd obserwowała Noor rozszerzonymi strachem oczami. Teraz każda z trzech ciężarówek jechała na pozycję pozwalającą jej ustalić kierunek nadawania. Załogi nie wiedziały, gdzie jest nadajnik. Jeśli Noor nie przestanie nadawać, za dziesięć minut żandarmeria wojskowa zablokuje dzielnicę.

Noor podniosła się jednym susem, serce biło jej jak szalone. Odłączyła antenę, schowała ją, włożyła deseczkę z kluczem do właściwej przegródki i zamknęła walizkę. Ale antena była źle zwinięta, wystawała z prawej strony, przez co nie mogła domknąć walizki. Noor zaklęła i jeszcze raz zwinęła antenę. Zatrzasnęła walizkę, wybiegła na schody, otworzyła drzwi i nasłuchiwała. Ciężarówek nie było słychać. Po drugiej stronie muru nadal paliło się światło. Noor zamknęła drzwi i poszła na tył magazynu i sąsiadującego z nim ogrodzenia. O wpół do drugiej leżała już w łóżku, wpatrywała się w okno i nasłuchiwała, drżąc na całym ciele. W każdej chwili spodziewała się usłyszeć samochody żandarmerii wojskowej, krzyki i walenie do drzwi... Potem zaczęła przemawiać sobie do rozsądku. Nadawała tylko przez parę minut i przerwała natychmiast po zobaczeniu ciężarówek. Każda z nich musiała zatrzymać się na jednym z końców miasta, czekając na wznowienie transmisji, by ustalić namiary. Wystarczyło nic nie robić, by zażegnać niebezpieczeństwo.

O czwartej nadal nic się nie działo. Noor była zbyt zdenerwowana, by zasnąć. Ale musiała spać, więc postanowiła zażyć jedną z pigułek, które dostała od lekarza w Beaulieu. Wyjęła kosmetyczkę, lecz w ciemnościach jej zawartość wysypała się na ziemię. Trzeba było zapalić światło i pozbierać pigułki, które położyła na szafce

nocnej. Przez chwilę ogarnęła ją panika: proszki nasenne pomieszały się z silnymi środkami podniecającymi na bazie benzedryny i pigułką z cyjankiem potasu. Pomyłka byłaby straszna w skutkach. Noor przypomniała sobie mnemotechniczne zdanie, które miało zapobiec pomyłkom: pigułki niebieskie, by spać, czerwone, by działać, i szare, by umrzeć. Nie było to skomplikowane. Połknęła pół niebieskiej i zgasiła światło. Środek nasenny okazał się zbyt mocny. Nazajutrz o czwartej po południu obudził ją jakiś hałas: właścicielka hotelu pukała do drzwi, bojąc się, że lokatorce coś się stało. Uspokoila ją, że nic jej nie jest, wstała i czując głód, wyszła na miasto. Siedząc przed dużą filiżanką kawy w sali fish and chips, gdzie rybacy na emeryturze grali w karty, jeszcze odrętwiała po środku nasennym, zaczęła się zastanawiać. Aby zmylić poszukiwania, powinna pojechać do innego miasta.

Wróciła do hotelu, zapłaciła i wsiadła do pociągu jadącego do Southampton, innego portu w tym regionie, odległego o dwadzieścia minut drogi od Portsmouth. Zatrzymała się w niewielkiej gospodzie już poza miastem, z dala od portu. Następnego dnia chciała wynająć rower: okazało się, że poza sezonem firmy wypożyczające sprzęt są zamknięte. W końcu kupiła rower w jakimś warsztacie i zaczęła wędrowkę po mieście o czerwonych murach i biednych wystawach sklepowych. Szukała długo. Pustych magazynów było niewiele. Dwa razy weszła na plac budowy i dwa razy musiała zmykać na widok stróża, który pojawił się nie wiadomo skąd. W parkach publicznych także kręcili się ludzie. Zastanowiła się, czy najprościej nie byłoby nadawać z gospody. Ale przypomniała sobie przeraźliwy dźwięk morsa w nocnej ciszy.

Nazajutrz przymocowała walizkę do bagażnika i opuściła Southampton. Na pierwszym polu, jakie zauważyła, pasły się krowy, które zaraz gdy przeskoczyła przez ogrodzenie, podeszły, by ją obwąchać. Drugie było położone za blisko fermy. Trzecie wydało się jej doskonałe, ale w chwili, gdy miała rozwinąć antenę, pojawił się jakiś wieśniak. Ledwo zdążyła zamknąć walizkę i wskoczyć na rower. Wściekła pomyślała, że Anglia jest przeludnionym krajem, gdzie nie można spędzić kwadransa w samotności. Koło piątej po południu podjęła decyzję. Gęsty las porastał szczyt wzgórza, na które wjeżdżała, pedałuując z wysiłkiem. Znalazła drogę, zagłębiającą się w leśne poszycie.

Sto metrów dalej minęła dwóch leśników, którzy przypatrywali się jej z uwagą. Pojechała dalej, skręciła dwa razy i przystanęła. Otaczał ją szum lasu. Ukryła rower za żywopłotem i nasłuchiwała nieruchomo. Było już po szóstej. Powiedziała sobie, że lepiej poczekać do zmroku. Las nie był duży i do tej pory pech jej nie opuszczał. Ostro dźwięk morsa mógł tu zwabić jakiegoś przechodnia czy drwała. O dziewiątej wieczorem, gdy zrobiło się całkiem ciemno, uznała, że do lasu nikt już nie

przyjdzie, i postanowiła przystąpić do nadawania. Tym razem wszystko poszło jak z płatka: w niecałe dziesięć minut wysłała wiadomość.

Z ulgą wsiadła na rower i skierowała się w stronę Southampton. Kiedy w dole migotały już światła miasta, zobaczyła nagle przed sobą przejazd kolejowy. Zatrzymała się. Gdy po minucie pociąg nie nadjechał, rozejrzała się na obie strony, przechyliwszy się nad szlabanem. Niczego nie zobaczyła. Przerzuciła rower na drugą stronę, przeskoczyła przez szlaban i przeszła przez tory. Stała jak wryta, słysząc przenikliwy dźwięk gwizdka. Odwróciła się przerażona. Z budki patrzył na nią niewidoczny dotąd policjant.

— A więc przechodzimy przez tory przy opuszczonym szlabanie? To bardzo ryzykowne. Popełniła pani wykroczenie.

Noor poczuła, że nogi się pod nią uginają.

— Nie... nie widziałam pana... Przepraszam — powiedziała i natychmiast przeklęła samą siebie.

— Czy żeby przestrzegać prawa, musi pani widzieć policjanta?

— Nie, nie, ale nie widziałam pociągu...

— To żaden powód. Pociąg zaraz nadjedzie. Jeśli często pani tak postępuje, skończy się to katastrofą. Skąd pani idzie?

— Z... hmm... Szukam pracy.

Noor nie popatrzyła na mapę i była coraz bardziej zmieszana. Z metalicznym szczękiem pojawił się pociąg. Zaczęła znowu coś mówić, pokazując ręką za siebie. Policjantowi zdawało się, że mu odpowiedziała. Kiedy pociąg przejechał, odezwał się:

— Jedzie pani z Bingham? To niezły spacer!

— Tak, jestem opiekunką do dzieci i nie mam pracy. Powiedziano mi, że pewna rodzina w Bingham kogoś szuka.

— No dobrze, dobrze... Przypuszczam, że ma pani dokumenty?

Policjant zmierzył ją od stóp do głów, w jego spojrzeniu widać było skrywany podziw. Cienka sukienka Noor oblepiała jej figurę, a długie, gołe nogi miały złoty kolor, który lśnił w świetle lampki elektrycznej. Wzięła torebkę przytwierdzoną do bagażnika razem z walizką, otworzyła ją i podała wszystkie papiery. Policjant przejrzał je niedbale i zwrócił Noor.

— W porządku... Następnym razem ukarzę panią mandatem. Proszę uważać, do licha!

Noor wróciła do hotelu, licząc popełnione błędy. Bilans wypadł fatalnie. Podobnego zdania była Joan Sanderson, która po powrocie do Beaulieu kazała jej wszystko sobie opowiedzieć. Noor dano szansę: nie wyeliminowano jej. Ale miała szczęście. Na czterdzieścioro agentów wysłanych „w misji” trojgu się nie udało.

Wrócili ze spuszczonej oczami w eskorcie dwóch Bobbies, ku wściekłości Spoonera, który zawiadomił ich, że zostają skreśleni. Noor uniknęła tego upokarzającego losu. Był to cud. Nowicjuszka w szpiegowskim zawodzie poszła spać w ponurym nastroju.

O trzeciej nad ranem drzwi do jej pokoju otworzyły się, ktoś zapalił światło i krzyknął na całe gardło: „Proszę wstać, Noro, jest pani aresztowana!”. Zaspana Noor zobaczyła przy swym łóżku dwóch mężczyzn w szarych nieprzemakalnych płaszczach i trzech uzbrojonych żołnierzy z żandarmerii wojskowej. Stojący za nimi Spooner i Joan Sanderson asystowali przy tej scenie, wyraźnie przygnębieni. Jeden z mężczyzn ściągnął z niej koc, odkrywając ciało, ledwo osłonięte krótką nocną koszulą. Drugi chwycił ją za ramię i zmusił, by wstała, opuściła pokój i poszła boso ciemnymi korytarzami. Protestowała i wyrywała się. Drugi policjant brutalnie złapał ją za włosy i popchnął, krzycząc: „Milczeć!”. Zwróciła się do Spoonera, który wzruszył ramionami i rzekł: „Nie mogą nic zrobić. Mają prawo...”. Wyszli. Noor musiała iść w ciemnościach po żwirze, który ranił jej stopy. Kazano jej wsiąść do samochodu żandarmerii. Po półgodzinie zatrzymali się na pustej ulicy. Noor zadrżała: poznała ślepy mur w Portsmouth, który widziała z warsztatu, gdzie usiłowała nadawać przed czterema dniami. Samochód wjechał przez ciężką, żelazną, dwuskrzydłową bramę. Chwilę potem weszli do betonowych kazamat. Sprowadzono ją do piwnicy, do pomieszczenia o nagich ścianach i posadzono na zimnym metalowym krześle pod świecącą w twarz lampą. Na rękach miała kajdanki, które wrzynały się w ciało. Pierwszy żandarm usiadł za kuchennym stołem, a drugi przypatrywał się jej z boku, oparty o ścianę.

— Noro Wilson, jest pani oskarżona o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Wykorzystała pani swe szkoleniowe zadanie do szpiegowania królewskiej marynarki i przekazywania informacji przez radiostację. Jeśli będzie pani z nami współpracować, ocali pani życie. W przeciwnym razie jutro o świcie zostanie pani rozstrzelana.

Noor była przerażona. W świetle lampy starała się zobaczyć policjanta. Jej czarne, zwężone bólem oczy były pełne łez. Drżała na całym ciele i wykręcała sobie palce.

— Proszę mówić wyraźnie, Noro Wilson.

— To pomyłka — szepnęła, patrząc w ziemię — nie jestem szpiegiem, jestem obywatelką brytyjską...

— Przede wszystkim należy pani do rodziny hinduskich buntowników — rzekł policjant. — Przeniknęła pani do naszej armii, by służyć sprawie swego kraju i sprawie Niemiec. Niech się pani przyzna.

— Nie mam się do czego przyznawać. Jestem w RAF-ie... Wstąpiłam do niego, by walczyć po waszej stronie.

Na te słowa drugi policjant zbliżył się do niej, spojrzął jej w oczy i z całej siły uderzył ją w twarz.

— To kłamstwo! — wrzasnął. — Wszystko wiemy. Pojechała pani do Portsmouth pociągiem odchodzącym ze stacji Victoria. Mieszkała pani w bed and braekfest u Winifred Smali. Trzy dni temu usiłowała pani przekazać z Portsmouth wiadomości, których nie udało nam się przechwycić. Przedwczoraj wieczorem zrobiła to pani ponownie z Southampton. Nadawała pani z rejonu między Southampton i Bingham. Wszystko rozszyfrowaliśmy. To informacje o kapitalnym znaczeniu dla obrony kraju. Jest pani szpiegiem, Noro Wilson.

— Ależ nie! Byłam na przepustce — mówiła dalej bezdźwięcznym głosem. — Szukałam pracy w charakterze bony na okres, kiedy dostanę dłuższy urlop. Potrzebuję pieniędzy, żeby pomagać rodzinie. Przyjechaliśmy do Anglii, by walczyć. Mój brat również wstąpił do wojska.

Powoli odzyskiwała panowanie nad sobą. Przypomniała sobie nauki Philby'ego. Przykrywka. Trzeba trzymać się przykrywki.

— Ta komedia będzie panią drogo kosztowała, Noro Wilson. Na przejeździe kolejowym w Saltwood Junction złapał panią policjant. Dawła mu pani niespójne wyjaśnienia. Na bagażniku miała pani dużą, ciężką walizkę. Wpadła pani! Ma pani tylko jedną szansę: jeśli się pani przyzna, zostanie pani przywrócona do służby i nikt się o niczym nie dowie. W przeciwnym razie zostanie pani rozstrzelana jutro rano. Zawiadomimy pani rodzinę. Pozostanie pani w ich pamięci jako szpieg. Dalej więc, Noro! Nie ma pani wyboru.

— Jestem boną. Pojechałam szukać pracy w Bingham.

— W Bingham? Ha, ha! W Bingham!

Kiedy mówił, Nora się odwróciła. Na lewo, po słabo oświetlonej stronie pomieszczenia, zobaczyła na ścianie duże lustro. Policjant ciągnął:

— Au kogo? Proszę powiedzieć, u jakiej rodziny w Bingham?

— U Starkeyów. Ale nic dla mnie nie mieli. Potem wróciłam, bo moja przepustka się skończyła. Zapewniam, że to pomyłka.

Policjant zawahał się.

— U Starkeyów? Uprzedzam, że jeśli to kłamstwo, zostanie pani rozstrzelana jutro rano!

Potem zwrócił się do swego towarzysza.

— Proszę sprawdzić.

— O tej porze?

— Proszę sprawdzić.

Zostali sami. Noor wyprostowała się. Uplęła długa chwila. Potem mężczyzna spojrzał na nią.

— Z czego się pani śmieje?

Noor natychmiast spoważniała. Następnie spojrzała w lustro i pokazała język. Wrócił drugi żandarm.

— Mówi prawdę. Była u nich dziewczyna o podobnym wyglądzie. Chcieli zatrudnić opiekunkę do dzieci, ale na lato. Poczęstowali ją herbatą, a potem odjechała rowerem.

Na twarzy drugiego odmalowało się zdumienie. Noor odezwała się znowu.

— Pan Philby ma rację — powiedziała do osłupiałych ze zdumienia żandarmów. — Trzeba się trzymać swojej przykrywki. W rzeczywistości nie macie żadnego dowodu. Poszłam na plażę malować. Szukałam pracy. Wróciłam. Tak było. Nie macie nic. Wszystko, co wiecie, powiedziała wam Joan Sanderson. Musi być tam, po drugiej stronie lustra.

Obydwaj żandarmi parsknęli śmiechem. W tym momencie otworzyły się drzwi i weszli Spooner i Joan Sanderson. Spooner lekko się uśmiechał. Sanderson promieniała. Podeszła do Noor, objęła ją i ucałowała.

— To istne czary — powiedziała. — Powiedziałaś mi, że nie masz alibi, że nawet nie wiesz, gdzie leży Bingham!

— Tak, ale dotknęli mnie do żywego. A poza tym nie ufałam policjantowi z przejazdu kolejowego. Zanim wróciłam do Beaulieu, pojechałam do Bingham. Wypytywałam ludzi w pubach i wreszcie jakiś facet powiedział mi o Starkeyach. Poszłam do nich. Byli bardzo uprzejmi. Wprawdzie było to nazajutrz po incydencie z policjantem na przejeździe kolejowym, ale powiedziałam sobie, że nikt nie zwróci uwagi, iż działo się to dwadzieścia cztery godziny później. W każdym razie była to jakaś szansa.

— Dobrze — powiedział Spooner — jest późno. Kończmy. Wracamy do Beaulieu.

Noor podeszła do dwóch żandarmów. Uścisnęła pierwszemu z nich rękę i powiedziała: „Dziękuję panu!”. Potem podeszła do drugiego i z całej siły uderzyła go w twarz.

Na Baker Street zebrała się komisja, by wypowiedzieć się w sprawie nowego narybku. Raport wstępny sporządzili instruktorzy i szefowie ośrodków szkoleniowych. Po zasięgnięciu ich opinii Buckmaster podejmował decyzję sam. Wszystko to odbywało się w obecności osób, które uczestniczyły w procesie szkolenia kandydatów. Raport Bodingtona bardzo pochlebnie oceniał Noor.

— Wziąłem pod uwagę sformułowane pod jej adresem zastrzeżenia — powiedział, konkludując. — Ale ta młoda kobieta dowiodła wielkiej determinacji.

To doskonała radiotelegrafistka. Mimo kilku niezręczności pozytywnie przeszła test końcowy. Chcemy przydzielić ją do siatki Prospera, która jest świetnie zorganizowana. Jestem za.

— Jak pan czytał w moim raporcie — odparł Spooner — jestem temu całkowicie przeciwny. Panna Khan nie chciała uczyć się strzelania, i z tym nieco przesadziła. Nieustannie zadawała szokująco naiwne pytania. Reaguje zbyt emocjonalnie. To mistyczka, która ma mgliste pojęcie o wojennej rzeczywistości. Powiedziałbym nawet po prostu o rzeczywistości. Poza tym ma powierzchowność modelki od Coco Chanel. Albo osoby wykonującej taniec brzucha. Ręczę, że po tygodniu ją złapią! Poza tym — dodał z uśmiechem politowania — pisze wiersze...

— Nazywa się Vijay Khan — poprawiła Joan Sanderson poirytowanym głosem. — Khan to w Indiach tytuł szlachecki. Przypominam panu, panie Spooner, że Cezar i Aleksander Wielki też pisali wiersze, to o niczym nie świadczy... A jest kobietą tak piękną, że będzie onieśmielała mężczyzn przeprowadzających kontrole. To atut, nie wada!

— Ale pochodzi ze środowisk hinduskich, walczących o niezawisłość. Jak można choć przez sekundę jej ufać?

— Ryzykowała życie, by się przedostać do Anglii — ciągnęła Sanderson. — Jej brata przyjęto do Navy.

— No i on także odmówił noszenia broni.

— Ma takie same przekonania religijne jak ona. To się zdarza... Poprosił, by w zamian przydzielono go do jednostki szczególnie niebezpiecznej, ale tam, gdzie nie trzeba posługiwać się bezpośrednio bronią. Służy na trałowcu. To niesłychanie ryzykowna służba. Ci ludzie nie są tchórzami.

— Nie powiedziałem tego — odparł Spooner. — Powiedziałem, że ją złapią. To osoba naiwna.

— Ale kiedy zorganizowaliśmy to pozorowane przesłuchanie, w dziesięć minut zorientowała się, o co chodzi. To całkiem nieźle.

— Nie twierdzę, że jest idiotką. Przeciwnie, to intelektualistka. Wykaraskała się, bo bardzo szybko zrozumiała, że to nie jest prawdziwe przesłuchanie. Z Niemcami, panno Sanderson, nie będzie to możliwe. Wie pani, że oni naprawdę przesłuchują ludzi. Widziała ją pani na początku całej sprawy? Nie słyszałem, co mówi, tak bardzo się bała! Wysyła ją pani na pewną śmierć. I naraża na niebezpieczeństwo organizację...

Teraz zabrał głos Buckmaster:

— To mocne argumenty. A co myśli Wesselow? Nic pan jeszcze nie powiedział...

— Jest odważna. Poza incydem z instruktorem strzelania poprawnie przeszła całe szkolenie. Jepson zapewnia nas, że motywy, jakimi się kieruje, są wiarygodne...

Selwyn Jepson przerwał mu z odrobiną emfazy:

— Nie spotkałem się nigdy ze szlachetniejszymi i czystszyimi intencjami. Będzie walczyła po naszej stronie bez cienia wahania.

— I bez odpowiednich umiejętności — uciął Spooner. — To szaleństwo. Albo morderstwo, jeśli wolicie!

W sukurs Noor przyszedł Bodington.

— Wydaje mi się, że Philby był z niej zadowolony. A poza tym wszyscy wiemy, że odwaga ujawnia się w działaniu.

— W takim razie — odparował Spooner — po co zbiera się ta komisja? Losujmy!

— Ależ nie — podjął Bodington cierpliwie. — Jest jasne, że ta dziewczyna chce walczyć. Trzy razy zgłosiła się na ochotnika. W naszej armii mamy wielu obywateli imperium. Nie dlatego, że nas kochają, ale dlatego, że jeszcze bardziej nienawidzą nazistów. To fakt, który powinniśmy wykorzystać.

Buckmaster przerwał mu.

— Wydaje mi się, że nie to miał na myśli Spooner. Jego zdaniem jest niekompetentna. To rzecz poważniejsza...

— Wysyłaliśmy już do Francji agentów, którzy przed przystąpieniem do zadania nie byli bardziej kompetentni...

— Zaczyna się — odezwał się Spooner. — Po co właściwie się zbieramy?

— Tak się składa — podjął Bodington, podnosząc głos — że nie mamy wystarczającej liczby radiotelegrafistów w terenie. Wkrótce może dojść do ważnych wydarzeń. Łączność jest w tych warunkach sprawą podstawową. Oto twarda rzeczywistość. Ta panna Vijay jest...

— Vijay Khan — poprawiła Joan Sanderson.

— Vijay i tak dalej, jeśli pani sobie życzy, Sanderson! Mówię, że ta Khan jest bardzo dobrą radiotelegrafistką. Czy ryzykuje? Czy my ryzykujemy? To wojna. Jest Prosperowi potrzebna. Powinna tam pojechać. Koniec, kropka.

Buckmaster podniósł rękę. Pochylił się do przodu, ujął twarz w ręce, wpatrzony w blat ciężkiego biurka, za którym siedział. Upłynęło trzydzieści sekund.

— Bodington ma rację. Potrzebujemy radiotelegrafistów w terenie. Wyjedzie najbliższej księżycowej nocy.

— Pan tu rządzi — powiedział Spooner.

Wstał i wyszedł. Zanim zamknął za sobą drzwi, odwrócił się i rzucił:

— Pokój jej duszy!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Noor przyjechała na dworzec Montparnasse w marnej formie. Ze strachu nie mogła jeść i spać. Zanim zeszła do metra, zatrzymała się w bufecie. Ale kiedy usiadła w gwarnej sali, gdzie panował ożywiony ruch, ogarnęła ją panika. Wyleciało jej z pamięci, jak trzeba się posługiwać kartkami żywnościowymi. Czy powinna je oddać przed złożeniem zamówienia, czy po nim? Wyrwać kupony? Zapomniała. Philby powtarzał: szpicle są wszędzie. Każdy błąd mógł ją zdradzić. Gliną mógł być klient siedzący za nią na obitym czerwonym moleskinem krześle, donosicielem właściciel bufetu za ladą, a nawet gruba jejmość o znużonym wyglądzie, która wołała na kelnera. Noor spojrzała na zegarek, udała, że się rozmyśliła, szybko wstała i z pustym żołądkiem i bijącym sercem skierowała się ku wejściu do metra po drugiej stronie bulwaru Montparnasse.

Godzinę później wspinała się po schodach domu pod numerem 72 przy ulicy de la Pompe, należącego do małżeństwa Garry, którego adres dostała: była to bezpieczna przystań siatki Cinema, usytuowana przedziwnie na wprost komisariatu, przed którym stał na warcie pocący się na słońcu policjant. Właśnie w tym domu zmarł wielki francuski filozof Henri Bergson. Na początku wojny Żydzi z dzielnicy La Murette stali w kolejce przed tym komisariatem, by się zarejestrować. Władze powiadomiły Bergsona, że został zwolniony z tej formalności. Dotknięty do żywego owym środkiem zadekretowanym przez rząd Vichy, Bergson nie chciał skorzystać z wyjątku, jaki dla niego zrobiono, i on, człowiek, którego noga nigdy nie postąpiła w synagodze, w oznaczonym dniu zajął miejsce w ogonku, ostentacyjnie solidaryzując się ze swymi współwyznawcami. Dzień był zimny, a Bergson lekko ubrany. Po dwóch godzinach stary filozof zasnął. Parę dni później już nie żył.

Noor nie wiedziała o tym zdarzeniu, podobnie jak paryżanie, którzy nie mieli pojęcia o cierpieniach, jakie nie dotyczyły ich samych. Uspokoiwszy się nieco, że dotarła pod właściwy adres, szła po stopniach tego burżuazyjnego domu z bukietem goździków w ręku. Opisano jej państwo Garry jako czcigodne małżeństwo. Wyobrażała sobie panią Garry jako dzielną kobietę, nieco wyniosłą patriotkę, która wraz z mężem jest duszą siatki Cinema. Pomyślała, że kwiaty pomogą jej w nawiązaniu kontaktu z tymi ludźmi. Państwo Garry mieszkali na trzecim piętrze. Musiała na nie wejść: ze względu na oszczędność paryskie windy obsługiwały jedynie najwyższe piętra, poczynając od czwartego. Nieco zdyszana, Noor postawiła walizkę na ciemnoczerwonym dywanie w zgniłozielone wzory i zadzwoniła. Drzwi otworzyły się i Noor osłupiała ze zdziwienia. Uśmiechała się do niej młodzianka blondynka w letniej sukience. Noor zmieszała się.

— Dzie... Dzień dobry. Czy to mieszkanie państwa Garry?

— Tak, to tutaj! Proszę wejść! — odpowiedziała po chwili dziewczyna, patrząc na nią dziwnym wzrokiem.

— Czy mam przyjemność z panią Garry? — spytała Noor.

— Nie, jestem Renée, jej szwagierką, siostrą Emila.

— Ach tak. Czy zastałam panią Garry?

— Nie, wyszła. Będzie za jakieś dwie godziny...

— Dobrze... Wobec tego wrócę.

— Nie, nie — powiedziała dziewczyna z coraz bardziej niepewnym wyrazem twarzy. — Proszę wejść i rozgościć się...

Noor weszła do salonu o dobrze wypastowanej podłodze, nakrytej wschodnim kobiercem. Meble w stylu empire i obrazy o tematyce morskiej w drewnianych, złożonych ramach nadawały pomieszczeniu dostojny wygląd. Na prawo stało biurko ze złożonymi nogami, a na nim piękna lampa na podstawie w formie srebrnego orła. Na lewo, między dwoma wysokimi oknami, na których wisiały muślinowe firanki, stało czarne, lakierowane pianino. Na pulpicie leżała otwarta partytura. Dziewczyna przypatrywała się jej, jakby na coś czekając. Noor usiadła na brzeżku kanapy, postawiła przy nogach walizkę i skrzyżowała ręce na kolanach.

— Mają państwo piękne mieszkanie...

— Tak. Urządzone konwencjonalnie, ale wygodnie! — Nie, nie, jest bardzo ładne...

Zapanowało milczenie. Noor wpatrywała się w swoje stopy, sufit, ściany.

— Jest ciepło — powiedziała.

— Tak, w tym roku czerwiec jest bardzo ciepły. Ale lepsze to niż zimowe chłody...

— O tak!

Zapadła cisza. Po chwili dziewczyna wstała.

— Czy napije się pani kawy?

— Tak — odpowiedziała Noor jednym tchem — bardzo chętnie...

Dziewczyna wyszła z salonu. Noor słyszała jej kroki na skrzypiącej podłodze. Kuchnia była daleko. Drzwi się zaniknęły. Dlaczego pani Garry jest nieobecna, chociaż Londyn zapowiedział przyjazd młodej kobiety, która wejdzie do siatki jako radiotelegrafistka? Czy została aresztowana? Czy Noor wpadła w zasadzkę? Wstała i wyjrzała na ulicę. Teraz przed komisariatem stało dwóch policjantów. Miała wrażenie, że wpatrują się w kamienicę pod numerem 72...

Panowała przytłaczająca cisza. Noor skierowała się ku drzwiom. Lepiej się stąd wynieść! Wróci. Może...

Przeszła cicho przez przedpokój, nacisnęła klamkę i pociągnęła za skrzydło podwójnych drzwi. Zamknięte. Noor zaczęła drżeć. Spojrzała na prawo, na lewo, za

siebie, szukając jakiegoś wyjścia, i aż podskoczyła. Dziewczyna stała w rozkroku w wejściu do korytarza, podparła się pod boki i przypatrywała się jej z uśmiechem pełnym wyrzutu.

— Drzwi są zamknięte.

— Ach tak... Chciałam wyjść...

— Tak bez pożegnania? Nie, nie, to zły pomysł. Wszystko się wyjaśni, zobaczy pani. Przynajmniej taką mam nadzieję... Proszę wrócić do salonu. Niech pani siada.

Noor zastanowiła się. Na ulicy stali na warcie dwaj policjanci. Nie ma rady. Spuściła głowę i wolnym krokiem przeszła do salonu. Wargi jej drżały. Wówczas Renée Garry drwiącym tonem zaczęła głośno i wyraźnie artykułować słowa:

— Czy pociąg z Mans miał spóźnienie? Czy zabrakło węgla? Noor zmieniła się na twarzy. Było to właśnie zdanie, które miała powiedzieć na wstępie. Hasło! Zapomniała o nim. Pomyślała o kwiatkach, a zapomniała o hasle. Oto dlaczego dziewczyna patrzyła na nią takim dziwnym wzrokiem. Czekwała na umówione zdanie! Stąd cała ta śmieszna scena! Noor patrzyła na nią zrozpaczona. Potem znalazła wyjście z sytuacji i powiedziała:

— Rzeczywiście zabrali węgiel dla Reichsbahn.

Była to druga część hasła, ta, którą powinna podać w odpowiedzi Renée. Obydwie parsknęły śmiechem.

— A więc to pani! Uff! Ale jak mogła pani zapomnieć o hasle? To nie do wiary!

— Strasznie mi wstyd. Ale myślałam, że zobaczę jakąś starszą panią. Byłam zaskoczona.

Otworzyły się drzwi i do salonu wkroczył młody blondyn. Miał romantyczny kosmyk spadający na oczy i biały garnitur z szerokimi kłapami. Gdyby nie emanująca z niego powaga, można by rzec, że to uczeń z pobliskiego liceum Jansonde-Sailly, jeden z owych młodych, beztroskich bourgeois, którzy czekają na koniec wojny, nie odmawiając sobie przyjemności życia. Wyciągnął jedną rękę do Noor, a drugą zrobił szeroki gest, jakby chciał powiedzieć, że jest mile widziana. Śmiał się równie serdecznie jak dwie młode kobiety.

— Dzień dobry, jestem Emil Garry. Przypatrywałem się pani przez szparę w drzwiach. Nie podała pani hasła. Zastanawiałem się, kim pani jest.

— Doprawdy, nie wiem, co powiedzieć. Będę miała nauczkę na przyszłość.

— Nic się nie stało. Czy chce pani coś zjeść? Musi pani być głodna, z tego wszystkiego Renée zapomniała o kawie.

Młoda blondynka poderwała się.

— Niech pani pójdzie ze mną do kuchni, porozmawiamy. Z uśmiechem objęła Noor w tali i cała trójka wyszła z pokoju, rozmawiając i śmiejąc się, jakby byli uczniakami.

— Czy podróż nie była zbyt męcząca?

— Nie, skądże. Niebo było bezchmurne, a teren pod Mans bardzo płaski.

Noor wolała nie wyjawiać dokładnego miejsca lądowania. Renée otworzyła jakiś słoik, włożyła rękę do środka i wyjęła z niego czarne ziarna.

— Mieszają prawdziwą kawę z palonym słodem. Trzeba przebierać! Uważam, że jednak zasłużyła pani na prawdziwą kawę.

— W Anglii w ogóle nie ma już kawy. Przynajmniej dla cywilów... — rzekła Noor.

— Czy zrzucą pani radiostację?

— Tak. Koło Viroflay...

— Pojedziemy do Viroflay w niedzielę. Adamowscy robią przyjęcie. Nas też zaprosili. Będzie pani nadawała ze szkoły ogrodniczej. Adamowscy są do tego przyzwyczajeni. Pojedziemy po radiostację, potem zainstalujemy ją w szklarni. Renée lub moja żona będą pani dostarczać wiadomości. Ja krążę między kierownictwem siatki. Siatka Cinéma pokrywa dużą część Normandii z Wałem Atlantyckim włącznie. Jest co robić! Ostatni radiotelegrafista został spalony. Udało nam się przenieść go do Anglii. Od tej pory nikogo nie mamy. Na szczęście zjawiała się pani.

Renée skończyła wyławiać ziarna kawy. Wrzuciła je do drewnianego młynka i zaczęła energicznie kręcić korbką.

— Podaj coś do jedzenia — rzekł Emil. — Kawa może poczekać.

Renée wyciągnęła czarny chleb i szarą maź, przypominającą konsystencją masło.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli będę niedyskretny — powiedział Emil — ale muszę o to zapytać. Dlaczego Anglicy wysyłają do Francji młodą Żydówkę? To doprawdy igranie z ogniem.

— Och — odpowiedziała Noor zaskoczona — ależ ja nie jestem Żydówką! Jestem...

Potem zreflektowała się.

— ...To znaczy rzeczywiście nie jestem z pochodzenia Angielką... Ale nie jestem Żydówką. Skądże! Moje papiery są w porządku. Nawet przetestowałam je na brytyjskiej policji.

Renée szykowała dwie duże kanapki z przydziałową margaryną. Na te słowa przerwała i spojrzała na Noor przerażona. Jej, która codziennie przechodziła przez niemieckie kontrole, ten test na policji brytyjskiej wydał się najwidoczniej niedostateczny. Potem wróciła do przerwanej pracy, położyła warstwę pasty rodzynekowej na chleb, który podała gościowi. Noor w mgnieniu oka spałaszowała kanapki.

— Dawno pani nie jadła.

— Rzeczywiście... Zapomniałam też, jak trzeba posługiwać się kartkami. Wołałam zaczekać, aż dotrę tutaj...

Tym razem Emil i Renée spojrzeli na siebie ukradkiem, wznosząc oczy do nieba. Emil odezwał się z odrobiną irytacji w głosie:

— Czy nie powiedzieli wam tego wszystkiego w Anglii? Sądziłem, że przechodzicie gruntowne szkolenie...

— Ależ tak! Wszystko mi powiedzieli.

— Nie wszystko pani zapamiętała... — zauważyła Renée.

— Musieliśmy opanować nieprawdopodobną ilość materiału. Tajny szyfr, radiostacja, strzelanie z pistoletu maszynowego, włamania itd. Na zapamiętanie tego wszystkiego trzeba by kilku lat!

— Oczywiście — stwierdził Garry z nieukrywaną ironią.

Widząc ich niedowierzające spojrzenia, Noor dodała:

— Ale proszę się nie bać: zdałam wszystkie egzaminy. Po prostu wiecie, jak to jest, kiedy ma się już dyplom, wszystko się zaciera.

Noor w skupieniu zaczęła oblizywać palce, na które spłynęło trochę pasty rodzynekowej. Po dłuższej chwili, niewątpliwie zdziwiona milczeniem gospodarzy, podniosła oczy. Zapominając o dobrym wychowaniu, Renée i Emil Garry w niemym osłupieniu wpatrywali się w nią z otwartymi ustami.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cisza. Oto co zapamiętałem z moich pierwszych wrażeń w okupowanym Paryżu: cisza. Okupacja oddała miasto we władanie piechurów. Z braku paliwa samochodów było jak na lekarstwo. Ludzie jeździli na rowerach, czasem pojazdem zaprzęgniętym w konia. I chodzili. Chodzili bez końca ulicami, na których nie było przedwojennego ruchu, hałaśliwego tłumu ani bieganiny w godzinach szczytu. Chodzili pośród śpiewu ptaków, gnieźdzących się na drzewach, dyskretnego gwaru rozmów prowadzonych przez przechodniów, delikatnego pobrzękiwania rowerów i sygnałów dzwonek przy kierownicach. Ale przede wszystkim chodzili w ciszy.

Blainville nie lubił metra. „Tajnych agentów stać na taksówkę” — powiedział, kiedy wychodziliśmy z dworca Montparnasse. Usiłowaliśmy złapać jeden z owych dziwaczych pojazdów na gazogenerator, które powstały z braku benzyny. Pojazdy te niczym nie różniły się od innych poza tym, że miały skrzynkę z czarnego metalu, przymocowaną do lewego boku, oraz kominek, który wystawał ponad dach i wypuszczał dym. Ale było za dużo podróżnych czekających na taksówkę. Musieliśmy zadowolić się rikszą; był to trójkołowy rower do przewożenia pasażerów, napędzany siłą mięśni kierowcy ubranego w białe spodnie i marynarski sweter, z czerwoną apaszką na szyi.

Oświetlone czerwcowym słońcem miasto robiło pogodne wrażenie. Ulicami zalanymi łagodnym światłem spacerowali piesi. Fasady, których rysunek podkreślały cienie, były niczym siedemnastowieczna dekoracja. Szumiały liście, a młode kobiety na rowerach pozwalały, by wiatr podwiewał im sukienki. Na końcu biegnącej od dworca ulicy de Rennes dzwonnica kościoła Saint-Germain wyglądała na błękitnym niebie jak latarnia morska. Na światłach przy kawiarni Les Deux Magots, na wysokości naszej rikszy, zatrzymała się jakaś gibka, powabna rowerzystka. Siedzieliśmy z tyłu, więc widzieliśmy tylko jej kibić opiętą spódnicą z falbanami i szczupłą, postawioną na ziemi nogę.

I nagle wszystko się zmieniło: to nie pończocha nadawała brązowy kolor i jedwabisty wygląd tej ładnej łydce. Noga była pomalowana cienką warstwą farby. Rzemień drewniaka starł farbę i na kostce pojawił się pasek białej skóry. Zrozumiałem, co mi tu przeszkadza. Miasto kwitło. Ale wszystko było nieprawdziwe jak pończocha młodej rowerzystki. Na miasto padła zasłona. Ludzie żyli w jarzmie, pod obcym butem, w atmosferze strachu i podłości. Cisza, panująca w Paryżu, była ciszą wstydu.

Ludzie na bulwarach wydali mi się zabiedzeni. Chodzili w zniszczonych ubraniach, zasepieni, z pustymi torbami na zakupy. Na tarasie kawiarni Flore było pełno mundurów w kolorze feldgrau. Na placu Saint-Germain-des-Prés oficerowie

w płaszczach z czerwonymi wyłogami, ze zsuniętymi do tyłu czapkami, fotografowali się nawzajem przed starym kościołem. Na początku ulicy Bonapartego była księgarnia, do której przed wojną zachodziłem szukać starych książek historycznych. Przejeżdżając, przeczytałem napis wymalowany białą farbą na szybie wystawy: „Judische Gesellschaft” (Przedsiębiorstwo żydowskie). Na ulicy de Rivoli, na drugim brzegu Sekwany, kiedy się skręcało w lewo, idąc od kas Luwru, olbrzymie flagi w kolorach czerwonym, białym i czarnym, ze swastyką pośrodku, zdobiły zarekwirowany przez Niemców hotel Meurisse i gmach Ministerstwa Marynarki. Biły w oczy niczym zniewaga. Księgarnia W. Fł. Smitha, gdzie chodziłem kupować książki w języku angielskim, stała się „Niemiecką księgarnią frontową”. Na skrzyżowaniach ulic plakaty pokryte gotyckim pismem przyćmiewały swą liczbą plakaty z napisami francuskimi. Na placu Opery, czekając na zielone światło, przeczytałem na słupie ogłoszeniowym afisz. Był to program kabaretu Lido, „Marzenie Azji”. Przetłumaczono go na niemiecki.

Jest prawdą, że środowiska związane z teatrem i rozrywką wcale nieźle zniosły przybycie nazistów. Teatry były pełne, music-halle grały jeszcze częściej niż przed wojną, kina funkcjonowały jak nigdy. Paryż rozwinął czerwony dywan pod niemieckim butem. Kartki żywnościowe ledwo starczały, by zapewnić przetrwanie czterdziestu milionom Francuzów. Natomiast korzystając ze złodziejskiego przelicznika kursu, Francja stała się miejscem rozrywki dla niemieckich żołnierzy na przepustce. W miarę jak riksza posuwała się do przodu, czułem coraz większe upokorzenie i coraz bardziej traciłem humor. Blainville obserwował mnie.

— Miasto robi dziwne wrażenie, prawda?

— O tak... Wyobrażałem sobie, jak to jest, ale na miejscu wszystko wygląda zupełnie inaczej... Ostatni raz byłem w Paryżu w trzydziestym dziewiątym roku. Pamiętam Reynauda, który powiedział w Izbie: „Zwycięzimy, bo jesteśmy najsilniejsi!”.

— W końcu stanie się to prawdą. Niemcy nie są już najsilniejsi. Rosjanie i Amerykanie zmiażdżą ich! To tylko sprawa czasu...

— Ale może to długo potrwać...

— Niekoniecznie. Nawet Francuzi mają tego dosyć. Od Stalingradu nie wierzą już w zwycięstwo Niemców. Przypominają sobie, co spotkało Napoleona w Rosji. Lubią starego Marszałka, bo myślą, że ich chroni. Ale łuski spadają im z oczu. Ludzie zaczynają rozumieć, że ten stary niedołęga jest jedynie zdrajcą. Gdyby nie on, Francja miałaby legalny rząd w Londynie i znalazłaby się po dobrej stronie. De Gaulle zaczyna istnieć w świadomości Francuzów. A poza tym to, co zrobili z Żydami, zostało bardzo źle przyjęte. Nawet antysemita nie pojmują, dlaczego

deportuje się całe rodziny. Praca przymusowa działa na korzyść Ruchu Oporu. Młodzi nie chcą jechać do Niemiec. Wolą iść do partyzantki.

— Czy powstaną, jeśli alianci wylądują?

— Tak. Niewątpliwie. Przejdą na stronę zwycięzcy...

— Trzeba jeszcze zwyciężyć...

— To całkiem możliwe. Niemcy trzymają tutaj gorzej wyszkolone jednostki. Najlepsze wysłali do Rosji. Ale nie wolno dopuścić, by się przegrupowali w chwili lądowania aliantów. W przeciwnym razie wszystko weźmie w łeb. Tu do działania musimy przystąpić my. Nękanie, sabotaż, wojna partyzancka... Oraz lotnictwo.

Urwał i zapatrzył się w przestrzeń.

— Nie żal panu RAF-u?

Odwrócił się do mnie z uśmiechem. Wiedziałem, że Blainville jest wspaniałym pilotem. Czuję, że jest mi wdzięczny za aluzję do jego prawdziwego zawodu.

— Czasem tak. Mimo wszystko to czystsza walka. Samolot przeciwko samolotowi i to samo niebo dla obojgu. W gruncie rzeczy wojna powinna być sztuką. Wygrywaliby najinteligentniejsi i najodważniejsi. Jak w powieściach Aleksandra Dumasa.

— Jesteśmy szpiegami, to romantyczne...

— Nie. To paskudne życie. Zobacz pan, Arthurze. Nie jesteśmy żołnierzami. Jesteśmy zabójcami... Proszę zważyć, że posługujemy się podstępem, wybiegiem, intrygą, całym tym arsenałem oszustwa. Oszustwo może być sztuką... Jak szachy. Albo poker. Ale u Dumasa szpiegowie nie są sympatyczni. Milady lub Mordred! Żadne dziecko nie marzy o tej roli. Wszystkie chcą być d'Artagnanami. Wolę siedzieć za sterami spitfire'a. Oto wielka gra!

— Kiedy pan wróci do Anglii, może pan znowu latać...

— Kiedy wrócę? Pańscy szefowie chcą, bym był tutaj. Wolą szpiegów niż pilotów. Może dlatego wygramy wojnę!

Pojechaliśmy w górę ulicy Montpensier, wzdłuż Palais-Royal, i riksza zatrzymała się przed jakąś bramą na ulicy Vivienne. Gdy do niej wchodziłem z walizką w ręku, przeczytałem na złoczonej tabliczce: „Jazz Club de France”. W podwórzu zobaczyłem przysadzisty budynek, z którego płynęły ciepłe dźwięki saksofonu.

— Prosper często się tu umawia — wyjaśnił Blainville — to dobra przykrywka. Młodzi ludzie wszelakiego autoramentu przychodzą tu muzykować.

Przechodząc przez drzwi, niechcący potrąciłem młodego człowieka, który wychodził z klubu.

— Przepraszam — rzekłem.

— Proszę uważać. Nie jest pan przecież Niemcem! Chłopak był przedziwnie uczesany, z długimi włosami na karku, falami na skroniach. Miał biały, bardzo wysoki kołnierzyk, za długą marynarkę, za krótkie spodnie, a w rękę trzymał parasol podobny do tego, jakiego używał niesławnej pamięci Neville Chamberlain.

— Proszę się nie niepokoić — rzekł Blainville, pociągając mnie do środka, do holu ozdobionego wielkim afiszem, na którym widniała wybrylantynowana koafiura i cienkie wąsiki Django Reinhardta. — To zazoul

— Zazou?

— Jeden z tych młodych idiotów, którzy z lubością drwią ze wszystkiego, przede wszystkim z wojny. Słuchają jazzu, noszą za krótkie lub za długie ubrania i spędzają życie w kawiarniach.

— Nie są przeciwko Niemcom?

— Nie, twierdzą, że są apolityczni. Są raczej zwolennikami Marszałka. Często ich tu spotykam, przychodzą, jak się to mówi, dla swinga.

— Ale swing jest amerykański...

— Tak, to jedyna rzecz, jaka jest w nich sympatyczna! Doszliśmy do końca korytarza, do drzwi, nad którymi paliła się czerwona lampka. Jazz Club de France był mekką francuskiego jazzu. W jego siedzibie mieściła się sala widowiskowa i studia nagrań. Nie zwracając uwagi na lampkę, która sygnalizowała, że odbywa się nagranie, Blainville zastukał w umówiony sposób. Ktoś przekręcił klucz, drzwi się otworzyły i ukazała się w nich figlarna twarz. Był to Derek Darbois, mój kursant z Arisaig. Był rozpromieniony. Chwycił moją rękę i zgodnie z angielskim zwyczajem długo nią potrzasał.

— John! Jakże się cieszę, że pana widzę!

— Derek, to pan tu jest! Powiedziano mi, że dostał pan jakąś misję. Nie wiedziałem, że wysłano pana do Prospera!

Zza pleców Darbois odezwał się jakiś głos:

— Dzień dobry, Arthurze, zjawia się pan w samą porę! Właśnie o panu mówiliśmy!

Zobaczyłem młodego, wysokiego, chudego mężczyznę. Miał bladą cerę i proste włosy pokrywające czaszkę, ale wygolone wokół uszu; w pociągłej twarzy błękitne oczy lśniły gorączkowym blaskiem. Uśmiechał się szeroko, wyciągając do mnie wąską, drżącą dłoń. Wygląd Prospera odpowiadał jego reputacji: można by rzec, że to rycerz z powieści Waltera Scotta, namiętny i romantyczny. Zwracając się do mnie moim pseudonimem, przypominał nam o zasadach bezpieczeństwa. Darbois spojrział na niego zmieszany. On sam przybrał pseudonim Oskar na cześć swego mistrza Oskara Wilde'a. Od tego dnia był dla mnie tylko Oskarem, moim odważnym skoczkiem spadochronowym.

W studiu siedzieli przy stole jeszcze dwaj mężczyźni. W głębi wyciszonej sali, przed szybą, za którą widniała konsola do nagrywania, ze srebrzystych metalowych wsporników zwisały mikrofony. Ale na stole przed przyjaciółmi Prospera nie leżały saksofony czy klarnety. Były tam trzy rewolwery, dwa pistolety maszynowe sten i dziwny pistolet składający się z szerokiej metalowej rury, do której była przymocowana mała kolba i prymitywny cyngiel ze zwyczajnego drutu. Prosper przedstawił mi ich:

— Vienet i Kerleven.

Vienet wyciągnął do mnie rękę nad stołem. Był to człowiek mniej więcej czterdziestoletni; w jego wypomadowanych włosach dostrzegłem przedziałek, dyskretnie pomalowany na brązowo, jaki można by zobaczyć w filmie Renoira Reguła gry. Szyję miał owiązaną jedwabną chustką, z kieszonki lnianej marynarki wystawała niepasująca do niej chusteczka. Afektowanym gestem zaciągał się dymem z długich papierosów z żółtym filtrem, które wyjmował z metalowej grawerowanej papierošnicy. Wąsaty, sangwiniczny Kerleven, ubrany w zmięty niebieski garnitur i wątpliwej czystości koszulę, skinął mi głową.

— Czy możemy wrócić do naszej dyskusji? — powiedział niecierpliwie.

— Jeśli pan chce — rzekł Vienet. — Powtarzam, że jestem przeciwny tej operacji.

— Ale przecież Jagon jest zdrajcą! — zareplikował Kerleven. — Wykonanie na nim wyroku będzie wymierzeniem sprawiedliwości, wszyscy to wiecie! Jego wypowiedzi w Radio-Paris zioną jadem. Jego przemówienia są warte tyle, co kilka dywizji. To drugi w kolejności po Lavalu najbardziej znany francuski kolaborant! Jeśli go zabijemy, Ruch Oporu udowodni swoją siłę, a Vichy zainkasuje straszliwy cios!...

Po pewnym czasie zrozumiałem, że człowiek zwany przez nich „Jagonem” nosi inne nazwisko, które nie padło ze względów bezpieczeństwa.

— Zlikwidowanie go spowoduje śmierć dziesiątków zakładników — uciął Vienet. — Vichy, milicja, a nawet Niemcy tego nie darują. Rozstrzelają co najmniej pięćdziesięciu niewinnych ludzi.

Odwrócił się do Prospera i dodał:

— Kiedy wasze służby zlikwidowały Heydricha, spacyfikowali całe wsie.

Rok wcześniej, w Pradze, komando SOE wrzuciło dwa granaty do odkrytego samochodu, którym jechał człowiek numer dwa w SS, adiutant Himmlera, Reinhard Heydrich. Naziści przystąpili do masowych represji. Wioskę, którą podejrzewali o przyjęcie angielskich spadochroniarzy, otoczono i doszczętnie spalono wraz ze wszystkimi mieszkańcami. W sumie zamordowano kilka tysięcy cywilów. Prosper pominął tę kwestię milczeniem.

Kerleven mówił dalej:

— Prowadzimy wojnę, Vienet! Nie my zabijamy zakładników, ale naziści. Chcą nas zmusić do zaprzestania działań. Jeśli będziemy myśleli o losie cywilów, nic nie zrobimy. Zresztą powiedzmy sobie szczerze, jesteście przecież we własnym gronie: zbrodnie Niemców są wodą na nasz młyn. Odcinają ich od ludności i ułatwiają nam rekrutację.

— Oto prawdziwie komunistyczne rozumowanie! — krzyknął wyprowadzony z równowagi Vienet. — Jesteście naprawdę gotowi na wszystko. Ja trzymam się instrukcji wolnej Francji. Każą mi przygotować lądowanie. Więc to robię. Szpiegowanie, sabotaż, organizowanie, oto nasza praca! Mordowanie na oślep to nie dla nas! Prawda jest taka, że wasza partia chce przejąć władzę nad całym Ruchem Oporu. Dlatego przelicytowujecie innych.

— To nie jest mordowanie na oślep — odpalił Kerleven. — A nasza partia walczy z Niemcami na wszelkie możliwe sposoby. Właśnie to nie podoba się gaullistom. Jesteście kunktatorami, Vienet, taka jest prawda!

Atmosfera stawała się coraz gorętsza. Prosper podniósł rękę.

— Panowie! Zbyt długo już pracujemy razem, by dochodziło do takich scysji! Ci, którzy chcą podzielić Ruch Oporu, pracują dla nazistów. Powtarzam: nie interesują mnie wasze poglądy polityczne. Jestem z tymi, którzy zabijają Niemców. To ludzie z Anglii. Koniec, kropka. W każdym razie broń mam ja. A oto moje zdanie: sądzę, że tym razem rację ma Kerleven. Nadszedł czas, by przejść do kolejnego etapu. Arthur przyjechał z Londynu. Może wam potwierdzić, że do lądowania jest coraz bliżej. Nie możemy spędzać dni na smarowaniu pistoletów maszynowych, aby były gotowe na D day. Musimy działać. To opinia Londynu i opinia aliantów.

Odwrócił się do mnie. Potwierdziłem ruchem głowy. Miałem w pamięci to, co usłyszałem od Buckmastera i Bodingtona. Najwidoczniej przekazali instrukcje. Prosper podjął:

— Proponuję przeprowadzić operację Jagon. Ten łajdak jest symbolem. Mimo wszystko nie będzie pan po nim płakał, Vienet?

Vienet usiłował nie stracić panowania nad sobą.

— Oczywiście, że nie! Niech pan da spokój, Prosper! Przecież to dyskusja strategiczna. Powiedziałem, co myślę. Ale jeśli dostał pan rozkazy, niech pan robi, jak pan chce. Jestem przekonany, że naszym zadaniem jest przygotowanie powstania. To linia rządu w Algierze. Linia generała de Gaulle'a. A więc moja.

— Nie możecie stać z boku, René — powiedział Prosper nagle przyjacielskim tonem. — Potrzebujemy was. Waszych kontaktów, waszych ludzi. Dam wam

dwóch zawodowców, są tutaj. Dam wam broń, jest tutaj. Ale musicie wykonać swoją część roboty.

— Nie wezmę udziału w tej akcji — powiedział sucho Vienet.

— Załatwimy to sami! — powiedział Kerleven. — Niech się pan nie boi! Nie potrzebujemy waszych sutenerów z Pigalle! Mamy dość własnych ludzi!

— Nie ma mowy — odparował Vienet. — Wasza partia nie dostąpi tego zaszczytu. Dam wam swoich ludzi. Może to sutenerzy, ale znają się na robocie. Tego nie można im odmówić! Osobiście nie wezmę w tym udziału, jestem przeciw. Ale nie zrobię wam tej przyjemności, że załatwicie to sami...

— Świetnie — przerwał Prosper — a więc doszliśmy do porozumienia. Rekapitułuję. Vienet przekazuje nam informacje przez swój kontakt. Daje nam sześciu ludzi, trzech do komanda, które wejdzie do środka, trzech do osłony. I dwóch szoferów. Dołączymy do nich ludzi Kerlevena i dwóch naszych przyjaciół, Arthura i Oskara. Ale nasz plan uległ pewnej zmianie. Nie zabijemy Jagona. Porwiemy go. Aby postawić go przed sądem.

— Chyba pan zwariował! — rzucił Kerleven po chwili zdumienia. — Komplikuje pan operację. Porwanie tego człowieka to rzecz o wiele za trudna. Będzie się szarpał. Ściągnie pan na wszystkich niebezpieczeństwo.

— He, he! — rzucił Vienet. — Oto powraca linia partii. Morderstwo albo nic! Mordujcie! Mordujcie! Oto wasza biblia!

Prosper nie zauważył sarkazmu. Ciągnął:

— Jeśli będzie się opierał, zlikwidujecie go. Najważniejsze jest bezpieczeństwo. Ale wyobraźcie sobie, jakie reperkusje będzie miała ta operacja, jeśli uda nam się go porwać! Postaramy się wysłać go do Londynu. Pomyślcie, jakie miny będą mieli ludzie Vichy? No i pozwoli to uniknąć problemu zakładników. Trzeba spróbować...

Prosper zaimponował mi. Jego rozumowanie było bezbłędne, nawet jeśli zwiększało ryzyko. Dwaj pozostali uczestnicy spotkania wysuwali wprawdzie jakieś argumenty, ale potem przyłączyli się do jego opinii. Prosper ponownie zabrał głos:

— Ostatnia sprawa. Na tym stole leży broń, którą się posłużymy. Steny i rewolwery znacie. Znajdziecie je tam, gdzie zawsze. Ale ten pistolet to coś szczególnego. To welrod. Nie ma żadnego znaku fabrycznego. Został wyprodukowany specjalnie dla naszych służb. Oto jak działa!

Wziął do ręki grubą rurę z prymitywną kolbą, wstał i wycelował do pliku partytur leżących na małej szafce po lewej stronie studia. Na twarzach Oskara i Vieneta, którzy siedzieli naprzeciwko mnie, zobaczyłem napięcie w oczekiwaniu na huk wystrzału. Prosper nacisnął na spust. Pistolet podskoczył, ale usłyszeliśmy tylko głuchy dźwięk, taki jaki robi młotek uderzający w rurę.

— To pistolet z tłumikiem! — powiedział, śmiejąc się. — Niezły, co?

Uśmiechaliśmy się, kiedy Prosper podszedł do pliku partytur, pochylił się i z poszarpanego papieru wyciągnął pocisk.

— Kaliber siedem sześćdziesiąt pięć, dziewięć możliwych strzałów po każdorazowym przeładowaniu, o tak. Idealny do delikatnych operacji!

Podał broń Vienetowi.

— To prezent od brytyjskiej armii. Teraz, René, nie może nam pan niczego odmówić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Prawie natychmiast go zauważyłem. Na placu Komedii Francuskiej wsiadł do rikszy tuż za mną. Podświadomie odnotowałem to w pamięci. Teraz jechał jakieś sto metrów za nami. Aż do ulicy de Rivoli nie działo się nic podejrzanego. Dwie riksze jadące jedna za drugą w stronę placu Zgody: cóż bardziej banalnego? Kiedy jednak poprosiłem rikszarza, by skręcił w lewo na most Ludwika Filipa, pojechał nabrzeżem Woltera, a potem wrócił na prawy brzeg mostem Zgody — co było bezsensowne, chyba że taką trasę zamówił jakiś turysta — tamten pojechał za nami. Kiedy dotarliśmy do Pól Elizejskich, zapłaciłem riksarzowi i spokojnie, z walizką w ręku, poszedłem w stronę Łuku Triumfalnego boczną, wysadzaną drzewami alejką. Człowiek zatrzymał się sto metrów przede mną; on także zapłacił i usiadł na ławce. Czy to możliwe? Już pierwszego dnia ktoś mnie śledzi?

Złamałem zasadę Philby'ego: zachowywać się normalnie. Jednak pomyślałem, że na uparte go obrona przeze mnie trasa może odpowiadać mojej przykrywce. Aby usprawiedliwić odrobinę akcentu, jaki miałem, SOE wyposażyło mnie bowiem w belgijskie dokumenty. Byłem przedstawicielem fabryki maszyn do pisania z Antwerpii. Profesja ta pasowała do dziennikarskiego zawodu, który dawniej uprawiałem. Umiałem posługiwać się maszyną do pisania i reperować ją, rozprawiać o różnych modelach, dyskutować o nowych technikach. A belgijski przedstawiciel handlowy taki jak ja mógł włóczyć się bez celu po Paryżu, by skorzystać z długiego czerwcowego wieczoru, gdy nad miastem z wolna zapada zmrok.

Po spotkaniu w klubie jazzowym poszliśmy na kolację do Ogrodów Palais-Royal, przy końcu ulicy Vivienne. Dwójkami — Darbois i ja, Vienet i Blainville oraz Prosper z Andrée Borrel, energiczną, uczesaną w koński ogon brunetką o otwartej twarzy, która była jego łączniczką, a zarazem towarzyszką życia — udaliśmy się do restauracji na rogu kolumnady wokół ogrodów, zbudowanej ongiś przez diuka Orleanu, przed którą pamiętnego 14 lipca Kamil Desmoulins przemawiał do tłumów. Wszyscy wpatrywaliśmy się w ulicę Vivienne, pusta w tej części i łatwą do prowadzenia obserwacji. Byłem pewien, że nikt nas nie śledzi.

W restauracji czekał na nas ktoś jeszcze. Był to Gilbert Norman, radiotelegrafista, człowiek o spojrzeniu jeszcze bardziej rozgorączkowanym niż spojrzenie Prospera i bladych wargach pod małym czarnym wąsikiem. Ten facet musi się bać, powiedziałem sobie w duchu, to oczywiste, zżera go strach. Poczulem lekki niepokój, ale szybko o nim zapomniałem. Zajął się nami jowialny właściciel restauracji, który najwidoczniej znał Prospera. „Oto klub Marszałka!” — powiedział bardzo głośno i uśmiechnął się od ucha do ucha. Posadził nas na tarasie

pod drzewami, naprzeciwko hałaśliwego stołu, przy którym sześciu niemieckich oficerów piło szampana. Przyniósł butelkę burgunda, którego lubił Prosper, i rzucił: „Jeszcze jedna butelka, której nie dostaną Anglicy!”. Przeraziłem się. Prosper był profesjonalistą. Jak mógł popełnić taką nieostrożność: zostać stałym bywalcem restauracji zaopatrującej się na czarnym rynku, z pewnością obserwowanej, i dopuścić, by właściciel domyślił się, czym się zajmuje? W trakcie posiłku restaurator przeszedł sam siebie. Podając okazałą kaczkę w pomarańczach, powiedział donośnym głosem: „A teraz główne danie!” *

* Nieprzetłumaczalna gra słów: *piat de resistance* — główne danie, *resistance* — Ruch Oporu.

Ponieważ tylko ja się nie roześmiałem, Prosper nachylił się ku mnie i rzekł:

— Rozumie pan, jesteśmy w Paryżu od prawie dwóch lat. Musimy się czasem odprężyć, inaczej nie wytrzymalibyśmy. Wydajemy dużo pieniędzy, ale to normalne. Agenci nie mogą prowadzić takiego trybu życia jak wszyscy. Gdyby korzystali tylko z kartek żywnościowych, nie mogliby się najeść do syta. Narażają się na ryzyko najróżniejszego rodzaju. Potrzebują czegoś w zamian. Żyjemy w luksusie, ale jutro może wylądujemy w jednej z sal tortur w alei Focha. Dlatego coś nam się należy. Poza tym drogie restauracje są bezpieczniejsze, niż się zdaje. Gestapowcom trudno sobie wyobrazić, że chodzimy w miejsca, gdzie roi się od Niemców. Szukają nas gdzie indziej.

— Jeśli jednak kogoś od nas złapią, wpadniemy wszyscy!

— Musimy mieć do siebie zaufanie. Nie sposób działać inaczej.

W tym momencie do restauracji wszedł brzuchaty siwiejący oficer SS, z uwieszoną u ramienia młodą kobietą w obcisłej sukni z niebieskiego jedwabiu. Patrzyłem z przerażeniem, jak Vienet wstaje, przechodzi przez taras i wita ich ceremonialnie. Esesman odpowiedział mu wymuszonym uśmiechem. „To Kieffer — powiedział Vienet, wracając do stolika. — Rzadko spotyka się równie antypatycznego osobnika”. Było to właściwe określenie. Kieffer był jednym z szefów paryskiego gestapo. Nadzorował krwawe przesłuchania w alei Focha i na ulicy Lauriston. Na widok Kieffera Blainville rzekł do Vieneta: „Powiedziano mi, że w Lyonie Niemcy aresztowali paru ważnych przywódców Ruchu Oporu...”. Vienet przyrzekł to sprawdzić. Był ważną postacią w spółce radioelektrycznej, która wytwarzała wszelkiego rodzaju precyzyjne urządzenia, od obrabiarek po aparaty radiotelegraficzne. Codziennie widywał się z Niemcami i pracował dla gaullistowskiego Ruchu Oporu. Z niezrozumiałych dla mnie względów zmontował swoją siatkę wspólnie z dwoma znanymi sutenerami z Pigalle. Osobnicy ci dostarczali mu malowniczych, niezwykle skutecznych żołnierzy, często Korsykańców lub Włochów. Pewna niewielka część przestępczego świata,

skupiona wokół Bonny'ego i Lafonta, dwóch szefów francuskiego gestapo, przystąpiła do kolaboracji. Ale większość, dla interesu lub z patriotyzmu, trzymała z Ruchem Oporu. W sumie ludzie z nizin społecznych kolaborowali mniej niż ludzie z wyższych sfer...

O ósmej skończyliśmy kolację, pożegnałem całe towarzystwo i poszedłem ulicą Valois w poszukiwaniu rikszy. Do godziny policyjnej zostały jeszcze dwie godziny, ale wołałem wcześniej wrócić do swego hotelu w XVII dzielnicy. Miałem za sobą bezsenną noc, pełną napięcia podróż, a bezpośrednio po niej zebranie dotyczące mojej pierwszej akcji we Francji. Zaczynał mnie morzyć sen.

Aż do momentu, gdy zdałem sobie sprawę, że jestem śledzony. A teraz szedłem w stronę placu Gwiazdy, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Musiałem pozbyć się ogona, nie wzbudzając podejrzeń, i zastanowić się, jakie należy wyciągnąć stąd wnioski. Byłem prawie pewien, że do chwili opuszczenia klubu jazzowego nikt mnie nie śledził: namierzono mnie dopiero po wyjściu z restauracji. Jednak stało się to już w dniu przyjazdu. Brawo! Rzeczywiście działo się coś złego w państwie Prospera.

Gdy minąłem rondo na Polach Elizejskich i przystanąłem przed sklepem ze słodyczami, na którego wystawie królował markiz z kartonu ubrany w czerwony frak i duży kapelusz z piórami, mogłem przyjrzeć się w szybie witryny śledzącemu mnie człowiekowi. Stał z obojętną miną dziesięć metrów ode mnie. Był to bardzo młody brunet uczesany „na dekownika”, jak mówili Francuzi (włosy odrzucone do tyłu, bardzo z czoła...); jasny garnitur z szerokimi klapami i lakierki wskazywały, że jest człowiekiem zamożnym. Niewątpliwie luksusowiec... Zatrzymał się przed kioskiem z gazetami i kupił *Je suis partout*. Szedłem dalej w stronę Łuku Triumfalnego, łamiąc sobie głowę, jak mu się wymknąć. Nie zdążyłem jeszcze obmyślić żadnej drogi ucieczki, nie znałem żadnego budynku z podwójnym wejściem, żadnej zbawczej uliczki.

Może wejść do metra? Za słabo się w nim orientowałem. Do jakiegoś muzeum? Sklepu? Były o tej porze zamknięte. A kino? Mój prześladowca szybko wezwałby posiłki, by ktoś pilnował zarówno wejścia, jak wyjścia. Może zatem park publiczny? Jednak mogłem tam zbłądzić w jakichś krzakach lub labiryncie alejek. No i było to ryzykowne: natychmiast zobaczyłby mój manewr.

Na prawo zaczynał się pasaż Lido, skręciłem więc w niego z nadzieją, że wpadnie mi do głowy jakiś pomysł. Na drugim końcu pasażu, wzdłuż którego ciągnął się sznur zamkniętych luksusowych sklepów, było drugie wejście. Mógłbym tam pobiec i zniknąć w ulicy, która zaczynała się za nim. Ale szpicel zorientowałby się, że go zauważyłem. Postanowiłem więc trzymać się nauk Philby'ego. Zacząłem przechadzać się przed ciemnymi wystawami i intensywnie

myślałem. W wejściu do pasażu ukazał się mój gestapowiec. Oparł się o ścianę jednego ze sklepów i pograżył w lekturze gazety. Po prawej stronie pasażu ciągnęła się kolejka, w której można było zauważyć wielu Niemców. Było to wejście do Lido. Oficerowie przybyli w galowych mundurach w towarzystwie kobiet w wieczorowych sukniach. Przemieszali się z burzujami w ciemnych garniturach, którzy przyjechali na spektakl ze swymi połowicami. Dostrzegłem też kilka grup samotnych mężczyzn. Rozmawiali głośno, chichocząc.

Wtem nieco dalej, po prawej stronie, niemal na końcu pasażu, otworzyły się czarne drzwi. Ukazały się w nich dwie młode kobiety i ruszyły w moją stronę. Były niezbyt ładne, ale wysokie i zgrabne, miały na sobie lekkie sukienki i szły kołyszącym się krokiem w pantoflach na koturnach. Gdy podeszły bliżej, stwierdziłem, że są ode mnie o głowę wyższe. Zrozumiałem, że to tancerki, które wychodzą z music-hallu. Przepchnąłem się przez kolejkę i spytałem, czy są jeszcze bilety. Kwadrans później wyfraczony kelner posadził mnie w sali ze stiukowymi kolumnami, pod zapalonym kryształowym żyrandolem, przy stoliku na osiem osób między dwoma niemieckimi oficerami, siedzącymi w towarzystwie nieco wulgarnych dziewcząt. Udało mi się nie oddać w szatni walizki, tłumacząc, że „są w niej wszystkie moje próbki”. Reszty dokonał suty napiwek. Potem tuż przed podniesieniem kurtyny podszedłem do wejścia i wyjrzałem na zewnątrz. Mój anioł stróż w lakierkach stał w pasażu. Pewny siebie czekał na zakończenie spektaklu, wiedząc, że widzowie będą wychodzić tymi samymi drzwiami, co weszli. Musiał zasięgnąć u kogoś informacji. Podszedłem do kierownika sali.

— Czy można spotkać się z tancerkami po zakończeniu programu? — spytałem wesołym głosem.

— Och, nie, proszę pana, to absolutnie zakazane. Mrugnąłem porozumiewawczo i wskazałem na służbowe wejście, które zauważyłem, wchodząc.

— Są tam?

Podąłem mu drugi banknot, który włożył do kieszeni.

— Tak. Ale nie może pan tam wejść. Po spektaklu ktoś zawsze pilnuje drzwi.

Zawahał się, a potem szepnął:

— Jeśli pan chce, może pan poczekać na zewnątrz, w pasażu. Zobaczy pan czarne, nieoznakowane drzwi. Wychodzą tamtędy. Powodzenia!

Zacząła grać orkiestra. Wróciłem na salę i wsunąłem się na swoje miejsce przy stole. Panował półmrok. Podano szampana. Na scenie, przy wtórze muzyki o chińskim brzmieniu, tuzin dziewcząt tańczył na sposób pekińskich baletów, w dekoracjach przedstawiających pagody pod dziwnym różowym niebem. Tancerki miały orientalny makijaż i wysokie, skomplikowane koafiury. Ale ich jedwabne

tuniki sięgały połowy uda i odsłaniały długie nogi. Kiedy pochylały się w stronę sali, w dekoltach było widać piersi.

Zaczekałem cierpliwie na początek następnego numeru: wykonywali go zonglerzy otaczający amazonkę w tunice z lamparciej skóry i czarnych rajtuzach. Odsunąłem krzesło i schyliłem się do mego niemieckiego sąsiada:

— Schuldigung!

Nawet na mnie nie spojrział. Pochylony, trzymając walizkę w ręku, dotarłem w ciemnościach do końca sali. Potem przystanąłem i obserwowałem, co się dzieje. Żaden z kelnerów, którzy zaczynali krążyć między stolikami z pasztetem z gęsich wątróbek, nie widział mnie. Wszedłem na schody. Nikogo na nich nie było. Na półpiętrze nikt jeszcze nie pilnował służbowych drzwi. Otworzyłem je i w oparach potu i perfum poszedłem wzdłuż otwartych garderób. W głębi korytarza, nad wąskimi drzwiami, widniał napis „Wyjście ewakuacyjne”. Zbiegłem ze schodów, przeskakując po cztery stopnie naraz. Na parterze natknąłem się na metalowe drzwi, jakie widuje się przy wyjściu z kina; trzeba je pchnąć, by otworzyć, a zamykają się samoczynnie. Ostrożnie nacisnąłem na uchwyt. Drzwi uchyliły się i po obu stronach zawiasów zrobiła się szpara, przez którą mogłem patrzeć, sam nie będąc widzianym. Wyjrzałem na zewnątrz. Młody mężczyzna nadal tam był. Odwrócony do mnie plecami siedział niedbale na niskim stopniu przy wejściu do pasażu i w świetle witryny czytał gazetę. Po cichutku wyszedłem i przytrzymałem drzwi, by nie narobiły hałasu. Znalazłem się przy wyjściu przeciwległym do Pól Elizejskich. Zniknąłem za rogiem i szybko ruszyłem ku pierwszej prostopadłej ulicy. Byłem uratowany! Człowiek, który mnie śledził, będzie mnie szukał wśród wychodzących. Pozostawała nadzieja, że pomyśli, iż zgubił mnie w tłumie.

Pół godziny później, parę minut po godzinie policyjnej, wchodziłem po schodach mieszczańskiej kamienicy, którą SOE wyznaczyła mi jako awaryjne mieszkanie w Paryżu. Uznałem, że lepiej nie iść do hotelu w pobliżu placu Wagram, gdzie miałem zamieszkać. Fakt, że ktoś mnie śledzi, nie wróżył niczego dobrego, należało podwoić środki ostrożności. W gruncie rzeczy były dwa rozwiązania. Pierwsze: siatka Prospera została już całkowicie spalona w wyniku nieostrożności, które mnie zaniepokoiły w Ogrodach Palais-Royal. Może właściciel restauracji jest donosicielem i zawiadomił policję. Jeśli tak, to pewno śledzono mnie, by się dowiedzieć, kim jest nowy człowiek. Chcieli mnie wziąć pod nadzór, zidentyfikować, a dopiero potem zdecydować, co ze mną zrobić: zostawić na wolności i śledzić, by trafić po nitce do kłębka, czy też aresztować. Drugie: jeden z moich współbiesiadników był zdrajcą i to on zawiadomił gestapo, zanim wyszedłem z restauracji. W tym wypadku lista podejrzanych była krótka: Prosper,

jego towarzyszką Andrée Borrel, radiotelegrafistą Norman, Vienet, Blainville i Darbois.

Uważałem, że jest bardzo mało prawdopodobne, by zrobili to Prosper, Blainville i Darbois. Buckmaster i Bodington darzyli ich zaufaniem. A jeśli jeden z nich zdradził, to dlaczego siatka ciągle jeszcze działa? Gdyby któryś z nich trzech był zdrajcą, już dawno miałby czas, by ją zniszczyć. Natomiast z uwagi na swoje zażyłe stosunki z Niemcami bardzo podejrzany wydał mi się Vienet.

Czy w tej sytuacji należało robić zamach na człowieka, którego nazywali Jagonem? W pamięci stanęło mi zebranie w klubie jazzowym. Dyskutowano na nim tylko o tym, czy przeprowadzenie tej operacji jest słuszne, lecz poza dziwnym związkiem między komunistycznymi działaczami a sutenerami nie ustalono, jakie środki praktyczne zostaną w niej użyte. Mieliśmy jeszcze spotkać się z Prosperem, Kerlevenem i Vienetem, by omówić plan ataku. Podjąłem decyzję: najlepiej będzie zobaczyć się z Blainville'em. To człowiek pewny. Powiadomię go, że mnie śledzono. I razem coś postanowimy.

Kiedy pogrążony w myślach dotarłem na trzecie piętro, usłyszałem, że ktoś gra na pianinie. Zadzwoiłem. Melodia się urwała. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich młoda blondynka.

— Dobry wieczór — powiedziała, obrzucając mnie nieufnym spojrzeniem. — Czym mogę panu służyć?

— Dobry wieczór.

Patrzyłem na nią głupio. Powinienem powiedzieć umówione zdanie. Po przygodach minionego dnia wyleciało mi jednak z pamięci.

— Och... tak, już wiem! Taksówka się zepsuła...

Usłyszałem jasny, dźwięczny głos.

— Widzi pani! On także zapomniał hasła!

Była to Noor, która obserwowała mnie ironicznie zza drzwi salonu. Miała na sobie wąską, dopasowaną w talii spódnicę i białą, lekko wyrzucaną bluzkę, która podkreślała złotawy kolor jej rąk i szyi.

— Nie, nie zapomniałem! Taksówka zepsuła się przed hotelem Lutétia. Proszę bardzo!

— I pomogli panu Niemcy — odpowiedziała młoda blondynka, podając drugą część hasła. — Witam, jestem Renée Garry.

— Arthur.

— Proszę wejść. Zna pan Aurorę. A to mój brat Emil i moja przyszła bratowa Claire Nadaud. Słuchaliśmy, jak Aurora gra Ravela. Jest wspaniała!

Noor uśmiechnęła się, opuszczając oczy. Ciemna, szczupła, w białej bluzce, z czarnymi włosami opadającymi na ramiona, była piękniejsza niż kiedykolwiek. Nie odrywałem od niej oczu. Spojrzała na mnie z lekkim uśmiechem.

— Czy chce pan coś zjeść? — spytała Renée.

— Dziękuję, jestem po kolacji. Ale strasznie mi przykro, że przerwałem państwu koncert. Proszę grać dalej. Z przyjemnością posłucham Aurory.

— Nie — powiedziała. — Ma pan na pewno dużo rzeczy do opowiedzenia...

— Miał pan jakieś problemy? — spytał Emil.

— Owszem — powiedziałem szczerze. — Ktoś za mną szedł.

Był zdumiony. Zaraz zapytał z niepokojem:

— Aż pod nasz dom?

— Nie, nie, proszę się uspokoić. Zgubiłem go na Polach Elizejskich, udając, że idę do Lido. Inaczej nie przyszedłbym tutaj.

— Jest pan pewien? — spytała Renée.

— Tak, tak, proszę się nie obawiać.

— To świetnie — powiedział Emil. — To mieszkanie jest absolutnie bezpieczne. Tylko my troje o nim wiemy. Należy do naszej kuzynki, która wyjechała na Lazurowe Wybrzeże. Nie oddałem go do dyspozycji siatki. Wie o nim Londyn, a teraz wy dwoje. To wszystko. Ale jak mogli pana namierzyć już pierwszego dnia?

— Byliśmy z Prosperem w restauracji na terenie Palais-Royal. Facet przykleił się do mnie, zaraz gdy z niej wyszedłem. Był młody, na nogach miał lakierki...

— Jest pan pewien, że pana śledził?

— Tak, starałem mu się wymknąć. Ciągłe szedł za mną... Nie ma wątpliwości.

— Prosper jest bohaterem — rzekł Emil — ale często podejmuje bezsensowne ryzyko. Byłem kiedyś w tej restauracji. Właściciel wcale mi się nie podobał. Wychodząc, dobrze się rozejrzałem, czy nikt mnie nie śledzi. Za dobrze ich tam znają, to jakieś szaleństwo. Nigdy już nie przekroczyłem progu tego lokalu.

— Nie obawia się pan, że siatka jest spalona?

— Nie sądzę. Dawno by nas wszystkich aresztowali. Nie, muszą wiedzieć, że Prosper chodzi do tej restauracji. Ale nie mieli odwagi go śledzić: zauważyłby. Zaczęli śledzić pana, bo pomyśleli, że jest pan nowy i że się pan nie zorientuje... Tak mi się przynajmniej zdaje!

Wyciągnięte przez Emila Garry'ego wnioski wydawały mi się dość dyskusyjne. Zastanowię się nad tym z Blainville'em. Garry mówił dalej:

— Czy Prosper dał panu jakiś przydział? Dostał pan jakieś zadanie?

— Tak, na sobotę. Szczegółami mam się zająć jutro.

— Doskonale. Zamieszka pan tutaj. Oczywiście proszę się zachowywać z największą ostrożnością! W niedzielę pojedziemy do Adamowskich. Aurora musi

odebrać swoją radiostację. Na razie mamy tylko Normana, nie może podołać robocie.

— Tak. I jeśli mam być szczery, wydał mi się wykończony...

Garry rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

— Ma pan rację... Będzie tam Cowburn, pewno go pan zna... Cowburn był jedną z legend SOE. Zorganizował bardzo skuteczną siatkę sabotażową w Normandii.

— Słyszałem o nim. Mamy ze sobą współdziałać.

— Tak, nasze siatki często pracują razem w Normandii. Przygotowujemy dużą operację. Przyda się pan!

Gdy mówił, moje spojrzenie błędziło wokół Noor, obserwującej nas w milczeniu. Wpatrywała się w nas wielkimi czarnymi oczami i dosłownie chłoneła nasze słowa. Usiadła na brzegu kanapy, spódnica podciągnęła się jej powyżej kolan. Nagle spostrzegła, że na nią patrzę. Nieśmiało, niemal zmieszana, uśmiechnęła się do mnie ukradkiem, gdy słuchałem Emila, nie odrywając od niej oczu.

— Musi pan być bardzo zmęczony — powiedział Garry. — Pogadamy o tym jutro.

Spojrzał na zegarek.

— Jedenasta! Jestem pewien, że od wczoraj nie zmrużył pan oka.

Dziesięć minut później, kiedy wyszedłem z łazienki i skierowałem się do swego pokoju, Noor wyszła ze swego. Tym razem była w nocnej koszuli, boso, a w rękę trzymała kosmetyczkę.

— Dobranoc — powiedziałem, gdy znalazła się obok mnie. Wyciągnąłem do niej rękę. Ujęła ją, zawahała się chwilę,

potem pochyliła się do przodu, patrząc na mnie z prowokującym wyrazem twarzy. Pocałowałem ją w policzek, o ułamek sekundy za długo. Potem objąłem ją. Wówczas wysunęła się ze śmiechem z moich ramion. Stałem nieruchomo na środku korytarza. Otworzyła drzwi do łazienki i nim weszła, odwróciła się, uśmiechnęła szeroko, a potem znikła wolno, nie spuszczaając ze mnie oczu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Prosper miał rację: pistolety welrod z tłumikiem funkcjonowały dobrze. Culioli zbliżył się bez pośpiechu do pierwszego gliniarza stojącego przed bramą. Wyjął broń i strzelił z odległości dziesięciu kroków. Policjant upadł z westchnieniem. Stojąc dwadzieścia metrów dalej, na rogu ulicy de l'Université, i trzymając w spoconej dłoni swego stena, ledwo usłyszałem głuchy dźwięk welroda. Drugi policjant przechadzał się po chodniku nieco dalej. Kiedy zobaczył swego kolegę zwiniętego w kłębek na ziemi, rzucił się do ucieczki. Za późno. Beauchamp, nadchodzący od strony bulwaru, wpakował mu kulę w plecy. Chwilę potem wciągnęliśmy oba ciała na podwórze przy budynku. W ciemnej ulicy nikt niczego nie zauważył. Owej ciepłej czerwcowej nocy siedziba Delegatury do spraw Informacji była zupełnie cicha. Wszędzie panował spokój. Dwaj inni ludzie Vieneta, ubrani w mundury policji Vichy, zajęli miejsce zabitych. Przyrowadzeni przez Darbois trzej członkowie Wolnych Strzelców i Partyzantów wpadli na wartownię, unieszkodliwili czterech innych policjantów, którzy grali w karty, i przecięli przewody w centralce telefonicznej. Dowódcą pierwszej grupy był Culioli.

— Wchodzimy! — rzucił cicho.

Zanim zapadła ostateczna decyzja o przeprowadzeniu tej akcji, długo rozmawiałem z Blainville'em w jego bistrze na ulicy Gîte-Coeur. Uważnie wysłuchał mojej opowieści. Ciemny kosmyk spadał mu na czoło, a spojrzenie jego pięknych błękitnych oczu przeszywało mnie na wylot. Myślał na głos: zaczęto mnie śledzić w restauracji, i to należy przyjąć za punkt wyjścia. Człowiek, który za mną szedł, nie był specjalnie sprytny: to druga wskazówka.

— To działający rutynowo policjant — orzekł Blainville. — W przeciwnym razie nie zauważyłby go pan tak szybko. Trzeba omijać to miejsce. Ryzyko jest za duże. O Jazz Clubie nie wiedzą, w przeciwnym razie dawno zrobiliby tam rewizję. Zawiadomię Prospera. Nie wykryli siatki, inaczej siedzielibyśmy już w celach w alei Focha. Wszystko zaczęło się od restauracji, nie ma cienia wątpliwości!

Nazajutrz rano spotkaliśmy się z Prosperem. Zareagował zdecydowanie.

— Nie ma mowy, by nasza noga powstała jeszcze kiedyś w Ogrodach. Zmienię też melinę. Może mnie też śledzili. Andrée i Gilbert zrobią tak samo. Jeśli chodzi o Vieneta, jest wystarczająco mocny. Zawiadomię go, poradzi sobie. Czy pański przyjaciel Oskar ma bezpieczne schronienie?

— Tak — odpowiedziałem, myśląc o Darbois, tak pełnym entuzjazmu, tak gorliwym. — Nawet nie wiem, gdzie ono jest. Kryjówkę znalazł mu Londyn. Nie ma problemu... Ale czy w tych warunkach powinniśmy upierać się przy akcji na Foligny'ego?

Prosper zawahał się. Po długiej chwili milczenia powiedział:

— Siatka powstała po to, by działać. Ryzyko oczywiście istnieje. Ale już od dwóch lat żyjemy w ten sposób. Wiemy o tym. Nie, nie możemy dać się zastraszyć. Zrobimy to! Trudno...

W następną sobotę, dziesięć minut po północy zajęliśmy stanowiska przy ulicy Soîférino, dwa kroki od Sekwany, przed siedzibą Delegatury, gdzie pracował Jagon, który naprawdę nazywał się Philippe Foligny. Informacje Vieneta okazały się dobre. Foligny mieszkał z rodziną. Wychodził tylko w weekendy, by udać się na ulicę Cognac-Jay i nagrać tam swoje audycje dla Radio-Paris. Chodził również do pałacu Matignon konferować z ambasadorem Brinonem, reprezentującym Vichy w Paryżu, lub spotkać się przy ulicy de Lille z ambasadorem Ottonem Abetzem, który nadzorował prasę i życie intelektualne Francji z ramienia Niemiec.

Na białych kamiennych schodach, które pokonaliśmy biegiem, nikogo nie było, odgłos naszych kroków tłumiał brązowy dywan. Na piętrze drzemał przy stoliku woźny. Chwyciłem go za kołnierz i wpakowałem rnu lufę rewolweru w usta. „Masz milczeć!”. Spazmatycznie skinął głową, że nic nie robi. Gdy zamachowcy wzięli go, zapewniał o swym patriotyzmie. Droga była wolna.

Na końcu korytarza znajdowały się rzeźbione drewniane dwuskrzydłowe drzwi. Culioli otworzył je i pierwszy wpadłem do gabinetu. W głębi pokoju, za biurkiem z blatem pokrytym skórą, zobaczyłem Foligny'ego, którego twarz znałem z fotografii w gazetach. Pochylony nad blatem podpisywał listy. Gdy zobaczył mnie z wycelowanym w siebie rewolwerem, zmienił się na twarzy.

— Co... Co... Co to ma znaczyć? Oszalał pan! Podbiegłem do niego i przyłożyłem mu broń do brzucha.

— Nie ruszać się! Jest pan więźniem Ruchu Oporu. Pójdzie pan z nami. Nic panu nie zrobimy. Zostanie pan sprawiedliwie osądzony.

Foligny nie drgnął, ale w jego spojrzeniu zobaczyłem determinację. Był to człowiek około pięćdziesięcioletni, ubrany w czarny garnitur, włosy miał rzadkie i błyszczące, oczy ukryte za grubymi, szylkretowymi okularami. Duży, orli nos nadawał mu dostojny wygląd, ale szlachetny wyraz twarzy szpecił grymas wywiniętych do dołu warg. Ludzie Vieneta wtargnęli do gabinetu z wycelowanymi w niego pistoletami maszynowymi. Nagle usłyszeliśmy krzyk.

— Dość tego, bando morderców! Dość tego! Każemy was rozstrzelać! Na pomoc! Na pomoc!

Była to żona Foligny'ego. Kiedy wpadliśmy do gabinetu, czytała wyciągnięta na zielonej aksamitnej kanapie w głębi pokoju, więc nie mogliśmy jej widzieć. Wstała roztrzęsiona i wrzeszczała. Jej suknia powiewała, gdy szukała ręką zwisającego z sufitu sznurka od dzwonka. Culioli rzucił się na nią. Tymczasem Foligny wyniknął

mi się, okrążył biurko i szedł prosto na Beauchampa, który cofał się do drzwi wejściowych ze skierowanym przed siebie stenem.

— Dajcie spokój — mówił Foligny — to jakieś szaleństwo! Nie wiecie, co robicie. Proszę mi oddać broń. Pozwolę wam spokojnie odejść...

— Niech się pan nie rusza — odpowiedział Beauchamp — bo będę strzelać. Uwaga.

Nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji, Foligny szedł naprzód zdecydowanym krokiem, podczas gdy jego żona wyła wniebogłosy.

— Stój! Stój! — krzyczał Beauchamp. — Bo będę strzelać! Wydawało się, że Foligny nie słyszy. Patrzył śmiało, wyciągnął rękę, niemal się uśmiechał.

— Dajcie spokój! To szaleństwo. Budynek jest strzeżony. Proszę mi oddać broń: Pozwolę wam spokojnie odejść...

— Stać! — wrzasnął Beauchamp.

Padła salwa. Na szlafroku Foligny'ego pojawiły się czerwone bryzgi. Wolno osunął się na ziemię z wyciągniętą do przodu ręką. Jego czaszka uderzyła o dywan. Okulary spadły na bok, a żona rannego krzyknęła histerycznie. Culioli podszedł do Foligny'ego i wpakował mu kulę w kark. Leżące ciało drgnęło.

— Zmywamy się. Szybko!

— Łajdaki! — krzyczała pani Foligny. — Łajdaki! Mordercy!

Culioli walnął ją kolbą i zamilkła. Zaczekałem, aż wszyscy wyjdą, a w gabinecie zostanie tylko trup i kobieta. Znowu krzyczała. W chwili, gdy miałem dołączyć do reszty, za biurkiem Foligny'ego zobaczyłem otwarte drzwi. Na progu stało bez ruchu dwoje dzieci, chłopczyk i starsza od niego dziewczynka, obydwój w piżamach, i patrzyli szeroko rozwartymi oczami.

Zamordowanie Foligny'ego narobiło piekielnego hałasu. Bez trudu wycofaliśmy się, jedni samochodem, inni pieszo, wzdłuż Sekwany. Pobiegłem z Culiolim na nabrzeże i doczekaliśmy końca godziny policyjnej pod mostem Aleksandra III. Do świtu przesiedzieliśmy wśród stalowych belek podtrzymujących pomost. O piątej, ukrywszy pod płaszczem rozłożone steny, ruszyliśmy kolejno do stacji metra przy moście Grenelle. Ekipa zmontowana przez Prospera rzeczywiście zademonstrowała swą skuteczność. Informacje dostarczone przez Vieneta były znakomite, a wykonawcy dali dowód zimnej krwi. Albo prawie. Foligny okazał się zbyt odważny. Gazety kolaboracyjne kładły nacisk na opór (umyślnie użyto tego słowa), jaki stawiał Foligny, i na barbarzyńskie postępowanie komanda, które zabiło go na oczach żony i dzieci. Wszędzie rzucano oskarżenia pod adresem „terrorystów” i Anglii. W gruncie rzeczy oba oskarżenia były uzasadnione. Obiekcje Vieneta były słuszne. Zamordowanie Foligny'ego, zwykłego radiowego komentatora, który nikogo nie zabił, świadczyło o determinacji Ruchu Oporu, ale moralnie nie

przynosiło mu zaszczytu. Aż do końca wojny morderstwo to pozostało jednym z głównych tematów propagandy Vichy. Niemcy nie wykonali żadnej akcji odwetowej — mścili się tylko wtedy, gdy tracili jednego ze swoich. Pozwolili, by całą sprawą zajęła się milicja, oddział paralelnej policji zmontowany przez Darnanda, zacieklego zwolennika kolaboracji. Te bydlaki w mundurach i beretach baskijskich na głowie szalały w całej Francji. W Paryżu i w Lyonie członkowie milicji rozstrzelali dziesiątki więźniów, których wyciągali z cel przy błogosławieństwie władz okupacyjnych.

Ale Kerleven, który optował za likwidacją Foligny'ego, triumfował. Z politycznego punktu widzenia wściekła reakcja milicji kompensowała, a nawet przewyższała negatywny skutek tego nocnego morderstwa. Pogrzeb Foligny'ego odbył się z wielką pompą, uczestniczył w nim Lavai i cały rząd. Odczytano list od Pétaina. Zazwyczaj Vichy potępiało branie zakładników, przede wszystkim kiedy robili to Niemcy. Tym razem rząd pozwolił milicji posłużyć się środkami, które potępiał w wykonaniu nazistów. Vichy zostało nagle zmuszone do pokazania oblicza pełnego nienawiści. Pétain nie był już tarczą Francuzów. Był mściwym protagonista w wojnie domowej. „Podpalić Europę”, powiedział Churchill. Zamordowanie Foligny'ego było zgodne z tą instrukcją. SOE spełniło swój obowiązek. Nie czułem wyrzutów sumienia.

Gnębiła mnie jedna myśl. Pozornie siatka Prospera była nadal bezpieczna. Fakt, że mnie śledzono, niczego nie zmienił: mogliśmy zlikwidować w sercu Paryża powszechnie znanego kolaboranta bez żadnych strat własnych. Jednak zanim postanowiliśmy dokonać zamachu przy ulicy Solferino, zamierzaliśmy zabić Foligny'ego w Vésinet, w jego domu nad Sekwaną, dokąd wyjeżdżał na weekendy. Po przeprowadzeniu rekonesansu zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Posiadłości strzegły na zmianę trzy policyjne samochody. Przed wejściem zobaczyliśmy zasieki z drutu kolczastego, który gęsto rozciągnięto także na ogrodzeniu. W środku dom musiał być strzeżony równie pilnie. Razem z Culiolim przeszliśmy się po najbliższej okolicy. O żadnym porwaniu nie mogło być mowy. Mieliśmy już się zbierać, gdy coś mnie tknęło. Wszedłem do piekarni na końcu ulicy, przy której mieszkał Foligny. Podąłem swoje kartki żywnościowe i kupiłem funt czarnego chleba. Płacąc, powiedziałem obojętnie:

— No wie pan, ale tu u was roi się od glin!

— Tak, to przez tego faceta z Radio-Paris. Wie pan, „Radio-Paris kłamie...” — dodał, mrugnawszy do mnie porozumiewawczo.

BBC codziennie nadawało pastisz La Cucaracha, w którym były słowa: „Radio-Paris łże, Radio-Paris łże, Radio-Paris jest niemieckie!”.

— Od dawna tak go pilnują?

— O tak! Od kiedy mówi przez radio. Chociaż druty kolczaste pojawiły się dopiero wczoraj.

Wróciłem do Paryża pogrążony w myślach. Zbieg okoliczności? A może policja już wie, że na Foligny'ego szykuje się zamach? Jeśli tak, to dlaczego nie podwoiła również ochrony przy ulicy Solferino? Być może nie sądziła, że do ataku może dojść w siedzibie Delegatury, dwa kroki od ambasady niemieckiej, w dzielnicy naszpikowanej policjantami strzegącymi ważnych budynków i niemieckimi żołnierzami. Wzmocniła ochronę w Vesinet. A to zmieniało wszystko...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Noor trzymała w ręce tomik wierszy, a obok niej leżał gruby, szkolny zeszyt. Na okładce, ozdobionej pastelową grawiurą, można było przeczytać: „Arthur Rimbaud, Dzieła wszystkie”.

— Widzi pan — powiedziała, idąc za moim spojrzeniem — jestem otoczona mężczyznami o imieniu Arthur...

Siedziała tyłem do światła i uśmiechała się, a ja przez szybę wagonu patrzyłem, jak za jej plecami przepływają krajobrazy.

— Tak, ale ja nie jestem poetą. Jestem mordercą.

— Jest pan żołnierzem, nie mordercą. Jest pan na to za sympatyczny.

— Nie jestem sympatyczny, Auroro.

— Ależ jest pan, jest!

Kiedy się śmiała, w jej czarnych oczach zapalał się płomień. Od czasu do czasu zza jakiegoś budynku czy kolejowego nasypu wychodziło słońce i oświetlało ją. Z cienia wyłaniała się wówczas jej delikatna twarz. Przez cienką bluzkę prześwitywał biały stanik i płaski brązowy brzuch.

Byliśmy sami w przedziale pociągu do Wersalu i siedzieliśmy obok siebie, zwrócenii twarzą do kierunku jazdy. Niczym dwoje nowożeńców, którzy wybrali się do rodziny, jechaliśmy na niedzielny obiad do państwa Adamowskich. Profesor Adamowski uczył w szkole ogrodniczej w Viroflay, dającej przykrywkę niektórym działaniom siatki Prospera. Lubił przyjmować przyjaciół w niedzielę burgundem i potrawką z królika ze szkolnej hodowli, która po wybuchu wojny zadziwiająco się rozrosła. Jeszcze raz podzieliłem się swymi wątpliwościami z rodzeństwem Garry. Kiedy odprowadzali nas na dworzec Saint-Lazare — sami pojechali do Viroflay samochodem, lepiej bowiem było unikać podróżowania w grupie — Emil uspokoił mnie, wysuwając te same argumenty co Prosper. „Wszyscy żyjemy w wielkim napięciu. Musimy się od czasu do czasu spotkać niezależnie od działań podejmowanych przez siatkę. Jest nam raźniej. Inaczej byłoby za ciężko...”. Zauważyłem, że gdyby Niemcy zastawili na nas pułapkę w Viroflay, za jednym zamachem rozwaliliby główną część siatki SOE we Francji. „Jeśli będziemy o tym myśleli, nic nie zrobimy...”. Ciągle to samo rozumowanie. Musiało być w nim coś z prawdy. Przyrzekłem sobie, że jeśli wrócę do Anglii, porozmawiam o tym z Philbym.

Minęliśmy dworzec w Conflans. Pokazałem palcem książkę, którą trzymała Noor.

— Lubi pani Rimbauda?

— Tak, bardzo. Ale nie dlatego wzięłam go ze sobą. Klucze mojego kodu opierają się na jego wierszach. Przede wszystkim na Sezonie w piekle. W sam raz na tę okazję, prawda? Adamowscy odebrali moją radiostację. Mam nadawać u nich. Wzięłam więc ze sobą swój zeszyt do transmisji.

W celu zachowania minimum bezpieczeństwa podwójna transpozycja zakładała częste zmiany w kodowaniu. Wiersze Rimbauda wskazywały kolejność, w jakiej trzeba wykonywać operacje. Gdzieś w Anglii jakaś deszyfranka ma tę samą książkę co Noor i według umówionego systemu będzie używała tych samych wierszy do dekodowania przekazywanych przez nią informacji.

Noor uśmiechała się. Podjęła umyślnie prowokującym tonem:

— Chociaż jeśli mam być szczerą, poematy hinduskie są lepsze od wierszy Rimbauda...

— Co takiego?! Ależ Rimbaud to coś zupełnie nadzwyczajnego. Nikt nie miał takiej inwencji, takiego wdzięku. Niech pani pomyśli, że kiedy pisał Statek pijany, nigdy nie widział morza. Znał je tylko z gawiur o tematyce morskiej, które posiadała biblioteka w Charleville. A jednak pisze o nim lepiej niż Byron.

— Czy czytał pan hinduską poezję?

— Nie.

— Prawdziwi poeci nie wyrażają siebie samych. To Bóg przez nich przemawia.

— Bóg?

— Tak, Bóg. Poezja jest jednym z ćwiczeń świadomości. Pozwala dojść do Boga.

Mówiła ze spokojną pewnością siebie. Moja krew człowieka niewierzącego wzburzyła się, ale tylko trochę.

— Ależ Rimbaud nie wierzył w Boga. Był po stronie Komuny Paryskiej, a Komuna rozstrzeliwała biskupów. Źle pani trafiła, to teoria zwolenników kropielnicy, moja droga. Rimbaud był geniuszem. Swoją sztukę czerpał z samego siebie. Nie z nieba!

— To nie jest teoria. Rimbaud był nawiedzony. Nie wiedział o tym, ale był nawiedzony. Gdyby o tym wiedział, byłby jeszcze większy. Jak indyjscy autorzy, których pan nie zna. Piszą pod boskie dyktando. Kiedy się ich czyta, jasno to widać.

— Bo pani też pisze...

Odwróciła się do mnie i spojrzała szeroko rozwartymi oczami.

— Skąd pan wie? Była wściekła.

— Przykro mi, Auroro, ale muszę pani coś wyznać. Znam pani dossier. Dali mi je w Arisaig.

— Prawda, jest pan przecież instruktorem... Przygryzła dolną wargę.

— Przyrzekli chronić moją rodzinę.

— Jest w Anglii...

— Tak, ale mój drugi brat, siostra i wujowie z dziećmi zostali we Francji. Jeśli gestapo ich złapie, nigdy nie będę mogła sobie wybaczyć...

Poczułem się dotknięty. Łagodnie wziąłem ją za rękę.

— Niech się pani nie niepokoi, Noor, niczego się nie dowiedzą. Jeśli mnie aresztują, nie będą mnie o to wypytywać. W każdym razie nic nie powiem...

— Tego nigdy z góry nie wiadomo. Tak mówił Philby, prawda? A pan zna moje nazwisko.

— Nosi pani piękne imię. Oznacza światło... Spojrzała na mnie. Jej oczy złagodniały.

— Niech pan nie zmienia tematu.

Znów mówiła weselszym tonem i mimo złości zaczęła się uśmiechać. Natychmiast zmiękłem. Nie mogłem się już powstrzymać, z bijącym sercem objąłem ją ramieniem. Odwróciła się do mnie, na jej twarzy widniał wyraz dobroci, który natychmiast znieawidziłem. Pocałowała mnie w policzek i powiedziała łagodniej:

— Nie, nie trzeba. Kiedyś panu wytłumaczę...

Szkoła ogrodnicza w Viroflay mieściła się w pokrytym czerwonym dachem budynku z piaskowca. Stał w parku pełnym różnorodnych drzew, otoczonym nieregularnym murem chroniącym uprawy. Wokół okien widniały motywy z czerwonej cegły, a w wielkiej szklarni na środku trawnika odbijało się południowe słońce. Weszliśmy przez kutą żelazną bramę, która nie była zamknięta, i ruszyliśmy krętą alejką wysypaną białym żwirem, zostawiającym pył na butach. Zabraliśmy do pociągu rowery i od Wersalu do Viroflay jechaliśmy na nich wśród ukrytych w zieleni podmiejskich domków. Teraz prowadziliśmy rowery alejką po chrzęszczącym żwirze. Po obu stronach alei rosły różnego gatunku drzewa i krzewy, których nazw nie znałem.

— Zauważył pan cyprysy? — spytała Noor.

— Tak, tak — odparłem niepewnie.

— Są tam — powiedziała Noor, wyciągając ramię. Mimo że jestem Brytyjczykiem, nie potrafiłem odróżnić cyprysu od lipy. Złożyłem tę ułomność na karb mojej miłości do morza, która trzymała mnie z dala od spraw związanych z lądem. Rozśmieszyło to Noor.

— Jest pan przesadnym racjonalistą, John. To pana wada. Jedno albo drugie. Białe albo czarne. Morze albo ziemia. Życie wcale nie jest takie. Jest bardziej skomplikowane!

Dotarliśmy do drzwi domu. Nim zdążyliśmy zadzwonić, na progu ukazała się tęga dama w kostiumie. Mówiła zdecydowanym głosem, wyraźnie artykułując wszystkie słowa.

— Dzień dobry, jestem H elene Adamowski. Proszę wejść! Mam przyjemno c z Arthurem i Aurorą?

Szła przed nami korytarzem, kt orego  ciany pokrywała odstająca gdzieniegdzie tapeta. Po obu stronach stały p olki z ksiązkami oprawionymi w wyblakłą sk orę. W g łebi zobaczyliśmy salon przedłużony obszerną werandą. Przy trzech  cianach stały szafy biblioteczne. Na kadej p olce była naklejona mała karteczka z poółkłego papieru. W jednym z rog w kr olował globus na mahoniowej podstawie i astronomiczna luneta zamontowana na duym miedzianym statywie. Po drugiej stronie pokoju, oddzielonej parawanem, stał fortepian. Koło harfy z malowanego drewna zobaczyliśmy wiolonczelę w futerale z wytartej sk ory. Na nasze powitanie podni sł się profesor Adamowski, wci nięty w za ciasny garnitur, z kroplami potu na kołnierzyku koszuli; był zaaferowany, niezręczny, ale za grubymi okularami kr otkowidza kryły się figlarne oczy.

— Ogromnie się cieszę, że was widzę. Przybywacie z daleka! Rozgo cicie się. Chyba prawie wszystkich znacie.

Wok ół werandy na ławeczkach i poduszkach siedzieli z kieliszkami w ręku Prosper, Norman, Andr ee Borrel, Blainville, Vieneti oraz Emil Garry z żoną i siostrą. Mężczyźni wstali, kiedy w drzwiach pojawiła się Noor. Obeszła zgromadzonych i przywitała się. Zauwayłem, że kady z nich obrzucił ją od st op do g łow dyskretnym spojrzeniem pe nym skrywanego podziwu. A w oczach Andr ee Borrel dostrzegłem odrobinę zazdrości... Z końca ławki podni sł się nieznany mi szczupły mężczyzna. Miał orli nos, a bardzo niskie brwi nadawały jego twarzy melancholijny wyraz, który szybko zmienił się pod wplywem serdecznego u miechu. Pociągłą twarz okalała k edzierzawa grzywa. M owił porywczym, a zarazem nieco sztucznym głosem.

— Witam panią. Nazywam się Cocteau.

Drgnąłem i spojrzałem na nieznajomego. Rzeczywi cie był to poeta. Oniemiałem. Nie miałem czasu opanować zdziwienia. Nasze wejście przerwało rozmowę, którą zaraz podjął Adamowski.

— Drogi Prosperze, Ruch Oporu popełnił błąd, zabijając Foligny'ego. Widzi pan, do czego to doprowadziło! Rozstrzelali dziesiątki os ob. Czy komuś moe się podobać, że na oczach dzieci zabija się ojca? To woda na młyn propagandy Vichy.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy Adamowscy wiedzą, że mordercy Foligny'ego siedzą przy ich niedzielnym stole. Szybko zrozumiałem, że nie. Mimo

czystego szaleństwa, jakim było to przyjacielskie zgromadzenie, Prosper przyjął zasadę niemieszania spraw. Odpowiedział:

— Toczy się wojna, profesorze. Jeśli kolaboranci chcą, by Ruch Oporu zostawił ich w spokoju, niech przestaną współpracować z okupantem. A jeśli Niemcy nie chcą, by ich zabijano, niech wracają do Niemiec!

— Tak, wiem. Ale mimo wszystko można wybierać broń, jaką się walczy. Wolni Strzelcy i Partyzanci są zbyt okrutni. Dyskredytują Ruch Oporu.

Głos zabrał Vienet:

— Komuniści nie walczą. Szykują się do przejęcia władzy. Nasz przyjaciel Prosper nie chce tego zrozumieć. Jest idealistą.

— Komuniści działają w różnych siatkach — odezwał się Blainville. — Zawsze zachowują się bohatersko.

— Zachowują się bohatersko od czerwca czterdziestego pierwszego roku — odparował Vienet. — Oto co mi w nich przeszkadza.

Ciągle nie mogąc wyjść ze zdziwienia, że poznałem Cocteau we własnej osobie, przypatrywałem mu się spod oka. Z uwagą śledził tę wymianę zdań. Widząc, że rozmowa przygasa, podtrzymał ją, rzucając impulsywnym tonem:

— Ale w gruncie rzeczy, co to znaczy być kolaborantem? Zapadła cisza. Fałszywa naiwność tego pytania wprawiała nas w zakłopotanie. Jedni palili papierosy, inni sączyli swoje porto. Jako dobra gospodyni wtrąciła się Hélène:

— Co chce pan przez to powiedzieć, Jean? Przecież wie pan, że to ludzie, których nie szanujemy i którzy pracują dla Niemców.

— Ale ja cały czas spotykam się z Niemcami. Abetz ciągle zaprasza mnie do ambasady. Czy jestem kolaborantem?

Vienet odpowiedział mu nieco zbyt porywczo:

— Prawdę mówiąc, drogi Jeanie, mógłby pan dać sobie z tym spokój. Niczym pan nie ryzykuje.

— Za pierwszym i drugim razem wymówiłem się grypą. Ale nie mogę co tydzień mieć grypy! Życie nie może nagle się zatrzymać. Abetz jest czarujący, w każdym razie Paryż nie ma dla niego żadnych sekretów. Recytuje Mallarmégo z równą znajomością rzeczy jak Goethego. Zaczynam poznawać tych Niemców. Wiecie, że wielu z nich potępia ekscesy Hitlera. W niemieckiej armii sanie tylko naziści. Któregoś dnia Choltitz dał mi nawet do zrozumienia, że generałowie mogliby obalić Hitlera i zawrzeć pokój z Amerykanami. Ten Choltitz jest gubernatorem Paryża! To jest coś.

Vienet zdenerwował się:

— Daruje pan, drogi Jeanie, żywię najwyższy respekt dla literatury, ale wygaduje pan głupstwa! Naziści to barbarzyńcy. Bombardują miasta, zabijają cywilów, deportują Żydów...

— Wasi amerykańscy przyjaciele też bombardują miasta. Chyba bardziej niż Niemcy...

— Nie można tego porównywać. Prowadzą wojnę. Nadchodzi chwila, gdy trzeba będzie się opowiedzieć po którejś ze stron.

— Zatem istnieją słuszne bombardowania cywilów — powiedział Cocteau. — Zapamiętam to! Prawdę mówiąc, zupełnie nie znam się na polityce. Lepiej, bym robił to, co umiem, pisał sztuki teatralne i wiersze.

Zamilkł na chwilę, jakby szukając argumentów.

— Trzeba żyć — podjął — to jedyna zasada. Piekarz robi chleb, winiarz wino, poeta pisze wiersze. Nie lubię idei, mój drogi Vienet, wołę ludzi!

Widząc, że mówi zbyt serio i swymi paradoksami wprawia w zażenowanie pozostałych gości, Cocteau zmienił ton i dodał:

— Zwłaszcza młodych ludzi...

Wszyscy się roześmiali. Cocteau był znany ze swego jawnego homoseksualizmu, który doprowadzał do wściekłości burżujów i w dużej mierze tworzył jego legendę. Jednak mimo całego dowcipu poety straciłem dla niego szacunek. Rozczarował mnie swymi kunktatorskimi wywodami. Wtem z drugiego końca werandy doszedł nas cichy głos:

— Jeśli kocha pan poezję, nie może pan tak mówić.

Była to Noor. Nie zrozumiała aluzji ani nie wiedziała, dlaczego parsknęliśmy śmiechem. Włączyła się do dyskusji. Powiedziała spokojnie:

— Naziści chcą zabijać nie tylko ludzi. Palą książki. Pragną zabić ducha.

Cocteau wydawał się zdziwiony. W milczeniu obserwował Noor. Przez chwilę zdawało mi się, że ją podziwia. Jednym zdaniem obróciła wniwecz jego perorę. Poeta chciał wierzyć, że poezja sytuuje się ponad bitewnym zamętem. Ale wszyscy wiedzieliśmy, że nazizm zamierza ujarzmić kulturę. Hitler zagrażał poetom tak samo jak innym artystom. Neutralność kogoś takiego jak Cocteau okazała się tym, czym była: czczą wymówką. Wpatrywałem się w Noor z czułością i dumą.

— Młoda damo — powiedział Cocteau. — Składam przed panią broń. Ma pani rację... — Spojrzał przez okno roztargnionym wzrokiem. — W istocie — rzekł wolno — jestem poetą światowym. Wilde mówił, że socjalizm nie może się udać, bo zajmuje swym zwolennikom zbyt dużo wieczorów. Można to też odnieść do Ruchu Oporu... Nie umiałbym walczyć. I nie potrafiłbym żyć bez wielkiego świata. Oto cała prawda!

Patrzyliśmy na niego. Jego wyznanie poruszyło zgromadzonych. Zwrócił się do Héléne Adamowski, która obserwowała go z pochyloną głową i serdecznym uśmiechem.

— Droga Héléne, kiedy przybędą tu wasi amerykańscy przyjaciele, mam nadzieję, że się pani za mną wstawi!

— Wstawię się za panem, Jean, jeśli zrobi mi pan portret! Cocteau słynął również ze swych rysunków, które zazwyczaj podpisywał małą gwiazdką. W trzech kreskach obnażał duszę modela.

— Droga Héléne, aby zasłużyć na wybaczenie, wezmę się do rysowania zaraz po kawie!

Rozmowa przy posiłku skrzyła się dowcipem. Cocteau w olśniewający sposób mówił o paryskim życiu, nowych sztukach i filmach. Wychwalał Kruka, film Clouzota, który opowiada, jak życiem małej francuskiej wioski wstrząsnęła seria anonimów. Film był odbiciem atmosfery denuncjacji, zatruwającej codzienne życie Francuzów. „Oto prawdziwy akt oporu!”, mówił Cocteau. „To prawda”, odpowiedział Vienet, „wysadzanie w powietrze pociągów to fraszka”. Blainville zaoponował: „Niektórzy ludzie spędzają czas na donosicielstwie. Bohaterowie to ludzie na poły zdegenerowani. Takie właśnie mniemanie zgodnie z życzeniem Niemców powinni mieć o sobie Francuzi”. Cocteau odparował, że pokazywanie rzeczywistości nie oznacza jej aprobaty. Film jest szokujący, irytujący. Jego zdaniem właśnie odejście od akademizmu, odrzucenie konwencjonalnych uczuć jest aktem oporu.

— Wiem — powiedział Blainville. — Niektórzy uważają, że kolaborowanie to rzecz oryginalna i antykonformistyczna.

Nie mam na myśli pana, drogi Cocteau. Myślę o Drieu czy Brasillachu. Wydaje im się, że zachowują wolność, umykają konwencjom. Tymczasem to tylko zdrajcy, w gruncie rzeczy dość pospolici. Po wyzwoleniu rozstrzelamy ich.

— Chyba jednak nie będziecie rozstrzeliwać pisarzy! — wykrzyknął Cocteau.

— Dlaczego nie? — odezwał się Blainville. — Wojna dotyczy wszystkich. Pisarzy także. Przecież to oni powinni świecić przykładem. W walce jest pewne piękno. Niech pan popatrzy na Malraux. Jest pisarzem. Walczył w Hiszpanii. Oczywiście umie pilotować samolot...

— Jesteście dziś zbyt poważni — powiedziała Héléne Adamowski. — Znów rozmawiacie o polityce!

Podjęto więc inne tematy. Przy potrawce z królika, którą podano pośród okrzyków ukontentowania, poczułem niepokój. Noor siedziała między Vienetem i Blainville'em. Szef gaullistów i lotnik rywalizowali o jej względy. Obydwaj odznaczali się ową łatwością bycia mężczyzn przywykłych do odnoszenia

sukcesów u kobiet. Noor zaśmiewała się i jednemu lub drugiemu patrzyła głęboko w oczy. Kiedy Vienet nachylał się ku niej, brał jąlekko za nadgarstek. Blainville szeptał jej coś do ucha, kładąc ramię na oparciu jej krzesła. Wszystko to irytowało mnie w najwyższym stopniu. Na szczęście przeszliśmy na werandę, gdzie podano kawę. Usiadłem obok Noor.

— Dobrze się pani bawi — powiedziałem ze szczyptą urazy.

— Tak, wspaniale! — odpowiedziała ze śmiechem. Widząc, że Renée Garry wnosi kawę, szybko wstała. Brała filiżanki z tacy i stawiała przed gośćmi, a przy ruchu tym falowała jej sukienka. Renée znowu poszła po filiżanki. Noor zwróciła się do Cocteau:

— Pije pan z cukrem?

— Tak, proszę dwie kostki — powiedział poeta z szerokim uśmiechem.

Noor wzięła dwie kostki cukru, wrzuciła je do filiżanki, potem naląła kawę, przytrzymując pokrywkę dzbanka. Hélène

Adamowski obserwowała ją. Potem chwyciła Noor za rękę i usłyszałem, jak szepce tonem wyrzutu:

— Auroro, proszę uważać! Podaje pani kawę tak, jak robią to Anglicy. We Francji najpierw nalewa się kawę, a potem słodzi. Nie powiedziano wam tego?

— Tak, tak, ma pani rację, będę się pilnować.

Pięć minut później Cocteau wstał. Odciągnął Héléne Adamowski na bok i poprosił, by mu pozowała, siedząc w fotelu w stylu Ludwika XIII przed drzwiami balkonowymi. Jednocześnie Adamowski zwrócił się do Noor.

— Auroro, proszę pójść ze mną, chcę pokazać pani szklarnię. Zabrali ze sobą Normana. Poszli ustawić radiostację zrzuconą

poprzedniego dnia niedaleko stąd, na terenie wyznaczonym przez Blainville'a. Radiostacja Aurora zaczęła działać. Ponieważ grupa rozproszyła się, Prosper i Blainville zaproponowali mi spacer po parku.

Przyłączył się do nas Emil Garry. Szliśmy w słońcu alejką wysypaną białym żwirem.

— Widziałem się z Cowburnem — powiedział Prosper. — To ważna akcja. Lotnictwu ogromnie trudno zbombardować dworzec w Dreux. Niemcy świetnie go bronią. Bardzo wzmocnili obronę przeciwlotniczą; bomby spadają na robotniczą dzielnicę lub na miasto. Nigdy na tory. Prościej będzie zaatakować go z ziemi. Cowburn ma cały potrzebny materiał i ekipę sabotażową. Potrzebuje sprawdzonych ludzi do utworzenia grupy, która będzie ich ubezpieczała. Rozmieszczenie i podłączenie materiału wybuchowego trwa dwadzieścia minut. Przez ten czas trzeba ich osłaniać. Pojutrze macie się spotkać w Dreux w domu Cowburna. Ściślej mówiąc, w jego bazie operacyjnej. Jest doskonale zorganizowany, zobaczy pan.

— Przemyslałem to — wtrącił się Blainville — co mi pan powiedział o drutach kolczastych w Vésinet. Wzmocnili ochronę Foligny'ego, to oczywiste. Nie wierzyli, że ośmielimy się zaatakować go w Delegaturze, w centrum dzielnicy ambasad i ministerstw. Ale coś wyniuchali... A przecież o tej sprawie wiedzieli tylko nieliczni. To znaczy, były może jakieś przecieki ze strony Kerlevena albo Vieneta. Nie wiemy... Tym razem trzeba wzmocnić grupę ubezpieczającą.

— Nie wstrzymamy operacji dlatego, że były przecieki — rzekł Prosper. — Przeciwnie, rozkazano nam zintensyfikować działania. Po prostu musimy być ostrożniejsi. Przejrzycie plany razem z Cowburnem. Niech pan weźmie pod uwagę zwłaszcza to, co powiedział Blainville.

Na rowerach wróciliśmy z Noor do Wersalu. Pedalowała spokojnie w zachodzącym słońcu, a ja jechałem leniwie za nią, z głową w chmurach. Przytroczyła swoją radiostację do bagażnika. SOE zrzuciło jej dwie radiostacje. Druga została w szklarni u Adamowskich. Nie był to zbędny luksus. Operatorzy dysponujący tylko jedną radiostacją musieli się nieustannie przemieszczać, zabierając ją ze sobą. Z jednej strony, zmieniając miejsce nadawania, zmniejszali ryzyko, ale z drugiej zwiększali je, poruszając się ze swym sprzętem. Przy dwóch radiostacjach przemieszczanie się nie było tak niebezpieczne... Biorąc wiraż na stoku wzniesienia, znaleźliśmy się nad wersalskim lasem. Ciepłe światło pieściło listowie. Na horyzoncie rysował się w lekkiej mgiełce Paryż. Noor zatrzymała się, położyła rower i poszła na skraj pagórka ku miejscu, skąd otwierał się widok na stolicę. Widziałem jej postać odcinającą się na tle płonącego nieba. Podeszedłem do niej. Zadrżała. Objąłem ją i oboje patrzyliśmy w dal. Oparła głowę na moim ramieniu.

— Jedzie pan na akcję... — powiedziała.

— Tak, spędzę jakieś dwa, trzy dni na prowincji... W ciszy upłynęło kilka sekund.

— Wiem, że musi pan zabijać — podjęła. — Ale mimo wszystko proszę na siebie uważać.

— Jesteśmy zawodowcami — powiedziałem umyślnie uroczystym tonem.

— Tak. Ale niech pan wróci. Będziemy mogli porozmawiać o poezji...

Przytuliłem ją nieco za mocno. Pochyliłem się nad nią. Zobaczyłem, że po jej policzku spływa łza.

— Noor... — zacząłem.

Ale wymknęła mi się, szybkim krokiem podeszła do roweru i odjechała, nie oglądając się za siebie. Jechałem za nią bardzo zmieszany. Wieczorem, zasypiając w małym pokoiku u Garrych, powiedziałem sobie, że dzisiaj w lesie przeżyłem chwilę prawdziwego szczęścia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przecięty nożycami łańcuch bramy wjazdowej spadł z brzękiem na ziemię. Z mego posterunku obserwacyjnego na pierwszym piętrze hotelu Bocage ledwo go usłyszałem. Dworzec w Dreux, na który patrzyłem z okna, był cichy i ciemny. Widać było tylko błyszczące w świetle księżyca szyny: z lewej strony, z pół skąpanych w białej poświacie, dochodziło cykanie świerszczy. Daleko na prawo rozpoznałem ciemną bryłę lokomotywni. Od czasu do czasu mignął wąski, przerywany strumień światła latarek elektrycznych, którymi posługiwało się komando. Po mojej lewej stronie zagłębiała się w mrok łącząca centrum miasta z dworcem aleja Mangina, która prowadziła do wejścia dla pasażerów, przykrytego dużym szklanym dachem. Złożyłem się, jakbym mierzył z mego winchestera w ciemność, potem zostawiłem go na okiennym parapecie obok długiej cylindrycznej latarki w gumowej osłonie. Serce nie biło mi specjalnie szybko. Miałem tylko wilgotne dłonie, jak przed każdą akcją. Wybrałem narożny pokój z oknami na plac i aleję. Wynajęliśmy go z Darbois przed dwoma dniami. Teraz Darbois stał na podeście schodów ze staniem w rękę i przewieszoną przez ramię torbą z granatami. Panowała zupełna cisza. Trzej inni goście hotelowi spali. O pierwszej właściciele zamknęli drzwi wejściowe i też poszli się położyć. Za dwadzieścia minut zerwą się z łóżka na równe nogi.

Do Dreux przyjechałem trzy dni temu z Emilem Garry pociągiem z Paryża. Z dworca poszliśmy pieszo do Cowburna, szefa siatki Tinker, który często przeprowadzał wspólne akcje z Emilem i siatką Cinéma. Za pieniądze SOE kupił na północnym przedmieściu Dreux niewielki, oddalony od sąsiednich posesji domek, otoczony sadem z jabłonią i wysokim murem. Parter i pierwsze piętro były umeblowane, jakby ktoś w nich mieszkał. Suterena, ciągnąca się pod całą powierzchnią domu, stanowiła arsenał. Cowburn, niski, przysadzisty mężczyzna o złośliwym usposobieniu, słomianej czuprynie i nieustannie zmarszczonych brwiach, posadził nas przy stole na krzyżakach, na którym rozłożył rzędy granatów ręcznych z metalowymi łyżkami, nieodzowne steny, browningi i dwa karabiny Winchester z krótkim magazynkiem, który wystawał przed spustem. Na jednym z nich była zamontowana luneta do celnego strzelania na duże odległości. Za Cowburnem, na drewnianych półkach służących ongiś do przechowywania jabłek, zobaczyliśmy ułożone rzędem żółte cegły: był to materiał wybuchowy, wydzielający silny zapach migdałów. W kątach sutereny stały pod ścianami cylindryczne pojemniki, zebrane podczas zrzutów.

Cowburn pochylił się i z metalowej beczki wyjął stalową rurkę, przez której najgrubszą część przechodziła zawleczka zaopatrzona w metalowe kółko.

— Zapalniki są nastawione na czterdzieści minut. Wciskacie je w plastik, o tak, i wyciągacie zawleczkę, pociągając za kółko. Dokładnie czterdzieści minut później bum!

Wcisnąłem detonator w żółty plastik, ale zostawiłem zawleczkę na miejscu.

— Przypominam, że plastik trzeba okleić wokół osi i pod cylindrem. Zawsze pod prawym cylindrem. Dzięki temu szwaby nie będą mogły użyć jednej lokomotywy do naprawy drugiej. Obliczyłem, że lekko licząc, potrzebujecie dziesięciu minut na lokomotywę. Ponieważ jest was sześciu, a lokomotyw dwanaście, czyni to w sumie dwadzieścia minut. Gdyby doszło do strzelaniny, nie przerywacie roboty. Wycofujemy się tylko na rozkaz. Mój rozkaz! Stanę przy bramie wejściowej. Arthur będzie prowadził obserwację z hotelu Bocage. W razie niebezpieczeństwa da sygnał latarką i wycofujemy się.

Plan sytuacyjny leżał na stole. W czasie omawiania akcji Cowburn pokazywał na nim istotne punkty. Było nas w suterenie piętnastu, jedni siedzieli przy stole, reszta stała za ich plecami.

— Osłona będzie się składała z dwóch grup. Pierwsza zajmie stanowisko przed wartownią, na prawo od magazynu. Druga na placu Dworcowym, na wprost alei Mangina. Marguerite...

Podniósł głowę i rozejrzył się dokoła.

— Nie ma jej?

— W zasadzie powinna przyjść — powiedział wysoki chudzielec w wełnianej kamizelce. — Coś musiało ją zatrzymać.

Cowburn spochmurniał jeszcze bardziej.

— Dobrze. Teraz ostatnia rzecz.

Pochylił się nad stołem. Kiedy się wyprostował, cała grupa aż się cofnęła. W każdej ręce trzymał zdechłego szczura. Uśmiechnął się.

— Weźmiecie ze sobą naszych przyjaciół. Sądzę, że ich znacie... Przede wszystkim nie ciągnijcie ich za ogon!

W tym momencie usłyszeliśmy jakiś stukot, najpierw nad głowami, a potem na schodach. Drzwi suterenu otworzyły się i weszła młoda kobieta. Miała na sobie beżowy płaszcz i zakrytą chustką część twarzy.

— Przepraszam — powiedziała, podchodząc do stołu. Pochyliła głowę i sięgnęła ręką do tyłu, by rozwiązać chustkę. — Byłam... byłam na randce z przyjacielem...

Wdzięcznym ruchem potrząsnęła czarnymi włosami. W świetle lampy zobaczyłem twarz przybyłej. Jej uroda poraziła mnie: była to Violetta Laszlo. Wiedziałem, że zrzuciono ją we Francji w pewną księżycową noc, ale nie wiedziałem gdzie. Patrzyła kolejno na zgromadzonych i pozdrawiała ich skinieniem

głowy. Na mój widok szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz. Chciała się do mnie odezwać, ale Cowburn uciął:

— Marguerite, pani życie prywatne nas nie interesuje. Proszę trzymać się godzin, do diabła! Chyba ma pani zegarek? Teraz będę musiał wszystko oddzielnie pani wyjaśniać. Tracimy czas. Przecież wie pani, że zebrania są niebezpieczne.

Zrobiła skruszoną minę i opuściła głowę. Potem, gdy Cowburn mówił dalej, rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie.

— Marguerite będzie stała tutaj — powiedział, pokazując palcem jakiś punkt na planie.

Wziął winchestera z lunetą i podał go Violetcie.

— To dla pani...

Kiedy trzymałem wartę w hotelu Bocage, ludzie Cowburna weszli do lokomotywowni. W okrągłym pomieszczeniu masywne, groźnie wyglądające w ciemnościach lokomotywy były ustawione promieniście, każda na torach biegnących ku obrotnicy w jego centrum. Sześciu sabotaży stów z dużymi torbami w ręku rozdzieliło się i zaczęło wczołgiwać się pod ogromne maszyny, by umocować plastik wokół osi i cylindrów. Obok wejścia znajdowała się wartownia. Widać było smugi światła padające z jej zasłoniętego okna, które wychodziło na lokomotywownię. Pozornie wszędzie panował spokój. Nasi ludzie mieli ciemne ubrania i obuwie na gumowych podeszwach. Dostali się do środka od strony przeciwległej do wartowni, przez bramę, którą otwierano, by przepuszczać lokomotywy. Niemcy nie dawali znaku życia. Przejechał jakiś pociąg z wygaszonymi światłami, napełniając hałasem dworzec. Oddalił się i znowu było słycać jedynie odgłosy wsi. Spojrzałem na zegarek. Trzecia osiemnaście. Od przecięcia łańcucha upłynęło dziesięć minut. Jeszcze dziesięć minut i komando bez problemu wydostanie się na tył lokomotywowni, od strony torów, gdzie jeden z naszych ludzi musiał już wyciąć nożycami dziurę w siatce.

Właśnie wtedy usłyszałem warkot silników. Z głębi alei Mangina dotarł do mnie najpierw głuchy, narastający szum. Wytrzeszczałem oczy, usiłując cokolwiek zobaczyć. Między dwoma budynkami, w smudze księżycowej poświaty, ukazał się konwój. Jechał szybko, bez świateł. Zobaczyłem samochód dowództwa z podniesionym dachem, a w środku dwóch ludzi.

Szofer był w hełmie, drugi mężczyzna z gołą głową. Tuż za nimi, jakby górując nad pierwszym samochodem, toczyła się ślepa masa opancerzonego samochodu ze skierowaną do przodu lufą. Za nim ciągnęły ciężarówki nakryte plandekami. Nim odwróciłem się do Darbois, naliczyłem ich pięć. Ale nadjeżdżały dalsze.

— Kolumna!

Darbois podbiegł do okna, wychylił się, potem gwałtownie cofnął w obawie, że go zobaczą.

— Trzeba wszystko odwołać! — powiedział. — Jest ich co najmniej setka. Mają samochód pancerny!

W prawą rękę wziąłem latarkę, w drugiej trzymałem winchestera. Potem zawahałem się. Cowburn zapowiedział, że mamy się nie wycofywać w wypadku pojawienia się patrolu. Mieliśmy go zatrzymać, a sygnał do ucieczki dać jedynie wówczas, gdyby się to nie udało. Aleja Mangina była jedyną drogą bezpośrednio łączącą dworzec z miastem, w którym stały niemieckie koszary. Nasze rozpoznanie wykazało, że tylko tędy mogły nadejść ewentualne posiłki. Aleja znajdowała się w zasięgu naszego ognia. Obliczenia Cawburna były zbyt optymistyczne, lecz prawidłowe. Problem polegał na tym, że Niemcy wysłali nie patrol, lecz duży oddział. Jechali z wyłączonymi światłami w nadziei, że nas zaskoczą; musiał ich zawiadomić wartownik, który pozwolił, by ludzie Cowburna weszli do lokomotywni, a potem wezwał posiłki.

Myśli te kłębiły mi się w głowie i uniemożliwiały podjęcie decyzji. Jeszcze parę sekund i będzie za późno: kolumna dotrze do placu, rozwinie szyk i może wziąć nas w kleszcze. Wiedząc, że Cowburn słyszy warkot silników i z niepokojem czeka na mój sygnał, skierowałem latarkę na bramę lokomotywni. Nie zdążyłem dotknąć przycisku, służącego do wysyłania przerywanych sygnałów, gdy od strony placu usłyszałem wystrzał. Jednocześnie naprzeciwko mnie, w głównych drzwiach dworca, dostrzegłem słaby błękitny błysk. Odwróciłem się w stronę alei. Dziesięć metrów ode mnie szofer pierwszego samochodu padł na kierownicę, a na jego twarzy w miejscu nosa pojawiła się duża brązowa plama. Przy drugim wystrzale w powietrze pofrunął kawałek czaszki i oficer padł do tyłu na siedzenie, a następnie osunął się na podłogę. Samochód zwolnił, a potem zatrzymał się na krawężniku w poprzek drogi.

Violetta Laszlo nie wahała się. Ukryta od dwóch godzin w dworcowej hali, urządziła sobie stanowisko strzeleckie na wprost alei. Widząc Niemców, bez zastanowienia otworzyła do nich ogień. Co prawda z dworca nie mogła ocenić długości kolumny, dobrze widocznej z naszego balkonu. Dzielilo ją ponad sto metrów od żołnierzy, którzy mogli nie usłyszeć huku wystrzałów, zagłuszanych warkotem silników. Kiedy dwaj mężczyźni znaleźli się w polu widzenia jej celownika, nie mieli żadnej szansy.

Jakaś postać wyszła przez dach pancernego samochodu i usłyszałem krzyk przerażenia:

— Was? Was ist den los? Obersturmführer? Oprzytomniałem, wycelowałem i oddałem trzy strzały. Postać osunęła się na bok. Ciało, w połowie wysunięte z wjazdu, padło na pancierz.

Trzymając wycelowanego winchestera, wrzasnąłem do Darbois:

— Samochód pancerny! Szybko!

Pędem wypadł na schody. Konwój, zablokowany przez pojazd, który go prowadził, nie mógł jechać dalej. Z tyłu kolumny rozległy się krzyki. Ludzie chcieli wychodzić z ciężarówek. Dwaj żołnierze, z wycelowanymi pistoletami maszynowymi, biegli pochyleni w stronę pierwszego samochodu. Tym razem nie miałem nawet czasu dobrze wycelować. Od strony dworca rozległy się dwa wystrzały. Pierwszy żołnierz upadł twarzą na ziemię. Drugi usiłował skryć się za samochody. Nie zdążył. Kula przeszła mu udo, kiedy chciał się schować między dwie ciężarówki. Leżał teraz na ziemi i wył, jego ciałem wstrząsały drgawki. Violetta strzelała pociskami dużego kalibru. Z tyłu konwoju usłyszałem serie z pistoletu maszynowego. To druga grupa osłony zaatakowała konwój. Z ostrzelanych ciężarówek dobiegały krzyki oraz wrzask komend rzucanych w kierunku czoła kolumny. Pojazd pancerny zaczął manewrować, chcąc uutorować sobie drogę i wjechać na plac.

Nie zdążył. Obaj z Darbois dobrze rozpoznaliśmy teren. Za hotelem, który stał na rogu, wzdłuż alei Mangina ciągnęły się zwartym szeregiem robotnicze domki z czerwonej cegły, z małymi ogródkami z tyłu. Pomiedzy nimi były jedynie wąskie przejścia łączące ulicę z ogródkami, rozdzielone niskim żywopłotem. Minąwszy właściciela hotelu, który rozczochrany wybiegł w piżamie z sypialni, Darbois popędził za hotel, przeskoczył trzy z owych żywopłotów i dostał się do przejścia prowadzącego do ulicy, by zająć pojazd pancerny od tyłu. Trzymając stena poziomo na wysokości piersi, podbiegł do pierwszej ciężarówki za pancernym pojazdem i puścił dwie serie, jedną w stronę szofera, który padł, drugą w kierunku plandeki. W ciężarówce rozległy się krzyki.

Wyobraziłem sobie żołnierzy, którzy siedzieli naprzeciwko siebie na dwóch ławeczkach, a teraz leżą na podłodze ciężarówki pośród rannych. Darbois puścił stena, który zawisł na pasku wzdłuż jego ciała. Sięgnął ręką do kieszeni. Zza ciężarówki ukazał się hełm. Strzeliłem trzy razy. Żołnierz cofnął się. Pod osłoną mego ognia Darbois wyciągnął granat, podszedł do pojazdu pancernego, policzył spokojnie do czterech i tak jak się rzuca jabłko do koszyka, wrzucił granat do wjazdu, na wpół zakrytego przez ciało zabitego przeze mnie żołnierza, po czym rzucił się na ziemię. Wybuch nastąpił natychmiast. Z otworów strzelniczych pojazdu buchnęły płomienie, a karabin maszynowy siłą eksplozji został wyrzucony

do przodu. Z włazu uniósł się pióropusz dymu, a skulony Darbois biegiem wycofywał się do przejścia, którym wydostał się na ulicę.

Z dworca, nadal pogrążonego w ciemnościach, dobiegły nas jeszcze dwa strzały. Jedna z ciężarówek nagle jakby osiadła: nie mając teraz innego celu, Violetta strzelała w opony. Żołnierze, którzy leżeli za samochodami, ostrzeliwali się na ślepo, pod ogniem drugiej grupy pod dowództwem Emila Garry. Gdzieś dalej, po mojej prawej stronie, usłyszałem nowe detonacje. Zrozumiałem, że Cowburn ostrzeliwuje wartownię lokomotywni, by zatrzymać w niej żołnierzy. Niemcy dobrze wszystko obmyślili. Pozwolili, by nasze komando weszło do środka, licząc, że będą mogli wziąć je w kleszcze między kolumną a załogą wartowni. Co znaczyło, że na nas czekali. Ale postąpiłem tak, jak kazał Blainville. Liczebność osłony została zwiększona.

Płonący pojazd pancerny blokował czoło konwoju. Słyszałem trzask ognia, krzyki rannych, wciąż padające rozkazy. Spojrzałem na zegarek. Trzecia dwadzieścia cztery. Według scenariusza Cowburna za pięć minut robota w lokomotywo wni powinna być skończona. Wrzasnąłem, wychylając się z okna:

— Violetto, niech pani blokuje ich nadal! My idziemy na tył kolumny!

Pobiegłem na schody i teraz ja wpadłem na właściciela hotelu, którego kurczowo trzymała się żona.

— Zejdźcie do piwnicy! — rzuciłem.

Poszedłem na podwórze i przeskakując przez żywopłoty, dopadłem do Darbois.

— Na tył kolumny! Będą się starali zawrócić! — krzyknąłem do niego.

Biegając ogródkami pod osłoną domków oddzielających nas od ulicy, zbliżaliśmy się do celu. Usłyszałem, że Violetta oddała trzy strzały. Żołnierze usiłowali wydostać się z ciężarówek. Było to bardzo niebezpieczne. Ludzie Emila Garry trzymali ich pod ogniem. Kiedy wchodzili w pole widzenia lunety Violetty, byli bez szans. Dwukrotnie zatrzymywaliśmy się, by ponad dachami domków rzucić granaty. Po każdym wybuchu żołnierze puszczali serie w fasady domów. Miałem nadzieję, że ich mieszkańcy ukryli się w piwnicach. Kolumna płaciła wielką daninę krwi za tę akcję. Pięćdziesiąt metrów dalej, wracając na ulicę przejściem między dwoma domkami, zobaczyłem, że ostatnia ciężarówka wycofała się: zawróciła, by poszukać innej drogi dojazdowej do dworca. Manewr ten był dla nas śmiertelnie niebezpieczny. Mogliśmy zatrzymać żołnierzy, dopóki tkwili w unieruchomionych pojazdach. Gdyby się rozbiegli, natychmiast by nas oskrzydłili. Wiedziałem, że Garry i jego ludzie są luźno rozstawieni po drugiej stronie alei.

— Ciężarówka! — krzyknąłem i pokazałem ręką.

Trzej ludzie natychmiast ustawili się w poprzek ulicy i jednocześnie otworzyli ogień ze stenów. Dwie tylne opony ciężarówki zostały trafione. Jechała dalej na obręczach, potem musiała stanąć ze straszliwym jazgotem.

Sukces, odniesiony przez trzech strzelców, okazał się dla nich fatalny. Stojąc plecami do kolumny, stanowili świetny cel. Rozległa się seria. Jeden z nich runął z krzykiem i znieruchomiał na jezdni. Natychmiast odpowiedziałem ogniem. Pod jego osłoną dwóch pozostałych padło na ziemię. Darbois rzucił granat: eksplodował pod ciężarówką, która się zapaliła. Żołnierze wyskakiwali jeden za drugim na jezdnię i padali rażeni naszym ogniem. Ze wszystkich samochodów kolumny żołnierze wyskakiwali, padali na ziemię i strzelali w naszą stronę. Sytuacja stawała się niezwykle trudna. Osłonięty murem ogrodu spojrzałem na zegarek: trzecia trzydzieści dwie. Wyciągnąłem z kieszeni czerwoną plastikową rurkę. Odłamałem korek. Dwadzieścia metrów ode mnie rozbłysła rakietą i czerwone światło zaczęło spadać z nieba, spowalniane malutkim spadochronikiem. Był to sygnał alarmowy do zakończenia akcji i odwrotu. Oddawszy ostatnie serie do Niemców, leżących między ciężarówkami, wszyscy popędziliśmy ciemnymi ulicami, zgodnie z ustaloną dla każdego drogą odwrotu. Po pięciu minutach biegu wskoczyłem na tył niebieskiego citroena zaparkowanego dwieście metrów od alei Mangina, krzycząc: „Go! Gol”. Szofer uśmiechnął się i ruszył. Obok mnie siedziała jakaś ciemna, drżąca postać. Kiedy wyjeżdżaliśmy z miasta, oświetlił nas księżyc. Wtedy zobaczyłem zwróconą ku mnie piękną twarz

Violetty Laszlo. Ująłem jej rękę i uściśnąłem na znak porozumienia. Zaśmiała się nerwowo. Jej wargi drżały, a w oczach dostrzegłem jakiś dziki błysk.

Akcja w Dreux narobiła prawie tyle samo szumu co zamordowanie Philippe'a Foligny'ego. Od początku 1943 roku ataki na koleje nasiliły się. Ale ta akcja drogo kosztowała okupanta. Z ręki siedemnastu zamachowców, przy własnej stracie trzech, zginęło trzydziestu niemieckich żołnierzy: była to upokarzająca porażka. A dalszy ciąg tej sabotażowej akcji zmienił się w tragifarsę. Po naszej ucieczce ponad stu żołnierzy zajęło pozycje wokół lokomotywni. Jakiś niższy rangą oficer dał rozkaz do ataku. Nie wiadomo po co, ponieważ Cowburn dawno się stamtąd wycofał. W świetle reflektorów ciężarówek, skierowanych na lokomotywy ustawione wokół obrotnicy, niemieccy żołnierze rzucili się na poszukiwanie materiałów wybuchowych, poganiani wrzaskiem komend. Przyświecając sobie latarką, jeden z nich znalazł detonator wciśnięty w jakąś ciemną masę pod osią pierwszej lokomotywy. Ludzie Cowburna zamazali plastik czarnym smarem, by go zakamuflować, nie mogli bowiem całkowicie ukryć detonatorów. Jakiś porucznik, specjalista od materiałów wybuchowych, zbliżył się, by rozbroić ładunek. W chwili gdy kładł się pod lokomotywę, jak zrobili to przed nim członkowie naszego

komanda, zobaczył czarnego szczura leżącego za kołem, między nim a oklejoną plastikiem osią, i chwycił zwierzę za ogon, by je usunąć. Chwilę później oślepiony, ze zmasakrowaną twarzą, krzycząc, wymachiwał kikutem ręki, z którego płynęła struga krwi. Widząc, że ich porucznik stracił rękę w zasadzce zastawionej przez Cowburna, żołnierze cofnęli się. „Wszędzie zastawili pułapki!”, krzyczeli. Jakiś żołnierz zobaczył jeszcze jednego szczura pod lokomotywą. Wszyscy byli tak zaszokowani tym, co spotkało kolumnę jadącą na pomoc, że nie kwapili się wczołgiwać pod lokomotywy.

Młodszy oficer zatelefonował z wartowni do kwatery głównej. Targowano się, dyskutowano, grożono. Ostatecznie oficer wrócił z wartowni wściekły, oskarżony przez komendanta garnizonu o tchórzostwo. Na oczach przerażonych żołnierzy, przekonanych, że próba ta doprowadzi do wysadzenia wszystkiego w powietrze, sam wsunął się pod pierwszą lokomotywę, by wyjąć detonator z plastiku. Prawie już mu się udało, gdy dwadzieścia metrów od niego z hukiem, który było słyhać w promieniu dziesięciu kilometrów, wybuchła szósta lokomotywa i została wyrzucona na wysokość dwóch metrów. Opartego o nią żołnierza rozerwało na strzępy. Pozostałych, stojących nieco dalej, wybuch powalił na ziemię. Oficer wstał i rozkazał wszystkim natychmiast wyjść na zewnątrz.

Pięć minut później nadjechał w opancerzonym samochodzie komendant garnizonu von Litroff; miał na sobie długi czarny skórzany płaszcz, a z jego czerwono-zielonego munduru wystawał niedopięty kołnierzyk koszuli. Zrobił wściekłą awanturę i rozkazał żołnierzom wrócić do lokomotywowni. Idąc na czele swoich ludzi, stanął w rozkroku przed pierwszą lokomotywą, uderzając szpicrutą o cholewy. „Prędko — wrzasnął — do roboty!”. Dokładnie w owej chwili piętnaście metrów od niego wybuchła trzecia lokomotywa. Opuścił lokomotywownię, niesiony przez dwóch żołnierzy, poszarpany przez odłamki, w nadpalonym i porwanym mundurze, z popękkanymi od eksplozji bębenkami. Wściekli, bezsilni Niemcy w dymie i świetle reflektorów bezradnie obserwowali wybuchy kolejnych lokomotyw. Mimo zapór ustawionych wokół dworca zgromadzili się ludzie. Tłum w piżamach i szlafrokach przypatrywał się widowisku. Przy każdej eksplozji robotnicy zgromadzeni na placu Dworcowym za żołnierzami, którzy utworzyli kordon dla powstrzymania tłumu, krzyczeli: „Ole!”. Aby ich uciszyć, Niemcy zagrozili, że będą strzelać. Nazajutrz okupant rozstrzelał pięćdziesięciu zakładników.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Obserwowałem Darbois. Jego subtelna twarz, szczupłe ciało, wykwintny wygląd, rozmarzone spojrzenie, zupełnie nie zapowiadały agresywności, jakiej dał dowód w Dreux. Przed oczami stanęła mi jego pochylona do przodu sylwetka z wycelowanym pistoletem maszynowym, gdy biegł do ciężarówki. Aby wyjść spoza domków pod nosem setki niemieckich żołnierzy, trzeba było nie lada odwagi. A jeszcze większej, by odliczać, zanim rzuci się granat. Myślałem o przesądach, jakich przedmiotem są wszyscy ludzie pokroju Darbois. Homoseksualistom przypisuje się lękliwy charakter, paniczny strach przed niebezpieczeństwem, wrodzone tchórzostwo. Poczuję dumę. Byłem instruktorem tego chłopaka, którego w regularnej armii każdy dowódca odsunąłby od jakiejkolwiek trudnej akcji. Powiedziałem do siebie z uśmiechem, że poza księżmi, lekarzami i glinami, oficerowie komandosów zaliczają się prawdopodobnie do najlepszych znawców natury ludzkiej. Widzą ludzi takimi, jacy są naprawdę. Nie mają kłapek na oczach.

Siedzieliśmy w pociągu Rouen-Paryż. Zaczął padać deszcz i za oknem przesuwiała się dolina Sekwany, przesłonięta welonem wilgoci. Ponieważ przez dwa dni często kręciliśmy się w pobliżu dworca w Dreux, lepiej było wsiąść do pociągu na innej stacji... Zostawiliśmy broń w arsenale Cowburna, przespaliśmy się parę godzin w domku pod jabłoniami i niebieski citroen zawiózł nas do Rouen. Zamieniłem parę słów z szefem siatki Tinkera, który powiedział mi, że uważa Prospera za człowieka bohaterskiego, lecz niezbyt poważnego. Przybycie Niemców w samym środku akcji sabotażowej świadczy o sytuacji w jego siatce, rzekł. Wszystkich, nie wyłączając samego Prospera, który się wypalił, powinno się odesłać do Anglii, bez wahania pozbyć się niezbyt pewnych ludzi, wykryć szpiega lub szpiegów itd.

Patrząc niewidzącymi oczami na zasnuty deszczem krajobraz, połączyłem te gorzkie uwagi z ostrzeżeniami Blainville'a. Dwie akcje, dwie zdrady. Nagle zdałem sobie sprawę, że chodziło o dwie różne, a nawet odrębne akcje. Zamach na Foligny'ego został przeprowadzony przez siatki stołeczne, akcja w Dreux przez inną organizację, kierowaną przez Cowburna, niemającą żadnego związku z Vienetem i Kerlevenem. To proste stwierdzenie podsunęło mi pewien pomysł. Kiedy Darbois zdrzemnął się, ukołysany ruchem pociągu, wyciągnąłem notes. Po jednej stronie wpisałem nazwiska ludzi, którzy wcześniej wiedzieli o planie zamordowania Foligny'ego, a po drugiej tych, którzy wcześniej wiedzieli o zaplanowanej akcji w Dreux. Oczywiście za każdym razem niezależnie od siebie mogło dojść do jakiejś niedyskrecji lub donosu. Inne, nieznanne mi osoby mogły usłyszeć, jak rozmawiano o tych projektach. U dołu każdej kolumny wpisałem litery X i Y, symbolizujące tę

ewentualną osobę. Potem porównałem obie listy i wykreśliłem nazwiska pojawiające się tylko raz. Wynik był przerażający.

Nie chciało mi się wierzyć. Moja metoda była prosta. Pomijała niejasności podziemnego życia, strefy cienia, jakie kryją w sobie siatki, zwłaszcza dla mnie, który tak niedawno przybyłem z Anglii. W tym rozumowaniu istniała jednak nieodparta logika. Jeśli był tylko jeden informator, to z definicji był po każdej ze stron. I to dobrze uplasowany: Prosper trzymał w największym sekrecie cele, w jakie były wymierzone nasze akcje. Może zdrajcą był „odwrócony” przez Niemców jeden z ich uczestników? Może... Ale musiało być ich dwóch, i to bardzo różnych, jeden w Paryżu, drugi w Dreux, i musieli zdradzić jednocześnie... Czyżby zbieg okoliczności?

Znów spojrzałem na Darbois. Jego nazwisko figurowało w obu kolumnach: towarzyszył mi w obu akcjach. Pomyślałem, że od razu mogę go wyeliminować. Miałem do niego absolutne zaufanie. Później zacząłem myśleć racjonalnie. Moim zadaniem było wytropienie zdrajcy, tak jak policjant musi wytropić zabójcę. Nie mogłem poprzestać na logicznych dedukcjach. Musiałem je weryfikować. Buckmaster nie zadowolony się podejrzeniami, przecuciami, domysłami. Musi mieć pewność. Bezpieczeństwo głównej siatki SOE we Francji zależało od moich talentów śledczych. Jeszcze raz przeczytałem swoją listę i stwierdziłem, że powinienem zbadać kilka tropów. Przypomniałem sobie kronikę wypadków, jaką prowadziłem przed wojną. Właśnie tak postępuje policja. Zakreśla pole możliwości. Potem kolejno je eliminuje. Ostatnia, która zostaje, jest właściwa.

Darbois. Na myśl, że mógł przejść na stronę wroga, pojawiło się tysiąc obiekcji. Dlaczego miałyby zdradzić zaraz po przyjeździe? Nieprawdopodobne. Nie mógł również związać się z Niemcami w Anglii. Aby zostać nieprzyjacielskim agentem, musiałyby być aresztowany, „odwrócony”, znowu skierowany do siatki, i to w przeciagu paru dni. A jak wytłumaczyć jego bezgraniczne zaangażowanie w obie akcje? Niemożliwe. Potem znów pomyślałem o Buckmasterze. Cokolwiek się stanie, będę musiał zdać mu rachunek z tej misji. Zażąda dowodów. Każe mi opowiedzieć sobie wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Jeśli zaniedbam jakiś trop, nawet nieprawdopodobny, może mi zrobić z tego zarzut. Powie, że mój raport jest do niczego, a zastosowana metoda niepewna. A poza tym inne osoby z mojej listy wcale nie zasługują na większe zainteresowanie niż Darbois. Dlaczego go pomijać? Lepiej zacząć od niego. Aby mieć spokojne sumienie.

Niczego nie podejrzewając, szedł ulicą d'Amsterdam. Na dworcu Saint-Lazare zasugerowałem, że powinniśmy sprawdzić, czy nikt za nami nie idzie. Trzy razy przeszliśmy się tam i z powrotem po hali dworcowej. Żaden podróżny nie zmienił kierunku. Żaden nie zawrócił. Potem rozstaliśmy się: ja stanąłem w kolejce do

riksz, a Darbois ruszył pieszo w kierunku placu Clichy. Po minucie pobiegłem na róg placu du Havre. Zobaczyłem, że idzie szybkim krokiem.

Zaczekałem, aż oddali się jakieś pięćset metrów, i poszedłem za nim, nie spuszczać go z oka, gotów wejść do bramy, gdyby zrobił w moim kierunku jakiś ruch. Nic takiego się nie stało aż do ulicy Joseph-de-Maistre, która za Gaumont Palace skręcała w lewo, za most Clichy. Tam wszedł do jakiegoś nędznego budynku naprzeciwko szpitala Bretonneau. Zdobyłem więc jego adres: to było już coś.

Nie mając teraz nic do roboty, postanowiłem usiąść na skwerze Carpeaux przy skrzyżowaniu ulicy Joseph-de-Maistre z ulicą Lamarck. Zasłaniał mnie krzak, ale kiedy się wychyliłem, widziałem dom Darbois. Deszcz ustał, chmury się rozpięchły i mokre liście drzew, rosnących na skwerze, lśniły w czerwcowym słońcu. Jakaś młoda kobieta wystrojona w kapelusz z piórem, jaki nosił Robin Hood, pilnowała dwojga dzieci bawiących się w piasku.

Darbois pojawił się o siódmej. Poszedł ulicą Joseph-de-Maistre, skręcił w ulicę Tholoze, potem skierował się na wzgórze Montmartre, w stronę placu du Tertre. Przebrał się, a jego ciemne włosy błyszcząły z dala, jakby je świeżo umył. Wprawdzie widziałem go od tyłu, ale coś mi mówiło, że założył krawat. Doszedłszy na plac, nawet nie spojrzął na malarzy, malujących w wieczornym słońcu obrazy na oczach niewielkiego tłumku turystów, w którym przewijały się również szarozielone mundury. Poszedł do restauracji z szybami z matowego szkła, zza których sączyło się ciepłe światło. Na fasadzie wisiał szyld z czerwonego płótna, na którym można było przeczytać: „Les Canons de la Butte”. Wtopiwszy się w tłum, przystanąłem na placu przed sztalugami, na których stał wielki obraz w krzykliwych kolorach, przedstawiający wieżę Eiffla.

Restauracja leżała nieco w dole, na pierwszym stoku Wzgórza. Darbois zszedł po dwóch schodkach i pchnął drzwi. W środku lokalu zobaczyłem jego sylwetkę. Usiadł na prawo od wejścia i jego profil rysował się na tle matowego szkła. Naprzeciw niego siedział mężczyzna, który przed chwilą wstał, by się z nim przywitać. Okrążyłem plac i wszedłem z lewej strony na chodnik, znajdujący się powyżej wejścia do restauracji. Darbois nie mógł mnie widzieć, chyba tylko od przodu, gdybym wysunął się poza fasadę. Znajdowałem się wyżej niż on. Z pewnością nie przyjdzie mu do głowy, by popatrzeć przez okno. Zbliżyłem się do „Les Canons de la Butte”, zajrzałem do środka i zdretniałem. Naprzeciwko Darbois, z kieliszkiem czerwonego wina w ręku, siedział niemiecki oficer. Obok leżała jego czapka.

Plac du Tertre pustoszał. Malarze składali swe przybory, kupcy zamykali sklepy. Otwarte zostały jedynie trzy restauracje górujące nad Paryżem. Była dziewiąta.

Niedługo zacznie się godzina policyjna. Jeśli tu będę czekał, może mnie zgarnąć patrol. Wprawdzie mogłem wejść do jakiejś restauracji, ale z żadnej nie było dobrego widoku na „Les Canons de la Butte”. Postanowiłem pójść na ulicę Joseph-de-Maistre: wcześniej czy później Darbois wróci. W sieni wytarty dywan prowadził na schody z wklęsłymi, wytartymi stopniami. Z lampy pod sufitem sączyło się mdłe światło. Nie wiedziałem, na którym piętrze mieszka Darbois. Na szczęście we wnęce pod schodami była niewielka komórka, a w niej dziecinny wózek, szczotka i ścierki do podłóg. Tam się ukryłem. Jeśli się trochę wychyliłem, widziałem drzwi z metalu i szkła, otwierane brzęczącym dzwonkiem. Usiadłem na ziemi, podkuliłem nogi, oparłem się o ścianę, niewidoczny dla wchodzących drzwiami. Dom był pogrążony w ciszy. Z oddali dochodził tylko przytłumiony dźwięk radia, z którego płynęła piosenka Jestem dzisiaj sam. Po jakimś czasie zdrzemnąłem się.

Obudziło mnie głucho brzęczenie mechanizmu otwierającego drzwi. Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć po północy. Wychyliłem się ostrożnie. Darbois otworzył do połowy drzwi i przytrzymał je plecami. Stał twarzą do ulicy. Przed nim rysowała się ciemna sylwetka niemieckiego oficera, który coś do niego cicho mówił. Nie mogłem usłyszeć ich słów. Rozmowa trwała dwie minuty. Potem Darbois pchnął drzwi i dał krok do tyłu. I nagle ku memu zdumieniu Niemiec postąpił naprzód, objął Darbois w pasie i pocałował go w usta.

Darbois uwolnił się z uścisku i powiedział żywo: „Nie, nie teraz!”. Potem zamknął drzwi, popychając je obiema rękami. Przez szybę widziałem sylwetkę Niemca, który po chwili wahania odwrócił się na pięcie i zniknął. Byłem przerażony. Darbois przeszedł przez sień i zaczął iść na górę. Jednym susem zerwałem się, stanąłem pod schodami i krzyknąłem:

— Darbois!

Odwrócił się. Zamarł ze zdumienia i patrzył na mnie, wytrzeszczając oczy.

— Myślę, że należy mi się jakieś wyjaśnienie — powiedziałem. — Idziemy na górę!

Miał wyraz twarzy kogoś, komu świat usuwa się spod nóg.

— Szybko! Niech pan wchodzi, pójdę z tyłu!

Byłem czujny. Oczywiście z Paryża do Rouen podróżowaliśmy bez broni. Ale instynktownie przybrałem postawę adeptów sztuki close-combat, stanąłem w rozkroku, zacisnąłem pięści, ramiona miałem lekko odchyłone od ciała. Patrzył na mnie uważnie.

— To wcale nie to, co pan myśli! — powiedział. — Nic mu nie powiedziałem! To... to mój przyjaciel.

Dałem krok na schody.

— Nie stójmy tu. To rozkaz.

Powoli odwrócił się i zaczął wchodzić na schody z ciężko zwisającymi ramionami, zdruzgotany. Na trzecim piętrze włożył rękę do kieszeni ze słowami:

— Sięgam po klucze.

Otworzył brązowe drzwi pokryte łuszczącą się farbą. Mieszkał w małym trzypokojowym mieszkaniu, z oknami wychodzącymi na mroczne podwórze. Ściany były brudne, wykładzina poplamiona, a meble byle jakie. Odwrócił się, wskazał mi obity skajem fotel z drewnianymi, lakierowanymi oparciami.

— Wiem, co pan myśli — powiedział. — Wszystko panu wyjaśnię.

Usiadłem z kamienną twarzą. Dałem mu znak, by zrobił to samo, i powiedziałem szorstko:

— A teraz słucham!

W miarę jak mówił, wahając się, szukając słów, jego opowieść nabierała prawdopodobieństwa. Był w Paryżu sam, utrzymywał kontakt jedynie z paroma tajnymi skrzynkami kontaktowymi, a rozmawiał tylko od czasu do czasu z Andréé Borrel, z którą mógł się spotykać z zachowaniem wszelkich środków ostrożności; jego dni były puste, a wieczory ponure. Na trzeci dzień po przyjeździe poszedł wieczorem w stronę placu Pigalle, który znajdował się niedaleko jego mieszkania. Szybko trafił do baru z zasłoniętymi oknami i pastelowym metalowym szyldem, gdzie zbierali się ludzie o podobnych skłonnościach jak on.

— Jak udało się panu tak szybko tam trafić? — spytałem trochę naiwnie.

— Kwestia wprawy, szukałem takich miejsc już nieraz, rozumie pan?

Mniej więcej rozumiałem. We wszystkich nocnych lokalach Niemcy stanowili znaczną część klienteli. Poznał młodego oficera, który postawił mu parę kieliszków, a potem zaproponował spotkanie.

— Nie przeszkadzało panu, że jest Niemcem?

— Owszem, ale wydał mi się sympatyczny. Pracuje w wydziale propagandy. Kontroluje gazety. Niech pan sobie wyobrazi, że nie lubi faszystów!

— Prawdziwa bajeczka dla dzieci — powiedziałem. Nie zauważył ironii.

— Zapewniam pana, że nic o mnie nie wie. Myśli, że studiuje historię sztuki na Sorbonie. To moja przykrywka. Zresztą rzeczywiście studiuje historię sztuki. W Oksfordzie. Potem spojrzał mi prosto w oczy.

— Podoba mi się. Po prostu.

— A jeśli rozkażę panu zlikwidować go?

— Nie robi pan tego. Niby po co?

Powoli odzyskiwał pewność siebie. Mój głos złagodniał. Zaczynałem wierzyć w jego opowieść. Szukałem jednak jakiejś luki.

— Na jakiej podstawie mam wierzyć, że nic mu pan nie powiedział?

Zastanowił się.

— Na żadnej. Poza tym, że pozostaje pan na wolności. Chociaż, prawdę mówiąc, gestapo mogłoby nie aresztować pana od razu, ale zaczekać.

Zmienił ton.

— John, jeśli uważa pan, że to dla nas niebezpieczne, przestanę się z nim spotykać. Przysięgam!

— A o czym rozmawiacie?

— O wszystkim i o niczym, o życiu, o przyszłości i... o miłości.

Znów spojrzał na mnie wyzywająco. Pomyślałem, że w żaden sposób nie mogę sprawdzić tego, co mówi. Ale to, co o nim wiedziałem, sprawiło, że jego opowieść wydała mi się wiarygodna. Prawie sympatyczna. I byłoby niebywałym zbiegiem okoliczności, gdyby ów oficer był jednocześnie „opiekunem”, który nim manipuluje. W zasadzie ten, kto „rozpracowuje” szpiega, nie całuje go w usta... Dziwaczna strona całej tej sprawy przemawiała za Darbois. Zapadła cisza.

— John — powiedział nagle. — Napije się pan koniaku? Moje mieszkanie jest paskudne, ale kupiłem trochę alkoholu... — Przez chwilę nic nie mówił, a potem dodał: — Czy mogę o coś zapytać?

— Tak. Odpowiem panu. Ale najpierw proszę o kieliszek koniaku.

Wstał, otworzył szafę z koślawymi drzwiami i wyciągnął dwa kieliszki i butelkę Martella. Powiedział:

— Dlaczego mnie pan śledził? Nie ma pan zaufania do pederastów?

— Nie, nie dlatego. Chcę się dowiedzieć, dlaczego o dwóch akcjach, w których braliśmy udział, wiedzieli Niemcy.

— Wczoraj zadałem sobie to samo pytanie. To cud, że wszystko się udało. Cowburn dobrze to zorganizował. Co za facet! Ale jeśli chodzi o ulicę Solférino, przecież Niemcy nic nie wiedzieli...

— Wiedzieli. Wzmocnili ochronę Foligny'ego w jego domu w Vésinet. Wydaje mi się, że nie sądzili, byśmy byli zdolni zaatakować go w centrum Paryża, w pobliżu niemieckiej ambasady. Dlatego nie wzmocnili ochrony Delegatury. Ale wiedzieli.

Spojrzał na mnie i zastanowił się chwilę.

— Wobec tego ktoś jest zdrajcą. I podejrzewał pan mnie. Rozumiem...

— Tak, ktoś zdradził. To oczywiste.

— Nic panu nie przychodzi do głowy?

— Nie. Mam pewne hipotezy. Ale nie sposób ich zweryfikować. Prosper jest poza wszelkim podejrzeniem, tak samo jak Blainville. Vienet nic nie wiedział o akcji w Dreux, podobnie jak Kerleven. A Cowburn nie wiedział nic o Folignym. Nic się tu nie zgadza. Od miesięcy organizują akcje. Jeśli mają wśród siebie zdrajcę, wszystkich już dawno by aresztowano...

— Jediną prawdopodobną hipotezą było więc, że to ja...

— Nie. Chodzi o to samo. Mogłem ją zweryfikować. Postanowiłem uwierzyć w pańską historię. To wszystko. Prawdę mówiąc, zastanawiam się nad całą tą sprawą od naszego obiadu z Prosperem w Ogrodach Palais-Royal. Pamięta pan?

— Tak, byliśmy nieostrożni. Właściciel restauracji mnie przeraził.

— Nie, nie o to chodzi. Od początku ktoś mnie śledził.

— Tak? I co pan zrobił?

— Zgubiłem go. Ale wcześniej nie mogli o mnie wiedzieć. Dopiero przyjechałem. Zatem ktoś ich poinformował. Albo pilnowali restauracji, albo ktoś ich zawiadomił. Prawdopodobnie zatelefonował z restauracji.

Darbois drgnął. Zmienił się na twarzy.

— Przypomniałem sobie pewien szczegół. Pamięta pan, że Vienet poszedł przywitać się z jakimś Niemcem?

— Tak, powiedział nam, że to Kieffer.

— Właśnie wtedy wstałem i udałem się do toalety. Ktoś wyszedł za mną. Kiedy zamykałem za sobą drzwi, zobaczyłem go w kabinie telefonicznej. Była otwarta, znajdowała się za przelotowymi drzwiami, wie pan, takimi, jakie są w saloonach na Dzikim Zachodzie. Na mój widok przerwał, zasłonił ręką słuchawkę i szepnął: „Rozmawiam z matką, regularnie do niej dzwonię”. Kiedy wróciłem i usiadłem, zastanowiłem się, dlaczego mi to powiedział. Jakby chciał się wytłumaczyć. Potem już o tym nie myślałem. Przypomniało mi się to teraz, kiedy powiedział pan, że informator mógł telefonować z restauracji.

— Ale kto to był?

— Prosper.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Noor chwyciła mnie za rękę.

— Zaczekajmy! Dzieje się tam coś dziwnego.

— Co? Nic nie widzę.

Zmusiła mnie, bym się zatrzymał. Pociągnęła mnie za drzewa otaczające dom i patrzyła poprzez gałęzie, starając się coś zobaczyć. Potem zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu, nozdrza jej drżały.

— Jestem pewna, że coś jest nie tak...

— Ale co, Noor?

Instynktownie ściszyliśmy głosy. Rowery, które prowadziliśmy od bramy, położyliśmy na trawę i jak najciszej poszliśmy ku domowi, chowając się za drzewami.

Mieliśmy wysłać do Londynu meldunek o wynikach akcji w Dreux. Noor już raz nadawała, ale nie z ulicy de la Pompe, tylko z małego, położonego w pobliżu mieszkania przy ulicy de la Tour, które rodzina Garrych oddała do dyspozycji siatki. Zasady bezpieczeństwa nakazywały jak najczęściej zmieniać miejsce nadawania. Jechaliśmy do państwa Adamowskich, by skorzystać z ich gościnności oraz ze szklarni, gdzie zrobiona z zielonego drutu antena radiostacji Noor była rozwinięta na stałe i ukryta wśród pnączy. Podeszliśmy do cyprysów, które pokazała mi Noor poprzedniej niedzieli. Rozchyliłem ciemnozielone gałęzie, by się rozejrzeć, i cofnąłem się raptownie.

Wokół domu, dwadzieścia metrów ode mnie i wzdłuż ścian szkoły ciągnął się gęsty szpaler niemieckich żołnierzy, którzy zaglądali do wnętrza budynków, podczas gdy dwaj oficerowie dzwonili do drzwi. Przed domem stał szary samochód i dwie nakryte plandeką ciężarówki. Żołnierze celowali do okien z karabinów. Wydawało się, że oficerowie się niecierpliwia, bo na progu przestępowali z nogi na nogę.

Teraz z kolei ja wziąłem Noor za ramię i pociągnąłem ją do tyłu. Położyłem palec na ustach i wskazałem na bramę wejściową. Zgięci we dwoje wróciliśmy do rowerów. Najciszej jak można podnieśliśmy je i pchali po trawie wzdłuż alei wysypanej białym żwirem. Kiedy minęliśmy bramę, wskoczyliśmy na siodełka. Pedalowaliśmy jak szaleni, ale sprawy zaczęły przybierać zły obrót. Aby uciec ścieżką prowadzącą do drogi krajowej, musieliśmy jechać wzdłuż nierównego, zdezelowanego muru. Po niecałej minucie trzydzieści metrów przed nami w wyszczerbieniu muru ukazała się niemiecka czapka. Po drugiej stronie siedł niemiecki oficer. Musiał obchodzić park w poszukiwaniu innych budynków. Zobaczywszy nas, wrzasnął:

— Haiti Haiti

Przyspieszyłem i krzyknąłem do Noor:

— Prędeż, prędeż!

Niemiec oparł ręce o mur i przeskoczył na drugą stronę. Jeszcze mocniej nacisnąłem na pedały, ale Noor nie nadażała. Niemiec upadł do rowu, lecz natychmiast się pozbierał i wrzeszcząc wniebogłosy, stanął na ścieżce, by zagrozić nam drogę. Machał na nas wyciągniętą ręką. Otworzył przymocowaną do pasa kaburę. Gdybyśmy go minęli, strzeliłby nam w plecy z odległości dziesięciu metrów. Instynktownie skierowałem rower na niego i potrąciłem go. Wywrócił się głową do tyłu i wypuścił pistolet, który upadł w piach.

Przeleciałem przez kierownicę. Znaleźliśmy się obaj na ziemi, rower leżał z jednej strony, pistolet z drugiej. Niemiec już się podnosił, by chwycić broń. Wtedy nadjechała Noor. Zahamowała z piskiem, rzuciła rower i złapała pistolet. Wycelowała w Niemca. Zatrzymał się. Gdy Noor, trzymając wyciągniętą rękę na wysokości twarzy, wymierzyła w niego, chwając się i przestępując z nogi na nogę, zaczął krzyczeć coraz głośniej:

— Hier! Hier! Sie fliegen! Zu mir! Zu mir! Leżąc jeszcze na ziemi, błagałem Noor:

— Strzelaj! Strzelaj!

Celowała z pistoletu i dygotała. Trzymała Niemca na muszce, ale nie strzelała. Gryzła wargi, patrząc na oficera niewidzącym spojrzeniem. Powiedziała:

— Nie... Nie... Nie ruszać się! Wstałem.

— Strzelaj, do diabła, strzelaj! Zaraz nadbiegną inni! Strzelaj, do cholery!

Widząc jej wahanie, Niemiec zaczął iść ku niej.

— Strzelaj, Noor, błagam! Wezmą nas przez ciebie. Strzelaj, do diabła!

Nagle zdecydowała się. Jej palec nacisnął spust. Pistolet nie wypalił: był nieodbezpieczony. Wówczas z wyciągniętymi do przodu rękami Niemiec skoczył, chcąc go jej odebrać. Pięćdziesiąt metrów za nami, na wysokości bramy, zobaczyłem paru żołnierzy wychodzących z parku. Byliśmy zgubieni. Wtem zamiast cofnąć się, Noor uskoczyła w lewo, a prawą nogę wyrzuciła do przodu. Drewniana podeszwa boleśnie ugodziła oficera między nogi. Z bólu zgiął się we dwoje. Noor podniosła złączone ręce nad głowę i trzymanym w nich pistoletem z całej siły walnęła go w kark. Niemiec upadł i znieruchomiał. Metr dalej leżała jego czapka. Z tyłu głowy zobaczyłem krew.

Noor rzuciła mi pistolet. Odbezpieczyłem go. Wyciągnąłem rękę i trzy razy wystrzeliłem w kierunku żołnierzy. Jeden z nich dostał w ramię. Dwaj inni ukryli się w parku i wzywali pomocy. Podnieśliśmy rowery. Kiedy któryś z żołnierzy strzelił do nas, byliśmy już na zakręcie.

Dwie minuty później usłyszałem warkot silnika. Pedalowaliśmy jak zawodowi kolarze, ale i tak wiedzieliśmy, że za chwilę nas dogonią. Dwieście metrów na lewo zobaczyłem za żywopłotem ścianę lasu.

— Tam! — krzyknąłem.

Skręciłem w kierunku ciemnego, leśnego poszycia; dwadzieścia metrów za mną jechała Noor. Przeszedłem przez dziurę w żywopłocie. Przerzuciliśmy rowery na drugą stronę. Jeszcze parę kroków i znaleźliśmy się wśród drzew. Odwróciłem się i wziąłem Noor za rękę. Klęczeliśmy za kępą paproci i wpatrywaliśmy się w drogę. Nadjechał szary samochód, a za nim ciężarówka. Mogliśmy dostrzec szofera skupionego na prowadzeniu pojazdu i oficera o wygolonych skroniach, pochylonego do przodu, pewnego, że zobaczy nas za zakrętem. Nie zauważyli naszego manewru. Jechali najszybciej jak mogli w kierunku drogi krajowej, widzieliśmy ich głowy patrzące do przodu.

— Wrócą za trzy minuty — powiedziałem. Pociągnąłem Noor i zagłębiliśmy się w leśne poszycie. Byłem wściekły.

— Kiedy ci każę strzelać, masz to zrobić, Noor. To był rozkaz! Przez ciebie o mało nie straciliśmy życia.

— Ślubowałam, że nikogo nie zabiję — powiedziała. — Wydawało mi się, że o tym wiesz.

Szliśmy szybko, wysokie trawy biły nas po nogach, a ciernie czepiały się ubrań. Nastawiałem ucha, by zorientować się, czy Niemcy nie wracają. Na razie ich nie było. Im bardziej zagłębimy się w las, tym większe mamy szanse.

— Posłuchaj, wasze filozoficzne historyjki to świetna rzecz, ale nie w czasie wojny.

— To nie są żadne historyjki. To zasady.

— Jakie zasady? Idiotyzmy! Zresztą strzeliłaś. Wprawdzie nie pomyślałaś o odbezpieczeniu pistoletu, ale nacisnęłaś na spust.

— Zrobiłam to, by cię osłonić... — powiedziała żałośnie.

— Gdybyś nauczyła się strzelać, nie ryzykowalibyśmy, że nas złapią...

Ujęła moją dłoń i ścisnęła ją.

— Nie lubię, kiedy się złościysz. Postaraj się mnie zrozumieć. Nie jestem taka jak ty, racjonalna, prosta...

Uśmiechnęła się.

— Sierżant Keegan — dodała — nie nauczył mnie wprawdzie strzelać, ale za to nauczył mnie close-combat.

Kiedy Emil Garry wchodził z siostrą do kamienicy przy ulicy de la Tour, z okna wyjrzała konsjerżka i spoglądając w górę, pokazała palcem na piętro. Odwrócili się na pięcie i wyszli, wywodząc w pole dwóch policjantów, czekających na nich przed

drzwiami mieszkania. Szybko ruszyli na ulicę de la Pompe, odległą o sto metrów. O szóstej pojawili się w mieszkaniu, gdzie od godziny siedzieliśmy już oboje z Noor.

— Uff! Jesteście! — powiedział Emil Garry. — Nie złapali was. Gestapo jest w naszym mieszkaniu przy ulicy de la Tour.

— Byli także w Viroflay. O mało nie wpadliśmy.

— W Viroflay? Wobec tego duża część siatki jest już w ich rękach. Wszystko było zgrane. Teraz będą starali się dojść po nitce do kłębka. Co za nieszczęście!

— Kto wie o tym mieszkaniu? — spytałem.

— Nikt. Poza wami dwojgiem, moją żoną, siostrą i mną. To wszystko. Właścicielka przebywa na Południu. To nasza daleka kuzynka. Nie dotrą do niej. A nawet gdyby chcieli, nie znajdą jej. Ukryła się u chłopów. A mieszkanie nie jest na jej nazwisko.

— Więc na razie możemy tu zostać...

— Tak, wy zostanieie. My nie. Aby funkcjonowała siatka Cinema, muszę mieć swobodę ruchów. Jeśli tu zostanę, nie będę już mógł wyjść. Wszędzie roześlą nasze rysopisy. Musimy zniknąć natychmiast, zanim zdążą to zrobić. Inaczej zatrzymają nas na dworcu...

— Macie dobrą kryjówkę w Normandii?

— Tak. Nigdy z niej nie korzystałem. I nikt z siatki jej nie zna. Nie ma problemu. A poza tym... mamy się pobrać z Claire.

— Tak? Sądziłem, że...

Uśmiechnął się.

— Nie, jesteśmy zaręczeni. Od dawna chcemy się pobrać. Szkoda, że nie mogę was zaprosić... Teraz ceremonia będzie skromniejsza. Może nawet tylko w gronie najbliższych!

Zniknął w głębi mieszkania, by się spakować.

— Nie możemy już opuszczać tego mieszkania? — spytała Noor.

— Nie — odpowiedziałem. — Tylko żeby kupić jedzenie. Widzieli nas w Viroflay. Musieli zatrzymać sporo ludzi od Prospera. Niektórzy nas znają. Trzeba odczekać tydzień lub dwa. Potem zaczniemy wychodzić.

— W spiżarni są zapasy przynajmniej na trzy tygodnie — oznajmiła Renée.

— Ale jak będziemy nadawać? — spytała Noor.

Zastanowiłem się. Bezwarunkowo należało zawiadomić Londyn. Nie tyle o akcji w Dreux, ile o rozbiciu siatki Prospera. Inaczej projektowane zrzuty sprzętu i agentów zakończą się wpadką.

— Nigdy nie nadawałaś z tego mieszkania?

— Nie. Tylko raz z ulicy de la Tour. Przecież wiesz, że po to jechaliśmy do Viroflay...

— Trudno. Siła wyższa. Będziemy nadawali dziś wieczorem. Dziesięć minut, ani sekundy dłużej. Zaraz napiszę tekst meldunku.

— Wezmę swój zeszyt — powiedziała Noor. — Mamy dwie godziny. Będę kodowała, w miarę jak będziesz pisał.

Do salonu wszedł Emil Garry, Claire i Renée, taszcząc duże walizy.

— Auroro, Arthurze — rzekł Emil Garry. — Cieszę się, że mogłem was poznać.

Uśmiechał się, ale w jego spojrzeniu dostrzegłem smutek. Podniosłem rękę.

— Zanim odejdziecie, chcę cię o coś zapytać. Kto twoim zdaniem nas wydał?

— Nie wiem. Od jakichś dwóch, trzech tygodni dzieją się dziwne rzeczy. W Dreux ktoś zawiadomił Niemców. Dziesięć dni temu doszło do aresztowań w Sologne. Ktoś z siatki Prospera donosił. To oczywiste.

— Mam swój pogląd na ten temat — powiedziałem. Postawił walizkę i usiadł na kanapie. Przedstawiłem mu swą teorię. Wysłuchał mnie w skupieniu. Pomiąłem dotyczący Prospera szczegół, o którym dowiedziałem się od Darbois.

— Na swojej liście podejrzanych masz trzy nazwiska. Jeśli tym razem wszystkich aresztowano, sprawa będzie jasna. Siatka Prospera przestaje istnieć. Jest to katastrofa o ograniczonym zasięgu. Ale jeśli winowajca przebywa jeszcze na wolności, a my nie wiemy, kim jest lub czy nim jest, sytuacja staje się dramatyczna. Zagrożonych jest kilka siatek... Żadna wspólna akcja z Londynem nie będzie bezpieczna. Musimy znaleźć sposób, by wykryć tego człowieka tak, by nie było cienia wątpliwości.

— Myślę o tym. Ale przecież nie mogę wychodzić...

— Nie. Na razie nie możesz się stąd ruszyć. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Będą szli tropem ludzi Prospera. Zajmie im to dziesięć, piętnaście dni. Potem sytuacja się uspokoi i znów zaczniemy działać.

Wyjął notes, napisał parę słów i wydarł kartkę.

— To adres na poste restante w Dreux. Kiedy będziesz gotowy, wyślij mi pocztówkę z paroma banalnymi słowami. Mam na tej poczcie agenta. Gdy ją dostanę, przyjadę do Paryża. Będę czekał koło basenu w Ogrodzie Luksemburskim w południe na trzeci dzień i w dwa następne dni. Zapamiętasz? Naucz się adresu na pamięć i spal kartkę... Mam też skrzynkę kontaktową, która pozwala komunikować się z Blainville'em bez konieczności telefonowania i osobistego kontaktu... To ostatni bukinista na nabrzeżu Montebello, idąc w stronę mostu Sainte-Genevieve. Zajrzysz do ostatniego pudła, tego, które jest najbliżej mostu i poszukasz egzemplarza Pani Bovary. Jeśli będzie dla ciebie wiadomość, znajdziesz ją między kartkami. Jeśli ty zechcesz przesłać mu jakąś wiadomość, zostawisz ją w tej książce. Znajdzie ją. Aby nie narażać się na niebezpieczeństwo, musisz przyjść od strony bulwaru Saint-Germain i wejść do kawiarni od strony ulicy des Bernardins.

W ten sposób nie będziesz widziany z nabrzeża. Bukinista jest naszym człowiekiem. Jeśli dzieje się coś podejrzanego, kładzie afisz z Aristide'em Bruantem na pudle od strony widocznej z kawiarni. Jeśli nie ma afisza, wszystko jest OK. Zanotowałem dokładnie to, co mi powiedział. Mówił dalej:

— Możesz też zatelefonować do Vieneta. Oto jego prawdziwe nazwisko i biurowy numer telefonu. Miej się na baczności, należał do siatki Prospera. Niewątpliwie zna go wiele osób, które zostaną aresztowane...

Podał mi drugą kartkę.

— Zatelefonujesz i przedstawiś się jako pan Joumard. Oczywiście, rozmawiaj tylko z Vienetem. Jeśli znajdzie się w rękach Niemców, ktoś, kto odbierze telefon, będzie się podawał za niego. Bądź ostrożny! Zanotuj to, naucz się na pamięć i zniszcz kartki.

Jego władczy ton kontrastował z młodzieńczym wyglądem. Podczas gdy mówił mi to wszystko, jego siostra pozbierała bagaże. Wstał, a ja towarzyszyłem mu do drzwi z Noor, która mnie nie odstępowała. W progu odwrócił się i zamiast podać mi rękę, mocno mnie objął. Uściskał też Noor.

— Powodzenia — powiedział. — Złam rękę i nogę. Moim zdaniem ludzie z Londynu każą ci wrócić, gdy tylko dowiedzą się, co się tu dzieje. Jeśli Niemcy wykryli całą siatkę, co jest nader prawdopodobne, będziemy musieli zaczynać od zera. Londyn będzie chciał trzymać wszystko w garści.

— Nie mogę natychmiast wrócić — odparłem. — Najpierw muszę znaleźć odpowiedź na pytanie, które mi zadadzą...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Mieliśmy wrażenie, że klucz telegraficzny robi przeraźliwy hałas. Wysoki dźwięk morsa słychać było w całym mieszkaniu, a nawet, jak nam się wydawało, na klatce schodowej. Sąsiedzi nie mogli go nie usłyszeć. Baliśmy się nawet, że policjant, stojący na warcie przed komisariatem po przeciwnej stronie ulicy, zjawi się tu po pierwszych nadanych słowach. Męki pracującego w podziemiu radiotelegrafisty...

Rozwiesiliśmy antenę na ścianie od podwórza, do której można się było dostać z pokoju Noor. Była to zamknięta z trzech stron wewnętrzna studnia, z zamocowanymi na jednej ze ścian klamrami dla dekarzy i kominiarzy. W dole na niezabudowanym czwartym boku widzieliśmy ogród, a przed sobą duży płat nieba. Tamteży fale radiowe będą przenikały łatwiej. Wychyliwszy się, zdołałem przywiązać stalowy drut do haczyka blokującego okiennicę. Potem przeszedłem do drugiego okna, chwyciłem pozostały kawałek drutu i skończyłem go mocować, powtarzając manewr z okiennicą przy oknie, znajdującym się niedaleko klamr schodzących na podwórze. Noor siadła przy toalecie, która służyła jej za biurko, na pewno należącej do Renée. Nad owalnym ruchomym lustrem umieszczonym nad toaletką obok pocztówki z Piusem XI, świętego obrazka, przedstawiającego ojca de Foucauld ubranego w biały habit z czerwonym sercem i krzyżem, wisiały fotografie amerykańskich aktorów, Clarka Gable'a, Spencera Trący, Alana Ladda. W bibliotece w salonie zauważyłem Historię Kościoła Daniela-Ropsa, oprawioną w czerwoną skórę, stare egzemplarze „La Croix”, a przede wszystkim pełne edycje dzieł ojca Lacordaire'a, Montalemberta i Alberta de Mun, starannie rozcięte nożem do papieru. Każdy miał swoje powody, by przystąpić do Ruchu Oporu. U rodziny Garry zaangażowanie wynikało z ich katolickiej wiary.

Noor założyła słuchawki i zaczęła transmisję od sygnału identyfikacyjnego; lewą rękę trzymała na małym, stalowym młoteczku, którego kontakt z metalową podstawą dawał impuls do nadawania sygnałów, w prawej miała notes, w którym zanotowała hasła i swoje klucze do kodowania. Przerzywany dźwięk morsa był irytujący. Noor wpadła na pomysł, bym podczas nadawania brał jakieś akordy na pianinie. Ale nie potrafiłem nic zagrać. Dźwięki dręczonego pianina mogły również wzbudzić podejrzenia. Krótko mówiąc, musieliśmy przetrwać tę próbę nerwów: napęlić mieszkanie hałasem alfabetu Morse'a, modląc się, by nikt go nie usłyszał.

Zredagowałem meldunek najkrócej jak można: „Siatka Prospera częściowo zlikwidowana przez wroga. Zawiesić rzuty broni i agentów. Cinéma działa nadal. Radiostacja Aurora też. Arthur i Aurora bez wiadomości od Prospera i Blainville'a. Zawieszamy działalność na tydzień lub dwa. Poszukiwanie szpicla w toku i

konieczne bardziej niż przedtem. Czekamy na instrukcje". Noor pracowała bardzo szybko. Uwinęła się w niecałe dziesięć minut. Stałem ukryty za firanką w salonie, wpatrując się w ulicę, wodząc oczami za policjantem spacerującym po chodniku naprzeciwko, i wydawało mi się, że transmisja nigdy się nie skończy. Wreszcie hałas ustał. Krzyknąłem do Noor:

— Skończyłaś?

— Tak — powiedziała. — Czekam na potwierdzenie odbioru.

Potem usłyszałem, jak po schowaniu słuchawek i przekaźnika oraz wyjęciu kwarców, które włożyła do specjalnej przegródki, zamyka walizkę.

— Za dwie godziny dostanę odpowiedź. Myślę, że zechcą odpowiedzieć...

Kiedy wypowiadała te słowa, zobaczyłem na ulicy jadącą powoli ciężarówkę, z zamontowaną na dachu okrągłą, wolno obracającą się anteną.

— Noor — powiedziałem. — Odebrali nasz sygnał.

— Anglicy?

— Nie, Niemcy.

Ciężarówka odjechała. Nadawanie było zakończone: teraz już nie mogli nas namierzyć. Ale, Boże drogi, jak szybko się uwinęli!

— Sądzę, że nie możemy już stąd nadawać. Niemcy na pewno mają w pobliżu jakieś centrum rozpoznania radiowego. Teraz wiedzą, że w dzielnicy Passy pracuje angielska radiostacja, i będą ich diabli brali...

— Następną transmisję przeprowadzimy z innego miej sca — powiedziała Noor.

Wróciła do salonu. Patrzyłem na nią. Spódnica-spodnie, którą włożyła, by pojechać rowerem do Viroflay, opinała jej talię. Pantofle na koturnie wydłużały nogi. Łydki były podrapane kolcami i trawami, pamiątką po przedzieraniu się przez leśne poszycie, kiedy uciekaliśmy przed prześladowcami.

— Musisz opatrzeć sobie nogi — zauważyłem.

— Tak. Nie ma pośpiechu. Przede wszystkim jestem głodna. Chodźmy do kuchni.

Kiedy szedłem za nią po skrzypiącej podłodze korytarza, owionął mnie zapach jej perfum jak we Vieux-Briollay, w noc lądowania. Nagle uświadomiłem sobie sytuację powstałą po nieszczęściach, jakie spadły na siatkę Prospera: na długi czas zostałem zamknięty, i to dzień i noc, z kobietą, którą kocham...

Atmosfera podczas obiadu była przyjacielska, lecz napięta. Czekaliśmy na nocne połączenie z Londynem. Choć nie mówiliśmy o tym, cały czas myśleliśmy, jak niepewna jest nasza sytuacja. Byliśmy dwojgiem agentów pozbawionych wszelkiego kontaktu z Ruchem Oporu, zamkniętych w mieszkaniu otoczonym wrogimi mocami, a jedynym naszym środkiem łączności ze światem była wąta nić

zbudowana z kropek i kresek. Noor krzątała się po kuchni, by zobaczyć, gdzie są zapasy, co jest w szafkach, jak działa kuchenka. Ugotowała ryż i podała go z jakimś sosem z butelki, który nadał potrawie słony, pikantny smak. Wyjęła nieokreślonego gatunku ser zawinięty w szmatkę, a na dole kredensu znalazła skrzynkę pomarszczonych, lecz doskonałych jabłek. W spiżarni był zapas jabłeczniaka. Nie mieliśmy apetytu i szybko uporaliśmy się z posiłkiem. Podniosłem się i chciałem pozmywać. Spojrzała na mnie rozbawiona.

— Miło, że mi pomagasz — powiedziała. — Jesteś mężczyzną tak wojowniczym...

— Jesteśmy dwojgiem agentów w terenie. Nie ma powodu, byś mnie obsługiwała.

Uśmiechnęła się do mnie, wyjęła ze spiżarni słoik z kawą i zaczęła wybierać ziarna, tak jak przedtem Renée Garry.

— Mało tu prawdziwej kawy! Nie wiem, czy trzeba nadal ją wybierać. Za dwa dni zostanie nam tylko ersatz.

— Trudno — rzekłem. — Dziś wieczorem będziemy czuwać. Przyda się prawdziwa kawa...

Podała kawę w salonie, wkładając do filiżanki najpierw cukier, jak robią Anglicy...

— Noor, skup się. Podawaj kawę po francusku! Poprawiła się, przygryzając wargi.

Do oczekiwanego połączenia została nam jeszcze godzina. W mieszkaniu panowała cisza. Od czasu do czasu z oddali dochodził warkot samochodu, najprawdopodobniej niemieckiego. W pogrążonym w półcieniu salonie paliła się tylko jedna lampa. Słysząc było jedynie szelest firanki, poruszanej niekiedy podmuchem wieczornego wiatru. Miałem ochotę wrócić jeszcze do wydarzeń ubiegłego dnia. Nauczyłem się tego, uczestnicząc w operacjach specjalnych: każda akcja wymaga „omówienia post factum”, by zlikwidować napięcie i podzielić się z ludźmi oceną ich odwagi i umiejętności. Jest im to potrzebne.

— Nie unieszkodliwiłaś go strzałem z pistoletu, ale w close-combat — powiedziałem do Noor. — Nie zdziwiłbym się, gdyby nie żył...

— Mam nadzieję, że żyje. Może uderzyłam go trochę za mocno, ale strasznie mnie poganiałeś — powiedziała z uśmiechem.

— Inaczej siedzielibyśmy pod kluczem w alei Focha. Adamowscy na pewno tam są. Właśnie teraz ich przesłuchują...

Nie dokończyłem zdania. Zapadła ponura cisza. Noor zrozumiała, że lepiej omijać ten temat.

— Keegan był świetnym instruktorem, muszę to przyznać, chociaż mnie nie oszczędzał. Był trochę przesadnym tradycjonalistą, to wszystko... Aby nam wyjaśnić, jak uderzać między nogi, używał tylu omówień, że nic nie rozumiałyśmy. Do chwili, gdy Violetta Laszlo powiedziała: „Aha, chce pan powiedzieć w jaja, sierzancie!”. Zaczerwienił się jak piwonia! Ale zajęcia z nim były diabelnie skuteczne. Teraz nigdy nie będę się bała wychodzić sama w nocy.

— Noor, wytłumacz mi, dlaczego ślubowałaś, że nikogo nie zabijesz, przecież walczymy z nazistami...

— Nie, nie teraz — powiedziała po chwili zastanowienia. — Trwałoby to za długo. Za trzy kwadranse będą nas wywoływać. Ale obiecuję, że to zrobię. Jeśli cię to interesuje...

— Wszystko, co jest związane z tobą, mnie interesuje.

Mówiłem czułym, a jednocześnie uroczystym tonem. Zastanawiała się przez chwilę z uśmiechem na ustach. Zdawało mi się, że podejmuje jakąś decyzję. Zapatrzyła się w czubki pantofli i powiedziała:

— John, muszę ci coś wyznać. Wiesz, że cię bardzo lubię. Muszę być z tobą szczerą.

Mówiła nieco stłumionym głosem, wyraźnie oddzielając słowa.

— No więc... Mam narzeczonego. Jest w tej samej organizacji co my. Może go znasz. Nazywa się Donaldson. Poznałam go w Arisaig. Jest silny. Jak ty. Jest również piękny. Jak ty. Spotykałam się z nim na przepustkach w Londynie. Dwa miesiące temu został zrzucony we Francji. Z dwoma innymi agentami, radiotelegrafistą i łącznikiem organizuje siatkę Scientist. Jak Prosper. Powiedział mi, że obie siatki mają ze sobą współpracować. W dzień jego wyjazdu przyrzekliśmy sobie, że jeśli wyjdziemy z tego żywi, po wojnie pobierzemy się. To wszystko...

Każde wypowiedane przez nią słowo było jak cios sztyletem. Widząc moją zmienioną twarz, podeszła i usiadła obok. Wzięła mnie za rękę i spojrzała błagalnym wzrokiem.

— Nie miej mi tego za złe. Gdybyśmy się spotkali wcześniej...

Po tych słowach zalała mnie fala nadziei. Noor mówiła dalej:

— Ale spotkaliśmy się w samolocie. Los tak chciał. Kocham go i staram się szanować moje uczucia. Wydaje mi się, że tak jest bardziej sprawiedliwie...

Niezbyt wiedziałem, co ma do tego sprawiedliwość. Ale w duszy poczułem rezygnację. Była to sprawa lojalności. Byłem bez szans.

O jedenastej Noor znów założyła słuchawki. Tym razem byliśmy spokojni: radiostacji odbierającej wiadomość nie da się namierzyć. Widziałem rękę Noor poruszającą się po białej kartce notesu do kodowania. Notowała w locie ciągi pięciu

liter bez żadnego znaczenia. Cała operacja trwała dwadzieścia minut. Potem wyłączyła aparat. Teraz trzeba było zrobić transkrypcję.

— Nie patrz tak na mnie — powiedziała. — Krępuje mnie to.

— To ja jestem skrępowany.

Uśmiechnęła się i skoncentrowała na pracy. Zapisywała słowa jedno pod drugim tak, że za każdym razem powstawał kwadrat o boku zawierającym pięć liter. U góry napisała klucz. Był to początek wiersza Rimbauda: „Prądem rzek obojętnych niesion w ujścia stronę”. Zrobiła transkrypcję w porządku narzuconym przez klucz. Następnie powtórzyła tę operację. Tym razem ukazała się jasna wiadomość, litera po literze. Wyobraziłem sobie, jak Buckmaster albo Bodington, których zawiadomiono w domu, wskakują do samochodu, spotykają się w biurze na Baker Street, konferują krótko, by opracować odpowiedź, a potem wzywają żołnierza z oddziałów pomocniczych, by ją nadał. „Cieszymy się, że jesteście cali i zdrowi — mówili. — Archibald nas zawiadomił”.

Pseudonim Archibald nosił Gilbert Norman, radiotelegrafista Prospera, z którym parę razy się spotkałem. Od razu wydało mi się dziwne, że jest jeszcze na wolności. Przecież Niemcy wykryli Virofiay i mieszkanie Garrych! Ten, kto ich wydał, musiał również sypnąć radiotelegrafistę, zajmującego kluczowe stanowisko w organizacji Prospera. Dalszy ciąg wiadomości brzmiał: „Prosper prawdopodobnie na wolności. Jednak siatka poważnie ucierpiała. Inne siatki związane z Prosperem również zagrożone. Ukryjcie się. Wskazane dalsze śledztwo w sprawie szpicla. Zdrajca na wolności. Wytrwajcie. Odwagi”. Mimo zwięzłości telegraficznego języka poznałem styl Buckmastera, który w relacje z agentami wkładał cały ogromny humanizm i współczucie, do jakich był zdolny.

— Wspaniale, ale niewiele nam to pomoże — rzekłem.

— Za wszelką cenę mamy teraz nic nie robić — skomentowała dowcipnie Noor.
— Chodźmy więc spać.

Godzinę później leżałem w ciemności, wpatrywałem się w wąskie świetliste smugi, padające przez szpary w okiennicach, przez które sączył się księżycowy blask, i myślałem o dwóch ważnych wiadomościach, jakie dotarły do mnie tego dnia: Londyn zachęcał mnie do kontynuowania misji, a Noor do zaprzestania zalotów. Dwa nakazy, oba równie trudne do wykonania.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W sercu Paryża byliśmy jak na bezludnej wyspie: odcięci od świata, zdani na siebie. Pierwszego dnia kręciliśmy się po mieszkaniu, nie wiedząc, co robić: czytaliśmy, pisali, gotowali. O dziesiątej wieczorem Noor założyła słuchawki i zaczęła rozszyfrowywać wiadomość z Londynu. Nie znaleźliśmy w niej nic nadzwyczajnego: zalecano ostrożność i przesyłano słowa otuchy. Nie było ani słowa o losie siatki Prospera. Kiedy skończyła, wróciliśmy do salonu.

— Nie możemy tak tu siedzieć — powiedziałem. — Muszę się skontaktować z Blainville'em i Vienetem i zasięgnąć języka.

— Oczekaj przynajmniej kilka dni. Aresztowani agenci muszą wytrzymać czterdzieści osiem godzin, potem mogą mówić. To niedobry moment, żeby wyjść na miasto. Musieli podać nasz rysopis wszystkim komisariatom. Jeden jest naprzeciwko. Mogą cię aresztować, kiedy tylko pokażesz się na ulicy!

— To prawda. Ale pozostając w ukryciu, na nic się nie przydadamy. To śmieszne i nie do zniesienia.

— Trzeba się nauczyć godzić z losem — rzekła Noor sentencjonalnie, z figlarnym błyskiem w oczach. — Uspokój się. W bibliotece znalazłam porto. Angolicy lubią porto, prawda?

— Zwłaszcza xeres.

— Tu go nie ma — odparła. — Nie zapominaj, mój drogi, że jesteśmy we Francji!

Zaczynałem trochę się relaksować. Noor odchyliła klapę w bibliotece. Rzeczywiście był tam dobrze zaopatrzony barek, w którym królowała sześciolitrowa butelka whisky.

— Raczej napiłbym się whisky.

— Whisky dla pana! Przepraszamy, ale zakład nie posiada lodu.

— Tę whisky pije się bez lodu — powiedziałem tonem wyrzutu.

Noor wlała dla mnie whisky do prostej szklanki, a dla siebie porto do kieliszka z przydymionego szkła. Podniosła go ze słowami:

— Za Anglię! I mimo wszystko za Prospera! Umoczyła wargi, odstawiła kieliszek i podeszła do pianina.

— Jak powiadają we Francji, muzyka łagodzi obyczaje... Wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, usiadła na obitym aksamitem taborecie. Otworzyła pianino i zaczęła grać. Popłynęła nostalgiczna sonata Beethovena.

— Muzyka jest jedyną rzeczą, jaką lubię u Niemców — powiedziała, nieprzerywając gry.

Grała skupiona, zaznaczając tempo ruchami głowy i klatki piersiowej, wyraz jej twarzy zmieniał się, w miarę jak muzyka stawała się szybsza lub wolniejsza. Nie jestem melomanem, ale wydawało mi się, że ma świetną technikę i tak dobrze zna partyturę, iż dociera do najskrytszych intencji kompozytora.

Gdy skończyła, zacząłem bić brawo, a potem przyniosłem jej kieliszek. Podziękowała mrugnięciem powiek.

— To było piękne, Noor. Oczywiście, nieco smutne... Odwróciła się urażona, odstawiła kieliszek na pianino i rzekła:

— Za smutne? Nie szkodzi!

Zaczęła grać kawalek, w którym dźwięki potraçały się, brzmienia zmieniały, zaskakujące i dziwne.

— Co to za kompozytor?

— Erik Satie. W Anglii nie znacie go. Jesteście zbyt konformistyczni! Pracowałam z nim.

— Pracowałeś z tym kompozytorem? To znaczy... zajmujesz się zawodowo muzyką?

— Nie. Myślałam, że będę to robić, jak cała moja rodzina. Ostatecznie jednak zdecydowałam się pisać... Ale bardzo lubiłam pracować z tym kompozytorem. Bardziej niż z Debussym i Ravelem.

— Z Debussym i Ravelem? Jak ich poznałaś?

— Byli przyjaciółmi mego ojca.

— Noor, już czas, byś mi coś o sobie powiedziała. Pamiętasz, wczoraj mi to obiecałaś. Mamy mnóstwo czasu, sama to mówisz. W końcu chcę wiedzieć, kim jesteś. Bez przerwy dowiaduję się jakichś niesłychanych rzeczy. Powiedziałaś mi albo za dużo, albo za mało. Teraz nadszedł moment, byś wyłożyła karty na stół, agentko Noro Wilson. Mam sposób, by cię zmusić do mówienia...

Wstałem, nalałem dużą porcję porto i podałem jej kieliszek.

— Mów.

Zaśmiała się. Pocałowała mnie w policzek i usiadła w głębokim, klubowym fotelu pokrytym brązową skórą, wyciągnawszy przed siebie nogi i lekko przechyliwszy głowę. Mówiła bez przerwy przeszło dwie godziny, a ja z rzadka tylko przerywałem jej pytaniami. Słuchałem, wtulony w kanapę, popijając wolno swoją whisky. Kiedy dobrze po północy poszliśmy wreszcie spać, patrzyłem na nią innymi oczami.

— Moja historia — powiedziała — zaczyna się w pałacu o stu minaretach i tysiącu okien. Zbudowano go na wyspie w południowo-wschodnich Indiach, na środku rzeki. To piękna, srebrzysta rzeka. Wije się w tropikalnym lesie i wpada do oceanu.

- To pałac twoich przodków?
- Tak. Został zburzony.
- Przez kogo?
- Przez was, Anglików.
- Tak? A do kogo należał?
- Do tygrysa.
- Do tygrysa? — Uśmiechnąłem się. — Twoim przodkiem Dyl tygrys?
- Tak. Nazywano go Tygrysem z Majsuru.
- Nie słyszałem o kimś takim!
- Oczywiście, wy, Anglicy, zapomnieliście o nim. A jednak zatruwał wam życie. Mój przodek nazywał się Tipu Sułtan. Nic ci nie mówi to nazwisko?
- Nie...
- Ignorant!
- Ale nikt nie wie, kim jest?
- Jak to nikt? Ignorancik! Ten człowiek odegrał ważną rolę w historii. Sprzymierzył się z Republiką Francuską przeciwko wam, straszni, angielscy kolonialiści. Majsur był dużym, muzułmańskim królestwem na południu Indii. Aby walczyć przeciwko Anglii, mój przodek szukał sojuszników. Znalazł ich we Francji. Najpierw jego sprzymierzeńcem był Ludwik Szesnasty, potem Republika, a jeszcze potem Napoleon. Mój przodek był sułtanem Majsuru. Na swym sztandarze miał tygrysa. Ludzie Zachodu znali go jako Tipu Sułtana. Był to wielki władca, mój drogi, bardzo potężny i bardzo wykształcony. Jego biblioteka liczyła tysiące książek. A armia dziesiątki tysięcy żołnierzy. Był także przywódcą religijnym, sufim. Miał bezpośrednie kontakty z Bogiem. Przez całe życie oddawał się ćwiczeniom duchowym jak święty Ignacy Loyola. Wszystko to wydaje ci się niezrozumiałe, prawda?
- Nie, nie. My, na Zachodzie, także mamy mistyków.
- Hmm... Nie jestem pewna. Wy, racjonaliści, myślicie, że mistycy są ludźmi, którzy przez cały dzień unoszą się dwadzieścia centymetrów nad ziemią, a w nocy śpią na deskach nabitych gwoździami.
- Wyobrażam sobie, że Tygrys z Majsuru nie spał na deskach nabitych gwoździami.
- Mój przodek spał w puchowym łożu z dwiema lub trzema żonami spośród trzydziestu, jakie posiadał. Wachlowały go niewolnice. Ale miał wzniosłą koncepcję religii. W jego czasach istniał szacunek. Obcinano rękę złodziejom i kamienowano cudzołożnice. Ludzi, którzy mieli odmienne poglądy religijne niż sułtan, wbijano na pal.

Noor uśmiechała się, rzucając mi ironiczne spojrzenia. Kontynuowała ze śmiechem:

— Były to czasy, gdy przestrzegano zasad...

— Ty też wyznajesz te zasady?

— Nie. Spuściliśmy z tonu. Kontakt z Zachodem rozmiękczył nas.

— Dlaczego Tygrys z nami walczył?

— Ależ to wy z nim walczyliście. Wy podbiliście Indie. Sułtan jest bohaterem niezawisłości narodowej. Przez lata pokonywał wszystkie korpusy ekspedycyjne, jakie Anglicy wysyłali do dżungli. Żołnierze umierali przebici włócznią, ukąszeni przez grzechotniki lub rozszarpani przez tygrysy. Jako wielki strateg zawarł sojusz z Francją. Wiedział, że od wojny siedmioletniej Francja szuka zemsty na Anglii. W pewnym okresie popierał marynarza, o którym nie słyszałaś, a którego Francuzi nazywają admirałem Suffren. Suffren był wielkim kapitanem, który nie przegrał żadnej bitwy z Royal Navy! Nieźle, co? Potem sułtan zaproponował Francuzom, by przybyli do Majsuru drogą lądową. Dlatego Bonaparte pojechał do Egiptu. Ale mu się nie udało.

— W pewnej chwili nasz rząd miał tego dosyć, prawda?

— Tak. Imperialiści zatriumfowali. Czerwone kurtki przybyły z korpusem ekspedycyjnym silniejszym od innych i ze sprzętem obłężniczym. Dowodził nimi Richard Wellesley. Był to brat przyszłego diuka Wellingtona, tego spod Waterloo. Okrążyli wznoszący się na rzece pałac sułtana. W miejscu, gdzie mogli wylądować w dużej sile, ich artyleria zrobiła wyłom w murach. Sułtan odpierał ich przez cztery miesiące. Kazał nocą naprawiać mur, który burzyliście za dnia. Ale zabrakło pożywienia i pod koniec na złotych talerzach podawano dworowi pieczone szczury.

— Oto czym się kończy rzucenie rękawicy Anglii.

— Śmieję się, imperialisto. Po wojnie Indie odzyskają niepodległość. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

— Ależ ja nie jestem zwolennikiem imperium. Jestem antykolonialistą.

— A więc posłuchaj o bohaterskim końcu mego przodka. Z szacunkiem! Anglicy przypuścili szturm. Ministrowie wyprowadzili rodzinę sułtana podziemnymi korytarzami. Tipu Sułtan był w bibliotece. Czytał swój egzemplarz Piekła Dantego wydrukowany na welinowym papierze. Przyszli i błagali go, by uciekał. A on im odrzekł: „Nie, moje miejsce jest przy żołnierzach, którzy stawali w mojej obronie”. Godzinę później wyszedł ze swych apartamentów w paradnych szatach. W rękę trzymał wielką zakrzywioną szablę. Za nim szli ministrowie. Musieli zrezygnować z ucieczki podziemnymi korytarzami i mieli nosy spuszczone na kwintę. Na pewno woleliby raczej mniej heroizmu... Tipu Sułtan wszedł na mury i stanął na czele swych wojsk. Ale Anglicy byli silniejsi. Po zrobieniu wyłomu w

murze wpadli na pałacowy dziedziniec w szyku bojowym, w trzech szeregach. Regularnie strzelali salwami. Za każdym razem padały dziesiątki żołnierzy sułtana. Potem założyli bagnety na broń i rozgromili szeregi ostatnich obrońców. Żołnierze mego przodka walczyli do końca. Anglicy, którzy, jak wszystkim wiadomo, reprezentowali cywilizację, wybili ich do nogi. Nazajutrz na stosie trupów znaleziono okaleczone i zakrwawione ciało Tipu Sułtana. Poznano go po diamentach, które nosił w uchu, na szyi, na nadgarstkach i na kostkach. Był to najświetniejszy z moich przodków.

— Jesteś więc prawdziwą księżniczką?

— Wątpisz w to? Moja dynastia, mój drogi, jest równie stara jak dynastia Windsorów. Cóż za bezczelność! Powinnam kazać wbić cię na pal.

Noor zdjęła pantofle i podwinęła nogi. Mówiła, zapalając się, w zależności od toku opowieści jej oczy zasnuwały się mgłą lub przypominały sztylety. Wstałem i podałem jej porto, które raczyła przyjąć.

— Czy naprawdę interesuje cię ta historia, ciebie, lewicowego, racjonalnego dziennikarza?

— Noor, ta historia mnie interesuje, bo dotyczy ciebie. Dobrze o tym wiesz.

— Przestań się do mnie zalecać. Chcę cię czegoś nauczyć...

— Zatem twoja rodzina wyszła podziemnym przejściem...

— Tak. Wygnano ją z Majsuru i wyjęto spod prawa na kontynencie, zdominowanym przez jej angielskich wrogów i sprzymierzonych z nimi maharadzów. Rodzina Tipu Sułtana prowadziła nędzny, wędrowny tryb życia. Przyjmowały ją zaprzyjaźnione rody, ale niebawem musiała znów ruszać w drogę, uciekając przed Anglikami. Po wielu, wielu latach przybyła do miasta Baroda na północy Indii, gdzie mogła osiąść. Moja rodzina podtrzymywała tradycje. W każdym pokoleniu chłopców wprowadzano w tajniki polityki i religii, by mogli zostać wodzami i mędrkami. W Barodzie mój dziadek, który był prawnikiem sułtana, został mistrzem sufi. Jego społeczność uznawała go za wielkiego muzyka — perfekcyjnie grał na sitarze, wiesz tej wielkiej indyjskiej mandolinie — i mędrca, zwanego walim. Z całego kraju nadciągali uczniowie, by słuchać jego nauk. Większość czasu spędzał na dachu.

— Na dachu?

— Tak. Na dachu. Mieszkał w dużym domu z czerwonego kamienia. Siedział po turecku nad miastem i medytował. Rozmyślał o metafizyce sufi, o świętych tekstach islamu. Wy, ludzie Zachodu, powinniście częściej tym się zajmować. Byłoby mniej nieszczęść na ziemi.

— Ależ rozmyślamy!

— Przeważnie o tym, w jaki sposób wykończyć sąsiada.

— To prawda...

— A widzisz! Mój dziadek studiował teksty. Jest w nich wiele znaczeń. Najważniejsze są ukryte. Nic już z tego nie rozumiesz...

Roześmiałem się i dałem jej znak, by mówiła dalej.

— Mój dziadek prawie nie jadł. Gardził ziemskimi przyjemnościami. Wolał uprawiać ćwiczenia duchowe. Mówił, że to dobry sposób, by w naszej duszy zrobić jak najwięcej miejsca dla Boga. Główna idea sufi jest następująca: do poznania Boga dochodzi się przez dyscyplinę własną, dzięki medytacji i wyrzeczeniu się ziemskich pokus. Należy zmierzać do całkowitego odrzucenia nafs.

— Nafsu?

— Nafs to nasz egoistyczny instynkt, wszystko, co w nas niskie, mierne i podłe. Jedyną ziemską namiętnością mego dziadka była muzyka. Zaczął grać na sitarze jako dwuletnie dziecko. Był uzdolnionym kompozytorem i został jednym z wielkich mistrzów muzyki tradycyjnej. Mówił, że muzyka jest drogą do Boga. Melodie śpiewów sufi wyrażają istotę boską. Ten, kto je komponuje, w rzeczywistości pisze pod dyktando Allacha. Znasz te melodie?

— Nie...

— Tak myślałam. Z całych Indii ciągnęli ludzie, by go słuchać. Podczas suchej pory do jego domu przybywało ich mnóstwo. Przynosili dary i mieli prawo mieszkać tu przez tydzień i otrzymywać miseczkę ryżu dziennie. Asystowali przy lekcjach mistrza. A on doskonalił się w studiowaniu różnych odmian muzyki subkontynentu.

— Mieszkałaś z nim?

— Nie. Nie urodziłam się w Indiach...

— Ach tak? Dlaczego?

— Nie pośpieszaj mnie. Wali miał syna, który nazywał się Ajit. Został wychowany jak wszyscy potomkowie naszej rodziny, uczył się filozofii i muzyki.

— To twój ojciec?

— Zaczekaj! Pewnego dnia, gdy Ajit miał dwa lata, pędem zbiegł z tarasu. Zapatrzył się na zmierzch i wschodzące gwiazdy. Powiedział: „Ojcze, jak możemy mówić o Bogu, który jest tak daleko, za gwiazdami?”. Jego ojciec medytował, siedząc na podłodze w swej sypialni. Kazał mu usiąść naprzeciwko siebie. „Bóg, synu, nie jest w niebie. Oto podstawowa prawda. Bóg jest wszędzie, w każdym z nas, w przedmiotach, w przyrodzie, w pięknie przyrody i w cierpieniach ludzi”. Ajit odkrył, że z tej zasady płynie bardzo ważny wniosek: Boga nie należy widzieć tylko w tym, co jest wyższe od człowieka, jak to robicie tu, na Zachodzie...

— Ja nie wierzę w Boga...

— Jak to?

— Po prostu nie wierzę w niego.

— Każę cię wbić na pal.

— To nie moja wina! Wiary nie można mieć na zawołanie.

— Można. Ale mniejsza o to. Nie w tym rzecz. Postaraj się przez chwilę wierzyć. To cię nieco uwzniośli. Słuchaj dalej. Religie zachodnie umieszczają Boga w niebie.

— Jak dotąd zgoda...

— Albo w piorunach lub błyskawicach. Albo też na jakiejś legendarnej górze, ukrytej przed wzrokiem wszystkich, na przykład na Olimpie lub Synaju. Tymczasem powinniśmy widzieć Boga również w tym, co jest niżej. Bóg jest w dzieciach, zwierzętach, niewolnikach czy żebrakach. Jest zarówno w nieczystych pariasach, jak w pałacu maharadzów. Oto co myślał mój dziadek. Dlatego wszyscy mają prawo do równego traktowania. Pewnego dnia Ajit wyśmiewał się wraz z innymi uczniami z niedorozwiniętego człowieka, który coś bełkotał. Rzucali w niego kamieniami. Wali wpadł w straszliwy gniew. Zgromił go: „Ajit, ten człowiek to mahdjub. Prawo Proroka nakazuje nam go bronić. Albowiem pewnego dnia Bóg może przemówić przez jego usta. My nie rozumiemy, co mówi. Ale jego szaleństwo może nas prowadzić do prawdy. Bóg nie zawsze wybiera uczniów spośród uczonych i możnych. Często woli szaleńców. Przemawia za nimi ich niewinność”.

— Twój dziadek był mędrce...

— Oczywiście. Pewnego dnia zawołał Ajita do swej sypialni i powiedział: „Jestem stary. Już wkrótce wezwie mnie Bóg. Ty, Ajit, będziesz musiał rozwijać moją naukę dalej. Mam dla ciebie nowe, całkiem odmienne zadanie. Społecznością Barody będą mogli zająć się twoi bracia. Medytuję od przeszło roku. Teraz jestem pewien, że znalazłem drogę. Nasza mądrość sufi jest rozpowszechniona wszędzie na Wschodzie, na ziemi islamu i w krajach hinduistycznych i buddyjskich. Ale jest nieznaną na Zachodzie. Będziesz musiał pojechać daleko stąd i znaleźć nowych uczniów w tamtych krajach. To potężne narody. Dzięki swym księgom i armatom panują nad światem. Jeśli chcemy, by nasze przesłanie zostało usłyszane, właśnie tam trzeba je głosić. Potem rozszerzy się na cały świat. Kiedy święty Paweł chciał zanieść przesłanie Chrystusa całemu światu, udał się do Rzymu. Dzisiaj Rzymem są Paryż, Londyn i Nowy Jork”.

— Co za wielki projekt!

— Mój drogi, mam wymagającą rodzinę. Jesteśmy ambitni. Inaczej po co mielibyśmy żyć na tej ziemi?

— I twój ojciec go usłuchał?

— Tak. Kiedy wali zmarł, rodzina uszanowała jego wolę. Zajął się Barodą. A Ajit podróżował. Najpierw po Indiach, by doskonalić swoją wiedzę. Poznawał nauki innych mistrzów, zarówno w zakresie religii, jak muzyki. Potem pewnego dnia wziął walizkę i udał się na dworzec. Ścisnęło mu się serce, ale był pełen nadziei. Jego matka, wujowie, rodzeństwo, zgromadzeni w westybulu wielkiego czerwonego domu, żegnali go ze łzami. I wyjechał.

Wciśnięty w kanapę, zapadłem w miłe odrętwienie. Noor, zapatrzona w dal, przeżywała historię życia, jakie opuściła, by wstąpić do tej samej armii, która pokonała Tipu Sułtana... Odezwała się znowu:

— Już druga. Chodźmy spać. Jeśli moja opowieść choć trochę cię interesuje, możemy do niej wrócić jutro...

— Ale jak twój ojciec — powiedziałem — mógł myśleć o szerzeniu sufizmu na Zachodzie, będąc tam samotny, bez pieniędzy i znajomości? Mimo wszystko nie był świętym Patrykiem... a krajem, który miał ewangelizować, nie była zacofana Irlandia, ale Ameryka i Europa!

— Szanowny reprezentancie Zachodu! Powinieneś sobie przypomnieć, że Szeherezada opowiadała swą historię przez tysiąc i jedną noc. Ludzie Zachodu są zbyt niecierpliwi...

Kiedy minęliśmy się na korytarzu i każde z nas poszło do swego pokoju, na jej twarzy była wypisana tęsknota. Później, przechodząc pod jej drzwiami, usłyszałem płacz. Wzruszony, zrozpaczony, cicho uchylilem drzwi. Leżała zwrócona twarzą do ściany. W mroku widziałem jej plecy wstrząsane łkaniem. Podeszedłem i usiadłem na łóżku. Dotknąłem ręką jej ramienia. Nie poruszyła się, ale wyciągnęła spod kołdry dłoń i położyła ją na mojej. Wyciągnąłem się na kołdrze obok niej i objąłem ją. Przytuliła się do mnie, ale się nie odwróciła. Moje serce wypełniła czułość. Długą chwilę leżała tak nieruchoma i milcząca. Powoli jej płacz cichł. Potem westchnęła głęboko i powiedziała:

— Powinam być silniejsza. Dalszy ciąg opowiem ci jutro, obiecuję. Nie powinam się rozklejać.

— Nie chcę zrobić ci krzywdy, Noor. Nie mówmy już o tym. Teraz ja opowiem ci swoje życie!

— Nie, nie. Muszę uwolnić się od wspomnień, w przeciwnym razie będę do niczego. Ale chętnie posłucham twojej historii. Tyle przeżyłeś...

Odwróciła się. Spojrzała na mnie w ciemnościach. Wstrzymałem oddech. Pocałowała mnie w policzek. Nieco urażony, teraz ja pocałowałem ją w czoło jak dziecko i wyszedłem z pokoju. Dziesięć minut później, nasłuchując pod drzwiami, usłyszałem jej regularny oddech.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zabrział dzwonek. Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu. Kto może nas szukać? Policja? Ktoś z siatki?

Na obiad zjedliśmy danie z bulw topinamburu, okraszonych podsmażoną na margarynie cebulą, którą Noor z okrzykiem radości odkryła na dnie spizarni. Przez cały ranek siedziałem przy oknie z notatnikiem w ręku. Ukryty za muślinową firanką, notowałem godziną po godzinie, jak wygląda ruch przy drzwiach komisariatu. Przy obiedzie byłem już pewny: gliniarze trzymający wartość zmieniają się co dwie godziny; robią sobie małą przerwę między dwiema zmianami, niewątpliwie po to, by napić się czegoś i zamienić kilka słów. Przerwa trwa co najmniej pięć, a czasem nawet dziesięć minut. W południe była nieco dłuższa. Mogłem więc wyjść z domu niezauważony: wystarczyło poczekać na koniec zmiany o ósmej, dziesiątej lub dwunastej. A więc jednak miałem niewielką możliwość wydostania się na zewnątrz. Mogłem przemknąć do metra, nie ryzykując, że zostanę zatrzymany. Potem, z pomocą bożą...

Jedząc topinambury, powiedziałem do Noor, że jutro zamierzam odbyć małą wycieczkę na miasto.

— Oczekaj jeszcze jeden dzień — powiedziała błagalnym głosem. — Niemcy muszą być w pogotowiu.

— Jeśli chcesz... Ale muszę coś robić. To idiotyczne.

— Pierwszym obowiązkiem agenta jest jednak pozostać przy życiu. Więc nie rób głupstw. Zaczekaj! Jutro...

W tym momencie odezwał się dzwonek.

Dałem jej znak, by nie wstawiała. Oficjalnie nie było nas: nie powinniśmy odpowiadać. Zastygliśmy bez ruchu, zaskoczeni i zdumieni. Słyszeliśmy tylko ciszę, panującą w kamienicy, i uliczny gwar. Po minucie dotarł do nas wyraźny szmer. Wydało mi się, że ktoś schodzi po schodach. Jednak czerwony dywan tłumiał odgłos kroków. Na palcach podszedłem ostrożnie do drzwi, a Noor za mną. Zobaczyłem kawałek białego papieru. Był to list wsunięty pod drzwi. Podniosłem go. Wrzucono go w departamencie Calvados. Był zaadresowany do Renée Garry; adresu nadawcy nie było. Otworzyłem. Tekst zaczynał się słowami: „Droży Arthurze i Auroro”.

Nie były to pomyślne wiadomości. Siatka Prospera została mocno przetrzebiona, pisał Garry. Aresztowano dziesiątki, o ile nie setki osób. O samym Prosperze nic nie wiedział, ale jego towarzyszką, Andrée Borrel, była ranna: aresztowano ją na ulicy na oczach innego agenta, który natychmiast o tym zawiadomił. Gilbert Norman, radiotelegrafista, został zatrzymany na tarasie piwiarni La Lorraine. Miał

się tam spotkać z innym agentem, który zmył się, gdy zobaczył Normana osaczonego przez policjantów. Wiele innych osób, których nie znałem, znalazło się w rękach gestapo. Po schwytaniu Normana siatki Prospera i Cinéma nie miały radiotelegrafisty. Pozostała tylko Noor. Garry prosił nas o przekazanie tych informacji Londynowi. Ale przypominał, byśmy byli ostrożni i nie szukali miejsca do nadawania przed upływem tygodnia. Mówił też, że nazajutrz bierze ślub w małym normandzkim kościółku, jedynie w obecności księdza i ministrantów.

Popołudnie upłynęło w minorowym nastroju. Czytaliśmy w salonie, starając się nie komentować listu Garry'ego. Czekaliśmy na wieczorne połączenie z Londynem. O dziewiątej zasiedliśmy w pokoju Noor przy toalecie, przed obrazkiem przedstawiającym ojca Foucauld, do połowy zasłoniętym przez radiostację. Tym razem wiadomości było dużo. Rozszyfrowanie ich zajęło Noor dobre pół godziny. Pomyliła się przy jednej z transpozycji i wściekła musiała rozpocząć pracę od nowa. Londyn potwierdzał kłopoty siatki Prospera i liczne aresztowania. Dowiedzieliśmy się także, że siatka Cinéma jest nietknięta, podobnie jak Tinker, siatka Cowbuma, człowieka z Dreux. Natomiast Scientist, siatka Donaldsona, narzeczonego Noor, była zagrożona: Donaldson był bardzo związany z Prosperem, który pomagał mu zorganizować siatkę. Współpracowało z nią wielu agentów Prospera. Dzisiaj znajdowali się w więzieniu, stanowiąc zagrożenie dla swych towarzyszy. Dostaliśmy również gorące gratulacje za udaną akcję na lokomotywownię w Dreux.

Czytając ciąg dalszy, aż podskoczyłem: Londyn radził, byśmy za parę dni skontaktowali się z Gilbertem Normanem, który według ich informacji uciekł z łapanki razem z Prosperem. Oni dwaj i Blainville, dodawano, będą w stanie odbudować siatkę, kiedy sprawa przycichnie. Podano nam numer telefonu, na który należy zadzwonić. Spojrzałem na Noor:

— Jesteś pewna, że dobrze rozkodowałaś? — spytałem.

— Chyba tak...

Popatrzyła do swych notatek, coś zweryfikowała, a potem potwierdziła:

— Tak, dobrze odczytaliśmy.

— Jak to możliwe? Garry pisze nam, że Norman siedzi. A Londyn każe nam się z nim skontaktować. Ktoś się tu myli.

— Albo ktoś kłamie...

— Dlaczego mieliby kłamać? To niezrozumiałe. Do przekazu wkradł się błąd. Londyn źle zinterpretował meldunek...

— Nie sądzę, by Londyn błędnie zrozumiał meldunek. Przy procedurach, które stosujemy, to niemożliwe. Po rozszyfrowaniu meldunki są bardzo jasne. Nie można pomylić nazwiska lub zdania. Nie przy alfabecie Morse'a i podwójnej transkrypcji.

Wszystko jest albo jasne, albo nieczytelne. Nie ma mowy o żadnej niejasności czy dwuznaczności.

Patrzyłem na Noor i zastanawiałem się. Znała się na rzeczy. Dlatego wysłano ją do Francji. I nagle pomyślałem o Buckmasterze i Bodingtonie. Określając moje zadanie, powiedzieli: pewna radiostacja została, jak to określili, „odwrócona” przez Niemców. Zorientowali się, że tak jest, przez jakiś czas podtrzymywali łączność, a potem nagle ją przerwali. Oto co tłumaczyłoby rozbieżność przekazów: radiostacja Normana została „odwrócona”, pomyślałem. Gilbert załamał się pod wpływem tortur lub zdradził. Niemcy zaczęli nadawać zamiast niego. To oni zawiadomili Londyn o wpadce siatki Prospera. A Londyn przekazuje to swoim agentom! W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, z którego nagle zdałem sobie sprawę, zakręciło mi się w głowie. Gdyby nie list od Garry'ego, zatelefonowalibyśmy na numer podany przez Londyn. Jak tu nie ufać wiadomości podanej przez bezpośrednich zwierzchników? Ten numer doprowadziłby nas do spotkania z Normanem. I wpadlibyśmy w pułapkę.

Przez godzinę gorączkowo dyskutowaliśmy. Ja opowiadałem się za natychmiastowym działaniem. Proponowałem napisać do Garry'ego, by go uprzedzić i skontaktować się z Vienetem i Blainville'em. Natomiast Noor kładła nacisk na niebezpieczeństwo, jakim groził przedwczesny ruch. A co się stało z Prosperem? Czy Norman jest zdrajcą? Czy może jest nim ktoś inny? Powinienem prowadzić dalej śledztwo, zawiadomić Londyn o „odwróceniu” Normana, zlokalizować Prospera i prześwietlić go, czyja wiem co jeszcze... Powinienem działać.

— Zaczekajmy do jutra — odezwała się Noor. — Jesteśmy podekscytowani tymi hipotezami. Pomyślmy najpierw, w jaki sposób można zweryfikować twoje przypuszczenia. Jest już późno, żołnierzu!

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do salonu. Jakby to był rytuał, otworzyła klapę do barku w bibliotece, wyciągnęła butelkę whisky, porto, prostą szklankę i kieliszek. Nalała sobie porto do kieliszka, a mnie whisky do szklanki, potem zdjęła pantofle i wtuliła się w klubowy fotel, podciągając kolana pod brodę. Zaczynała się druga noc mojej Szeherezady...

— Ajit, mój ojciec, wsiadł w Bombaju na zardzewiały statek pasażerski. Powoli zdążał na zachód. Morze było spokojne i panował straszliwy upał. W ładowniach kłębili się wychudli robotnicy i hałaśliwe rodziny. Wszyscy jechali szukać szczęścia w Ameryce.

— Czy twój ojciec miał pieniądze?

— Niewiele. Spał pod pokładem. Opierał się o swą walizeczkę z nieprzemakalnej skóry, a przy boku trzymał sitar. Widziałam jego zdjęcia z tego

okresu. Był młodym, eleganckim mężczyzną. Miał gorejące oczy o łagodnym wejrzeniu. Wreszcie pewnego dnia zobaczył przed statkiem posąg z pochodnią. Wpłynął do dużej cieśniny z domami zamykającymi horyzont. Czekał w korytarzach Ellis Island i wreszcie jakiś typ w niebieskim kepi przystawił mu pieczętkę na dokumencie. Miał prawo przebywać pięć lat w Stanach Zjednoczonych.

— Ale nikogo nie znał.

— Owszem. Miał adres kuzyna, który przyjechał do Ameryki przed sześcioma laty. Mieszkał w głębi Bronksu, po drugiej stronie Manhattanu. Po trzech godzinach marszu znalazł właściwą ulicę. Opowiadał mi o tym. Można było pomyśleć, że to Baroda! Oba miasta różniły się tylko wysokością domów. Były czarne od dymu, a fasady miały poprzecinane schodami bezpieczeństwa. Poza tym dookoła widział jedynie kobiety w sari, smagłe dzieci bawiące się przy hydrantach, braminów w białych furażerkach i sklepy upstrzone indyjskimi napisami. Kuzyn przyjął go z szacunkiem. Poczęstował herbatą w małej czarce z terakoty. Dał mu pracę. Przez dwanaście godzin dziennie wszywał rękawy do koszul w suterenie, gdzie ledwo dochodziło światło dzienne.

— A sufizm?

— Powoli! Za pierwszą tygodniówkę kazał wydrukować afisze obwieszczające, że pewien młody wali, przybywający z kraju, będzie mówił o „tajemnicach Boga”.

— Czy afisze przyciągnęły słuchaczy?

— Nie. Powiesił anons w witrynach sklepów i na drzwiach warsztatów w indyjskiej dzielnicy. Właściciele sprawdzili, że nie chodzi o socjalistyczną propagandę. Po czterech dniach przemówił do grupy szesnastu pobożnych Hindusów. Byli zmęczeni po dniu pracy. Gdy głosił swe nauki, dwóch lub trzech zasnęło. Ale był zadowolony.

— Czy potem poszło mu lepiej?

— Trochę. Został pół roku w hinduskiej społeczności w Nowym Jorku. Zyskał opinię mówcy i mędrca i mógł przestać pracować, ponieważ żył z datków swych pierwszych uczniów.

— To był początek...

— Tak, ale szybko zrozumiał, że to ślepa uliczka. Propagowanie sufizmu wśród imigrantów nie wystarczało. Jego ojciec polecił mu „ewangelizować Nowy Świat”.

— Musiał dotrzeć do Amerykanów!

— Właśnie. Pomyślał więc o muzyce. Miał adres muzyka, który przed dziesięcioma laty mieszkał w Barodzie, gdzie uczył się gry na sitarze i tradycyjnej kompozycji. Teraz był dyrektorem konserwatorium w południowym Manhattanie. Była to uczelnia raczej dla ludzi z wyższych sfer. Złożył mu wizytę. Miał na sobie

typowy strój duchownego ze stójką, białą połataną tunikę i turban na głowie. Amerykanin przyjął go z kurtuazją. Wypytywał o Barodę, o mego dziadka itd. Po półgodzinie Ajit spytał, czy mógłby mieć nadzieję na udzielanie lekcji w jego konserwatorium.

— Była to śmiała prośba...

— Tak. Konserwatorium zatrudniało zawodowych muzyków po studiach w Stanach Zjednoczonych. Ale dyrektor poprosił ojca, by zagrał na pianinie. Było to z jego strony niesłychanie eleganckie. I natychmiast go przyjął! Mój ojciec zagrał jedną z sonat Liszta, bardzo trudną technicznie. Nazajutrz został mianowany zastępcą profesora.

— Nie do wiary!

— Skądże. Mój ojciec był kimś niezwykłym. A dyrektor konserwatorium wpadł na genialny pomysł. Poradził mu, by uczył również muzyki hinduskiej. Był tym zainteresowany, bo na Zachodzie panowała wtedy taka moda. Mój ojciec o tym nie wiedział, ale prawie wszędzie rozwijał się ruch orientalistyczny. W następnym roku konserwatorium otworzyło klasę tradycyjnej muzyki sufi, której towarzyszył cykl wykładów. Widziałam afisz, pokazał mi go któregoś dnia. Widniał na nim napis: Wykładowca: „mistrz hinduskiej mądrości Pir-O-Murshid Ajit Vijay Khan”.

— Pir-O-Murshid?

— To znaczy „mistrz mądrości”.

— Na afiszu było więc napisane „mistrz mądrości mistrz mądrości Ajit”?

— Tak. Egzotyczne słowa robią wrażenie! Ojciec natychmiast odniósł sukces. Był erudyta, a zarazem człowiekiem niesłychanie prostym. Często bywał zabawny i zachowywał się z istic brytyjską uprzejmością. Jest coś takiego...

— To dobra strona imperialistów...

— Stał się modny wśród wykształconych rodzin w południowym Manhattanie. Sądzę, że podobał się rozpróżnionym damom, które organizowały życie towarzyskie w Nowym Jorku. Zalecał tolerancyjną duchowość, ćwiczenia medytacyjne i powolne ruchy, takie jak w jodze. Często zapraszano go na różne kolacje. Albo na prywatne wykłady na herbacianych przyjęciach, organizowanych w wielkich rezydencjach przy Piątej Alei. Zapuścił brodę. Ubierał się teraz wyłącznie w długą białą szatę i jedwabną marynarkę w żywych kolorach. Wyglądał wspaniale!

— Miał powierzchowność światowca?

— Jeśli wolisz... Następnego roku jakaś bogata wielbicielka namówiła męża, by przeznaczył część swych dywidend na utworzenie fundacji, którą będzie kierował Pir-O-Murshid. Mógł więc wynająć dom w pobliżu Ósmej Alei i przeznaczyć go na działania zmierzające do propagowania wiary i nauczania muzyki sakralnej. Jeździł

na wykłady do innych miast na wybrzeżu, nawet do San Francisco i Los Angeles. Wykładając kilkakrotnie w tym samym mieście, stwierdził, że na każdym z wykładów znajduje grono wiernych słuchaczy, zaproponował im więc, by założyli w swym mieście mały ośrodek sufizmu i muzyki. W Nowym Jorku przyjmował w swym domu członków owych społeczności, by kształcić ich w mistycznej wiedzy, a potem odsyłał do miast, skąd przybyli i gdzie z kolei oni nauczali nowych adeptów.

— A ty?

— Zaraz do tego dojdę! Któregoś wieczoru, gdy przemawiał do członków pewnego dobroczynnego towarzystwa w Bostonie, zapragnęła z nim pomówić młoda, szczupła kobieta o pięknych, ciemnych włosach i melancholijnym spojrzeniu. Chciała brać indywidualne lekcje, by zgłębić jego wiarę. Pochodziła z bogatej bostońskiej rodziny, gotowej dobrze zapłacić. Po trzech lekcjach Ajit odmówił przyjęcia honorarium i poprosił ją o rękę. Dziewczyna nazywała się Ora Wilson. Zgodziła się z radością. Była to moja matka!

— Dziwne, Amerykanka z Bostonu, która wychodzi za mąż za guru...

— Guru? No cóż, jeśli wolisz... Była bardzo religijna, zafascynowana sufizmem, a jednocześnie moim ojcem. Została begum.

— Begum?

— To znaczy księżną. Księżną Ajit Vrajy Khan. To brzmi lepiej niż panna Wilson, prawda?

— Oczywiście! I dlatego przybrałaś pseudonim Wilson...

— Tak, bardzo kocham moją matkę. A poza tym w RAF-ie uznano, że moje nazwisko jest zbyt skomplikowane. Proszono, bym przybrała jakieś nazwisko anglosaskie. Wybrałam Norę Wilson.

— Urodziłaś się więc w Stanach Zjednoczonych?

— Nie, urodziłam się na Kremlu, w Moskwie.

— W Moskwie?

— Ajit codziennie przypominał sobie o przykazaniu ojca. Ameryka nie wystarczała. Trzeba było również zapuścić korzenie w Europie. Latem tysiąc dziewięćset dwunastego roku znowu wsiadł na statek pasażerski. Tym razem z żoną i podróżował pierwszą klasą. Poprzedzała go sława. Jego muzyczny i towarzyski karnet z adresami był wypełniony bez reszty. Po dwóch latach wykładów i koncertów udało mu się założyć ośrodki sufizmu w Genewie, Amsterdamie, Londynie, Berlinie i Paryżu. Sprowadził z Barody braci i siostry, którzy utworzyli orkiestrę muzyki sakralnej. Napływały dotacje. Był gościem królewskich rodzin, przyjacielem możnych, ozdobą wieczorów, na których bywało towarzystwo z gotajskiego almanachu. Wyrzywały go sobie instytuty teologiczne i fakultety

filozofii. Jego interpretacja islamu była komentowana na seminariach i w aulach uniwersytetów.

— Czy stworzył własną doktrynę?

— Tak. Po zetknięciu się ze społeczeństwem Zachodu jego poglądy ewoluowały. Im więcej wiedział, tym lepiej rozumiał stan umysłu Europejczyków i Amerykanów i tym bardziej reformował swą własną myśl. Zachował podstawę sufizmu — postawę mistyczną i nieustanną walkę z nafsem, to znaczy ćwiczenia prowadzące do bezpośredniego poznania Boga. Ale dodał do tego to, co teolodzy nazywają synkretyzmem. Syntezę...

— W gruncie rzeczy był prorokiem?

— Odnosił sukces mniejszy niż Jezus czy Mahomet. Zgoda. Ale stworzył religię. Do swych nauk włączał elementy, które wydawały mu się najlepiej utrwalone w innych religiach, i przyciągał uczniów z całej Europy, wygłaszał wykłady w czterech językach. Było to niewiarygodne. Sukcesywnie tłumaczył zdania, formułowane najpierw w miejscowym języku, potem po francusku i angielsku lub niemiecku, w zależności od tego, jakich miał słuchaczy. Szukał przykładów i argumentów w odkryciach nauk fizycznych lub matematycznych. Operował przenośniami i symbolami, ale zawsze wyrażał się niezwykle jasno. Opublikował wiele książek, które należą do klasyki nowoczesnego sufizmu.

— Czy inni zwolennicy sufizmu zaakceptowali go?

— Mniej więcej. To religia raczej tolerancyjna i zgodnie z tradycją następują po sobie wielcy mistrzowie. Jego przypadek nie był niczym wyjątkowym. Historia sufizmu zna ich wiele. Ale on był oryginalny. Tradycyjni zwolennicy sufizmu są przywiązani do orientalnej genezy i muzułmańskiego źródła myśli sufickiej. Niektórzy uważali go za niebezpiecznego liberała. Sądzieli, że podjęta przez niego próba syntezy chrześcijaństwa, buddyzmu i islamu graniczy z herezją. Ale przecież nie można było spalić go lub ukamienować...

— Albo wbić na pal.

— Albo wbić na pal, bo był na Zachodzie. Trzeba przyznać, że w waszym niewierzącym, dekadentckim społeczeństwie człowiek jest jednak bezpieczniejszy...

— Widzisz, kiedy nie ma Boga, ludzie mogą się jednak cieszyć większą wolnością...

— Tak, ale są zrozczeni.

— To możliwe. Ale przynajmniej nie wtrąca się ich do więzienia, by przywrócić im nadzieję.

— Trafiony-zatopiony, racjonalisto.

— Dlaczego Moskwa?

— Mego ojca sprowadził tam Rasputin.

— Rasputin?

— Tak, ten mnich, który był powiernikiem carycy.

— Wiem!

— A więc jednak!

— Ale był szalony!

— Nie, wcale nie. Był mistykiem.

— Był oszustem. Był sprzedajny, spędzał czas na igraszkach z dworkami i odwiedzał prostytutki.

— Może. Byłam za mała, by zdać sobie z tego sprawę. Ojciec zawsze mi mówił, że to interesujący mistyk... Matka była w ciąży. Rasputin poradził jej, by urodziła na Kremlu. Na cześć jasności, która rodzi się z poznania i przepędza ciemności, dała mi na imię Światło: Noor.

— Zostaliście w Rosji?

— Nie. Wygnała nas z niej wojna. Pojechaliśmy do Londynu, gdzie istniała aktywna społeczność suficka. A potem angielski rząd zaczął nas prześladować, bo utrzymywaliśmy stosunki z pewnym adwokatem-independentystą nazwiskiem Gandhi...

— Słyszałem o nim.

— Świetnie, brawo! Musieliśmy uciekać, wygnani jeszcze raz przez angielskich imperialistów.

— Wyjechaliście...

— Tak. Tym razem do Francji. W naszej rodzinie było czworo dzieci. Mój najstarszy brat nazywa się Vilayat. Grał na wielu instrumentach, mówił czterema językami, jeździł konno i codziennie robił postępy w nauce mistycyzmu. Ja też otrzymałam wykształcenie teologiczne i muzyczne. Uczyłam się gry na harfie i pianinie, literatury i rytmiki poetyckiej sufi. Mój ojciec postanowił założyć pod Paryżem europejski ośrodek swej wspólnoty. Kupił duży dom w Suresnes, w parku, na stoku wzgórza, które góruje nad miastem. Na dachu kazał zbudować taras z kamienną balustradą. Udawał się na niego kilka razy dziennie. Siadał po turecku na małym dywaniku z frędzlami i medytował zwrócony twarzą ku słońcu. Ochrzcił dom mianem Fazal Manzil. Tam się wychowałam. Miał zwyczaj gromadzić swych uczniów z całego świata na łące, naprzeciwko domu, i co roku prowadził seminarium, na którym spotykali się przedstawiciele wielkich światowych religii. Fazal Manzil stało się pierwszym ośrodkiem sufizmu w Europie.

— Czy odbywał praktyki religijne?

— Oczywiście! Wieczorem moja rodzina gromadziła się wraz z kilkoma uczniami w drugim salonie na parterze, gdzie ustawiono tuzin krzeseł i foteli. Tam ojciec brał z indyjskiego mebla grubą księgę, podchodził do pulpitu i odczytywał

kilka wersów wyjętych z wielkich religijnych tekstów ludzkości. Były to wyjątki z Koranu, Biblii, Tory i nauk buddyjskich. Uszeregował je według swojej myśli i stworzył spójny korpus doktrynalny.

— Chodziłaś do szkoły?

— Oczywiście! Wyobrażasz sobie, że żyliśmy zamknięci we własnym gronie jak jakaś sekta?

— Ale skądże! Pytam tylko...

— Chodziłam do szkoły w Suresnes, a potem do liceum w Boulogne. W wolnym czasie pisałam wiersze, grałam na harfie albo gawędziłam z matką. Zapraszałam dzieci z mojej dzielnicy i opowiadałam im bajki. Byłam dosyć znana...

— Wcale mnie to nie dziwi. Czy twój ojciec żyje?

— Nie. Umarł. Pewnego wieczoru w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku poprosił mnie i Vilayata do małego gabinetu, który zbudował na tarasie. Miał ściągnięte rysy i oddychał z trudem. Nadal widzę tę scenę, jakby się to działo wczoraj. Było ciepło. Nad Paryżem zapadał zmierzch. Powiedział do nas: „Moje dzieci, wkrótce Bóg wezwie mnie do siebie. Jutro wyjadę do Barody i więcej mnie nie zobaczycie. Tak będzie. Trzeba się pogodzić z doświadczeniami, jakie niesie nam życie. Vilayat będzie kontynuował moje nauczanie, gdy tylko stanie się do tego zdolny. Noor będzie mu pomagała, najlepiej jak potrafi. Vilayat ożeni się, a Noor wyjdzie za mąż, by zapewnić ciągłość naszej rodziny, będziecie też starali się przekazywać moje odkrycia. Opiekujcie się begum, która będzie was potrzebowała”. Byliśmy oszołomieni. Objął nas i przycisnął do piersi. Dodał: „Żegnajcie, dzieci. Bardzo was kochałem. Spotkamy się później, u Boga. Nie smućcie się. Mój los jest godzien zazdrości. Już zbliżam się do światła”. Rozplakaliśmy się. Zakończył czymś w rodzaju testamentu politycznego: „Czeka was wielka próba. Będzie wojna. Ten Hitler jest szaleńcem i złowieszczym tyranem, który będzie chciał podbić Europę. Francja i Anglia, cokolwiek myślał dzisiaj ich przywódca, będą musiały stawić mu czoło”. Od czterech lat ze stojącego w salonie radioodbiornika w obudowie z lakierowanego drewna regularnie płynęły wrzaski nazistowskich zgromadzeń. Ilekroć się to działo, ojciec miał lodowate spojrzenie i potrzasał głową. „Pamiętajcie, że doktryna nazistów jest przeciwieństwem moich nauk. Ci szaleńcy chcą sobie podporządkować całą ludzkość. Dla biednych żywią tylko nienawiść i pogardę. Podstawą naszej wiary jest szacunek i wolność. Powiadam wam, że nie możecie pozostać neutralni. Na drodze, którą wybierzecie, musicie stanąć u boku Francji i Anglii, dwóch krajów, które nas przyjęły, chroniły nasz dom i naszą wiarę, nawet jeśli jej nie rozumiały. Taka jest moja wola”.

Kiedy Noor wymawiała ostatnie słowa ojca, w jej oczach zapalił się błysk wyzwania. Umilkła. Spojrzałem na zegarek: trzecia dziesiąta. Popatrzyła na mnie, jak zbudzona ze snu: Uśmiechnęła się.

— Teraz twoja kolej, pamiętaj.

— Nie zajmie to nawet połowy wieczoru!

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nazajutrz o jedenastej, podobnie jak poprzedniego dnia o tej godzinie, zobaczyłem, że gliniarz z naprzeciwka wchodzi do komisariatu. Natychmiast zbiegłem po schodach i poszedłem w lewo w stronę kawiarni na rogu ulicy de la Tour, która nazywała się Aux Espagnols, była bowiem usytuowana w pobliżu hiszpańskiego kościoła w Paryżu. Zdecydowanie uciąłem błagalne prośby Noor, przekonując ją, że jeśli nic nie będziemy robili, zaszkodzimy innym agentom. Wszedłem, zamówiłem przy kontuarze kawę i poprosiłem o telefon. Właściciel sięgnął na półkę za plecami i postawił przede mną aparat.

— Niech pan zaczeka — powiedział. — Włączę licznik. Podszedł do stoiska z wyrobami tytoniowymi, gdzie nie sprzedawano już prawie nic poza znaczkami pocztowymi i biletami na loterię, i pokręcił czarną korbką. Usłyszałem w słuchawce sygnał. Wybrałem numer Vieneta i czekałem. Naprzeciwko mnie wisiał afisz, zachwalający apéritif „La Mere Picon”, a poniżej inny, wynoszący pod niebiosa „Legion francuskich ochotników przeciwko bolszewizmowi”. W telefonie odezwał się kobiecy głos.

— Dzień dobry, tu Joumard, chciałbym mówić z panem Milletem (było to prawdziwe nazwisko Vieneta).

— Joumard? — spytała.

Starannie oddzielała sylaby, powtarzając nazwisko. Wydało mi się, że w jej głosie słychać odrobinę podniecenia.

— Tak, Joumard.

— Proszę zaczekać, zaraz go poproszę. Za sekundę odezwał się Vienet.

— Halo, czy to pan Joumard? — powiedział z niepokojem w głosie. — Alfred Joumard?

— Nie, Arthur.

— Ach tak... Arthur! Proszę mi przypomnieć, gdzie widzieliśmy się ostatni raz?

Zrozumiałem, że Vienet gra głupiego. Chciał się upewnić, że na pewno rozmawia ze mną, a nie z jakimś agentem gestapo, który zdobył numer jego telefonu podczas przesłuchania. Aresztowania trwały, był więc ostrożny.

— Widzieliśmy się w szkole, pamięta pan, w niedzielę dziesięć dni temu — odpowiedziałem. — Pamięta pan? Był tam profesor. I poeta.

— Poeta... — powiedział. — Ma pan na myśli Brasillacha?

— Nie, Cocteau.

— Ach tak! A pan był z tą czarującą młodą kobietą, prawda?... Zapomniałem, jak ma na imię.

— Aurora.

— Tak, Aurora. Doskonale, doskonale.

— Czy mam podać jeszcze jakieś szczegóły? — powiedziałem z uśmiechem w głosie.

— Nie, nie trzeba. Ale rozumie pan, że nie mogę ryzykować. Jak się pan miewa, Arthurze? A Aurora?

— U nas wszystko w porządku, ale muszę się z panem zobaczyć. To pilne.

— Tak, oczywiście. I przypuszczam, że woli pan zostać tam, gdzie pan jest?

— Istotnie.

— Proszę powiedzieć, gdzie mam się stawić, zaraz tam będę. Zastanowiłem się. Chciałem mu podać adres naszego mieszkania. Istniało jednak pewne prawdopodobieństwo, że Yienet również jest aresztowany, a potem „odwrócony”. Ktoś z gestapo mógł stać obok niego z drugą słuchawką. Nie powinienem podawać mu swego adresu. Nie mogłem również umówić się w miejscu oddalonym od ulicy de la Pompe: zbyt wiele bym ryzykował. Rozejrzałem się dokoła. Na wprost kawiarni, po drugiej stronie skrzyżowania, zobaczyłem piekarnię. Przed nią, u zbiegu trzech ulic, był mały placyk.

— Niech pan przyjdzie za dwadzieścia minut na skrzyżowanie ulicy de la Tour z ulicą de la Pompe. To niedaleko stacji metra Pompe. Jest tam piekarnia. Proszę wejść, będę w środku.

— Dobrze — powiedział.

Nie prosił, by mu dać więcej czasu: był to dobry znak. Wiedziałem, że jego biuro znajduje się przy Polach Elizejskich. Było to o kwadrans drogi na piechotę albo o trzy minuty samochodem. Gdyby chciał przesunąć termin, mógłbym pomyśleć, że on albo policja potrzebują czasu na zorganizowanie zasadzki. Mimo wszystko postanowiłem zachować ostrożność. Zapłaciłem i obszedłem dokoła placyk, niby szukając jakiegoś adresu. Przechodząc koło każdego budynku, rzucałem okiem do środka, gdy ktoś otwierał drzwi albo gdy były oszklone. W trzecim domu znalazłem to, czego szukałem: pusty korytarz bez okna z mieszkania konsjerżki. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Za zabarwioną na różowo szybą, chronioną metalową krzyżownicą, miałem dobry punkt obserwacyjny na piekarnię. Natomiast z ulicy byłem niewidoczny. Jeśliby się okazało, że przygotowano na mnie zasadzkę, po prostu tam zostanę. A gdy ludzie, którzy będą mnie szukać, zaczną wchodzić do wszystkich domów, mogę uciekać dachami.

Kwadrans później jakiś samochód przejechał przed kawiarnią, z której telefonowałem. Poznałem Vieneta, który się nie zatrzymał, rozejrzał się tylko na wszystkie strony, by się zorientować w sytuacji. Po trzech minutach przejechał jeszcze raz i znów się nie zatrzymał. Za trzecim razem zaparkował przed kawiarnią. Wysiadł, skierował się wprost do piekarni i wszedł. Czekałem. Nie podjechał żaden

inny samochód. Poza klientem, który wyszedł z kawiarni z psem na smyczy, na skrzyżowaniu nikogo nie było. Uchyliłem drzwi. Kątem oka widziałem gliniarza spacerującego przed komisariatem. Chyba nic się nie działo.

Z piekarni wyszedł kolejny klient. Ciągle nic. Po dwóch minutach Vienet wrócił na chodnik z bochenkiem czarnego chleba w ręku, na jego twarzy malowało się zdziwienie. Przystanął i rozejrzał się dokoła, zaglądając w każdą z trzech zbiegających się ulic. Jeszcze czekałem. Vienet stał nieporuszony. Spojrzał na zegarek, potem zaczął spacerować przed piekarnią. Po czterech kolejnych minutach znów przeszedł przez ulicę i otworzył drzwi samochodu, by odjechać. Wtedy wyszedłem na chodnik i go zawołałem. Zobaczył mnie i pytającym gestem rozłożył ramiona. Pokazałem palcem kawiarnię. Wszedł do niej. Znów dobrze się rozejrzałem: żadnej oznaki poruszenia, żaden samochód nie zbliżał się w moim kierunku, żaden człowiek w nieprzemakalnym płaszczu nie zaczął biec w moją stronę. Teraz ja przeszedłem przez ulicę i wszedłem do kawiarni.

Spędziłem z Vienetem dwie godziny. Przy okazji zrozumiałem, dlaczego nie potrafiłem traktować go całkiem serio. W szytym na miarę garniturze, z chusteczką w kieszonce marynarki, z wypomadowanymi włosami, cienkimi czarnymi wąsikami i zabójczym uśmiechem Vienet był sobowtórem Jeana Sablona, francuskiego piosenkarza, którego widziałem na scenie przed wojną i który wprowadził do Francji styl crooner właściwy niektórym uwodzicielskim amerykańskim jazzmenom. Postawił mi omlet, porcję sera brie i ciastko. Omlet był mikroskopijny, ser bez smaku, a w ciastku czuło się smak owsianej mąki i sacharyny. Nie zwracałem uwagi na jedzenie: zdumiały mnie informacje, jakie mi przekazał Vienet.

Normana, powiedział, wzięli pierwszego na tarasie piwiarni La Lorraine. Dwaj gestapowcy przygwoździli go do krzesła, pakując mu lufę lugera w brzuch, kiedy pił piwo. Trzeci czekał w czarnym samochodzie. Zabrali go prosto do budynku pod numerem 84 w alei Focha. Była to jedna z siedzib IV wydziału paryskiego gestapo, nazistowskiej policji, której najwyższymi zwierzchnikami byli Himmler i Heydrich, dopóki nie zlikwidowało go SOE. We Francji od 1940 roku szefem gestapo był Helmut Knochen, doktor filozofii i fanatyczny nazista, człowiek o przenikliwej inteligencji. To on doradził Hitlerowi i jego sztabowi generalnemu, by oszczędzić rząd Vichy i ograniczyć we Francji represje z myślą o przekształceniu tego kraju w ogromną bazę wypoczynkową dla żołnierzy niemieckich. Polityce tej przeszkadzały akcje Ruchu Oporu uzbrojonego przez SOE. Knochen był gotów zrobić wszystko, by zapewnić bezpieczeństwo na zapleczu, które szykował dla Wehrmachtu.

Zadaniem IV wydziału była „walka z terroryzmem” i wykrywanie tajnych radiostacji. Kierowało nią dwóch szczypanych i brutalnych wojskowych, Boemelburg i Kieffer.

— Nie zawsze uciekają się do użycia siły — wyjaśnił Vienet. — Mają wielkie doświadczenie i wiedzą, że presja psychologiczna może być równie skuteczna. Ale jeśli podstęp zawiedzie, nie cofają się przed niczym. To oni torturowali Moulina po przewiezieniu go z Lyonu.

— Kim jest ten Moulin?

— To Max, człowiek, którego de Gaulle wysłał do Francji, by zaprowadził trochę porządku w Ruchu Oporu. Złapali go jakieś dziesięć dni temu w Caluire pod Lyonem, wraz z paroma innymi osobami. Po przewiezieniu do Paryża w aleję Focha gestapo bardzo go poturbowało. Moulin nic im nie powiedział. Boemelburg zatrzymał go potem u siebie w Neuilly, by nad nim „popracować”, ale nic z niego nie wyciągnął. Nic!

W jego głosie wyczuwało się bezbrzeżny podziw dla męstwa Moulina.

— Kiedy był u kresu sił, zaczął bić głową w ścianę celi. Zmarł w pociągu podczas transportu do Niemiec. Oto rozwiązanie, na które nie zdecydował się Norman...

— Jego też torturowali?

— Nie musieli tego robić. Norman był wypalony. Pękł.

— Ot tak, natychmiast?

— Zastępcą Boemelburga i Kieffera jest okropny facet, nazywa się Ernst Goetz. Był nauczycielem francuskiego w niemieckich liceach. Zajmuje się radiostacjami. To on organizuje operacje „odwrócenia”, to, co Niemcy nazywają „Funkspiel”, grą w radio. Świetnie zna waszą organizację.

— Chyba widziałem jeden z jego samochodów. Przedwczoraj przejechał pod naszym mieszkaniem...

— Nadawaliście ze swojej kryjówki? Nigdy tego nie róbcie. W tej dzielnicy są świetnie wyekwipowani i zjawiają się błyskawicznie.

— Niech się pan nie niepokoi. Już tego nie zrobimy. Najedliśmy się za dużo strachu.

— Goetz podsunął Normanowi pod nos dokładny plan organizacji SOE, z londyńskimi adresami, obozami szkoleniowymi, nazwiskami najwyższego kierownictwa, geograficznym rozmieszczeniem siatek we Francji. Wszystko to wyciągnęli w czasie przesłuchiwania innych agentów. Wiedzieli też dużo o siatce Prospera. Początkowo Norman stawiał opór, ale Goetz kazał nagrać odgłosy ze szczególnie okrutnego seansu tortur. Odtworzyli je z taśmy na wielkim

magnetofonie w pokoju obok. Po kwadransie Norman się załamał. Powiedział, kim jest, co robi, kto jest jego szefem itd.

Załamanie się Gilberta Normana było katastrofą dla Prospera i jego siatki. Pierwszą jego konsekwencją było najście batalionu niemieckich żołnierzy na szkołę w Viroflay. Ogrodnika, który miał pieczę nad szklarnią, kilku nauczycieli i garstkę uczniów załadowano na ciężarówkę. Profesora Adamowskiego nie było w Viroflay. Czekał na łącznika od Prospera w swym paryskim mieszkaniu na skwerze Albioniego. Kiedy dwaj ludzie z gestapo zadzwonili do drzwi, otworzył im i powiedział: „Aha, jest was dwóch. Czekałem na was!”. Zdziwieni weszli do salonu, poczekali, aż wróci z kawą, i wyciągnęli legitymacje niemieckiej policji. Potrzebował całej minuty, by dotarło do niego, co się dzieje. Zawieźli go do więzienia we Fresnes, a w jego mieszkaniu zostawili dwóch policjantów. O szóstej wieczorem zgarnęli Héliene Adamowski, która wzburzona protestowała i utrzymywała, że nie rozumie ani słowa z tego, co do niej mówią. Profesorowi udało się przekonać gestapo, że żona nic nie wie o jego działalności. Wypuścili ją. Ale jego przesłuchiwali ze szczególnym okrucieństwem.

Andrée Borrel, przyjaciółka Prospera, szła na spotkanie do Muzeum Marynarki w Palais de Chaillot na placu Trocadéro. Widząc podejrzenie dużo samotnych mężczyzn przed wejściem do muzeum, pobięła w stronę ulicy Franklina. Strzelił do niej jakiś porucznik z francuskiego gestapo. Kula przebiła płuco i przewieziono ją niemal w agonii do szpitala Val-de-Grâce, gdzie wojskowi chirurdzy uratowali jej życie. Kiedy jej stan się polepszył, przetransportowano ją do infirmerii więzienia we Fresnes.

Aresztowano również właściciela restauracji w Ogrodach Palais-Royal. Zarzucono mu ukrywanie przed policją, że wśród jego stałych klientów są ludzie z Ruchu Oporu, a ponadto odkryto, że jego restauracja służyła Prosperowi jako skrzynka kontaktowa. Został rozstrzelany.

Prosper schronił się w starym hotelu przy ulicy Mazagran, niedaleko placu Republiki. Nie było go tam, gdy przyszło gestapo. Pracownik hotelu nie mógł ukryć, że pewien pan Desprée wynajął u nich pokój poprzedniego dnia. O dziesiątej Prosper wszedł do holu i zobaczył dwóch ludzi w nieprzemakalnych płaszczach, siedzących na kanapie i czytających gazetę. Rzucił się do ucieczki. Ale ulica była pełna policjantów. Związano go, powalono na ziemię, zakuto w kajdanki i zawieziono prosto w aleję Focha.

— Sypał? — zapytałem.

— Nie. Ale dali mu do przeczytania zeznanie Normana. Było tam wszystko. Z imionami ojca i matki Prospera włącznie. Na szczęście oboje mieszkają w Anglii... Więc Prosper poszedł na układ z gestapo.

— Na układ z gestapo?!

— Tak, na pewną wymianę, zawarł kompromis...

— Kompromis dotyczący czego?

— Zaproponował im listą kryjówek, w których trzyma broń, lądowisk oraz nazwiska kilku członków siatki w zamian za darowanie życia wszystkim jego agentom.

— Ale jak można paktować z nazistami? Nigdy nie dotrzymują słowa!

— Nie wiem. W każdym razie zrobił to.

— Zgodzili się?

— Tak. Kieffer i Boemelburg podpisali dokument. Knochen zatwierdził go i Prosper ujawnił im to, co było przedmiotem negocjacji.

— Wszystko?

— Nie, nie wszystko. Nie podał nazwiska pana. Ani Aurory. Ani paru agentów, o których Niemcy chyba nie wiedzą. Prosper uznał pewno, że może wydać agentów, którzy jego zdaniem są spaleni albo prawie spaleni.

— A pozostałych wzięli?

— Niektórych. W gruncie rzeczy bardzo niewielu. Dzięki zeznaniom Normana i idąc ich tropem, już wcześniej aresztowali ponad sto osób w regionie paryskim. Skonfiskowali natomiast całą broń. Ogromne ilości.

— To niewiarygodne!

— Wie pan, Prosper był mistykiem. Kiedy został schwytany, wszystko mu się zawaliło. Miał ogromne poczucie własnej wartości. Przesadne. I był zbyt przekonany o swym znaczeniu. Kiedyś powiedział mi: „Wie pan, jeśli zechcę, mogę doprowadzić do lądowania. Jeśli wydam rozkaz powstania, Paryż stanie w ogniu i spłynie krwią. Sojusznicy będą musieli coś zrobić”. Oto co twierdził najzupełniej poważnie. Nagle wyobraził sobie, że może rozmawiać jak równy z równym z Niemcami. Prowadził wariackie życie. Od trzech lat żył wśród nas, ukrywając się, organizując bezsensowne operacje, trzymając w garści całą organizację. To wykańcza nerwowo.

Kiedy słuchałem Vieneta, w moim oszołomionym mózgu pojawił się inny świat, świat, w którym bohaterowie wpadają w zasadzki, w którym najlepsi bojownicy „armii cienia” okazują się najbardziej naiwni, w którym jakiś tajny agent uważa się za równego ministrowi lub generałowi armii. Było to szaleństwo nierozłącznie związane z tajną działalnością. Z poczynionych przez nią spustoszeń zdałem sobie sprawę, słuchając gaullistowskiego przywódcy, który opisywał mi upadek uczestnika naszej krucjaty, Francisca Suttilla, zwanego Prosperem, jednego z najlepszych żołnierzy, jakich miała brytyjska armia. Ogarnęły mnie wątpliwości.

— Skąd ma pan te wszystkie informacje? Wiem, że zna pan Kieffera. Ale przecież nie opowiada panu, co robi...

Vienet uśmiechnął się.

— Spodziewałem się wcześniej tego pytania. Musi się pan jeszcze wiele nauczyć. Mam dwa źródła. Niemcy zwolnili Normana na dwa dni i wtedy usiłował wciągnąć w pułapkę jednego z moich ludzi, nawiasem mówiąc, jednego z tych, którzy uczestniczyli wraz z panem w zamachu na Foligny'ego. Kiedy Norman powiedział mu, że on i Prosper zawarli układ z gestapo, włosy zjeżyły mu się na głowie. Przewrócił stół i wybiegł pędem. Kawiarnia była naszpikowana gliniarzami, ale wziął ich przez zaskoczenie. Biegli za nim, gdyż nie wiedzieli, że przed wojną — i zanim zszedł na złą drogę — był mistrzem Francji juniorów w biegu na dziesięć tysięcy metrów. Po dziesięciu minutach odpadli. Ci kretyni nie mieli pod ręką samochodu.

— A drugie źródło?

— Mam kogoś w alei Focha. I nie jest to Kieffer... Vienet miał znów uśmiech uwodzicielskiego piosenkarza.

Zastanawiałem się, czy powinienem mu wierzyć, czy wciągnąć go na moją listę podejrzanych. Pomyślałem sobie, że jeśli jest zdrajcą, już by mnie wydał. Albo że stara się dowiedzieć, gdzie mieszkam, by schwytać także Noor i jej radiostację. Po wojnie, podczas jednego z procesów, jakie miały miejsce podczas czystki, dowiedziałem się, że agentka Vieneta w alei Focha nazywała się Marie-Rose Holvelds i była ładną dziewczyną, zatrudnioną jako sprzątaczką w IV wydziale. Była kochanką jednego z oficerów gestapo, Karla Hauga, a jednocześnie informatorką siatek gaullistowskich. Dzięki niej Vienet unieszkodliwił już wcześniej kilka pułapek zastawionych przez Goetza i Kieffera. Kiedy po wyzwoleniu w sierpniu 1944 roku tłum wpadł do pomieszczeń gestapo, o mało nie ogolono jej głowy. Ale poręczyło za nią kilku facetów z Francuskich Sił Wewnętrznych, a szefowie paru siatek złożyli na procesie korzystne dla niej zeznania. Została uniewinniona.

— Ale kto wydał Normana? — spytałem Vieneta.

— Nie wiem. Może popełnił jakąś nieostrożność? Albo część siatki była już spalona?

Postanowiłem powiedzieć mu o podejrzaniach Baker Street, o początkach mojego śledztwa, o dwóch akcjach, o których Niemcy byli poinformowani, i o swojej teorii na ten temat.

— Może ma pan rację. W każdym razie pańskie rozumowanie jest logiczne. Jeśli pana hipoteza jest prawdziwa, grozi nam jeszcze większe niebezpieczeństwo, niż sadziłem.

— A jeśli zdrajcą był Prosper?

— Wszystko jest możliwe. Ja w to nie wierzę. To sprawa intuicji. Norman i Prosper pękli dopiero po aresztowaniu. Nie wcześniej.

— Więc lista podejrzanych jest już krótka.

— Dlatego sytuacja jest jeszcze bardziej niebezpieczna. Jeśli zdrajca pozostaje na wolności, będzie nadał tumanił Londyn i pomagał Niemcom. Nikt nie jest bezpieczny.

— Tym bardziej że w Londynie są przekonani, iż Norman uniknął aresztowania i dalej działa. Nadali mi tę wiadomość wczoraj wieczorem.

— Jak mogą?...

Przerwał nagle, jakby o czymś sobie przypomniał.

— Ale zaraz, do stu diabłów! Pamiętam tę historię. Uznałem ją za niewiarygodną i zupełnie o niej zapomniałem. Kiedy Norman rozmawiał z moim człowiekiem, chcąc go przekabacić, powiedział mu, że Londyn puścił swoich ludzi w trąbę. Agenci, którzy pękają, często tak mówią. To usprawiedliwia ich zdradę. Ale Norman powiedział coś jeszcze. Radiotelegrafiści mają dwa sygnały zabezpieczające. Wie pan o tym lepiej ode mnie: kiedy cię złapią, najpierw zdradzasz Niemcom pierwszy sygnał, a zapominasz o drugim. Wiadomość przychodzi bez drugiego hasła: Londyn rozumie, że została nadana pod przymusem. Kiedy Goetz zmusił Normana do nadawania pod jego dyktando, Norman zastosował tę procedurę. I wtedy usłyszał z Londynu rzecz niesłychaną: „Zweryfikuj wiadomość, zapomniałeś o drugim sygnale zabezpieczającym”. Wyobraża pan sobie! Sądziłem, że Norman kłamie, by przekonać mego człowieka. Tymczasem wszystko jest jasne: w Londynie byli na tyle niefrasobliwi, że poinformowali Goetza o braku jednego z sygnałów zabezpieczających i kiedy Norman zaczął znów nadawać, tym razem podając drugie hasło, zakładali, że ma swobodę działania. Myśleli więc, że Norman jest na wolności. Musi ich pan szybko wyprowadzić z błędu. Panu uwierzą.

— Dostałem list od Garry'ego — odparłem. — Jest wolny i siedzi w Normandii. Będzie mógł zawiadomić Londyn przez swoją siatkę.

— To świetnie. Ale musi pan dalej prowadzić swoje śledztwo. Mogę panu pomóc. Postaram się dowiedzieć, czy Prosper miał kontakty z aleją Focha przed aresztowaniem. Co wyjaśniałoby wszystko...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Chwycił mnie za ramię w chwili, gdy wchodziłem do kamienicy. A przecież od rozstania z Vienetem zrobiłem ledwo trzydzieści metrów, dzielących kawiarnię od drzwi domu. Była dokładnie druga. Czekałem na zmianę warty przed komisariatem, by się wślizgnąć do środka.

— Policja! — powiedział.

Rękę miał silną. Zmusił mnie, bym się odwrócił. Wymachiwał trójkolorową legitymacją.

— Spokojnie! W tym komisariacie jest dwudziestu policjantów! Mam gwizdek. Nie ma pan szans!

Chciałem wyrwać mu się i uciec. Ale natychmiast otworzyły do mnie ogień. Nawet gdybym wyszedł z tego cało, miałbym na karku całą policję z XVI dzielnicy. Przerażony, postanowiłem posłużyć się swoją przykrywką i usłuchałem go, mówiąc:

— Ale... o co chodzi? Nic nie zrobiłem! Jakim prawem?

— Wszystkiego się pan dowie.

Przeszedłem z nim na drugą stronę ulicy i weszliśmy do komisariatu. Krew odpłynęła mi z twarzy, a w piersi czułem dojmujący ból. Dyżurny policjant zsalutował komisarzowi, przyłożywszy dwa palce do kepi. Pił kawę z wartownikiem.

— Tędy, proszę — powiedział komisarz.

Weszliśmy razem na piętro i znalazłem się w pokoju o drewnianych, pomalowanych na brudnożółty kolor ścianach. Na jednej z nich wisiał duży portret Marszałka, poza tym stały tu dwie wąskie szafy ze zsuwanymi w dół drzwiczkami z drewnianych listewek, szerokie zielone metalowe biurko zavalone pieczętkami, papierami i spinaczami, a z boku czarny bakelitowy telefon. Przez zakratowane okno było widać parter domu, gdzie w cichym mieszkaniu czekała na mnie Noor. Obszedł biurko i usiadł w obrotowym fotelu pokrytym zielonym skajem. Zamknął drzwi. Był to przysadzisty mężczyzna z krótkimi wąsami, rumianą twarzą i zdumiewająco ruchliwymi oczami, patrzącymi spod szpakowatych brwi. Wchodząc, zdjął kapelusz z szarego płótna i powiesił go na wieszaku. Poprosił mnie o dokumenty i uważnie zaczął je przeglądać.

— Jest pan przedstawicielem?...

— Tak. Fabryki maszyn do pisania.

— Belgiem?

— Tak. Z Antwerpii.

— Pracuje pan teraz?

— Tak. Odwiedzam klientów.

— Szedł pan na spotkanie z klientem?

— Eee.. Tak.

— Jak się nazywa, na którym piętrze mieszka?

— Eee... to towarzystwo ubezpieczeniowe Abeille. Na drugim piętrze.

Wymyśliłem to. Popełniłem profesjonalny błąd: wyszedłem na miasto, nie mając w zanadru żadnej wiarygodnej historyjki. Zaczynałem się płatać.

— Nie ma pan przy sobie żadnych prospektów...

— Nie. To będzie pierwszy kontakt.

— Jak na Belga ma pan dziwny akcent...

— Tak? Eee... nie wiem. Tak mówię.

— When did you arrive from England?

Może bym się dał złapać, gdyby lepiej mówił po angielsku. Ale mówił moim językiem z francuskim akcentem, przypominającym akcent Maurice'a Chevaliera w amerykańskich komediach muzycznych.

— Dlaczego zwraca się pan do mnie po angielsku?

— Pod numerem siedemdziesiątym drugim na ulicy de la Pompe nie ma żadnego towarzystwa Abeille, a pan mówi z angielskim akcentem. Oto dlaczego.

Wyjął jakieś dossier i podał mi zapisany na maszynie pelur. W środku dość długiego tekstu widniała reprodukcja dwóch portretów wykonanych ołówkiem. Na prawo wizerunek młodej brunetki o matowej cerze i regularnych rysach. Na lewo młodego człowieka z rozczochranymi, prawdopodobnie jasnymi włosami, o zapadniętych policzkach i lekko orlim nosie. W tekście był krótki opis dwojga terrorystów, członków jakiejś brytyjskiej siatki, którym udało się wymknąć z zasadzki w okolicach Wersalu.

— Byłem w kawiarni Aux Espagnols. Siedziałem tuż za panem i jadłem obiad. Ponieważ jest pan podobny do mężczyzny z portretu pamięciowego, nastawiłem ucha. Usłyszałem coś niecoś. To wszystko. Proszę się nie wysilać.

Zaniemówiłem. Przytłoczył mnie ogrom popełnionych nieostrożności. Powinienem zdawać sobie sprawę, że w bistrze, sąsiadującym z komisariatem, w porze obiadowej może siedzieć przy stoliku jakiś komisarz... Pomyślałem o Vienecie, którego teraz śledzą i natychmiast zaaresztują. Weźmie mnie za zdrajcę. Zdrajcę...

— Piszą tu, że brał pan udział w zamachu w Dreux.

— Jeśli to prawda, gratuluje. To była piękna akcja. Popatrzyłem mu w oczy. Powiedział to tonem tak naturalnym, że kusilo mnie, by mu uwierzyć. Jednocześnie pomyślałem, że to pułapka równie prymitywna, jak próba, bym mu odpowiedział po angielsku. Mówił dalej:

— Tak, wiem. Nic mi pan nie powie. Byłoby zbyt łatwo, gdyby w ten sposób można było zmusić angielskich agentów do mówienia... Jednak zaraz pan zobaczy, że to nie pułapka. Niech pan zapamięta: w policji francuskiej są nie tylko kolaboranci. Stary Pétain to porządny facet. Ale niedołączny. Laval wodzi go za nos. Wielu Francuzów ma tego świadomość.

W policji także. Kazali nam robić okropne rzeczy. Między innymi z Żydami. Uprzedziliśmy tych, których się dało. Ale cóż pan chce... W każdym razie niech pan powie swoim szefom, że nie wszyscy francuscy gliniarze to świnię. Przekonacie się po wylądowaniu. Czekają was różne niespodzianki. Vichy spadnie z pieca na łeb. Ja tak jak La Rocque byłem przeciwko komunistom. Ale żeby iść ręka w rękę ze szwabami, co to, to nie! Nie buntujemy się. Niemniej jednak myślimy o tym. Dobra, sądzę, że nic pan nie powie. To normalne. Nagle wstał.

— Proszę tędy! — rzekł, wskazując mi wyjście. Podniosłem się. Otworzył drzwi i odsunął się, by zrobić mi przejście. Oszołomiony, myśląc, że to kolejna pułapka, usłuchałem.

— A ten numer w Dreux był rzeczywiście na medal! Śmiałem się do rozpuku, czytając wewnętrzne raporty. Wszyscy moi gliniarze też się ubawili!

Wskazał mi drogę kurtuazyjnym gestem, który musiałem potraktować jako gryzącą ironię, i wyszedłem tędy, którą przyszedłem. Dyżurny policjant czytał powieść Gypa. Obrzucił nas ospałym spojrzeniem i na widok komisarza powrócił do lektury. Jego kolega wyszedł na ulicę, by pełnić wartę. Na progu komisarz wyciągnął do mnie rękę.

— Do widzenia, pozdrowienia dla rodziny! — Mrugnął do mnie porozumiewawczo. — A w wolnej chwili niech pan wymyśli jakąś bardziej wiarygodną historyjkę. I proszę podszlifować swój francuski! Jeśli będą jakieś problemy, może pan się do mnie zgłosić. Komisarz Trochu. Dyskretnie, of course!

Ostatnie słowa wymówił jako *oeuf corse* i jeszcze raz do mnie mrugnął.

Całkiem zbity z tropu, stałem na chodniku i nie mogłem wykrztusić słowa. Spoglądając na mnie zza grubych okularów błyszczącymi oczami, zrobił dyskretny, zniecierpliwiony gest, żebym już sobie poszedł.

— Niech pan zmyka. Odwagi!

Przeszedłem na drugą stronę ulicy jak we śnie. W chwili gdy wchodziłem do kamienicy, gdzie czekała na mnie Noor, obejrzałem się za siebie. Komisarz rozmawiał z wartownikiem, który odwrócił się w moją stronę, gdy otwierałem drzwi. Spojrzał mi prosto w oczy. I jakby salutował osobie wyższej rangą, przyłożył dwa palce do kepi.

Noor padła mi w ramiona. Nim zdecydowała się otworzyć, musiałem cztery razy zadzwonić i krzyknąć przez drzwi, że nie ma się czego bać. Obserwowała mnie

przez judasza, zastanawiając się, czy piętro niżej grupa policjantów nie czeka na moment, gdy uchyli drzwi, by wedrzeć się do mieszkania.

— Och — powiedziała, przytulając się do mnie. — Tak się bałam!

— Spokojnie, spokojnie, już po wszystkim! — powiedziałem łagodnie.

— Widziałam, jak wchodzisz do komisariatu z tym grubym facetem. Myślałam, że to koniec. Gdyby tu przyszli, byłam gotowa uciekać przez podwórze. Spakowałam już radiostację. Potem zobaczyłam, że wychodzisz. Nie mogłam z tego nic zrozumieć. Co się właściwie stało?

Wciąż była w moich ramionach i chociaż nogi nadal się pode mną ugiwały, zaczynałem dostrzegać dobre strony mojej nieszczęsnej przygody.

— To nie do wiary. Kiedy mnie zaczepił, sądziłem, że zaraz mnie aresztują, wezmą na tortury, rozstrzelają. Nigdy się tak nie bałem. Ledwo mogłem mówić.

— Ale czego od ciebie chciał?

— Nie wiem. Natychmiast mnie prześwietlił. Nie przygotowałem sobie żadnej przekonującej historyjki, którą mógłbym mu zaserwować. Byłem przedstawicielem handlowym bez żadnych materiałów, idącym spotkać się z nieistniejącym klientem. Philby miał rację, Noor. Nigdy nie wolno wychodzić na miasto bez jakiejś dobrej opowiadki. Inaczej mają cię w pięć minut.

— Ale nic nie powiedział? Nic nie zrobił?

— Nie, nic. Wyjaśnił mi, że nie wszyscy francuscy gliniarze to świnię.

— Należy do Ruchu Oporu?

— Nie sądzę. Ale jest po właściwej stronie. Przysłali im dotyczący nas okólnik. Dlatego rozpoznał mnie w kawiarni. Pokazał mi nasze portrety pamięciowe. Całkiem udane. Nie ma mowy, byśmy wychodzili razem. Bezwzględnie musimy zmienić wygląd.

— Och, jaka jestem szczęśliwa! Nie możesz sobie wyobrazić! Byłam zupełnie załamana. Chyba pójdę tam i go ucałuję.

Oboje roześmialiśmy się.

— Pogratulował mi akcji w Dreux.

— Mam nadzieję, że mu podziękowałaś.

— Skądże, pomyślałem, że to jakiś ordynarny podstęp. Przedtem usiłował mówić po angielsku. Z takim akcentem jak Maurice Chevalier.

Byliśmy coraz bardziej rozbawieni. Noor odsunęła się nieco, ale opierała się o ramię, którym objąłem ją w talii. Kiedy się śmiała, pochylała się ku mnie i jej czoło dotykało mojej piersi. Czulem, jak jej ciało przylgnęło do mnie. Kiedy napięcie opadło, moja radość, że udało mi się wyjść z opresji, niemal miłosna czułość okazywana mi przez Noor, wszystko wprawiało mnie w stan euforii. Ująłem ją za ramiona i łagodnie zmusiłem, by spojrzała mi w oczy.

— Noor. Mamy przed sobą niewiele czasu. Będziemy musieli wychodzić na miasto, nawiązywać kontakty, nadawać. Mogą nas aresztować. Często o tym myślę. Ty na pewno też. Może to nasze ostatnie dni.

Popatrzyła na mnie, jakby czekała na to, co powiem, a jednocześnie obawiała się mych słów.

— Noor, wiesz, że cię kocham. Jutro, pojutrze, może znajdę się przed innym policjantem, który nie będzie po naszej stronie. Będę strasznie żałował, że nie starczyło mi odwagi, by ci to wyznać. Noor, kocham cię. Jesteś najpiękniejszą i najodważniejszą kobietą, jaką znam. Jesteś tą, o której zawsze marzyłem.

— Och! Nie mów tego! To zbyt... Ja też myślę o niebezpieczeństwie, o czasie, który upływa, o czasie, który jeszcze nam pozostał...

Delikatnie przyciągnąłem ją ku sobie i chciałem pocałować. Nie protestowała. Ale w ostatniej sekundzie odwróciła głowę i oparła ją o moją pierś. Objęła mnie bardzo mocno.

— Ale ja nie mogę. Dałam słowo. Rozumiesz? Bardzo cię lubię, John. Wiesz o tym. Ale nie mogę.

Zagryzła wargę. Długo trwaliśmy tak objęci, stojąc bez słowa w przedpokoju. Płakała cichutko. Wziąłem ją za rękę i zaciągnąłem do salonu.

— Musimy przygotować wiadomość dla Londynu, aby ich ostrzec. Vienet sądzi, że Prosper nie jest zdrajcą. Ja nie jestem tego taki pewny. Przecież zrobił rzecz niesłychaną, poszedł na układy z gestapo.

Opowiedziałem jej w najdrobniejszych szczegółach swoją rozmowę z Vienetem i potwierdziłem, że moim najważniejszym zadaniem jest odkryć, kto nas sypnął.

— Ale jak będziemy dalej prowadzić śledztwo? — spytała na koniec.

— Mam pewien pomysł.

Tego wieczoru wszystko się zawaliło.

O dziewiątej dziesiątej Noor rozstawiła radiostację na toalecie Renée Garry, przyłączyła antenę, wyjęła kwarce i przeszła na nasłuch. Siedziała wyprostowana na krześle, a słuchawki wyglądały jak przepaska na jej długich czarnych włosach. Jak zwykle siedziałem na krześle po prawej stronie, by jej pomagać i czytać wiadomości natychmiast po ich przetranskrybowaniu. Londyn zaczął nadawać o dziewiątej piętnaście. Wśród panującej w mieszkaniu ciszy z jednostajnego, przytłumionego przez słuchawki pasma dźwięków docierały do mnie kreski i kropki morsa. Ręka Noor poruszała się szybko po zeszycie, notując nadawane grupy liter. Zapisała całą stronę niezrozumiałymi słowami. Potem zdjęła słuchawki, wyłączyła radiostację i zaczęła rozszyfrowywać depeszę. Rozszyfrowywanie jednej litery trwało dobre trzydzieści sekund. Wiadomość ukazywała się więc znak po znaku, wyłaniała się bardzo powoli. Londyn podawał informacje o różnych

siatkach. O Prosperze nie było niczego nowego. Siatka Tinker oraz sam Cowburn uniknęli obławy, podobnie jak Cinema, siatka naszych przyjaciół Garrych. Sugerowano nam, byśmy w odpowiednim momencie nawiązali z nimi kontakt, by przeanalizować sposoby odbudowania akcji SOE w Paryżu i w regionie paryskim. Londyn rozkazywał również, byśmy pozostali w kontakcie z Ruchem Oporu i w miarę możliwości pomagali mu przekazywać wiadomości do Anglii. Baker Street podkreślała z naciskiem, że trzeba jak najszybciej znów podjąć akcje wojskowe. Organizacja była gotowa przeprowadzić zrzuty broni i sprzętu, natychmiast gdy tego zażądamy.

Nagle Noor krzyknęła. Nachyliłem się, by zobaczyć, co napisała: SIATKA SCIENTISTA ROZ... Rzuciłem okiem na zeszyt. Tam, na blacie toaletki, wśród liter przekazujących dalszy ciąg zaszyfrowanej informacji, niewątpliwie pojawi się straszliwa wiadomość. Było to jak śmiertelna groźba przyczajona na szkolnym papierze.

— To... To... niemożliwe... — powiedziała Noor bezdźwięcznym głosem. — Wczoraj i przedwczoraj mówili, że ze Scientistem jest wszystko w porządku... To niemożliwe!

Donaldson, jej narzeczony, nosił taki sam pseudonim jak nazwa jego siatki.

Wziąłem ją za rękę. Spojrzała na mnie oczami, w których malowała się rozpacz. Okrutna ironia losu sprawiła, że ścisnęło mi się serce. Po policzkach Noor płynęły łzy.

— Trudno — powiedziała. — Muszę poznać prawdę! Znów pochyliła się nad zeszytem. W pokoju panowała cisza jak makiem zasiał. Słyszałem tylko szelest papieru pod szybko przesuwającym się ołówkiem. Przeczytałem dalszy ciąg. SIATKA SCIENTISTA ROZBITA.

— Nie, nie... — mówiła. — To niemożliwe!

Ale z zaciśniętymi ustami, drżąc na całym ciele, czytała dalej. SCIENTIST, ŁĄCZNIK i RADIOTELEGRAFISTA...

Przerwała, przerażona tym, co za chwilę rozkoduje. Miałem jeszcze cień nadziei. Ostatecznie było przecież możliwe, że Donaldson i jego podkomendni uszli z życiem po rozbiciu siatki. Mógł się jeszcze zdarzyć cud. Wziąłem ją za rękę. Napisała pierwszą literę: Z...

— Nie! — powiedziała głosem przerywanym łkaniem. — Nie!

Dopisała jeszcze pięć liter. Potem krzyknęła strasznie i padła do tyłu. Przeczytałem słowo napisane koślawymi literami; ZABICI. Złapała się za głowę.

— To zbyt niesprawiedliwe. Łajdacy! Zabili go. Po miesiącu. Jak to możliwe? Był taki pewny siebie. Taki spokojny.

Umilkła, a potem odezwała się znowu:

— To ten facet go wydał, ten, którego szukamy! Drań... Patrzyła nieruchomo przed siebie i zaciskała pięści. Wyszeptała:

— To niemożliwe! Nie on!

Potem osunęła się na moje ramię, jej ciałem wstrząsały dreszcze i szloch. Z gardła wydobywał się zdławiony krzyk. Pochyliła się do przodu, trzymając się rękami za brzuch jak ktoś, komu zbiera się na wymioty. Z jej zgiętego we dwoje ciała płynęło długie, prawie niesłyszalne zawodzenie. Milczałem, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Tak upłynął kwadrans. Noor była jak w transie; zupełnie nie wiedziałem, co począć. Czekałem bezradny, aż atak minie.

Nagle wyprostowała się i z zaciętą twarzą zaczęła transkrybować dalej.

SCIENTIST, RADIOTELEGRAFISTA I ŁĄCZNIK ZABICI PODCZAS WYMIANY OGNI.

— Ach — powiedziała przez zaciśnięte usta. — Bronili się. Mam nadzieję, że zabili wielu tych drani.

Dalszy ciąg wiadomości brzmiał: UNIKAĆ WSZELKIEGO KONTAKTU Z CZŁONKAMI SCIENTISTA. WIARYGODNI NADAL TYLKO NORMAN I PROSPER.

— Coś podobnego — powiedziałem. — Znowu częstują nas tą bajeczką o Prosperze i Normanie!

— Będą trwali w błędzie — zauważyła — dopóki ich z niego nie wyprowadzimy. Trzeba coś zrobić, żebyśmy mogli stąd się ruszyć...

W jej zaczerwienionych oczach nie było łez. Twarz przybrała wyraz bolesny, a jednocześnie pełen determinacji.

— Zobaczmy jutro — zdecydowałem. — Spotkam się z Blainville'em u bukinisty na nabrzeżu Sekwany, skontaktuję się z nim według wskazówek Garry'ego. I zatelefonuję do Vieneta.

— Nie możesz tylko ty wystawiać się na niebezpieczeństwo. Ja też mogę stąd wyjść.

— Nie, nie od razu. Ciebie jeszcze łatwiej rozpoznać niż mnie.

— W gruncie rzeczy — rzekła — potrzebujemy farby. Ty masz włosy bardzo jasne, a ja bardzo ciemne. Kiedy zmienimy ich kolor, będzie im trudniej...

— Jutro poszukam jakiegoś fryzjera.

Rozmowa na tematy praktyczne uspokoiła ją. Wzięła mnie za rękę i poszliśmy do salonu.

— Dzisiaj nie usłyszysz dalszego ciągu mojej opowieści — powiedziała ze smutnym uśmiechem. — Ale napijemy się po kieliszku. Potrzebuję tego.

Nalałem jej dużą porcję porto, a sobie wziąłem whisky. Wyciągnęła się w klubowym fotelu i rzuciła pantofle. Westchnęła głęboko.

— Był wspaniałym człowiekiem — powiedziała. — Zginął w walce, wcale mnie to nie dziwi.

W kątku jej oka zabłysła łza. W nocnej ciszy usłyszałem jej łagodny głos:

— Uwielbiał życie. Mieliśmy się pobrać, ale dopiero po wojnie. Nie chciał, żebym została wdową. O swojej śmierci myślał z odwagą. Powiedział mi, że jeśli polegnie, mam żyć normalnie. Pamiętać o nim, ale żyć normalnie. Ci dranie zabili go... Prawdę mówiąc, zabili najlepszych z nas.

— Padnie jeszcze wielu innych. Bez tego nie zwyciężymy. Ale kraj o nim nie zapomni. Zrobił to, co należało. Stawił czoło bestii. My także musimy tak postąpić.

— A jeśli bestia wygra?

— Nie, jeśli ludzie tacy jak Donaldson są gotowi umrzeć, zwyciężymy.

Nalała sobie jeszcze jeden kieliszek porto. Ruchy miała powolne, była otepiała. W mrocznym salonie widziałem jej poważną, smutną twarz. Usiadła, zmarszczyła brwi i nagle spojrzała na mnie bystro.

— Musimy się stąd wydostać — powiedziała mocniejszym głosem. — Nie możemy tu tkwić w nieskończoność. Musimy działać. Trudno. Pamiętam, co mówił Wesselow w Arisaig. Pamiętasz? „Nie dawajmy łobuzom spokoju. Jak na kretynów takich jak my, to już wcale nieźle!“. — Uśmiechnęła się z niedobrym wyrazem twarzy. — Przynajmniej zrobimy coś ze swoim życiem. Nie możemy pozwolić, by dokonywali wyboru za nas. Jeśli zostało nam parę dni, to my zdecydujemy, co z nimi zrobić. Nie oni.

— Jutro wyjdziemy na miasto.

Kiedy widziałem, z jakim wysiłkiem woli przewycięża swój smutek, mój podziw dla niej jeszcze wzrósł. Jeśli to możliwe...

— Mam pomysł, jak wytropić zdrajcę — powiedziałem. Zapoznałem ją ze swym planem. Słuchała mnie w skupieniu.

Wysunęła pewną obiekcję natury technicznej. Wróciłem do mego rozumowania, a ona znalazła rozwiązanie. Potem wstała.

— Chodźmy spać. Czeka nas ciężki dzień... — Na chwilę umilkła, a potem dodała: — Dzisiejszy też był ciężki...

Wstałem jednocześnie z nią. Oparła się o mnie. Odprowadziłem ją pod drzwi pokoju. Gdy chciałem ją pocałować, znów zaniósła się łkaniem. Rozmowa o zadaniach, które były przed nami, oderwała ją od smutnej rzeczywistości. Nadchodząca noc przypominała jej o tym, co się dziś stało. Znów położyłem jej ręce na ramionach.

— Odwagi — powiedziałem. — Pomyśl o tym, co teraz musimy zrobić. To jedyne wyjście.

Nie przestawała szlochać. Otworzyłem drzwi i zaprowadziłem ją do łóżka. Spojrzała mi prosto w twarz i objęła mnie ramionami, wtuliwszy głowę w moją pierś. Jej łzy robiły małe plamki na mojej koszuli. Potem osunęła się nagle, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Chwilę potem padliśmy oboje na łóżko, objęci ramionami, nieruchomi. Płakała cichutko powtarzając: „Strasznie mi przykro. Przepraszam”. Potem powoli się uspokoiła. Po kwadransie odwróciła się do ściany, zwinięta w kłębek, podciągnawszy nogi pod brodę. Czułem dotyk jej wygiętych pleców. Wiedziałem, że teraz powinienem ją zostawić. Cofnąłem ramiona, którymi ją obejmowałem. Powiedziała: „Zostań!”. Nie poruszając się, wyciągnęła rękę, by zgasić lampkę przy łóżku. Nacisnąłem wyłącznik i w ciemnościach leżeliśmy bez słowa jak dwoje dzieci, które pocieszają się nawzajem w mroku. Od czasu do czasu wstrząsał nią dygot, a westchnienia stawały się coraz słabsze. Potem usnęła.

Przytulony do niej, z sercem przepelnionym miłością, słuchałem jej regularnego oddechu, wypełniającego ciszę pokoju. Słyszałem nocny wietrzyk, wiejący w ogrodzie na dole, i coraz cichszy, głuchy warkot przejeżdżającego samochodu. Księżycowy blask, padający przez szpary w okiennicach, lśnił w jej czarnych włosach i wydobywał z mroku zarys pleców, których ciemny kontur miałem przed oczami. Powoli zmogło mnie zmęczenie. W sennym odrętwieniu widziałem jej uśmiech i pełne wdzięku ruchy, wyłaniające się z mojej przytłumionej świadomości. Przenikało mnie uczucie nadziei, zabarwione odrobiną wstydu.

Łóżko poruszyło się. Zobaczyłem jednocześnie zegarek, który świecił na mojej zgiętej ręce, i siedzącą na łóżku Noor. Szybkim ruchem rozpięła bluzkę, potrząsając włosami, które opadły jej na ramiona. Pograżony w półśnie zastanawiałem się, co chce zrobić. Sięgnęła rękami za plecy: rozpięła stanik. Potem zdjęła sukienkę. Wytrzeszczałem oczy, a krew pulsowała mi w skroniach. Odwróciła się w moją stronę, objęła mnie ramieniem i przyciągnęła do siebie. Teraz ja ją objąłem. Poczulem jej nagą, ciepłą skórę. Serce biło mi mocno aż do bólu. Powiedziałem głupio:

— Noor... co się stało?

— Cicho, nic nie mów. Nie staraj się zrozumieć. Wszystko przemyślałam. Nie mamy czasu. Nie chcę, żeby mi skradli moje życie.

I pocałowała mnie z nieznaną mi czułością i uniesieniem. Ścisnąłem ją obiema rękami i głaskałem po nagich plecach. Wydała krótki krzyk, który przeszedł w cichy jęk. Kiedy dotknąłem jej uda, zgięła łydkę i objęła nią moje nogi, a jednocześnie mocniej przywarła do mnie wargami. Czułem jej sprężystą pierś. Oswobodziła się i zaczęła rozpinąć guziki mojej koszuli. Jej gesty stały się władcze. Pochylała się nade mną, jakby skoncentrowana na delikatnej pracy. Kiedy obnażała jakiś kawałek mego ciała, całowała je długo, a potem delikatnie głaskała...

O świcie znów zasnąłem z uczuciem spełnienia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W południe Noor potrząsnęła mnie za ramię. Była odświeżona, uczesana, miała na sobie bluzkę bez rękawów i spódnicę-spodnie. Na nocnej szafce postawiła tacę z dymiącym czajnikiem i grzankami z czarnego chleba, który przypiekła na kuchence.

— Hej, żołnierzu, wstawaj! — powiedziała wesoło.

— Noor... — zacząłem.

W mojej twarzy musiało być coś uroczystego. Położyła palec na ustach i uśmiechnęła się.

— Nie. Nie mówmy o tym. Był to moment szczęścia. Nie ma nic do dodania... Trzeba zapomnieć...

— Jak to, zapomnieć? — powiedziałem.

— Tak. Zapomnieć. To była cudowna chwila, John, ale nigdy nie istniała. Byliśmy dwojgiem dzieci w nocy...

Byłem zdumiony, zdruzgotany.

— Dzieci? — rzekłem z przekąsem. — Ale dzieci dość dużych...

— Może i tak — odpowiedziała ze śmiechem. — Jednak trzeba zapomnieć. Ja muszę.

Jej spojrzenie, które gubiło się gdzieś za mną, było zamglone.

— Ja nie będę mógł zapomnieć.

— John — powiedziała błagalnie — jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

— Przyjaciółmi! Ależ skąd, nie jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciółmi... co za okropne słowo!

— A jednak najpiękniejsze...

— Noor, nie kpij sobie ze mnie.

— Wcale sobie z ciebie nie kpię. To najstraszniejsza i najpiękniejsza noc w moim życiu. To wszystko. — Złagodniała. — Potrzebuję czasu... Rozumiesz?

Rozumiałem aż za dobrze.

— Porozmawiajmy — powiedziała. — Dzisiaj rano wybiorę się po farbę.

— Nie, to niebezpieczne. Zbyt łatwo cię rozpoznać.

— Ale jeśli ty pójdziesz do fryzjera i poprosisz o farbę, wyda się to dziwne.

— Wymyślę jakąś historyjkę. Musimy coś zrobić. Usiadła na łóżku z filiżanką herbaty w ręce. Drugą podała mi grzanki.

— Nie ma rogalików — rzekła.

— I tak będzie to moje najpiękniejsze śniadanie, najdroższa — powiedziałem, patrząc jej w oczy.

— Nie nazywaj mnie tak.

— Co ty powiesz? Dobrze! Jeśli chcesz... najdroższa. Roześmiała się, udając zagniewaną. Objąłem ją za szyję.

Pocałowała mnie w policzek.

— Och nie! Nie chcę pocałunków w policzek. To nie do zniesienia!

— John, nie będziemy się kłócić.

— Owszem! Ostatecznie, dlaczego nie?

— Dobrze. Poruczniku, jesteśmy na froncie. Trzeba przywrócić dyscyplinę!

— Nie. Wojna zaczyna się o drugiej. Jeszcze nie czas. Roześmiała się i delikatnie pocałowała mnie w usta.

— Co za nadąsana mina! — rzekła.

Dopiłem herbatę i zniknąłem w łazience. Zobaczyłem swoją twarz w lustrze: najszcześniejszy i najbardziej nieszczęśliwy z ludzi. W głębi serca pod maską złości dostrzegłem strach. Zostałem wygnany z ogrodów Edenu.

Fryzjerka na ulicy Passy spojrzała na mnie dziwnie, ale sprzedała mi dwie buteleczki farby. Najwidoczniej historyjka o mojej przykutej do łóżka matce nie przekonała jej. Ale widok pieniędzy rozwiął te wątpliwości. Z podwójnego dna mojej walizki wyciągnąłem dwa banknoty o dużych nominałach. Delikatne misje SOE miały przynajmniej tę dobrą stronę: nie brakowało pieniędzy. Były to pieniądze fałszywe, ale wyprodukowane przez techników z Banku Anglii pod kontrolą ministerstwa spraw ekonomicznych, które sprawowało pieczę nad SOE. Wyobrażałem sobie, jaki dreszcz wywołany popełnianiem rzeczy zakazanej musieli czuć funkcjonariusze, którzy w czasach pokoju mieli czuwać nad bezpieczeństwem pieniądza.

Potem spotkałem się z Vienetem w kawiarni Les Espagnols, tym razem sprawdzając, że żaden klient nie może podsłuchać naszej rozmowy. Nie powiedziałem Vienetowi o komisarzu Trochu i zapoznałem go ze swoim planem. Zaakceptował go, sugerując pewną drobną korektę.

— Przyjdę sam, tak będzie bezpieczniej — rzekł. — Ale najpierw niech pan ufarbuje sobie włosy. Inaczej ryzyko jest za duże!

Wróciłem do mieszkania, przeskakując po cztery stopnie naraz. Noor wzięła buteleczki i przyniosła do łazienki krzesło. Kazała mi usiąść z dużym ręcznikiem na szyi. Po mieszkaniu rozszedł się gorzki zapach farby. W apteczce znalazła drewnianą szpatułkę, jaką wkłada się do ust dzieciom, by przycisnąć język i zajrzeć do gardła.

— Moja matka czasem farbowała sobie włosy — powiedziała.

Rozrobiła czarną farbę w miseczce i nakładała mi ją pasmo po pasmie. Obserwowałem ją w lustrze, uważną, pochyloną nade mną, wygiętą w pasie, z pośladkami opiętymi obcisłą spódnicą. Zauważyła moje spojrzenie i z uśmiechem

pokręciła głową, co wprawiło mnie w zły humor. Odwróciłem głowę, by jej coś powiedzieć. Zawartość miseczki rozlała mi się na głowę i spływała po twarzy jak brązowy wodospad. Parsknęła śmiechem.

— Oto dokąd prowadzą nieprzyzwoite myśli...

Gdy wycierałem się ręcznikiem, robiłem, co mogłem, by też się nie roześmiać, zachować ponure spojrzenie i poważny wyraz twarzy. Skończyła całą operację i teraz trzeba było poczekać, aż farba chwyci. Zainstalowałem się na kanapie w salonie, a Noor siadła do pianina. Zagrała jeden z koncertów Mozarta i z wolna się uspokoiłem. Nadeszła pora, gdy trzeba było wyjść. Odprowadziła mnie do drzwi i uważnie zlustrowała. Włożyłem inny, elegantszy garnitur, krawat i wyglansowane buty.

— Sądzę, że wszystko jest w porządku — powiedziała. — Ledwo mogę cię poznać...

— Tak — odparłem. — Zauważyłem.

Na boku pudła bukinisty nie było afisza z Aristide'em Bruantem. Droga była wolna. Prawie nie śmiać usiąść, pojechałem metrem, przypatrując się wszystkim pasażerom. Przesiadłem się na stacji Michel-Ange-Auteuil i wyszedłem na stacji Maubert. Następnie, oglądając się za siebie co pół minuty, ruszyłem ulicą des Bernardins w stronę Sekwany. Wyliczyłem, że stragan ostatniego bukinisty na nabrzeżu Montebello znajduje się na końcu małej uliczki, biegnącej wzdłuż kościoła Saint-Nicolas-du-Chardonnet, obudowanej wąskimi, odrapanymi domami. Na rogu ulicy i nabrzeża zobaczyłem kawiarnię, o której mówił Garry. Miała taras ocieniony płócienną markizą i małą salkę na cztery stoliki. Usiadłem w głębi: dla przechodniów byłem niewidoczny, ale ja widziałem nabrzeże jasno oświetlone słońcem. Na przeciwległym chodniku, wzdłuż balustrady nad Sekwaną, amatorzy grzebali w pudłach ze starymi książkami. Afisza sygnalizującego niebezpieczeństwo nie było. Bukinista siedział na składanym krzeselku na lewo od straganu i czytał książkę obłożoną w przezroczysty ryżowy papier. Odczekałem kilka minut, tyle czasu, ile zajęło mi wypicie erzacu soku owocowego o dziwnym brązowym zabarwieniu. Na lewo, po drugiej stronie rzeki, pośród drzew poruszanych słabym letnim wietrzykiem, prześwitywały łuki Notre-Dame, podtrzymujące pokryty szarą dachówką dach nad prezbiterium katedry. Wszystko wyglądało normalnie. Przy straganie nie kręcił się żaden próżnujący wartownik. Klienci grzebali w pudłach i odchodzili. Żaden nie zawrócił. W pobliżu nie parkowało żadne auto. Przejeżdżały tylko młode kobiety na rowerach, riksze i niekiedy niemiecki samochód z małą czerwono-czarną chorągiewką. Po wyspie Cité przechadzali się żołnierze w mundurach, jedni rozglądali się, inni siedzieli na tarasach, kontemplując Sekwanę lśniąca pod błękitnym niebem.

Wstałem, przeszedłem przez nabrzeże i zatrzymałem się przed straganem bukinisty. Do gzymsu nad długim otwartym pudłem były przypięte sztychy. Wsunąłem palec między zakurzone rzędy książek. Egzemplarz Pani Bovary stał trzeci w ostatnim rzędzie. Szybko rozejrzałem się dokoła. Wyjąłem przygotowaną kartkę i wsunąłem ją do grubego, ręcznie rozciętego tomu. Przejrzałem książki w innych rzędach, a potem spokojnie poszedłem nabrzeżem dalej, w stronę mostu Saint-Michel.

Na rogu ulicy Dantego, na wysokości placu przed katedrą Notre-Dame, ktoś klepnął mnie po ramieniu. Przestraszony uskokyłem na bok. Był to Blainville. Jego niebieskie oczy patrzyły na mnie wesoło, a kosmyk kasztanowatych włosów powiewał na wietrze.

— Niepokoilem się o pana — powiedział. — Na szczęście się pan zjawił! Codziennie zaglądałem tutaj o piątej po południu. Kiedy przyszedłem dzisiaj, zobaczyłem, że już pan odchodzi. Szedłem za panem, aby sprawdzić, czy nikt pana nie śledzi...

— Cieszę się, że pana widzę — powiedziałem, ściskając mu rękę.

— Chodźmy się czegoś napić. Moja kawiarnia jest niedaleko stąd.

Blainville był właścicielem bistra na rogu ulic Gitle-Coeur i Saint-André-des-Arts, kupionego za pieniądze SOE. Przekonał Londyn, że będzie można bezpiecznie się tu spotykać. Prawdę mówiąc, wykazał taką siłę perswazji, że Baker Street nie miała wyjścia i zgodziła się, choćby po to, by nie zrazić tak cennego organizatora zrzutów. Była to przyzwoita kawiarnia z miedzianym kontuarem, skórzanymi fotelami i lśniącym ekspresem do kawy. Jej taras zajmował kawałek wąskiej ulicy, na której były ustawione stragany uniwersyteckich księgarń. Przedstawił mi swoją żonę, wciśniętą w barwną sukienkę niedużą kobietkę, siedzącą przy kasie. Uderzył mnie kontrast między nim a jego połowicą. Spodziewałem się zobaczyć kobietę smukłą i wyrafinowaną.

Odezwał się do niej szorstko, zamawiając piwo i pastis. Wróciła z napojami i zamknawszy kawiarnię, natychmiast wycofała się za kontuar. Klienci przeszkadzaliby nam.

— Jak udało się wam uciec? — spytał. — Nasi przyjaciele znaleźli się w strasznych opałach...

Opowiedziałem mu o naszej nieszczęsnej przygodzie w Viroflay, o tym, że Noor coś tknęło, o walce stoczonej z oficerem i ucieczce przez las.

— Ta dziewczyna jest nadzwyczajna — rzekł. — Dziwi mnie to, ale nie do końca. Nie ma żadnego doświadczenia, ale jest niezwykle odważna...

— To prawda, jest nadzwyczajna...

— I jak zbudowana! — dodał łakomie. Spojrzałem na niego spode łba. Zmienił temat.

— Kontaktowałem się dwa lub trzy razy z ludźmi Prospera. Podobno była straszna obława. Adamowskich aresztowali, biedna Andrée Borrel o mało nie straciła życia. Trzymają ją we Fresnes. Kula dosięgła ją, gdy rzuciła się do ucieczki. Zatrzymali przynajmniej sto osób. Myślałem, czyby się nie ukryć. Ale tak czy owak jestem w niewesołej sytuacji: jeśli ktoś mnie sypnie, wezmą moją żonę i będę musiał się zgłosić. Najwidoczniej nikt nie sypnął...

Pomyślałem, że Prosper i Norman zdradzili kryjówki i lądowiska, ale nie wspomnieli o istnieniu człowieka, który organizował przerzuty. Ostatecznie Niemcy mogli nie wiedzieć, że jeden z agentów jest specjalistą w wyszukiwaniu lądowisk i nadzorowaniu lądowań.

— Ale kto nas wydał? — spytałem nagle.

— Nie wiem — odparł — ale myślę, że biedny Prosper gonił ostatkiem sił. Mogli go schwytać przed tą obławą i zawrzeć z nim coś w rodzaju układu... Może zgodził się na to, a potem wystawili go do wiatru. Jest odważny, ale był bardzo przywiązany do swych agentów. Ludzie z gestapo są mądrzy i przebiegli. Mogli zaproponować mu, że oszczędzą jego ludzi albo coś w tym guście... Więc ustąpił i wszyscy albo prawie wszyscy wpadli...

— Według pana to on poinformował o akcjach przy ulicy Solférino i na dworcu w Dreux?

— Może. Prawdopodobnie powiedział coś niecoś, żeby się wykazać, a jednocześnie nie zaszkodzić akcji. Niemcy dysponowali więc pewnymi informacjami, ale nie na tyle dokładnymi, by wszystko wzięło w łeb...

— Jest pan tego pewny?

— Nie. To tylko moje przypuszczenia. Ale kiedy poskłada pan to, co się stało przez ostatnie dwa tygodnie, jest to najbardziej prawdopodobne... Prosper bardzo się narażał. Miał do siebie przesadne zaufanie. Kiedy zobaczył, że Niemcy go osaczają, wołał z nimi pertraktować. Jakby mógł robić to jak równy z równym... Wie pan, takie życie prowadzi trochę do obłędu. Człowiek traci zdrowy rozsądek.

Blainville rozumował podobnie jak Vienet, ale dochodził do diametralnie różnych wniosków.

— Na razie — podjął — Aurora nie powinna nadawać. Ale może uda się nawiązać kontakt z Normanem. Jeszcze funkcjonuje...

— Przecież... Vien... — Natychmiast umilkłem. — Przecież... przecież o ile dobrze zrozumiałem, Norman został aresztowany!

— Nie, skądże...

Spojrzał na mnie z wahaniem, zdziwiony tym, co usłyszał.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Norman jest ciągle na wolności.

— Ale wiem od Garry'ego, że zatrzymano go na tarasie w La Lorraine!

— Tak? A przecież wiem od...

— Czy to wiadomość z Londynu?

— Ależ skąd! Od czasu tamtej obławy nie mam żadnego kontaktu z Londynem...

Wiem to od jednego z ocalonych, którego pan nie zna, a który jest w kontakcie z Normanem i ze mną. Powiedział mi, że można korzystać z jego radiostacji!

Robiłem, co mogłem, by ukryć niepokój. Blainville twierdził, że jest odwrotnie, aniżeli mówili mi Garry i Vienet! Skąd ta różnica? Może Blainville'a celowo wprowadzono w błąd?

— Czy pański informator jest wiarygodny?

— Tak. Mam do niego całkowite zaufanie.

— Dobrze, trzeba będzie się nad tym zastanowić. W każdym razie wydaje mi się, że Norman jest w ich rękach.

— Sprawdzę to najprędzej, jak się da.

— Henri — podjąłem, patrząc mu prosto w oczy — potrzebujemy pańskiej pomocy. Bez Prospera nie mamy już broni. Londyn kazał nam kontynuować akcje wojskowe. Potrzebujemy sprzętu. Czy mógłby pan w najbliższych dniach przyjąć zrzut? Zgłoszę się po niego. Mamy dwa pewne mieszkania. Możemy w nich ukryć steny, rewolwery i materiały wybuchowe. Przynajmniej będziemy mogli coś robić.

— Owszem — odpowiedział po chwili zastanowienia. — W pobliżu Bourgueil, w departamencie Indreet-Loire, znam teren, z którego jeszcze nie korzystaliśmy. Mam kryjówkę w pewnej samotnie stojącej posiadłości. Rzecz jest możliwa.

— Proszę więc podać mi namiary tego terenu, zawiadomię Londyn i wszystko panu potwierdzę. Są gotowi. Szybko się z tym uwiną.

Wstał, poszedł w głąb pustej sali i zniknął w małych, polakierowanych na czarno drzwiach. Po pięciu minutach wrócił z mapą Michelina i rozpostarł ją na stole. Pokazał zalesiony obszar położony nieco na północ od Loary, niedaleko Saumur, między dwiema wsiami, Gizeux i Courléon. Na środku zielonej plamy, symbolizującej las, widniał napis „Chaumont”.

— To tu — powiedział. — Ci ludzie przystąpili do Ruchu Oporu w czterdziestym roku.

Rozłożył mapę na całą szerokość i policzył współrzędne od lewej do prawej. Kiedy doszedł do wspomnianego terenu, rzekł: „Czwarta w drugim rzędzie!”. Potem linijką zmierzył odcietą i rzędną punktu wzdłuż boków prostokąta utworzonego przez współrzędne. Wziął papierową serwetkę i małymi literkami napisał ołówkiem: „Niestrawność”. Dopisał 37, czyli numer mapy Michelina, obejmującej departament Indreet-Loire, wartości współrzędnych z mapy oraz

odmierzonych uprzednio. Ich skrzyżowanie precyzyjnie wskazywało umiejscowienie obiektu. Londyn dysponował identycznym kompletem map Michelina: pilot nie będzie miał żadnych trudności ze zlokalizowaniem tego miejsca. Blainville miał ciekawy zwyczaj nadawania obiektom nazw chorób. Był więc „Rak”, „Grypa”, „Zapalenie płuc”, „Gruźlica” itd. Zmiałem papierową serwetkę i włożyłem ją głęboko do kieszeni spodni. Można było mieć nadzieję, że w razie rewizji policja weźmie ją za chusteczkę do nosa i nie zauważy maleńkich literek napisanych cienkim ołówkiem.

— Jeśli pan chce — powiedział — mogę podać te ustalenia Normanowi. Może jemu będzie łatwiej je przekazać.

— Zapewniam pana, Henri — odrzekłem — że Normana aresztowano.

— Dobrze. Szybko to sprawdzę. Niech je pan przekaże sam, jeśli pan woli... Przyjedzie pan z Aurorą?

— Proszę się nie niepokoić. Przyjedziemy. Przekażę panu wszystkie dane natychmiast po otrzymaniu odpowiedzi z Londynu. Wtedy uzgodnimy organizację odbioru. Mam się z panem kontaktować przez bukinistę?

— Tak. Na nabrzeżu mogę sprawdzić, czy jest bezpiecznie. Zobaczę, jeśli ktoś będzie szedł za panem.

Skręcałem mnóstwo razy, czterokrotnie zawiązywałem sznurowadła i obserwowałem ulicę w odbiciu szyby, by sprawdzić, czy ktoś mnie nie śledzi. Ale nic nie zauważyłem. Po rozmowie z Blainville'em miałem w głowie zamęt. Jego oskarżenia przeciwko Prosperowi trzymały się kupy. Zdrada Prospera, nawet gdyby kierowały nim dobre intencje, wszystko tłumaczyła. Ale coś mi się tu nie zgadzało. Prosper, Norman, Blainville, Vienet, ktoś jeszcze... W głowie kłębiło mi się mnóstwo hipotez. Za parę dni, mówiłem sobie, będę już wiedział. Kiedy nabrałem pewności, że nikt mnie nie śledzi, postanowiłem pojechać metrem. Z placu Trocadéro wszedłem w aleję Paul-Doumer, by w określony sposób dotrzeć do mojej paryskiej przystani. Skręciłem na prawo w wąską i pustą ulicę de la Tour, gdzie z pewnością musiałbym zauważyć kogoś, kto szedłby za mną. Nikogo nie było. O ósmej dwadzieścia pięć zadzwoniłem do mieszkania, w którym czekała na mnie Noor. Otworzyła. Od razu zobaczyłem, że płakała. Oczy miała czerwone i była blada. Nie odmówiła mi pocałunku.

Przygotowała skromny zimny posiłek. Zjedliśmy szybko, by o dziewiątej odebrać komunikat z Londynu. Nie dowiedzieliśmy się niczego nowego, powtórzono tylko wczorajsze wiadomości o siatce Scientista. Noor znów zaczęła płakać, ale szybko się opanowała. Baker Street chciała przede wszystkim, byśmy się z nią skontaktowali, i nadal zalecała ostrożność.

— Poproszę Vieneta — powiedziałem. — Trzeba przekazać prośbę o zrzut. Dzięki temu dowiemy się...

— Jutro ufarbuję sobie włosy — rzekła. — Ja też chcę stąd wyjść. Nie będziesz się tylko ty narażał.

— Zobaczymy.

W pograżonym w półmroku pokoju ogarnęło mnie pożądanie. Przytuliłem ją do siebie. Nie opierała się i pozwoliła mi się pieścić. Potem powiedziała:

— Zapominasz o naszej umowie!

Pięć minut później siedziała przede mną z gołymi łydkami i stopami w klubowym fotelu, z kieliszkiem porto w ręku.

— Dzisiaj twoja kolej.

— Ale moje życie jest zupełnie nieciekawe.

— Owszem, dla mnie jest ciekawe — odparła łagodnie. — Niezwykle ciekawe. Gdzie się urodziłeś?

Postanowiłem się nie opierać. Ostatecznie miło jest mówić o sobie. Zwłaszcza kobiecie, którą się kocha.

— W Cowes, na południu Anglii, na wyspie Wight. Odbywa się tam mnóstwo regat.

— Świetnie znam to miejsce! — rzekła, śmiejąc się. — Zabawne. To znaczy, znam Portsmouth i Southampton.

— Mój ojciec pracował w stoczni w Portsmouth. Codziennie przepływał statkiem przez Solent.

— Był inżynierem?

— Nie, robotnikiem. Zajmowaliśmy w Cowes niewielkie mieszkanie przy głównej ulicy, nad magazynem ze sprzętem wędkarskim. Musiał wcześniej wstawać, by zdążyć na statek. Ale było tu taniej niż w Portsmouth. Ojciec spawał kadłuby i różne ciężkie elementy pokładu statków. Bardzo mi imponował, kiedy byłem mały. Miał duże ciemne okulary, by chronić oczy, i palnik, spod którego płomienia na wszystkie strony sypały się iskry. Wydawało mi się, że to najtrudniejszy zawód na świecie.

— Może tak było...

— Może. Przede wszystkim był to jeden z najcięższych zawodów. Gdy byłem mały, ojciec pracował dziesięć godzin dziennie, z sobotami włącznie. Potem wszystko się zmieniło. Na szczęście. Ale ojciec drogo za to zapłacił...

— Dlaczego?

— Należał do związku zawodowego. Był nawet jednym z jego przywódców. W czasie wielkiego strajku górników w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku zorganizował strajk w stoczni.

W moim głosie musiała zabrzmieć nuta dumy, bo od razu powiedziała:

— On także był bojownikiem.

— Tak. Strajk trwał trzy miesiące. Dłużej niż strajk górników. Po sześciu tygodniach w domu nie było już co jeść. Matka wpadła w rozpacz. Gdy ojciec nie miał dyżuru w strajkowej pikiecie, chodził łowić ryby nad rzeką Cowes. W domu było czworo dzieci. Pamiętam, że chodziłem żebrać w naszej dzielnicy. Miałem miseczkę z cynowanej blachy z napisem „Solidarność” z jednej strony, a „Śmierć żółtym!” z drugiej. Jeśli odmawiano mi datku, odwracałem miseczkę i można było przeczytać to drugie hasło! Uciekałem biegiem. Prawie nikt nic nie dawał. Było dużo żółtych.

— Żółtych?

— Tak, tych, którzy nie przyłączyli się do strajku. Dyrekcja zastosowała lokaut. Ludzie zdychali z głodu. Aby przeżyć, przejedli wszystkie oszczędności, czasem nawet pieniądze zbierane latami na zakup małego domku. Na ulicy na wprost naszego mieszkania były się kobiety. Te, których mężowie nie strajkowali, obrzucały obelgami tamte, i na odwrót... Pewnego wieczoru ojciec wrócił do domu z twarzą poważniejszą niż zwykle. Długo rozmawiał z matką. Byłem głodny, nie mogłem zasnąć. Słyszałem, o czym rozmawiali. Dyrekcja zorganizowała milicję. Jeden z jej członków wyłamał się i uprzedził robotników, że następnego dnia milicja przypuści na nich szturm. Matka była przerażona. Mówiła, że przeciw milicji nie da się nic zrobić. Ci łajdacy bili bardzo mocno. Byli uzbrojeni. Mieli psy. I wszyscy wiedzieli, że policja da im wolną rękę. Ale mój stary powiedział, że trzeba walczyć, bo jeśli ustąpią, wszystko, co dotąd zrobili, nie będzie miało sensu. I wtedy nagle mnie zobaczył. Wsunąłem głowę przez drzwi pokoju, gdzie spała nasza czwórka. Nigdy tego nie zapomnę. Miałem dwanaście lat. Powiedział: „Nie śpisz? No to chodź tu!”. Posadził mnie przy kuchennym stole, który służył nam też do jedzenia. Rozmawiał ze mną, spoglądając z ukosa na matkę. Jego głos wydał mi się dziwny. Musiał być wzruszony. Matka płakała. „Synu — rzekł — jutro właściciele nas zaatakują. Jeśli tam nie pójde, nie będę mógł spojrzeć w lustro. Wychowuję cię po to, byś umiał żyć godnie, wyprostowany. Nie wolno się ugiąć, trzeba stawić czoło, nawet jeśli wieje silny wiatr. Inaczej człowiek jest niczym. Dla właścicieli liczy się tylko siła. Zawsze będą starali się nas oszukać. Musimy trwać i pozostać zjednoczeni. W przeciwnym razie robotnicy zawsze przegrają. Tamci zawsze nas zmiażdżą. Może będą ranni. Może zabici. Może nie wrócę. Ale będziesz mógł mówić ludziom: mój stary nie dał się. Tak!”. Nazajutrz milicja zaatakowała pikiety żelaznymi drągami i pałkami. Mieli trzy karabiny. Ale robotnicy czekali na nich. Przygotowali zasadzkę wśród statków na pochylniach. Mieli sworznie, pasy, kije. Z zaskoczenia wzięli ich w dwa ognie. Łobuzy spanikowały. Faceci z

karabinami zaczęli strzelać. Zabili dwóch robotników. Policja się nie ruszyła. Ale milicjantów rozgromiono. Prawie wszyscy znaleźli się w szpitalu. Ojciec wrócił do domu z otwartą raną na głowie i rozciętą górną wargą. Całą twarz miał obandażowaną. Ale nigdy nie widziałem u niego takiego spojrzenia! Na pogrzeb robotników przyszło całe miasto. Na cmentarzu odśpiewaliśmy Międzynarodówkę.

— Twój ojciec był komunistą?

— Nie, skądże. Nie lubił bolszewików. Mówił, że to dyktatorzy. W każdym razie w Anglii jest mało komunistów. Mój stary należał do Partii Pracy, jak większość robotników. W gruncie rzeczy był głównie syndykalistą. Właściciele wnieśli skargę, oskarżając strajkujących o zaatakowanie ich sił porządkowych. Prawo było po ich stronie. Pikieta strajkowa była nielegalna. Ale działało się to za rządów MacDonalda. On także był laburzystą. Laburzystą prawicowym, ale laburzystą. Zażądał raportu od ministra pracy. Raport stwierdzał, że właściciele sprowokowali robotników, co wywołało olbrzymi skandal. Konserwatyści się wściekli. Chociaż raz MacDonald się nie ugiął. Wtedy właściciele stoczni zdecydowali się na rozmowy. Z powodu zabitych mieli całe miasto przeciwko sobie. Zgodzili się prawie na wszystko: czterdziestoosmiogodzinny tydzień pracy zamiast pięćdziesięcioczerogodzinnego, wyższa emerytura, ubezpieczenie chorobowe, kasa zapomogowa dla bezrobotnych... A nawet tydzień płatnego urlopu. Dziesięć lat przed Frontem Ludowym! Co tu dużo gadać, zgodzili się na wszystko! Kiedy poznano treść układu, mój ojciec zwołał w domu zebranie kierownictwa związku zawodowego. Całą noc śpiewali, krzyczeli i pili. Nawet ja. Nad ranem trzeba było zanieść ich do domów. Nazajutrz mój stary powiedział: „Widzisz, synu, nigdy nie trzeba pasować!”. Ale ostatecznie dyrekcja stoczni załatwiła go. Pilnowali go godzina po godzinie, dzień po dniu. Rok później udało im się przypisać mu jakieś przewinienie. Zwolnili go. Wniósł skargę. Wygrał. Ale oni zapłacili grzywnę i odmówili przywrócenia go do pracy. Wszyscy właściciele się zmówili. Mój ojciec był sześć miesięcy bezrobotny, miał tylko małe odszkodowanie, które dostał po zakończeniu strajku. Pomógł mu związek zawodowy. Jednak by znaleźć pracę, musiał się wyprowadzić. Nie chciał wynieść się z okolicy. Wtedy moja matka odeszła. Nie wytrzymała. Była Francuzką. Pochodziła z Granville w departamencie La Manche. Ojciec ożenił się z nią podczas podróży, gdy zwiedzał Francję na promie z Cherbourga. Wróciła do siebie. Nigdy jej już nie zobaczyłem. Mam jej adres. Ale nie starczyło mi odwagi, by tam pojechać. Nigdy się do nas nie odezwała. Mój stary nie podniósł się po tym ciosie. Wreszcie znalazł pracę w małej stoczni w Cowes. Budował żagłówki. Chociaż zarabiał znacznie mniej, lubił tę pracę. Żagłówki to coś szlachetnego. Nie tak szlachetnego jak statki handlowe albo pasażerskie. Ale jednak szlachetnego. W

niedzielę zabierał mnie na wyspę Wight łodzią ze swej stoczni. Nauczył mnie żeglować. Na morzu był wyciszony. Przez resztę czasu harował bez wytchnienia, by na nas zarobić. Nigdy nie pozwalał sobie na jakąś podróż czy rozrywkę.

— Nigdy się ponownie nie ożenił?

— Nie. Mówił, że jest za stary. W rzeczywistości nadal kochał moją matkę. Była bardzo ładna... Cierpiał jak potępieniec. Ale nigdy się nie skarżył, w każdym razie przed nami. Tylko od czasu do czasu wracał do domu trochę później, zataczając się. To wszystko. Oszczędzał, na czym tylko mógł. Wysłał mnie do szkoły średniej, potem na uniwersytet. Dobrze się uczyłem. W domu często rozmawialiśmy o polityce. Codziennie wieczorem czytał gazetę i od niepamiętnych czasów komentowaliśmy aktualne wydarzenia. Mówił mi o angielskiej burżuazji, o kapitalizmie, o faszystach. Podczas wojny w Hiszpanii organizował zbiórki pieniędzy, a w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku rzekł mi: „Ten Chamberlain to kretyn i tchórz. Ustąpił przed faszystami. Będzie wojna!“. Chodził na manifestacje. Ale nie za często: zajmował się nami. Związek zawodowy organizował wieczorowe kursy dla dzieci robotników, które chciały uczyć się dalej. Mieliśmy bezpłatne książki, kursy doskonalenia. Kiedy przyjeźli mnie do Cambridge, ojciec przyjechał pociągiem na inaugurację. Włożył swój jedyny garnitur i sam wykrochmalił koszulę. Siedział wyprostowany w pierwszym rzędzie obok ludzi ze szlacheckich rodzin, dumny jak paw. Gdy ujrzał mnie w czarnej todze, wybuchnął łkaniem. Kiedy wróciliśmy do Portsmouth, jego koledzy ze związku zawodowego przyszedli na dworzec z orkiestrą. Płakaliśmy jak bobry. Nie wiedzieliśmy, co ze sobą począć! Był szczęśliwy. Tak mi się przynajmniej zdaje. Niedługo potem umarł. W lecie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Miał za dużo stalowego pyłu w płucach. Chorował sześć miesięcy, ale nie cierpiał. Ostatniego wieczoru zawołał mnie do siebie i rzekł: „Masz w Londynie dobrą pracę. Czytam twoje artykuły. Udało ci się. Musisz więc zająć się rodzeństwem!“. I dodał: „Teraz należysz do lepszego towarzystwa. Ale nie zapomnij, skąd pochodzisz! Nigdy!“. I ścisnął mnie za rękę. To wszystko. Wystarczyło.

— Rzeczywiście. Wystarczyło. Teraz już wiem, dlaczego tu jesteś.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Noor również zastosowała się do woli ojca. Dawno minęła północ, a my, wzruszeni naszą wzajemną spowiedzią, ciągle rozmawialiśmy. Poziom płynu w obu butelkach obniżał się, alkohol odganiał sen. Noor opowiedziała mi dalszy ciąg swej historii. Po odjeździe Ajita jej życie płynęło spokojnie. Jedyne begum wprowadzała w nie nutkę smutku. Po śmierci męża zamknęła się w swym pokoju na pierwszym piętrze i zaciągnęła zasłony. Od tego dnia nigdy już z niego nie wyszła. Tam przynoszono jej posiłki. Przeważnie żyła w półmroku, siedząc po turecku, medytując. Nigdy się nie uśmiechała, czytała niewiele i rzadko się odzywała. Tylko z Noor prowadziła długie rozmowy. Jej skóra coraz bardziej bladła, a głos stawał się coraz słabszy. Można by rzec, kwiat, który marnieje bez słońca.

Noor była coraz bardziej urocza, mądra i utalentowana. Opiekowała się dziećmi ze wzgórza i opowiadała im bajki ze swego kraju, Indii, krainy pełnej przepastnych lasów i mitycznych zwierząt. Uczyła się gry na harfie u Madame Bardeaux, podobnie jak Liii Laskine, która później została wielką francuską harfistką. Od czasu do czasu na jej wykład zachodził Debussy, by porozmawiać o indyjskiej muzyce z Noor lub jej braćmi, którzy pobierali lekcje gry na skrzypcach i wiolonczeli. Pewnego dnia Noor wpadła na pomysł, by spisać bajki, które wymyślała dla dzieci z Suresnes. Znalazła niewielkiego wydawcę i opublikowała swoją pierwszą książkę Bajki z Jąkaty, zbiór opowieści pełen szlachetnych książąt i mówiących węży. Ktoś z przyjaciół podsunął jej myśl, by pokazać tę książeczkę jednemu z dyrektorów radia. I przez cały 1939 rok Noor co tydzień chodziła do studia Radio-Paris i nagrywała kolejną opowieść, którą czytała cichym głosem przy akompaniamencie muzyki sufi. Według ludzi z Radio-Paris miała dużą publiczność. Mimo „dziwnej wojny” kontynuowała nagrania w 1940 roku, studiując jednocześnie literaturę na Sorbonie i kontynuując naukę gry na harfie. W czerwcu wszystko się zawaliło. Przerażona rodzina dowiedziała się z radia o nagłej klęsce armii francuskiej, której nie ukrywała już propaganda wojenna. W starym, oprawionym w skórę atlasie, na mapach wschodnich departamentów szukali pozycji armii podawanych w uspokajających komunikatach przez sztab generalny. Nie było wątpliwości: każdego dnia linia działań wojennych przesuwała się bardziej na zachód i zbliżała do Paryża. Dwoje młodszego rodzeństwa, brat i siostra, postanowiło pojechać na Południe, by w razie wkroczenia Niemców nie wpaść w ich ręce. Noor i Vilayat zostali z begum, która śledziła to wszystko, nie wychodząc z ciemnego pokoju. Przypomnieli sobie, że Ajit ostrzegał ich przed Niemcami. Rasowe obsesje Hitlera wydały im się śmiertelnym zagrożeniem. 12

czerwca 1940 roku daleko na północnym wschodzie Noor i Vilayat usłyszeli armatnią kanonadę. Kilka dni przedtem francuskie oddziały, w rozsypce i w opłakanym stanie, przeciągnęły wzdłuż Sekwany poniżej Suresnes. Wówczas młodzi mieszkańcy Fazal Manzil usiedli w salonie, Vilayat w skórzanym fotelu, a Noor na kanapie, podwinąwszy nogi. Przez okno widzieli Paryż w gorącej mgle. W ogrodzie śpiewały ptaki, a promienie słońca malowały żółte plamy na rzeźbionej bibliotece, w której stały rzędem teologiczne książki. Na gerydonie obok kanapy Noor leżał duży sitar, położony odwrotną stroną, a za Yilayatem stała harfa w futerale.

— Nie możemy tu zostać — zaczął Vilayat. — Musimy pojechać na Południe. Matka nie będzie mogła pozostać w swym pokoju. Francuzi nie obronią się. We Francji Hitler już zwyciężył. Musimy wyjechać.

— Ale Francuzi będą nadal walczyć.

— Nie. Nie będą mogli. Stanie się to, co w Polsce pół roku temu. Niemcy mają czołgi i samoloty, a Francuzi nie są przygotowani do wojny. Zostali pokonani, nie ma wątpliwości. Słyszać armaty. Niemcy są pod Paryżem. Zajęło im to miesiąc! Ale Anglia nigdy się nie podda. Król powołał do rządu Churchilla. Dobrze go znamy, Noor. Właśnie przez niego nasz ojciec miał kłopoty. To Anglik arogancki, lecz twardy, fanatyk imperium. Od lat oskarża nazistów. Da im odpór, to pewne. Anglikom jest łatwiej. Są za morzem.

— Musimy więc dostać się do Anglii. Anglicy nas ochronią...

— Tak. Ale nie możemy tylko się chronić. Trzeba walczyć, jak kazał ojciec. Trzeba pokonać nazistów. Chcą zabić religię, wolność, wszystko, co jest treścią naszego życia. Walczmy. Bijmy się u boku Francuzów i Anglików. W każdym razie Anglików.

— Ale nie możemy walczyć. Przysięgliśmy: bez przemocy, bez zabijania, bez mordowania. Vilayat, to nie jest nasz świat. Poza tym nic nie umiemy. Chcesz walczyć za pomocą twojej wiolonczeli?

— Nauczymy się. Kiedy kraj prowadzi wojnę, z cywilów robi miliony żołnierzy. Jesteśmy cywilami, to wszystko.

— Ale ja nie chcę zabijać. Nigdy!

— Zastanawiałem się na tym. Widzę pewne wyjście. Poprosimy o przydział do jednostek, które nie walczą. Przydamy się. Nie będziemy nosili karabinów, ale na coś się przydamy.

— Anglicy wyśmieją nas! Zobaczą dwoje dzikusów z jakiejś dziwnej sekty, którzy poproszą, by pozwolono im wstąpić do wojska pod warunkiem, że nie będą musieli zabijać... Vilayat, ośmieszmy się. Albo będziemy w wojsku, albo w nim nie będziemy.

— Ale przecież potrzebują każdego człowieka! Możemy im się przydać. Poza tym nie mamy wyboru. Jest pewne, że we Francji nic nie zrobimy. Wojna będzie zataczała coraz szersze kręgi, Noor. Musimy się w nią włączyć!

— Ale co powiemy Anglikom, kiedy zejdziemy ze statku? Poślą nas, nie wiadomo dokąd. Nie potrzebują nas. Wojsko daje każdemu człowiekowi jakiś przydział. To znaczy tak mi się zdaje. Jeśli każdy przyjdzie ze swymi indywidualnymi wymaganiami, nie będą mogli się zorganizować. Jak można iść na wojnę i nie walczyć! Pomyślą, że jesteście tchórzami.

— Jest pewne rozwiązanie — rzekł Vilayat. — Powiemy im: nasze przekonania religijne zabraniają nam zabijać, ale chcemy walczyć. Przydzielcie nas do jednostek niebezpiecznych, ale takich, gdzie do nikogo nie trzeba strzelać. Mogą być nawet bardzo niebezpieczne...

— Ale co to znaczy jednostka niebezpieczna? Jeśli jest niebezpieczna, trzeba się bić...

— Nie, niekoniecznie. Przewodnicy albo ludzie, którzy robią rozpoznanie na tyłach wroga, nie biją się. Jednak wystawiają się na niebezpieczeństwo. Na prawdziwe niebezpieczeństwo. Nawigatorzy na statkach nie mają broni. Ale kiedy uderzy pocisk, nie wybiera między żołnierzami a cywilami. Jest dużo stanowisk tego rodzaju. Może jakieś dostaniemy. Prawda?

Dwa lata później, w październikowy dzień 1942 roku, Noor weszła do Northumberland, zajętego przez armię hotelu niedaleko War Office, w którym werbownik SOE odbywał rozmowy z kandydatami. Selwyn Jepson przyjął ją w pokoju umeblowanym najprostszymi sprzętami. Noor, czarująca w swym jasnogranatowym mundurze RAF-u, mimo pantofli na płaskim obcasie i prostej spódnicy, z wdziękiem usiadła na wyplatanej słomą krześle przed kuchennym stołem, na którym Jepson położył jej wojskowe dossier.

Wraz z bratem i matką wyjechała z Paryża 16 czerwca 1940 roku starym samochodem ze stopniami, od lat stojącym w garażu w Fazal Manzil. Claire i Ifayat, jej młodsze rodzeństwo, wzięli nowoczesnego citroena, by schronić się na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie przeżyli całą wojnę. Wśród przerażonego tłumu, maszerującego poboczami dróg, w kawalkadzie przeróżnych wehikułów zapchanych pasażerami, kuframi i walizkami, posuwali się w stronę Bordeaux, dokąd uciekł rząd. Spali na dworze, jadali w samochodzie, na dźwięk nadlatującego samolotu chowali się pod drzewa lub w cień muru i w ten sposób po trzech dniach dojechali do portu, z którego odpływało jeszcze parę statków do Anglii. Przed nimi jakiś stukas ostrzelał uciekinierów z karabinów maszynowych, więc aby jechać dalej, musieli usunąć z drogi trupy. Vilayat poszedł do portu kupić bilety na statek handlowy, a Noor z matką schroniły się na dworcu w Bordeaux, na który właśnie

wtedy spadła niemiecka bomba. Szklany dach rozprysnął się w drobny mak, przysypując uciekinierów odłamkami szkła. Ostatecznie Vilayat zdobył dwa bilety na ostatni statek.

Noor i jej matka, oparte o zardzewiały parapet, widziały, jak w zapadającym zmierzchu znikają brzegi ich przybranej ojczyzny. Nazajutrz odpowiadały, jak potrafiły, na pytania oficera imigracyjnego, który jako obywatelkom imperium brytyjskiego wydał im tymczasowe przepustki. Vilayat musiał wrócić aż do Nantes, by zabrać się na jakiś statek. Po trzech dniach rodzina znalazła się znowu razem w małym ciemnym mieszkaniu w centrum Londynu, wynajętym dzięki jakimś ludziom poznanym podczas poprzedniego pobytu w Anglii. Begum dzielnie zniosła trudy podróży. Ale znów popadła w depresję. Sama w obcym mieście, bez środków do życia, nie widziała dla siebie żadnej przyszłości. Noor, pogodna jak zawsze, myślała o wstąpieniu na londyński uniwersytet, o koncertach w Albert Hall. Nazajutrz po przyjeździe Vilayat zgłosił się do biura rekrutacyjnego RAF-u. O mało go nie wyrzucono. Chciał się szkolić na pilota samolotów rozpoznawczych. Wszelako pod warunkiem, że nie będzie musiał strzelać. W każdej misji będzie ryzykował życie. Ale nikogo nie zabije... Po tygodniu częzej gadaniny w niezliczonych biurach dzięki inteligencji i zręczności uzyskał to, co chciał. Jednak podczas pierwszych badań lekarskich stwierdzono, że ma słaby wzrok. Wówczas poprosił o przeniesienie do Navy, jeśli można na trałowiec. Wydawało mu się, że jest to również służba pokojowa, a zarazem niebezpieczna. Navy mogła sobie pogratulować decyzji. Pod koniec wojny dostał Victoria Cross.

Zamiast uczęszczać na uniwersytet i koncerty, Noor poszła w ślady brata. Obojgu wydawało się, że krąży nad nimi cień ojca. Royal Air Force zatrudniło ją jako sekretarkę. Potem wystąpiła o skierowanie na kurs dla radiotelegrafistów, który rozpoczęła 28 sierpnia 1942 roku. Nieco później na ścianie pomieszczenia, gdzie szkolono przyszłych radiotelegrafistów, zobaczyła ogłoszenie. Szukano dwujęzycznych ochotników do ważnej bliżej nieokreślonej misji. Zgłosiła się. A teraz siedziała przed oficerem o sympatycznej twarzy i przedwczesnej łysinie.

W cywilu Jepson był autorem dramatycznym i scenarzystą filmowym. Po wojnie miał osiągnąć wielkie powodzenie w swym zawodzie. Już teraz świetnie znał środowisko związane z teatrem i światem widowisk i jako że wymyślił tyle dialogów i intryg, posiadał intuicyjną znajomość ludzkich charakterów. Zazwyczaj długo wypytywał ochotników, nie zdradzając, o co mu naprawdę chodzi, a później spotykał się z nimi jeszcze dwa lub trzy razy, by pogłębić swój osąd, i dopiero potem wspólnie z Gubbinsem i Buckmasterem, dwoma szefami SOE, decydował, gdzie ich przydzielić. W wypadku Noor rzeczy miały całkiem inny przebieg.

— Przyjęto panią do RAF-u. Dlaczego zgłosiła się pani na ochotnika? Nie jest pani Angielką...

— Urodziłam się w Moskwie, ale część dzieciństwa spędziłam w Londynie. Potem mieszkałam we Francji. Te dwa kraje przyjęły mnie. Teraz się sprzymierzyły. Wydaje mi się, że powinnam włączyć się do ich walki.

— Jest pani Hinduską jak ojciec. Hindusi nie mają nic wspólnego z tą wojną...

— Hindusi nie mogą pragnąć zwycięstwa Hitlera, który reprezentuje dokładnie odwrotność tego, w co wierzą...

— Hindusi żądają niepodległości. Odmawia jej im Anglia, nie Niemcy. Jak możemy być pewni pani lojalności?

— Pewnego dnia Indie będą niepodległe. Tak mówią księgi. Ale dzisiaj wszyscy mamy jednego wroga: nazizm.

— Czy pani ojciec myśli tak jak pani?

— Mój ojciec nie żyje. Matka i mój brat Vilayat są w Londynie. Opuściliśmy Francję w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. I przyjechaliśmy do Anglii.

— Pani brat jest w RAF-ie...

— Był w RAF-ie. Okazało się, że ma słaby wzrok. Przenieśli go do marynarki...

— Przed wojną pisała pani baśnie dla dzieci?

— Tak. W Paryżu studiowałam literaturę i muzykę.

— Gra pani na jakimś instrumencie?

— Na pianinie, na harfie i na instrumentach indyjskich. Jesteśmy rodziną muzyków...

— Przeczytałem w pani dokumentach, że w przypadku pani i jej brata zgodzono się na odstępstwo od przepisów. Nie chcecie zostać wcieleni do żadnej walczącej jednostki?

— Nasza religia stawia przed nami wielkie wymagania. Nie mamy prawa stosować przemocy...

— Przecież na wojnie przemoc jest obowiązkiem!

— Nie zawsze. Winston Churchill nikogo nie zabija...

— Mam nadzieję, że nie chce pani zostać członkiem rządu. Noor roześmiała się wesoło. Potrząsnęła głową.

— Proszę nas zrozumieć. Wiem, że to swoista hipokryzja. Ale wszystkie religie są takie, prawda? Nie mamy prawa zabijać. Nie jesteśmy jednak idiotami. Toczy się wojna. Chcemy wziąć w niej udział. Naziści to potwory. Trzeba ich pokonać. W zamian jesteśmy gotowi podjąć się niebezpiecznych zadań.

Jepson patrzył na nią osłupiałym wzrokiem.

— Jeśli jednak znajdzie się pani w niebezpieczeństwie, będzie się przecież pani musiała bronić.

— Może. Zobaczymy... Na razie nie stanęłam przed takim problemem.

Zapadła cisza. Jepson zastanawiał się. Wydawało się, że już podjął decyzję.

— Taki problem może się pojawić. Znów zapadło milczenie.

— Zaprosiłem panią tutaj, bo szukamy ochotników do bardzo niebezpiecznej misji.

— Rozumiem...

— Bardzo niebezpiecznej. Szukamy dwujęzycznych żołnierzy na wyjazd do Francji. To agenci Anglii, ale nie noszą munduru. Jeśli zostaną schwytani, nie korzystają z żadnej ochrony. Mogą być brutalnie przesłuchiwani.

— Co trzeba robić?

— Jest pani na kursie radiotelegrafistów RAF-u. My też potrzebujemy radiotelegrafistów. Jeśli się pani zgodzi, przejdzie pani intensywne szkolenie nie tylko w zakresie łączności radiowej, ale również w zakresie wszystkich form walki podziemnej.

— Nie chcę zabijać...

— Nie w tym problem. Przejdzie pani szkolenie, potem wyślemy panią do Francji jako radiotelegrafistkę, żeby zapewnić sobie łączność z siatkami Ruchu Oporu. Jest jedna szansa na dwie, że pani wróci... Nie dostanie pani żadnej rekompensaty finansowej ani żadnego awansu w wojsku. Podczas pobytu we Francji pani żołd będzie odkładany, a pieniądze zostaną wypłacone dopiero po powrocie. Jeśli pani nie wróci, dostanie je rodzina...

Zawiesił głos. Zapadło długie milczenie. Noor patrzyła mu w oczy, spokojna i uśmiechnięta. Spytał:

— Czy może pani przyjąć te warunki?

— Tak.

Zazwyczaj Jepson nie miał zaufania do zbyt szybko wyrażonej zgody. Tym razem nie wahał się. Ta młoda kobieta wydała mu się idealistką, nawet większą, niż mógł sobie wyobrazić. Ale nie była impulsywna czy narwana. Nie chcąc mieć sobie nic do zarzucenia, spytał:

— Dlaczego?

— Bo po to tu przyjechałam.

Dochodziła czwarta rano. Byliśmy zaszadzeni alkoholem i brakiem snu. Noor wstała chwiejnym krokiem. Zobaczyła, która godzina.

— Zwariowaliśmy — powiedziała.

— To ja zwariowałem — rzekłem, podchodząc do niej. Objąłem ją w talii. Wydawała się zmęczona. Ale w głębi jej oczu czaił się jakiś blask. Gdy ją puściłem,

z lekkim uśmiechem zbliżyła swą twarz do mojej. Pocałowałem ją w usta. Był to długi pocałunek. Jęczała. Objęła mnie nogą, by mocniej się przytulić. Zdjąłem z niej spódnicę, potem bluzkę. Wkrótce znalazła się naga w moich ramionach i powoli rozpinała moją koszulę. Kiedy nic już na sobie nie miałem, padłem do tyłu na kanapę. Godzinę później usnęliśmy, zostawiwszy w salonie światło.

O jedenastej obudziłem się, mrużąc oczy w świetle dnia, sączącym się przez zasunięte zasłony. Zgasilem lampę, potem wziąłem wyczerpaną Noor w ramiona i zaniósłem do pokoju. Obudziła się i pocałowała mnie. W łóżku przywarła do mnie, drżąc. O czwartej po południu zgłodnieliśmy. Ugotowała coś, włożyła moją koszulę, nogi miała gołe. Kiedy skończyliśmy jeść, siadła do pianina i zaczęła grać sonatę Beethovena. Spod koszuli widać było jej złotawe uda aż do bioder. Przy trzeciej sonacie podszedłem i wsunąłem rękę pod koszulę, by ją popieścić. Grała nadal, przymknawszy oczy. Drżała za każdym dotknięciem moich palców. Potem przestała grać i osunęła się na dywan.

Obudziliśmy się na dyżur przy radiostacji o dziewiątej piętnaście. Londyn ponawiał propozycję zrzutu. Musieliśmy wyjść z domu.

— Jutro muszę spotkać się z Vienetem — powiedziałem. — Chodźmy spać. Czeka nas mniej przyjemny dzień.

— Jest pewien problem — powiedziała.

— Jaki?

— Wcale nie chce mi się spać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Z coltem za paskiem i zapiętą marynarką stałem oparty o szybę kina Les Acacias, gdzie na czerwonym aksamicie widniały przypięte fotosy z Komediantów: Arletty, Pierre'a Brasseur, Jean-Louis Barrault. Obserwowałem aleję Mac-Mahona, która zaczynała się przy placu Gwiazdy i nieco dalej, po mojej lewej stronie, krzyżowała się z ulicą des Acacias. Stałem na czatach z ludźmi, z którymi poznał mnie Kerleven. Był to specjalny oddział Wolnych Strzelców i Partyzantów, złożony z robotników imigracyjnych, Żydów, Ormian, Hiszpanów i Portugalczyków, których nazywano FTP-MOI. Dowodził nim Ormianin nazwiskiem Manuchian, który wyspecjalizował się w sabotażu i zabijaniu. Ludzie Manuchiana byli sławni. Niemiecka propaganda kazała rozplakatować w całej Francji czerwony afisz, na którym widniały ich portrety i trudne do wymówienia nazwiska, a tuż obok zdjęcia wykolejonych pociągów i wojskowej broni zarekwirowanej podczas obław. Niemcy chcieli pokazać, że tak zwani patrioci są cudzoziemskimi komunistami, zabójcami, a zarazem metekami. Do tych ludzi, których okupant chciał publicznie zohydzić, czułem ogromną sympatię. Ponieważ nie byli najlepsi we francuskim, mówili mało. Ale robili dużo i armia niemiecka bała się ich.

W kawiarni Les Espagnols spotkaliśmy się, Noor i ja, z Vienetem. Zawiózł nas samochodem do lasu w Pikardii, skąd Noor mogła spokojnie nadawać. Uzgodniliśmy z Londynem termin i miejsce planowanego zrzutu w Touraine. Zawiadomiliśmy Blainville'a przez skrzynkę kontaktową na nabrzeżu Montebello. Wszystko potwierdził. Broń miała zostać zrzucona 11 lipca około pierwszej nad ranem pod Chaumont. Blainville miał ją zdeponować w domu stojącym na wzniesieniu pośrodku polany, odległym o pięć kilometrów od pierwszej wsi. Musieliśmy tylko pojechać do Touraine, by ją odebrać. Była to niebezpieczna operacja. O ile włączenie się po Paryżu nie było zbyt ryzykowne, o tyle przechodzenie przez kontrole na dworcach było rzeczywiście niebezpieczne.

Vienet pomyślał wtedy o Kerlevenie. Spytał, czy może nas zawieźć do Touraine. Kerleven zgodził się. Dzięki siatce Ruchu Oporu Kolejarzy dysponował bezpiecznym sposobem transportu: mieliśmy podróżować w kabinie lokomotywy. Niemcy niezwykle rzadko kontrolowali maszynistów. A gdyby do tego doszło, można się było ukryć w tendrze, w skrytce pod zapasami węgla. Człowiek wychodził stamtąd czarny jak smoła, ale cały i zdrowy.

— Drogi Arthurze — powiedział do mnie Kerleven — wyświadczę panu tę przysługę. Spodziewam się, że odpłaci mi pan tą samą monetą. Widziałem pana i pańskiego przyjaciela Darbois w akcji. Jesteście świetni. Nasi towarzysze z grupy

Manuchiana szykują pojutrze operację koło placu Gwiazdy. Potrzebują dwóch strzelców. Wy odwalicie tę robotę, a my zawieziemy was do Saumur i potem zabierzemy z powrotem do Paryża. To uczciwa transakcja, prawda?

Trudno było odmówić. Ostatecznie SOE wysłało mnie do Francji po to, żebym pomagał Ruchowi Oporu. Całemu Ruchowi Oporu. Manuchian był niskim, nerwowym, czarniawym człowieczkiem o głębokim spojrzeniu, czarnych wąsach i chudej szyi, od której sporo odstawał kołnierzyk. Wyjaśnił mi, na czym ma polegać cała operacja. Oryginalny system osłony wymagał zimnej krwi i umiejętności strzeleckich.

O jedenastej trzydzieści dwaj zamachowcy, czekający w alei Mac-Mahona, jeden na ławce, drugi oparty o drzewo, dali nam znak głową i ruszyli do akcji. Trzydzieści sekund później zobaczyłem niemiecką ciężarówkę zjeżdżającą aleją. W szoferce siedział kierowca i oficer. Skrzynia ciężarówki była odkryta, bez plandeki, aby żołnierze, siedzący na dwóch ławkach po obu jej stronach, mogli korzystać ze świeżego powietrza. Widziałem, jak dwaj ludzie Manuchiana spokojnie wyciągnęli granaty i policzyli do czterech, nie odrywając oczu od ciężarówki. Kierowca nie zauważył ich. Gdy ciężarówka dojechała na ich wysokość, dali dwa kroki na jezdnię i jednocześnie rzucili granaty, które natychmiast wybuchły. Jakaś oderwana ręka pofrunęła i spadła na asfalt wraz z hełmem i kawałkami bluzy od munduru. Nogi żołnierzy zmieniły się w krwawą miazgę. Jeden z nich zgiął się we dwoje, by przytrzymać wnętrzności wypływające na podłogę. Zabici leżeli jeden na drugim. Ci, którzy przeżyli, krzyczeli z bólu, powaleni na ławki i podłogę skrzyni, leżąc we krwi. Ciężarówka stanęła. Wszedł z niej osłupiały oficer z pistoletem w garści.

Nadjechała druga ciężarówka i gwałtownie zahamowała. Żołnierze wyskoczyli z niej i pobiegli w kierunku ludzi Manuchiana. Ci nie czekali na nich. Rzuciwszy granaty, natychmiast pobiegli w stronę ulicy des Acacias, wyciągając colty. Jeden znalazł się na mojej wysokości, a drugi na wysokości Darbois stojącego na przeciwległym chodniku. Wtedy odwrócili się. Było nas czterech uzbrojonych strzelców naprzeciwko grupy Niemców, którzy w nieładzie zbiegali ulicą. Oczekałem parę sekund i krzyknąłem: „Ognia!”. Czterech żołnierzy padło na bruk. Pozostali położyli się na ziemi, by rozpocząć ostrzał. Ale my już biegliśmy przed siebie. Pięćdziesiąt metrów dalej, osłaniani przez zaparkowane samochody, czekali dwaj inni ludzie Manuchiana, po jednym z każdej strony ulicy. Przykucnąłem obok tego, który stał po mojej stronie chodnika. Teraz było nas sześciu. Żołnierze strzelali w naszym kierunku, ale ukryliśmy się za samochodami. Zbliżali się, poganiani przez dwóch oficerów. Jak w niegdysiejszych regimentach, jednocześnie podnieśliśmy broń. Kiedy byli trzydzieści metrów od nas, znowu krzyknąłem: „Ognia!”. Ludzie Manuchiana umieli strzelać. Sześciu żołnierzy padło. Manewr

powtórzyliśmy, kiedy Niemcy rzucili się znów na ziemię. Sto metrów dalej stało znowu dwóch ludzi Manuchiana. Salwa z ośmiu karabinów spowodowała jeszcze więcej ofiar. Oficerom nie udawało się już poderwać żołnierzy. W czasie, gdy wrzeszczeli, rozproszyliśmy się na bulwarze des Ternes. Przy alei Niela czekały na nas trzy samochody. Chwilę potem wyjeżdżaliśmy już z Paryża przez Porte Champerret. Dotarliśmy do Levallois i tam zatrzymaliśmy się na podwórzu małego domku z piaskowca. Dwaj ludzie zamknęli za nami bramę. Czekał tu Manuchian. Kolejno objął każdego z nas. Wyszczrzył w uśmiechu wszystkie zęby lśniące pod czarnymi wąsami. Powiedział ze swym wschodnim akcentem: „Wspaniale, chłopaki! Wszystko poszło jak z płotka. Mają co najmniej dwudziestu zabitych! To dobra taktyka, prawda?”.

Nazajutrz Niemcy wzięli pięćdziesięciu zakładników z paryskich więzień. Przede wszystkim komunistów i uchodźców z zagranicy. Zawieźli ich na Mont Valerien i rozstrzelali. Jeden z młodych ludzi nie chciał pozwolić zawiązać sobie oczu. Patrzył na pluton, a kiedy dano komendę ognia, zawołał: „Niech żyje niemiecki proletariatus!”. Okrzyk ten zagłuszył huk salwy. Do chłopaka podszedł oficer SS i już martwemu wpackował z wściekłości dwie kule w tył głowy.

Wieczorem po akcji, po hałaśliwym i suto zakrapianym posiłku w kryjówce Manuchiana, pieszo wróciłem na ulicę de la Pompe tuż przed godziną policyjną. Noor siedziała na górze schodów. Kiedy na nią podniosłem oczy, ledwo ją poznałem. Obcięła włosy i ufarbowała je na jasno. Były nastroszone i miały barwę lnu.

— Co myślisz o mojej nowej fryzurze? — spytała.

— Koszmarna! Aresztują cię za brak gustu! Roześmiała się, zamykając drzwi.

Potem spytała:

— Jak wam poszło?

— Jakoś.

Byłem zadowolony z sukcesu odniesionego przez ludzi Manuchiana. Podziwiałem ich odwagę. Ale mówiłem sobie, że są czyny bardziej bohaterskie niż rzucanie granatami w nieosłoniętych szeregowców. Było oczywiste, że Niemcy zastosują surowe represje. Gdyby propaganda Vichy wiedziała o moim istnieniu, mogłaby obarczyć mnie odpowiedzialnością za śmierć pięćdziesięciu zakładników, zabitych w odwecie za trzy akcje przeprowadzone w ciągu miesiąca. Pobitem rekord... Churchill powiedział: „Utopić Europę w ogniu i krwi!”.

Wieczorem usiedliśmy oboje w salonie, Noor z kieliszkiem porto, ja ze szklaneczką whisky. Jedyna zmiana polegała na tym, że siedzieliśmy nie na wprost, ale obok siebie na kanapie: objąłem ją, a ona położyła głowę na mojej piersi. Nie mogłem przyzwyczać się do jej jasnych włosów. Przy swej matowej cerze nie

przypominała żadnego znanego okazu rasy ludzkiej. Może niektóre kabaretowe piosenkarki. Z egzotycznych krajów...

— Nie wiem, dlaczego ci się podobam — powiedziałem nagle, zatopiony w gorzkich myślach. — W gruncie rzeczy jestem tylko zabójcą... A według twojej religii nie wolno zabijać. Nawet mrówki.

— Och! Nie przesadzaj. Szanujemy zwierzęta, to prawda. Czy kpisz sobie ze mnie?

— Nie, skądże. Przecież nie wolno zabijać, prawda? Mam najgłębszy szacunek dla tej idei. Ale jak możesz mnie znieść? Spędzam czas na likwidowaniu ludzi.

— Dopóki to nie ja zabijam... — rzekła z udanym cynizmem.

— Noor, to ważne. Chcę wiedzieć, co o mnie myślisz. Kiedyś zaczniesz mnie nienawidzić.

— Wyznawcy sufizmu od dawna wiedzą, że nie wszyscy mogą nimi być. Są mądrzejsi, niż ci się zdaje...

— Ale jak odpowiadają na pytanie, które zadawali ci wszyscy w Anglii podczas szkolenia: jak można nie zabijać podczas wojny?

— Najpierw wielu wyznawców sufizmu zabijało. Ja należę do szczególnej szkoły, założonej przez mego ojca. Jak wiesz, był murshidem.

— Wiem.

— Mój ojciec przez całe życie dążył do zbliżenia z innymi religiami. Od średniowiecza większość wyznawców sufizmu, przeciwnie, chciała być jedynie muzułmanami. A czasem byli niezwykle nietolerancyjni. Zależało to od sytuacji politycznej. Brali udział w dżihadach. Nie mam na myśli wielkiego dżihadu, prawdziwej walki, walki z sobą samym, z nafsem. Mam na myśli świętą wojnę, wojnę, której celem jest podbój militarny.

— Co by jednak powiedział twój ojciec, gdyby trzeba było chwycić za broń?

— Ojciec kazał nam walczyć z nazistami. Wydaje mi się, że myślał o rozwiązaniu, na które wpadliśmy sami: trudne zadania, ale bez użycia broni.

— To pewna hipokryzja.

— Nie ma religii bez odrobiny hipokryzji. Brak hipokryzji nazywa się świętością lub cynizmem. Najczęściej cynizmem. I powiedziałam ci już, że wiemy, iż nie wszyscy mogą być wyznawcami sufizmu. Zatem ci inni zabijają. My nie. Sufizm — powiedziała ironicznym tonem — jest dla maleńkiej elity.

— Nic nie rozumiem z tych religii.

— Wytłumaczę ci. Na przykład papież wymyślił pojęcie „wojny sprawiedliwej”. W niektórych wypadkach wojna jest usprawiedliwiona. Jeśli zwalcza zło absolutne, ma się prawo zabijać. My proponujemy odpowiedź bardziej wymagającą. Ale niezbyt się ona różni od tamtej. Religie podnoszą wszystkie problemy, które

stawiamy sobie sami. I często wiele problemów pozostaje nierozstrzygniętych. W tekstach zawsze istnieją niejasności, dwuznaczności, sprzeczności. Ponieważ Bóg dał ludziom wolność. Mogą albo iść jego drogą, albo ją odrzucić. Na własne ryzyko. Właśnie dlatego ustrojem, najlepiej odpowiadającym prawdziwej religii, jest demokracja. Jesteśmy wolni. W gruncie rzeczy wielką plagą religii są księża. Twierdzą, że znają właściwą wykładnię świętych tekstów. Tymczasem powtarzają w kółko idiotyczne dogmaty. A przecież teksty są zawsze bardziej skomplikowane, piękniejsze, głębsze niż ich przykazania. Księża są ludźmi. Teksty pochodzą od Boga. Oto różnica. Mój ojciec szukał prawdy w tekstach.

— Ale wy, w sufizmie, macie księży...

— Nie. Nie mamy księży. Mamy wali i murshidów, mędrców, którzy najpierw swoim życiem muszą udowodnić, że są godni nauczać. Są uznani przez swą społeczność, a nie mianowani przez biskupa. Z tego punktu widzenia islam jest o wiele swobodniejszy niż wasza chrześcijańska religia... Nasi wali wskazują nam drogę. Zanim zaczną nas napominać, uczą nas ćwiczeń duchowych. Niczego nie narzucają. Pokazują kierunek. Możemy albo za nim iść, albo nie. Księża? Nie, dziękuję!

Mówiąc, ożywiała się, jej oczy rzucały płomienie. Im dłużej ją obserwowałem, tym bardziej jej pożałowałem.

— A co sufizm mówi o miłości? Chciała mi odpowiedzieć całkiem serio.

— Miłość jest przyrodzona mężczyźnie i kobiecie. Nawet miłość fizyczna. W Koranie znajdujemy apologię miłości fizycznej. Samemu Prorokowi objawił się anioł, gdy kochał się ze swą żoną. Nie przeszkadzało to aniołowi rozmawiać z nim jak gdyby nigdy nic. To ulemowie, imamowie, doktorowie wiary nadali miłości diabelski charakter. Nie Bóg!

Ponieważ moje spojrzenie wyrażało wyłącznie pożądanie, zrozumiała, o czym myślę.

— Przecież żartujesz sobie ze mnie! Zaczęła okładać mnie pięściami po piersi.

— Każesz mi mówić o religii, a myślisz tylko o seksie!

— Noor — powiedziałem. — Kocham cię. Myślę tylko o tobie. Oczywiście myślę również o tym, by się z tobą kochać.

Zaczęła mnie bić jeszcze mocniej, póki nie padła w moje ramiona. Ona też miała na mnie wielką ochotę. Ciasno spleceni poszliśmy w stronę sypialni. Usnęliśmy o świcie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— Schowajcie się, nadchodzą żołnierze!

Georges, mechanik, wskazał nam włącz w podłodze tendra. Podniosłem metalową płytę, a Noor usiadła na krawędzi otworu i zsunęła się na deskę po lewej stronie, przytwierdzoną dużymi śrubami między dwoma kołami tendra, zaledwie metr nad szynami. Poszedłem w jej ślady i położyłem się na desce z prawej strony. Słyszałem, jak Georges sypnął na włącz parę łopat węgla. Pociąg wjechał na dworzec Orleans-les-Aubrais. W świetle księżyca Georges zauważył błyszczące hełmy. Może zrobią mu kontrolę: musieliśmy więc zniknąć w kryjówce, którą ludzie z siatki zamajstrowali dla niebezpiecznych transportów. Aby ją dostrzec, należało odgarnąć węgiel i otworzyć włącz w dnie tendra albo wpełznąć pod wagon z latarką elektryczną. Jak dotąd gorliwość Niemców nie posunęła się tak daleko. Gdy Niemcy wypytywali Georges'a, my, przycupnięci w ciemnej przestrzeni, ledwo wystarczającej, by oddychać, czekaliśmy nieruchomo na odjazd pociągu.

Mimo tych niedogodności była to wspaniała podróż. Jako dziecko zawsze marzyłem o przejażdżce lokomotywą... Na dworcu Montparnasse spotkaliśmy się z jakimś zrzedzającym kolejarzem, który na ulicy du Depart wyprowadził nas niewidocznymi drzwiami wprost na czoło pociągu. Oboje wyciągnęliśmy się na twardej deskach pod podłogą tendra, a lokomotywa wypuszczała szary dym, który spowijał nas i wywoływał kaszel. Koło nas, trochę bardziej na przodzie, leżały pistolety i radiostacja. Kiedy pociąg był już za zewnętrznymi bulwarami, Georges otworzył włącz i pomógł nam się wydostać. Staliśmy na prawo od pomrukującego kotła parowego, zafascynowani tym widokiem, niedostępnym dla normalnych pasażerów, trzęsąc się w takt stukotu kół parowozu, jadącego od semafora do semafora. Mknęliśmy ku ciemnym punktom, gdzie łączą się błyszczące szyny, zanurzaliśmy się w tunele, w silnym podmuchu powietrza mijaliśmy się z pociągami jadącymi w przeciwnym kierunku. Noor przytuliła się do mnie, zapatrzona w noc. Hałas, jaki robiła ta parowa maszyna, uniemożliwiał rozmowę. Nie było to nam potrzebne... Ogarnęło mnie poczucie szczęścia.

W Aubrais Georges bez problemu odpowiedział na pytania żołnierzy. Pociąg wiozł części zamiennie do stoczni w Nantes. Sprawdzanie dokumentów, krótka wymiana zdań i zabrzmiał gwizdek. Za Orleanem kontroli już nie było. Georges znowu kazał nam wyjść z ukrycia. Pociąg przejeżdżał przez widmowe dworce, gdzie wartownik, obudzony hałasem, rzucał obojętnym wzrokiem na defilujące przed nim wagony. Wystarczyło się schylić, by nas nie zobaczył.

Trochę za Ancenis Georges dostrzegł nad jakimś zakrętem świetlny sygnał. Pociąg zwolnił. Trzymając walizkę z radiostacją, wyskoczyłem na torowisko, a

Noor za mną i Georges znów dodał pary, pozdrawiając nas szerokim ruchem ręki. Z rowu wyszedł kolejarz ze ślepą latarką. Poprowadził nas wzdłuż torów do przejazdu. Pod dachem stały dwa rowery. Najbezpieczniej było pojechać do Chaumont nocą, a najlepszym środkiem lokomocji był rower. Usłyszeliśmy nadjeżdżające samochody i ukryliśmy się w rowie. Prędko podziękowaliśmy kolejarzowi, wymieniliśmy w ciemnościach uścisk dłoni i pojechaliśmy w księżycowym świetle ku miejscu przeznaczenia.

Wyposażony w mapę Michelina, wskazaną przez Blainville'a, znalazłem wąską, prostą, piaszczystą dróżkę, która biegła przez las od drogi Bourgueil-Gizeux. Na prawo zostawiliśmy jakąś fermę. Bałem się, że zaczną szczebrać psy, ale wokół panowała cisza. Dotarliśmy do rozwidlenia dróg. Droga na prawo prowadziła do stawu; droga na lewo wspinała się nieco pod górę między dwoma polami położonymi na zboczu ku dużemu domowi z zębatą wieżą, wyraźnie widoczną na tle letniego nieba. Zrzut miał nastąpić po drugiej stronie zbocza na północ od domu, na rozległym terenie sadów, rozciągających się w sercu lasu. Oczekiwano nas dopiero następnego dnia, kiedy to mieliśmy przyjechać po zrzuconą broń samochodem. Ale jeśli chcieliśmy zdobyć odpowiedź na dręczące nas pytanie, musieliśmy być tu wcześniej i obserwować, co się będzie działo podczas zrzutu. Wtedy zdobędziemy pewność... Na razie ukryci w leśnym poszyciu w okolicach Chaumont przespaliśmy się kilka godzin w lasku, którego liście szeleściły lekko w podmuchach nocnego wiatru.

Dom znajdował się jakieś dwieście metrów od nas. Mogłem go do woli obserwować przez lornetkę. Był to myśliwski domek z tufitu, pokryty szarym tynkiem, z czerwonymi okiennicami i dachem z łupku. Na lewo znajdowała się stodoła, za którą trzymano perliczki i bażanty, a na prawo ferma. Na moich oczach wyjechał z niej wieśniak, poganiając konia, który ciągnął pług z podniesionym lemieszem. Zaprzęg skręcił w aleję prowadzącą do stawu i znikł w lesie. Koło dziesiątej stara kobieta w fartuchu poszła szybkim krokiem w stronę stodoły, by nakarmić drób. W południe inna kobieta w berecie i spodniach do konnej jazdy wyszła przed dom na podjazd z czarnego kamienia i wpatrywała się w biegnącą ku niej aleję wysypaną jasnym piaskiem. Skierowałem lornetkę w tamtym kierunku. Jakiś mężczyzna w niebieskim mundurze pchał rower po zboczu. Był to listonosz. Oddał kobiecie, która musiała być właścicielką domu, gazetę oklejoną papierową opaską i odjechał.

Po południu nie zauważyliśmy żadnego ruchu w pobliżu budynków. Ostre słońce padało na pole zielonej pszenicy. Od czasu do czasu za domem zaszczekał pies. Poza tym dochodziły nas jedynie ciche odgłosy lasu. Na kawałku mchu Noor znalazła kurki. Zebrała ich tyle, że zapełniła swą całą dużą torebkę. Za leśnym

poszyciem, na środku małej polanki, rozciągnęła między trzema gałęziami antenę z zielonego drutu. Walizka z radiostacją stała pod pniem sosny.

Oparci o drzewo rozmawialiśmy o muzyce, gdy nagle rozległo się ujadanie psów. Szybko poszedłem na skraj lasu z lornetką w ręku. Na prawo ode mnie, aleją biegnącą ku domowi, jechały jeden za drugim dwa samochody. Poruszały się szybko, podnosząc tumany białego kurzu. Pierwszym był czarny citroen, drugim wojskowy pojazd rozpoznawczy nakryty z tyłu plandeką. Zwróciłem lornetkę na dom. Kobieta w spodniach do konnej jazdy stała przy drzwiach wejściowych. Za chwilę znikła. Dwa samochody podjechały bliżej. Nagle za domem zobaczyłem dwóch mężczyzn z karabinami w ręku i przewieszonymi przez ramię chlebakami, którzy uciekali w lewo. Pobiegli w stronę dużej kępy krzewów i znikli za nią. Wyłonili się znowu przed stodołą i ruszyli pędem w kierunku alei, której ciemny wlot widziałem pod drzewami. Dla ludzi z samochodów byli niewidoczni, bo stodołę zasłaniały duże lipy. Spojrzałem na mapę. Uciekinierzy poszli duktem leśnym, który wyprowadzi ich na drogę do Bourgueil. Niemcy nie złapią ich, chyba że zastawili gdzieś zasadzkę.

— Dwóch uciekło... — powiedziałem do Noor, która starała się coś zrozumieć.

— Tym lepiej!

— Ale ci, co zostali, są zdani na ich łaskę i niełaskę... Samochody zatrzymały się przed schodami. Wyszli z nich dwaj cywile w garniturach i czterej żołnierze. Wszyscy trzymali skierowaną przed siebie broń. Z boku domu pojawiła się stara kobieta. Wzięli ją na cel. Coś do nich powiedziała i weszli do domu. Po dwudziestu minutach pojawili się znowu. Dwie kobiety stały przy cywilach, mówiąc coś i gestykulując. Dwaj żołnierze wynieśli duży, drewniany stół i ustawili go na trawniku. Za nimi wyszło z domu jeszcze dwóch żołnierzy. Trzymali pod ramiona młodego, ciemnowłosego chłopaka, który nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Twarz miał bladą, rozpięty kołnierzyk, nie wrywał się im. W obiektywie lornetki zobaczyłem smużkę krwi cieknącej mu z wargi.

Żołnierze zdjęli z chłopca koszulę i położyli go na stole, z twarzą zwróconą w kierunku lasu. Jeden trzymał go, a drugi przywiązał za ręce i nogi do stołu. Kobieta w spodniach do konnej jazdy rzuciła się na żołnierzy. Jeden z dwóch policjantów — przynajmniej wydawało mi się, że to policjanci — wziął ją za ramię i odepchnął. Jeden z żołnierzy podsunął jej pod nos karabin. Teraz podszedł drugi cywil. Zza paska wyciągnął pejcz, którego do tej pory nie zauważyłem. Szybko podniósł rękę i pejcz z całej siły spadł na obnażone plecy chłopca. Jego krzyk dotarł aż do nas.

— Torturuja go — rzekła Noor. — Musimy coś zrobić.

— Mamy dwa pistolety, ich jest sześciu, mają karabiny i trzeba przebiec co najmniej dwieście metrów po odkrytym terenie, żeby do nich dopaść. Zginiemy na darmo...

— Ale nie możemy patrzeć na to beczynnie! Chcą się dowiedzieć, dokąd poszli tamci dwaj. To dziecko! Ten, który uciekł, to pewno jego ojciec.

— Nie, Noor, zaczekamy w tym ukryciu. Nie możemy nic zrobić. I nie po to tu jesteśmy. Jeszcze nie uzyskaliśmy odpowiedzi...

Pejcz regularnie spadał na plecy torturowanego chłopca. Ponieważ patrzyłem na tę scenę z dołu, nie widziałem, jak bardzo go skatowali. Mogłem to sobie łatwo wyobrazić. Po chwili do stołu podszedł jeden z żołnierzy, rozwiązał sznury, którymi był skrepowany chłopak, rozpiął mu pasek i zdjął spodnie, a potem kalesony. Nagiego jak go Pan Bóg stworzył przywiązali ponownie do stołu, ale tym razem leżał na plecach, twarzą do góry. Mężczyzna z pejczem znowu zaczął go bić, ty razem poniżej pasa. Krzyk obu kobiet dotarł aż do lasu.

Później dwaj żołnierze rozwiązali sznury. Kobiety podniosły chłopca, wzięły go pod ręce i zarzuciły je sobie na ramiona.

Zobaczyłem jego nagie ciało. Plecy miał purpurowe, po nogach płynęły strużki krwi. Głowa opadała bezwładnie. Nie zabili go. Pomyślałem o zdjętym z krzyża ciele Chrystusa, niesionym przez dwie niewiasty. Kiedy znikli w domu, cywil z pejczem rąbnął pięścią w maskę citroena. Chłopak nic nie powiedział. Kobiety również.

Zapadła noc. Nadal obserwowałem dom. Jeden z dwóch cywilów zajrzał do środka samochodu rozpoznawczego. Kiedy się wyprostował, w rękę trzymał mikrofon. Musiał wzywać posiłki przez radio.

— Trzeba zawiadomić Londyn — powiedziała Noor. — Przechwycą zrzut. Lepiej wszystko odwołać.

— Zaczekajmy trochę. Przekonamy się, czy Niemcy zjawili się tu rzeczywiście z powodu planowanego zrzutu. Może to zbieg okoliczności...

Jednak łatwo mogłem sobie wyobrazić, co się stało. Ktoś na pewno zawiadomił Niemców o zrzucie. Wysłali patrol, żeby wcześniej rozpoznał teren. Nie zastali nikogo poza dwiema kobietami i chłopcem. Torturami niczego z nich nie wyciągnęli. Teraz musieli zostać tu z konieczności, na wypadek gdyby ludzie z Ruchu Oporu przybyli dopiero po zapadnięciu nocy. Ale jak powiedziałem Noor, ich obecność mogła być dziełem przypadku. Niemcy polowali na członków Ruchu Oporu. Może przyjechali tu z innego powodu, nie wiedząc o spodziewanym zrzucie. Może się wycofają...

Po godzinie zacząłem w to wątpić. Koło dziesiątej w alei prowadzącej do domu pojawiło się dziesięć ciężarówek z zapalonymi światłami. Podjechały pod dom z

głośnym warkotem silników. Przypuszczałem, że żołnierze otoczą sad, by zaczekać na zrzut pojemników z bronią. Odwróciłem się do Noor.

— Czekają na samoloty. Teraz trzeba zawiadomić Londyn. Niech wszystko odwołają!

Noor otworzyła radiostację, włączyła ją i wysłała sygnał zapowiadający, że zaczyna nadawać. Przykucnąwszy obok niej osłaniałem marynarką aparat i palące się lampki. W ciemnościach nocy nawet najmniejsze światełko jest widoczne z dużej odległości.

— Nie odpowiadają.

— Powtórz!

Znów nadała sygnał. Nic. Po pięciu minutach spróbowała jeszcze raz. Ciągle nic.

— Nie odbierają — powiedziała. — W przeciwnym razie odpowiedzieliby. Zawsze kiedy się ich wzywa, odpowiadają. Jesteśmy w dole zbocza, za pagórkiem. Fale nie przenikają.

— Tak sądzisz?

— Nie wiem. Ale to bardzo możliwe. Te aparaty są kapryśne. Została nam godzina. Jeśli nie nawiążemy kontaktu z Londynem, Niemcy przejmą wiele ton brytyjskiego uzbrojenia.

— Musimy znaleźć jakieś inne miejsce. Trzeba wejść wyżej. Noor zwinęła antenę, zamknęła walizkę, a ja, przyświecając sobie latarką osłoniętą połą marynarki, patrzyłem na busolę. Gdybyśmy poszli przez las na lewo od stodoły, moglibyśmy dostać się na szczyt pagórka, omijając żołnierzy, którzy zapewne czekają wokół wielkiego sadu.

Ruszyliśmy więc przez las prowadzeni igłą busoli, na którą spoglądałem co pięć minut. Natykaliśmy się na wielkie paprocie, na krzaki cierni. Trwało to dosyć długo, bo musieliśmy obchodzić różne przeszkody. Po półgodzinie miałem wrażenie, że wcale nie jesteśmy wyżej.

— Zatrzymajmy się, spróbujemy jeszcze raz — powiedziała Noor.

— Nie. Jeśli się nie uda, nie starczy nam czasu, by pójść dalej. Trzeba wspiąć się jeszcze trochę wyżej.

Szliśmy więc dalej. Gałęzie smagały nas po twarzy, kolce czepiały się ubrań. Dochodziła już prawie północ, gdy teren zaczął się obniżać. Zatem dotarliśmy do szczytu pagórka. Było to najlepsze miejsce.

— Szybko, Noor. Nadawaj!

Uwinięła się bardzo sprawnie i po trzech minutach już pracowała kluczem. Nastawiłem ucha. Daleko za nami, gdzieś po zachodniej stronie, usłyszałem warkot, najpierw głuchy, potem coraz wyraźniejszy.

— Samoloty! Noor! Nadlatują! Wpadną w zasadzkę! Szybko!

— Czekam na potwierdzenie odbioru.

Upłynęła minuta. Serce waliło mi jak młotem. To wszystko przeze mnie. Należało nadać wiadomość o wiele wcześniej. Po co było czekać do ostatniej chwili? Karygodny brak umiejętności przewidywania!

— Udało się! — zawołała Noor. — Odpowiedzieli! Nadaję. Wiadomość była lapidarna. Nadanie jej zabrało minutę.

— Samoloty zbliżają się! — powiedziałem. — Cholera, cholera, cholera! Za późno!

Szum silników przebrzmiał ponad naszymi głowami. Byłem zrozpaczony. Zaraz zaczną zrzucić pojemniki. Torturowany chłopak, zdziesiątkowana siatka, tony broni w prezencie dla gestapo, wszystko to przeze mnie! Przez moje absurdalne pomysły w guście Sherlocka Holmesa. I nawet nie uzyskałem absolutnie pewnej odpowiedzi na moje pytanie. Niemcy wiedzieli. Ale kto ich zawiadomił? Nie wywiązałem się ze swej misji. Wyobrażałem sobie, jak zaraz po rozkodowaniu wiadomości angielska radiotelegrafistka gorączkowo telefonuje do kwatery głównej, jak Buckmaster i Bodington natychmiast dają rozkaz nawiązania łączności z samolotami, by je zawrócić. W chwili, gdy przeklinałem swą lekkomyślność, szum silników zaczął znów narastać.

— Wracają! — powiedziała Noor.

— Tak! — rzuciłem z odrobiną nadziei w głosie. — Zatoczyli krąg rozpoznawczy. Mają jeszcze minutę, by się z nimi połączyć. Dalej, Buck, pospiesz się! Odwołaj ich, do cholery!

Wziąłem Noor za rękę i pobiegliśmy w stronę sadu, wpatrując się w ciemność, by nie wpaść na jakiegoś żołnierza. Szum silników ciągle narastał. Samoloty zmniejszyły prędkość, by wziąć kierunek na światła znaczące teren, w ich mniemaniu rozstawione przez Ruch Oporu. Przybyliśmy, by asystować przy klęsce. Na niebie, daleko na wschodzie, zobaczyłem cienie maszyn, które zaczęły wytracać wysokość i kierowały się wprost na nas. Za trzydzieści sekund nad sadem rozwiną się czasy spadochronów. Potem odetchnęliśmy. Silniki zahuczały znowu. Samoloty z pełną prędkością wznosiły się ku gwiazdom.

— Hura! — powiedziałem. — Odlatują. Buckowi udało się z nimi skontaktować. Hura!

— Hura! — powiedziała Noor, ściskając mnie z całej siły. Warkot silników szybko cichł. Samoloty znikły na zachodzie.

Tym razem gestapo nie dostanie prezentu.

Po upływie minuty słyszeliśmy już tylko cykanie świerszczy. W odgłosy nocy wdarł się niemiecki rozkaz. Zapłonęły pochodnie. Ze wszystkich stron sadu wykrzykiwano komendy. Kilka postaci skierowało się na południe, tam gdzie

widniała ciemna sylweta domu. Obserwowaliśmy z ukrycia żołnierzy, którzy powracali z opuszczonymi głowami. W nocy błyszczały hełmy. Przyłożyłem do oczu lornetkę. Żołnierze kolejno wchodzili ciężkim krokiem do oświetlonej kuchni. Pochód zamykał mężczyzna w cywilu. Wszedł w krąg światła. Stał plecami do mnie, ale świetnie mogłem go rozpoznać: w obiektywie zobaczyłem kręcone włosy Blainville'a.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Nadeszła chwila rozstania. Nazajutrz po nieudanym zrzucie nadaliśmy do Londynu długą wiadomość, zakończoną przerażającym wnioskiem: zdrajcą jest Blainville, jeden z najodważniejszych szefów SOE we Francji, główny odpowiedzialny za łączność ze sztabem SOE. Tego samego wieczoru do Paryża przyszła odpowiedź od Buckmastera: był to rozkaz natychmiastowego powrotu. Najwidoczniej Buck chciał rozwikłać bezpośrednio z nami węzeł gordyjski, jakim była siatka Prospera, i przyszykować ripostę. Tylko my dwoje mogliśmy dostarczyć mu wiarygodnych informacji. Ale Noor odmówiła.

— Nie mogę wrócić — powiedziała prosto z mostu. — Jestem tu potrzebna. Zostałam tylko ja. W całym regionie paryskim Ruch Oporu nie ma już żadnej radiostacji poza mną...

Spojrzałem na nią osłupiały. Jeszcze raz pomyślałem, że niezbyt wie, co mówi.

— Ależ Noor, nie zostawię cię samej w Paryżu. Twoja siatka przestała istnieć, Noor! To zbyt niebezpieczne. Nie będzie z ciebie żadnego pożytku.

— Owszem, mój drogi. Tym razem będzie. Przemyślałam to. Znam Vieneta, skontaktuję się też z Kerlevenem. Ich siatki funkcjonują. Jeden jest w gaullistowskim, drugi w komunistycznym Ruchu Oporu. Musi ich być sporo! Będą mnie potrzebować. Zwłaszcza jeśli wybuchnie powstanie. Jestem jedyną radiotelegrafistką, którą mogą dysponować. Jedyną.

Zamurowało mnie. Jej rozumowaniu nie można było nic zarzucić. Na czas nieokreślony radiostacja Aurora była jedynym kanałem, przez który paryski Ruch Oporu mógł utrzymywać łączność z Londynem. Czy przyjazd innego radiotelegrafisty wchodził w grę? Trzeba by czekać do następnej księżycowej nocy. I znaleźć inny sposób transportu niż samoloty Blainville'a. Noor istotnie wydawała mi się coraz mniej naiwna, coraz mniej nieporadna. Podczas naszej wyprawy do Touraine nigdy się nie skarżyła, nigdy nie osłabła, mimo strachu i niewyspania zachowała zimną krew. Księżniczka szybko się uczyła. W każdym razie szybciej, niż spodziewali się jej instruktorzy.

A jednak po usłyszeniu jej decyzji zrobiło mi się zimno na sercu. Nie chciałem jej zostawić samej. Ryzyko było zbyt wielkie. Kleszcze już się zaciskały. Niemcy mieli jej rysopis; wiedzieliśmy, że Blainville zdradził, a Blainville ją znał; siatka Prospera znalazła się pod kluczem, jej agentów torturowano lub „odwrócono”. Mieszkanie przy ulicy de la Pompę mogło w każdej chwili wpaść. Miałyby niesłychane szczęście, gdyby wyszła z tej opresji cała.

— Wiem, co czujesz, John. Ja też chciałabym zostać z tobą. Wziąłem ją w ramiona. Mówiła dalej:

— Przecież ja rozumię prawidłowo. Nie ma innego rozwiązania. Mój powrót oznaczałby osłabienie Ruchu Oporu. Przemyślałam ten problem na wszystkie strony. Jest tylko jedno wyjście. Nie ruszę się stąd. Każda inna decyzja jest zdradą. Szach i mat, panie racjonalisto. Pojadę nieco później, to wszystko. Buckmaster znajdzie kogoś na moje miejsce. Oczywiście będzie wołał kogoś z większym doświadczeniem. Następnej księżycowej nocy spotkamy się w Londynie.

— Nie! To zbyt niebezpieczne. Złapią cię za trzy dni.

— Skądże znowu! Naprawdę myślisz, że jestem do niczego? Dużo się nauczyłam. W tych warunkach człowiek szybko się uczy. Popatrz! Jestem pewna, że nawet nie pomyślałeś, jak można się wydostać od tyłu z domu przy ulicy de la Pompe.

To prawda. Pograżony w rozmyślaniach nad losem Prospera, zapomniałem o pierwszej radzie Philby'ego: znaleźć bezpieczną drogę ucieczki, gdziekolwiek by się było... Mówiła dalej:

— A ja to zrobiłam. Jeśli przyjdą drzwiami, wymknę się im!

— W jaki sposób?

— Mam wyjście zapasowe. Sprawdziłam je. Widzisz, wcale nie jestem złą agentką. Ty, wielki agent SOE, nie pomyślałeś o tym. Dam sobie radę.

Jej argumenty były nie do odparcia. Z prostej przyczyny: miała rację. Zadaniem Buckmastera i oddziału F było niesienie pomocy Ruchowi Oporu, a ten potrzebował łączności. I teraz Noor była jedyną osobą, która mogła ją zapewnić.

Z dworca Montparnasse, gdzie kolejarze użyczyli nam tymczasowego lokalu, przesłaliśmy nasze propozycje do Londynu. Buckmaster musiał na nie czekać: odpowiedź przyszła już za pół godziny. Szef sekcji F wyrażał zgodę. Musiał się wahać. Ale argumenty Noor były nie do odparcia. Jako dobry szef, Buckmaster nie opierał się długo. Radiostacja Aurora jest potrzebna? Niech pracuje dalej. Dlatego dwa dni później staliśmy twarzą w twarz przed otwartymi drzwiami mieszkania przy ulicy de la Pompe i żegnaliśmy się z rozdartym sercem. Tym razem transport zapewnił mi Garry. Dwaj jego ludzie mieli przyjechać samochodem i zawieźć mnie do Normandii, dokąd przyleci Iysander i zabierze mnie do Tangmere. Objąłem Noor. Może to ostatni raz, pomyślałem.

Przywarła do mnie kurczowo i powiedziała szeptem:

— Boję się...

— Nie, Noor, nie mów tak. Zabijasz mnie. Nie upieraj się, wracajmy razem. Wyjaśnię Buckmasterowi, że ryzyko było zbyt duże. Zrozumie. Ostatecznie dał ci rozkaz powrotu. Był to jego pierwszy odruch. Zrozumie. Zamiast martwego agenta we Francji woli żywego agenta w Anglii. Noor, zaklinam cię!

— Nie. Powiedziałam ci, że dobrze to przemyślałam. Nawet medytowałam. Muszę zostać. To sprawa honoru. Wierności. Ale się boję. To ludzka rzecz...

Włożyłem palce w jej krótkie włosy. Podniosła twarz i złożyła na moich ustach długi pocałunek. Potem spojrzała mi w oczy i wypowiedziała jednym tchem słowa, które były dla mnie torturą i których od tak dawna oczekiwałem:

— Do widzenia, ukochany...

Łagodnie wyzwoliła się z moich objęć, cofnęła się do drzwi wejściowych, pchnęła je jedną ręką, a drugą pokiwała mi na pożegnanie. Potem wzdychając, podniosła palec wskazujący i środkowy i zrobiła literę V, jak Victoria, jak Zwycięstwo... i znikła.

Ludzie Garry'ego czekali na mnie na skrzyżowaniu przed kawiarnią Les Espagnols. Podeszedłem do samochodu. Po drodze moje spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem policjanta trzymającego wartę przed komisariatem. Poznał mnie. Podniosłem rękę i zsalutowałem dwoma palcami podniesionymi do czoła, tak jak kiedyś zrobił to on. Uśmiechnął się szeroko i oddał mi ukłon. Wsiadłem do samochodu, który natychmiast ruszył. Nagle zahamował. Jakiś młody człowiek przechodził przez skrzyżowanie z oczami zwróconymi w stronę ulicy de la Tour i nie zauważył nas. Silnik zgasł, szofer zaklął, po czym ruszyliśmy dalej. Twarz pieszego wydała mi się znajoma. Ale właśnie wtedy szofer spytał:

— No więc kiedy wreszcie wylądujecie, poruczniku?

— Może jutro. A może dopiero za pół roku...

— My już jesteśmy gotowi!

— Tak pan myśli? Moja siatka poszła w rozsypkę. Też byliśmy gotowi. Już nie jesteśmy.

Taka rozmowa trwała aż do tunelu Saint-Cloud. Dopiero w Wersalu tknęło mnie.

— Cholera! Ale ze mnie idiota! Musimy zawrócić.

Wszystko sobie przypomniałem. Młody człowiek, który przechodził na drugą stronę ulicy de la Pompe, przez którego zgasł nam samochód, który patrzył w stronę ulicy de la Tour, to ten sam, co mnie śledził w dniu mego przyjazdu i siedł za mną do kabaretu Lido. Za pierwszym razem miał jasny garnitur, a dzisiaj czarny płaszcz i kapelusz. Oto dlaczego natychmiast go nie rozpoznałem. Ale byłem pewny, że to on. Ogarnęło mnie przerażenie. Jego obecność nie mogła być przypadkowa. Gestapo wysledziło nas. Albo dostało jakąś poufną informację. W każdym razie jest na tropie Noor.

— Musimy zawrócić — powiedziałem. — To sprawa życia i śmierci.

— Ale dlaczego? Wyjaśniłem sytuację.

— Za późno — powiedział szofer. — Dziesięć do jednego, że już weszli. Poza tym jest nas trzech. Ich będzie więcej, będą uzbrojeni, w tamtej dzielnicy roi się od glin. Nie da rady...

— Ale musimy coś zrobić. Nie mogę pozwolić, by ją aresztowano.

Mimo przerażenia starałem się zebrać myśli. Zawrócić? Dwaj przyjaciele Garry'ego mieli rację: zjawilibyśmy się za późno. Może Noor już jest w rękach gestapo. Jeśli jednak jeszcze nie weszli? Jeśli młody człowiek przyszedł tylko na zwiady, a operację przewidziano na później? Jak uprzedzić Noor? Zatelefonować? W mieszkaniu Garrych nie było telefonu. Zadzwoić do konsjerżki, do sąsiadów? Niemożliwe. W oczach stanęła mi twarz Trochu, komisarza patrioty.

— Muszę zatelefonować. Natychmiast.

Samochód skręcił na pierwszym skrzyżowaniu. Byliśmy w Wersalu. Przystanek autobusowy, sklepy, bistro. Samochód zatrzymał się, wyskoczyłem. Telefon był wolny. Książka telefoniczna, numer, leniwy głos dyżurnego:

— Komisariat szesnasty dzielnicy północ, słucham.

— Z komisarzem Trochu proszę.

— Pana nazwisko?

Nie wiedziałem, jak się przedstawić. Zaryzykowałem i powiedziałem:

— To sprawa osobista, jestem jego przyjacielem z Dreux, tym od operacji na kolei. Proszę mu to powtórzyć, będzie wiedział, o kogo chodzi...

Po dwóch minutach usłyszałem:

— Tu Trochu. O co chodzi?

Cztery minuty później komisarz Trochu w kapeluszu, z płaszczem pod pachą przeszedł przez ulicę de la Pompe, rzuciwszy okiem w prawo, w kierunku kawiarni Les Espagnols. Młody człowiek w czarnym płaszczu nadal tam stał. Z wyrazem niepokoju na twarzy spoglądał w stronę ulicy de la Tour. Trochu zwolnił, zczekał, aż zwiadowca gestapo odwróci głowę, i wszedł do domu numer 72. W holu ominął schody z czerwonym dywanem i poszukał bocznych drzwi: wszystkie domy w XVI dzielnicy miały wejście dla służby. Wszedł na górę najszybciej, jak pozwalała jego tusza. Na czwartym piętrze zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Zastukał jeszcze raz i przyłożył ucho do drzwi. Usłyszał ciche skrzypienie podłogi. Domyślił się, że podeszła do nich Noor.

— Panno Noor! Przysyła mnie John. Jestem Trochu, gliniarz z naprzeciwka. Opowiadał pani o mnie. Proszę otworzyć!

Znowu rozległy się jakieś szmery i drzwi się uchyliły. W szparze ukazała się twarz Noor.

— Musi pani uciekać. Są na dole. Będą tu lada chwila.

— Jest pan pewny?

— Zadzwoił do mnie pani przyjaciel. Widziałem ich na dole... Nie mogę tu zostać. Jeśli mnie zobaczą, zaczną coś podejrzewać. Powtarzam: niech pani ucieka. Natychmiast!

— Ale... Proszę chwilę zaczekać. Zbiorę swoje rzeczy i wyjdę z panem.

— Nie, tędy nie można. Schody prowadzą do głównego holu. Możemy się na nich natknąć.

Noor zagryzła wargę. Już podjęła decyzję.

— Dobrze, dam sobie radę. Zaraz stąd wyjdę. Proszę już iść... W tym momencie rozległ się dzwonek przy frontowych drzwiach.

— Już tu są — powiedział Trochu. — Niech pani ucieka, niech pani szybko ucieka. Ja muszę zejść. Postaram się na nich nie wpaść.

— Tak, tak, proszę iść!

Noor zamknęła drzwi. Pobieгла do swego pokoju. Dzwonek zabrzmiał znowu. Wrzuciła do torby ubranie i założyła ją na ramię. Zamknęła czarną walizkę z radiostacją. Jako dobra radiotelegrafistka za każdym razem starannie wkładała antenę na miejsce. Mogła uciec w kilka sekund. Przy frontowych drzwiach usłyszała głos:

— Otwierać! Policja! Wiemy, że pani tam jest. Nie może pani nic zrobić. Otwierać!

Noor włożyła płaszcz, wyjęła spod materaca rewolwer i wsunęła go do kieszeni.

— Otwierać!

Usłyszała jakieś zdanie w języku niemieckim, którego nie znała. Potem nagle w całym mieszkaniu rozległ się przeraźliwy, głuchy rumor. Policjanci starali się wyważyć drzwi. Drżącymi rękami Noor wyjęła z szafy sznury od zasłon, które już wcześniej obciąła, i związała je tak, by powstała długa lina. Jeden jej koniec przywiązała do rączki walizki. Otworzyła okno sypialni i postawiła walizkę na cynkowym parapecie po drugiej stronie balustrady z kutego żelaza. Drzwi wejściowe jeszcze się trzymały. Noor słyszała odgłosy kopnięć i krzyki po niemiecku. Spokojnie zamknęła pokój, chwyciła koniec liny i przeszła przez balustradę. Stojąc na parapecie, zwrócona twarzą do wnętrza, przyciągnęła do siebie dwa skrzydła okna. Przed paroma dniami po zewnętrznej stronie drewnianych ram okiennych, w których były umocowane szyby, wbiła w połowie wysokości dwa gwoździe. Chwyciła je i zamknęła okno, przyciągając do siebie ramy. Właśnie w tym momencie drzwi wejściowe ustąpiły. Do mieszkania wpadli agenci gestapo.

Noor oparła lewą stopę o żelazny hak lewej okiennicy, na którym dawniej rozciągała antenę. Lewą ręką chwyciła się górnej krawędzi drewnianej okiennicy i razem z nią wykonała półobrót nad przepaścią. Prawą nogę postawiła na żelaznym

haku okiennicy sąsiedniego okna, a prawą ręką chwyciła skrzydło drugiej okiennicy i stojąc na obu hakach, przyłgnęła twarzą do ściany między dwoma oknami, niewidoczna z mieszkania. Na parapecie pozostała walizka z radiostacją. Przytrzymując się prawą ręką, lewą pociągnęła za linę, którą owinęła sobie wokół nadgarstka. Walizka zsunęła się. Noor przytrzymała linę i zaczęła spuszczać walizkę wzdłuż muru.

Jeden z gestapowców wszedł do jej pokoju. Zajrzał pod łóżko, do szafy, rzucił okiem przez okno i zobaczył, że wychodzi na ciemną, głęboką studnię. Dwadzieścia centymetrów od niego przyklejona do ściany Noor wstrzymała oddech. Niemiec wyszedł z pokoju:

— Nie ma ich!

— Więc nikogo tu nie było! — odezwał się jakiś głos. — Nie rozumiem. Zapewniał nas, że tu będą. Według niego siedzieli w tym mieszkaniu jak w potrzasku! Szukajcie dalej. Może mają tu jakąś kryjówkę.

Noor ciężka walizka zawieszona na linie, która wrzynała się jej w nadgarstki. Podciągnęła ją i postawiła walizkę na parapecie. Potem, jak robiła to wiele razy podczas długich godzin spędzonych na czekaniu, zaczęła się odwracać. Postawiła obie stopy na tym samym haku, rozbijała się, przełożyła ramiona, znów rozstawiła nogi i stanęła plecami do muru, trzymając kończyny w pozycji takiej, jak ludzie ukrzyżowani w rzymskich czasach. Dwa metry przed nią, nieco na lewo, po drugiej stronie studni utworzonej przez mury budynku, stała drabina przytwierdzona do przeciwległej ściany. Jej stopnie sięgały do granicznego muru, oddzielającego studnię od sąsiedniego parku.

Noor zamknęła oczy, odczekała trzydzieści sekund, otworzyła je znowu, potem rzuciła się w pustkę z wyciągniętymi w górę rękami. Zanim spadła, jej ręce natrafiły na upatrzony stopień. Chwyciła się go, oderwała stopy od haków i uderzyła nogami o drabinę przytwierdzoną do muru. Postawiła obie nogi na jednym szczeblu, odwróciła się i pociągnęła za linę. Walizka spadła z parapetu i huśtała się przy murze. Przytrzymała ją, przyciągnęła do siebie, wzięła w jedną rękę i zaczęła schodzić, chwytając się kolejnych szczebli drugą ręką. Kiedy dotarła do muru granicznego, siadła na nim okrakiem, opuściła radiostację na ziemię po stronie parku i zeskoczyła na trawę. Podniosła walizkę i pobiegła w zarośla.

Agent gestapo wrócił do pokoju i otworzył okno. Nie zauważył dwóch wbitych w ramę gwoździ i powiedział do ubranego na czarno młodego mężczyzny, który stał za nim:

— Nie, nikogo tu nie ma! Tędy nie można uciec. To niemożliwe.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Trochu uspokoił mnie. Kiedy godzinę później zatelefonowałem do niego w drodze do Normandii, drżąc z niepokoju i obawiając się najgorszego, powiedział do mnie ojcowskim tonem:

— Poradziła sobie. Nie widziałem, jak ucieka, ale wiem z całą pewnością, że nikogo nie znaleźli.

— Weszli do mieszkania?

— Tak, ale zdążyłem tam być przed nimi. Uprzedziłem ją. Nie wiem, co zrobiła, ale wyszli z mieszkania bez niej... Znikła!

— Jest pan pewien?

— Jak najbardziej! Mam w tym wprawę.

— To wspaniale! Dziękuję, panie komisarzu, dziękuję.

— Nie, nie, proszę dać spokój. Nie lubię szwabów. Najważniejsze, że im się nie udało. Nie wiem, jak to zrobiła. Wspaniała dziewczyna! Nie wyglądała na taką, kiedy ją zobaczyłem.

— Jest pan pewien, że poradziła sobie?

— Oczywiście. Przecież już powiedziałem. Obserwowałem wszystko ze swego biura. Kiedy od niej wyszedłem, byli już na schodach. Nie widzieli mnie. Wróciłem na komisariat i dobrze wszystko widziałem. Wystrychnęła ich na dudka.

Buckmaster był uśmiechnięty i serdeczny jak zwykle. Bez trudu dostałem się na drugą stronę kanału La Manche, eskortowany aż do lądowiska przez ludzi Cowburna i Garry'ego. Przynajmniej siatka Tinkera dobrze funkcjonowała. Przed odjazdem zjadłem kolację w Dreux u chirurga dentysty, który należał do Ruchu Oporu. Spotkałem tam Violette Laszlo, piękną i tajemniczą jak zwykle. Zapoznałem ją z sytuacją, w jakiej znalazła się teraz Noor. I ona, i Cowburn zareagowali jednakowo.

— Każda radiostacja powinna mieć ochronę — powiedział Cowburn. — Muszę jej kogoś posłać.

— Ja pojedę — odpowiedziała Violette. — Bardzo lubię Noor. Chętnie zobaczę znowu Paryż. Będziemy dobrą ekipą.

Cowburn wyraził zgodę. Nie cieszył się wcale na myśl o rozstaniu z Violette, która była najlepszym strzelcem w jego siatce. Ale uznał, że łączność jest najważniejsza. Paryż potrzebował radiostacji. Pozostawiona samej sobie, Noor niewątpliwie zostałaby schwytana. Z Violette ma szansę przetrwać dłużej. Kiedy wieczorem wsiadałem pod Dreux do lysandra, czułem się nieco spokojniejszy. Po trzech godzinach byłem w Tangmere, a nazajutrz, po paru godzinach snu,

wchodziłem do holu na Baker Street, z przygotowaną wersją wydarzeń i mocnym postanowieniem unieszkodliwienia Blainville'a.

Buckmaster przyjął mnie w obecności Bodingtona, który siedział po jego lewej stronie; wedle swego zwyczaju dłonie miał płasko ułożone na krytym skórą blacie wielkiego biurka, a głowę nieco pochyloną jak ktoś, kto chce okazać rozmówcy życzliwość. Opowiedziałem mu o wpadce siatki Prospera, obławie na jego przyjaciół, akcji na Foligny'ego, sabotażu w lokomotywowni, zamachu na ciężarówkę w alei Mac-Mahona. Buck wydawał się zadowolony. Jeden agent wyrządził dużo szkód nieprzyjacielowi. Wprawdzie Prospera aresztowano, ale Niemcy i kolaboranci ponieśli dotkliwie straty. Podsumowując, misja była owocna. Potem wyłożyłem mu w najdrobniejszych szczegółach moje rozumowanie. Słuchał z uwagą. Kiedy wyeliminowałem trzech podejrzanych, Darbois, Prospera i Vieneta, a pozostał jedynie Blainville, Buck powiedział:

— To tylko spekulacje myślowe. Nie ma pan namacalnego dowodu winy Blainville'a. Zastosował pan metodę eliminacji, ale nie może pan poprzeć swojej tezy żadnymi faktami.

— Owszem, mogę. Prosiłem go o zorganizowanie zrzutu, poza mną jedynie on o nim wiedział. Zrzut został zaplanowany. Tymczasem zgłosili się po niego Niemcy. Wszystko widziałem. Specjalnie przyjechaliśmy wcześniej, by zobaczyć, co się stanie. I zobaczyliśmy. Oznaczono dnia w południe Niemcy przysłali patrol. Na naszych oczach torturowali jakiegoś chłopca. Było to straszne. Ktoś musiał ich zawiadomić. Kto? Jedyne człowiek, który wiedział o zrzucie: Blainville.

— Mógł to być zbieg okoliczności. Wtrącił się Bodington.

— Przecież — powiedział — Niemcy wszędzie urządzają polowania na członków Ruchu Oporu, w Touraine równie dobrze jak gdzie indziej. Zatrzymali tych ludzi w dniu planowanego zrzutu. Może ostatecznie chłopak puścił farbę. Choćby trochę. Mógł im podać godzinę zrzutu. No i zostali, by przejąć broń...

— To nieprawdopodobne — oświadczyłem.

Zrozumiałem, że Buck i Bodington odgrywają rolę adwokatów diabła. Postąpiłbym tak samo. Nie mogli potępić Blainville'a na podstawie jednego oskarżenia sformułowanego na podstawie abstrakcyjnych rozważań. Blainville był dla nich zbyt użyteczny. Mieli do niego zaufanie. Mówiłem dalej:

— W każdym razie sprawa jest jasna: tamtego wieczoru widziałem Blainville'a z Niemcami.

— Dostrzegł go pan? — spytał Bodington.

— Nie dostrzegłem, widziałem go. Był tam w wieczór zrzutu. Towarzyszył gestapowcom.

— Ale jak go pan spostrzegł? Przecież działo się to w środku nocy!

Bodington nie ustępował. Na koniec przypominał prokuratora.

— Widziałem go, kiedy wszedł do domu. Nie ma mowy o pomyłce. To był on.

— Dlaczego mówi pan „nie ma mowy o pomyłce”? Niezbyt wyraźnie go pan widział?

— Wyraźnie!

— Ale jak?

— Przez lornetkę, widziałem go od tyłu, kiedy wszedł do kuchni z żołnierzami.

— Od tyłu? Nie widział pan jego twarzy?

— Nie. Był odwrócony plecami. Nie mogłem jej widzieć. Widziałem jego głowę, włosy, poznałem jego chód. To był on. Nie ulega żadnej wątpliwości.

— Ale nie widział pan jego twarzy! — krzyknął Bodington.

— Nie, a jednak wiem, że to on. Wszystko się zgadza. Zdradził nas. Buck, rozumiem, że trudno wam w to uwierzyć. Ale przez wiele dni prowadziłem śledztwo na miejscu wydarzeń. Wszystko sprawdziłem, wszystko wziąłem pod uwagę. Wniosek jest przerażający, ale prawdziwy. Blainville nas zdradził. Nie wiem dlaczego, nie wiem jak, ale nas zdradził.

— To poważna sprawa — powiedział Buckmaster dziwnie uroczystym tonem.

— Trzeba wszystko sprawdzić. Drogi Sutherland, przeprowadzimy eksperyment, który się panu nie spodoba, ale jest konieczny dla ujawnienia prawdy i dla bezpieczeństwa naszych agentów.

— Eksperyment?

— Tak. Peter — powiedział, zwracając się do Bodingtona — zaczynamy!

Bodington wstał, poszedł do drzwi, otworzył je i powiedział:

— Prosimy.

Do pokoju wszedł młody mężczyzna o atletycznej budowie, przywitał się z Buckmasterem i odwrócił się do mnie. Znałem ten niesforny kosmyk i te niebieskie oczy. Był to Blaimdille.

Upłynęła dobra minuta, nim doszedłem do siebie po tej niespodziance. Zostawiłem Blaimdille'a z Niemcami w Chau-mont. Co robi w Londynie? Czy nadal cieszy się zaufaniem SOE?... Byłem absolutnie pewny, że widziałem go w noc zrzutu. Niepojęte.

Nie wydawał się zmieszany. Pozdrowił mnie z uśmiechem.

— John, rozumiem pański punkt widzenia. Prowadził pan śledztwo, narażał się pan na wielkie niebezpieczeństwo, zorganizował pan tę sprawę ze zrzutem. Pański wniosek jest logiczny. W zasadzie jedynie ja wiedziałem. Ale myli się pan...

Nie potrafiłem już myśleć.

— Wszystko panu wyjaśnię — powiedział zaraz Buckmaster. — Kiedy przed trzema dniami przekazał nam pan wnioski ze swego śledztwa, postanowiliśmy

wezwać Blainville'a. Było to konieczne. Jest dla nas bardzo cenny. Nie mogliśmy skazać go na podstawie jednego oskarżenia. Gdyby odmówił powrotu, byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do winy. Tymczasem przybył natychmiast pierwszym nadarżającym się samolotem. Przesłuchaliśmy go. Jego historia trzyma się kupy. Dlatego musieliśmy was skonfrontować.

Zalała mnie wściekłość. Ryzykowałem życie swoje i Noor, życie wielu agentów, by wykryć, kto zdradził Prospera. A teraz moi zwierzchnicy nie wierzą mi. Ufają zdrajcy, który stoi przede mną ze swym szczerym spojrzeniem i współczującym tonem.

— Podałem wam wszystkie elementy. Jeśli mi nie wierzycie, tym gorzej dla was. Tym gorzej dla SOE.

— John — powiedział Blainville. — Pańskie rozumowanie przedstawia wiele do życzenia. Wyeliminował pan Darbois i Vieneta. Zgoda. Ale zostaje Prosper. Wszedł w układy z Niemcami. Wydał agentów, kryjówki z bronią. Skąd pan wie, czy nie zaczął tego robić wcześniej? Czy nie aresztowali go tydzień lub miesiąc temu, a potem wypuścili? Gdyby tak było, wszystko staje się jasne. Nie powinien mnie pan obwiniać.

— Nie wierzę w to — powiedziałem. — Tylko pan wiedział o zrzucie. A gdyby Prosper zdradził, zanim go aresztowano, nie byłoby mnie tutaj. Od razu by mnie złapali.

— A gdybym to ja zdradził — powiedział Blainville — też nie byłoby mnie tutaj. Dlaczego miałbym narażać życie w Londynie, jeśli pracuję dla gestapo? A gdybym zdradził, to przecież bym pana wydał. Dlaczego miałby pan pozostawać na wolności? Jest pan niebezpiecznym dla Niemców agentem. Gdybym był zdrajcą, natychmiast bym pana wydał. Punkt dla niego. Powiedziałem:

— Nie znał pan mojej kryjówki. Ukrywałem się w szesnastej dzielnicy, w mieszkaniu, którego adresu pan nie znał. A kiedy się pan o nim dowiedział, Aurory o mało nie aresztowano. Przypuszczam, że kazał mnie pan śledzić albo coś w tym guście... Potem poprosiłem pana o zorganizowanie zrzutu i zjawili się po niego Niemcy. Jedynie pan o nim wiedział.

— Nie było mnie tam owego dnia. Na moją prośbę zajęła się tym siatka Salesmana, jak już nieraz przedtem. To oni wszystko zorganizowali. Nie ja. Nie jeżdżę na wszystkie zrzuty. Jest ich za dużo.

— Ale przyjechali Niemcy, a jedynie pan o tym wiedział...

— Nie, nie tylko ja. Ludzie od Salesmana także wiedzieli. Z konieczności. Wpadli, to wszystko.

W tym momencie eksplodowałem.

— Niech pan da spokój tej komedii. Widziałem pana. Rozpoznałem pana, pana. Czy to jasne?

Blaimdlle był niepokojąco spokojny.

— Nie rozumiem, jak to możliwe. Byłem tamtego dnia w Paryżu.

— Nie! Nie jestem wariatem. Widziałem pana z żołnierzami, za domem.

— Coś się panu przywidziało. Było ciemno, stał pan daleko, był pan przekonany, że to ja, chciał mnie pan zobaczyć. Więc mnie pan zobaczył. Ale nie tylko ja jestem szatynem...

— Blaimdlle, to nie ma sensu. Nawet przed sądem będę twierdził, że pana widziałem. Był pan tam. Koniec, kropka.

— Byłem w Paryżu!

— To kłamstwo!

— Byłem w Paryżu, można to sprawdzić.

Oszupiały, wściekły, odwróciłem się do Buckmastera, który siedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. To Bodington zadał mi ostateczny cios.

— Mówi prawdę — powiedział znużonym głosem. — Sprawdziłem.

— Co takiego?

— Był w Paryżu. Jeden z naszych agentów widział go wieczorem na nabrzeżu Montebello. To wiarygodny agent. Zna pan tę skrzynkę, Sutherland, korzystał z niej pan. Kiedy wy byliście w Touraine, Blainville był w Paryżu. To fakt. Pomylił się pan, Sutherland. Nikt nie może mieć tego panu za złe. Działa pan w absolutnie dobrej wierze, a pańskie postępowanie jest wzorowe. Jesteśmy z pana zadowoleni. Zalał pan dobrze Niemcom sadła za skórę. SOE może być z pana dumna. Ale co do Blainville'a, pomylił się pan. Nadal cieszy się naszym zaufaniem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kiedy wyszedłem z siedziby SOE, było południe. Potrzebowałem bardzo dużo czasu, by ochłonać. Wałęsałem się bez celu ulicami Londynu, od Baker Street do Piccadilly, wzdłuż Oxford Street i wokół Hyde Parku. W ogóle zignorowałem alarm przeciwlotniczy, byłem po prostu zagubionym w myślach przechodniem, w mieście zmęczonym wojną. Syreny zagoniły wszystkich do schronów. Ulice były ciemne i smutne. Nawet nie raczyłem spojrzeć w niebo. Po co mnie niepokojono, kiedy miałem do przemyślenia tyle spraw? Ponościło mnie. Musiałem zrozumieć. Było to wyzwanie rzucone rozumowi. Temu logicznemu rozumowi, będącemu moim jedynym odniesieniem, moim jedynym punktem oparcia w zamęcie wojny.

Nieustannie powracałem myślami do wydarzeń ostatnich dni. Buckmaster i Bodington byli bardzo uprzejmi. Zapewniali, że mają dla mnie wiele szacunku i przy pierwszej okazji odeślą mnie w teren. Ale na razie posłali mnie na urlop, żebym mógł odpocząć po niebezpiecznej misji. A Blainville wrócił do Francji. Przez dwie godziny Bodington starał się mnie przekonać, że się mylę. Z niezwykłą dokładnością odniósł się do szczegółów mego śledztwa. Rzeczywiście, gdyby trzymać się logiki formalnej, mogłem się pomylić. Prowadziłem śledztwo metodą Sherlocka Holmesa: zbadałem wszystkie tropy, a potem kolejno je eliminowałem. Mimo że może się to wydać niemożliwe, mawiał detektyw z lupą, ostatni trop powinien być dobry. A dla mnie ostatnim tropem był Blainville.

Bodington podnosił niepewność życia w podziemiu, nieostrożność Prospera i jego ludzi, mrówczą pracę gestapo. Było dziesięć możliwych przyczyn niepowodzenia zrzutu, reakcji Niemców na sprawę Foligny'ego lub na zamach w Dreux. Gestapo pozbawiło gaullistowski Ruch Oporu kierownictwa, aresztując w Caluire Jeana Moulina i głównych przywódców „armii cienia”. Jednocześnie zniszczyło najskuteczniejszą z siatek SOE, siatkę Prospera. Miało mnóstwo informatorów, niezliczoną ilość źródeł.

Wszystko to prawda. Ale nic nie mogło mnie przekonać. To ja, mówiłem sobie, widziałem Prospera, Vieneta, Darbois, Blainville'a. To ja zorganizowałem wyjazd do Touraine, by się przekonać, czy nie doszło do zdrady. To ja rozpoznałem Blainville'a przez lornetkę. To ja drżałem o Noor, której schronienie — nasze schronienie — jakby przypadkiem zostało odkryte w parę godzin po moim spotkaniu z Blainville'em. Bodington rozumował abstrakcyjnie. Nie przeżył tej historii. Ja tak.

Wobec tego mój mózg zaczął szukać innego wytłumaczenia. Układałem najbardziej fantastyczne scenariusze. „Blahwille jest zdrajcą”, powiedziałem, przechodząc przez Strand, nie bacząc na „Bobby'ego”, który na mnie gwizdał.

Zatem, ciągnąłem, Bodington został przez niego wystrychnięty na dudka. Jest pod jego urokiem, nie widzi tego, co oczywiste. Ale dlaczego? Dlaczego jeden z najwyższych zwierzchników mojej organizacji, obeznanej ze wszystkimi chwytami poniżej pasa, został tak oszukany? Chyba że nie został oszukany. Chyba że...

Zatrzymałem się w pubie, by uporządkować myśli. Zaczynałem mówić od rzeczy. Interesowało mnie tylko jedno: los Noor. Czyhają na nią wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa. Jeśli Blainville rzeczywiście jest zdrajcą, jest zgubiona. Wie o łączących nas stosunkach. Nie ustanie, póki nie doprowadzi do jej aresztowania. Ona wie to samo co ja. Jest groźnym oskarżycielem. Jeśli Blainville nie pozbędzie się jej, nie będzie mógł nadal prowadzić swojej gry. Noor znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Muszę zrobić wszystko, by ją ratować. Muszę jej bronić. Za wszelką cenę.

Ale jeśli miałem ocalić Noor, musiałem najpierw rozwikłać mnóstwo hipotez. Powróciłem do punktu wyjścia. Jej życie zależało od sprawności mego rozumu. Moje także. Byłem tego pewny: jeśli moje wnioskowanie okaże się fałszywe, a moja logika błędna, jeśli budowane przeze mnie sylogizmy zawiodą, Noor umrze. Musiałem się dowiedzieć, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Wszystko poplątało mi się w głowie. Widziałem przed sobą przepaść. Myślałem, że walczę o rzecz najczystsza, o wolność, że walczę przeciwko tyranii. A tymczasem wszystko się zmaciło. W głębi tej przepaści dostrzegałem ciemny i nowy dla mnie świat. Świat, w którym bohaterowie są wątpliwi, a ideały mgliste. Świat, w którym dobro miesza się ze złem. Świat, w którym ludzie szukają zbawienia bez bogów, bez punktów orientacyjnych, bez reguł. Noor żartowała sobie z mego logicznego umysłu. Jak bardzo miała rację! Konfrontacja z dwoma najwyższymi zwierzchnikami, cieszącymi się moim największym zaufaniem, wstrząsnęła mną. Przychodząc do nich, byłem pewny siebie, jak dziecko przychodzące do ojca. A oni nie uwierzyli mi. Mój świat runął.

Nagle przez głowę przemknęła mi czyjaś twarz.

Philby! Mój przyjaciel z Cambridge jest szpiegiem. Prawdziwym. Znajdzie właściwą nić w tym labiryncie intryg i gmatwaninie kombinacji. Dlaczego Buckmaster i Bodington wierzą Blainville'owi, gdy ja jestem przekonany, że zdradził? Czy za tym wszystkim kryje się jakaś tajemnica? Czy to naiwność, czy makiawelizm? Philby potrafi na to odpowiedzieć. Siedząc przed szklaneczką whisky na King's Road, rozważałem, jak zareaguje. Nie może mówić, nie może mi dostarczyć nadrobniejszej informacji. Ale będzie mógł zarysować mi jakieś szersze tło, powiększyć krąg, uogólnić, wyjaśnić parę spraw związanych z tą wojną, która stawała się dla mnie coraz mniej zrozumiała. Jak mówią dziennikarze, Philby poda

mi beground wszystkich tych niepotrzebnych i odległych danych, które lekceważą marni reporterzy, a bez których niczego nie można zrozumieć.

Dwie godziny później siedzieliśmy w indyjskich fotelach zrobionych z ciemnego drewna i miękkich poduszek. Z każdej strony pokoju, niczym w kolonialnej scenerii, po obu stronach naszych siedzeń połyskiwały wielkie kły słoniowe. Na ścianach salonu wisiały pożółkłe fotografie. Widać było na nich oficerów na koniach pod tropikalnym słońcem i wystraszonych tubylców, wpatrujących się w obiektyw. Od czasu do czasu głowę wsuwał stary służący, by spytać, czy nie chcemy się napić xeresu.

W czasie mego pobytu we Francji Philby'ego przeniesiono z Beaulieu do Londynu. Intelligence Service poleciła mu zorganizować inwigilację tajnych służb Związku Radzieckiego. Szef MI6, Stewart Menzies, „C”, jak mówiono w owych czasach, lojalnie współpracował z naszymi rosyjskimi sprzymierzeńcami. Ale tak jak Churchill, jego mistrz w antykomunizmie, wiedział, że wcześniej czy później ZSRR zwróci się przeciwko nam. Należało przygotować się na tę ewentualność. Trzeba było wiedzieć, co knują szpiedzy Stalina. Ironia losu sprawiła, że Menzies wybrał do tej misji Philby'ego. Ponieważ w lipcu 1943 roku nikt nie miał pojęcia, ode mnie poczynając, że mój kolega z Cambridge pracuje dla komunistów.

Kiedy zadzwoniłem do Philby'ego, rozmawiał ze mną bardzo przyjaźnie. Natychmiast zrozumiał, że chodzi o coś poważnego, i zaproponował spotkanie w swoim klubie.

— Kiedy mój ojciec jest w Londynie, przychodzi tu codziennie — powiedział mi gwoli wyjaśnienia.

— Co robi twój ojciec, Kim?

— Też jest szpiegiem — powiedział Philby ze śmiechem. — Jesteśmy rodziną szpiegów!

Opowiedział mi historię Saint-Johna Philby'ego, dżentelmena z Cambridge, zafascynowanego egzotycznymi krajami. Znał Lawrence'a, tego samego, którego publiczność nazywała Lawrence'em z Arabii, i podobnie jak on działał w świecie arabskim. Przyjaźnił się z rodziną Saudów i lubował się w naftowych i religijnych intrygach w Arabii. Poczucie obowiązku posunął tak daleko, że kupił dom w Mekce i poślubił wyzwoloną przez siebie niewolnicę. Mój przyjaciel Kim, dziecko z pierwszego małżeństwa ojca, miał czworo przyrodniego rodzeństwa urodzonego w Arabii z byłej niewolnicy.

— Twój ojciec jest tam teraz?

— Tak. Pomaga Saudom. Ojciec i ja różnimy się poglądami. Przed wojną skłaniał się ku Osi. Lubi reżymy autorytarne. Teraz broni naszych interesów na Bliskim Wschodzie. My i Amerykanie jesteśmy bardzo zainteresowani

utrzymaniem wahabitów przy władzy. To ohydni feudałowie, ale od czasów Lawrence'a są naszymi przyjaciółmi. To dyktatura religijna, ale tanio sprzedają nam naftę. Oni mają świętą ziemię, a my to, co pod ziemią. Dlatego Allach jest wielki!

Uśmiechnąłem się i milczałem chwilę.

— Kim — rzekłem. — Jestem zupełnie zdezorientowany. Czegoś nie mogę pojąć. A muszę. Od tego zależy życie pewnej kobiety, na której bardzo mi zależy... Czy możesz mi pomóc?

Powiedziałem to z taką powagą, że zaczął uważnie słuchać. Odpowiedział mi tym samym tonem.

— Mogę dla ciebie zrobić wszystko. Jeśli nie uchybi to moim obowiązkom oficera. Zgodzisz się z tym...

— Nie chodzi o żadną tajemnicę. Chciałbym cię prosić o bardzo ogólne wyjaśnienia. Potrzebuję twojej rady.

— OK. Mów.

Utkwiwszy we mnie swe czarne oczy, Philby wysłuchał mnie bez słowa, trzymając w złączonych rękach podbródek. Od czasu do czasu, nie spuszczać ze mnie wzroku, upijał łyk xeresu.

Opowiedziałem mu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, niczego nie pomijając. Co jakiś czas potakująco kiwał głową. Albo unosił brwi, jednak ani razu mi nie przerwał. Na koniec powiedział tylko:

— Jesteś pewien, że rozpoznałeś Blainville'a w wieczór, gdy miał się odbyć zrzut?

— Tak, jestem o tym święcie przekonany. Ale widziałem go od tyłu.

— Ale jesteś pewien, że to on?

— Tak.

— A kiedy rozmawiałeś o tym z Buckmasterem i Bodingtonem, który z nich zbijał twoje zarzuty?

— Hmm... Bodington. Tak, Bodington. Buck był kimś w rodzaju arbitra. Bodington mówił, że nie mam racji. To on starał się mnie przekonać, że się mylę.

— I Bodington wprowadził Blainville'a?

— Tak. On.

— Można stąd wnosić, że to on go wezwał do Londynu.

— Z pewnością...

Philby umilkł. Odniosłem wrażenie, że się waha. Podjąłem:

— Kim, czy coś wiesz? Coś, co rzuci światło na tę sprawę? Zanim mi odpowiedział, przez chwilę milczał. Potem zaczął mówić, jakby się zdecydował.

— John, nic nie wiem. Działamy w absolutnie różnych obszarach. Ja zajmuję się bolszewikami, nie nazistami. Nie mam najmniejszego pojęcia, co robimy we Francji. Jednak ta historia wydaje mi się jasna.

— Jasna?

— Powiem ci swoje zdanie na temat sprawy, o którą mnie pytasz. Nie podam ci żadnej informacji, bo jej nie mam. Dowiesz się pewnej państwowej tajemnicy. W istocie już ją znasz, ale nie w pełni ją sobie uświadamiasz... Rozmawiając z tobą, nie uchybiam swoim obowiązkom. Pamiętaj, że ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Nie istnieje. Nie istniała.

— Nie rozumiem nic z tego, co mi powiedziałaś. Ale oczywiście tej rozmowy nie ma.

— Byłeś dziennikarzem tak jak ja. Przysięgasz?

— Przysięgam. Ale co jest według ciebie jasne?

Zastanowił się chwilę, potem pochylił się do przodu z życzliwym uśmiechem, jakby chciał wytłumaczyć coś, co jest dla mnie zbyt skomplikowane.

— Blainville jest bardzo pożyteczny dla naszej organizacji we Francji, prawda?

— Hmm... tak... Tyle że zdradził. Tak sędzę.

— Tak, zdradził. Ale jednocześnie jest pożyteczny...

— Jak to? W jaki sposób zdrajca jest pożyteczny? Pomaga naszym ludziom, a potem ich wydaje. Pięknie mi pożyteczny.

— Tak, robi obie te rzeczy. A jego zwierzchnicy kryją go.

— Kryją go?

— Chronią. Byłeś tego świadkiem.

— Mylą się. Nie przyjmują do wiadomości, że jest zdrajcą. Blainville kłamie jak z nut...

— Nie rozumiesz, co chcę powiedzieć. Moim zdaniem to proste: Blainville jest podwójnym agentem.

— Podwójnym agentem? Pracuje na obie strony? Zatem jest zdrajcą. Podwójnym zdrajcą.

— Nie, podwójnym agentem. To znaczy agentem podwójnie użytecznym. W istocie pracuje dla nas.

— Jak to dla nas? Wydał gestapo całą tamtą rodzinę i o mało nie doprowadził do przechwycenia dziesiątków ton uzbrojenia. Oto, co wiem.

— To należy do jego pracy dla nas.

— Jak to?

— To jego rola. Jest podwójnym agentem.

— Chcesz powiedzieć, że działa za zgodą naszych służb?

— Tak właśnie sędzę. Przekonał gestapo, że pracuje dla Niemców. W rzeczywistości nadal pracuje dla nas.

— To jakaś powieść.

— Tak, tyle że inteligentniejsza. Widzę, że nie znasz naszych tradycji.

— Jakich tradycji?

— Tradycji Intelligence Service. A przecież powinieneś je znać. Mamy najlepsze na świecie tajne służby. Britannia rules the sea *... Ale od dwóch stuleci do budowy naszego imperium wykorzystywaliśmy nie tylko okręty i marynarzy.

* **Wielka Brytania jest panią mórz.**

Wyszkoliliśmy najlepszych agentów. Imperializm brytyjski panuje nad światem, a przecież jesteśmy tylko wyspą średniej wielkości, mającą mniej ludności niż wiele krajów. To nie przypadek. To sprawa inteligencji we wszystkich tego słowa znaczeniach!

— Wiem o tym. Ale... ale po co jest nam potrzebny we Francji ten podwójny agent?

Philby mówił coraz bardziej profesorskim tonem.

— Mój drogi, zadaniem tajnych służb jest poznanie zamiarów wroga, jego mocnych i słabych stron. To pierwszy stopień, sztuka elementarna, a już trudna. Ale szpiegowanie ma wyższy rejestr. Domenę najwyższą, domenę dla wtajemniczonych, Olimp tajnych agentów, Graal szpiegostwa. Trywialnie można by go nazwać „manipulacją”. Ale to słowo jest nieco za słabe dla tego, do czego się odnosi. W rzeczywistości oddziałujemy wprost na mózg Hitlera.

— Wprost...

Pomyślałem, że Philby utracił kontakt z rzeczywistością. Jest tak dumny z przynależności do owej olbrzymiej instytucji tajnych służb, że przypisuje jej nadprzyrodzone możliwości... Mnie, żołnierzowi, lewicowemu dziennikarzowi Intelligence Service zawsze wydawała się kwintesencją reakcyjnej instytucji, gdzie najbardziej zwariowane umysły establishmentu bawią się w układanie bizantyjskich intryg, w których same się gubią, popijając xeres w swych klubach i żartując z prostackich syndykalistów i niekompetentnych polityków. W chwilach wolnych od spiskowania przeciwko demokracji i ruchowi robotniczemu...

Philby zauważył moją konsternację.

— Widzę, że bierzesz mnie za megalomana.

— Ależ skąd...

— Nie przecz. Pokażę ci to na jakimś przykładzie. Weźmy Blainville'a. Nie znam przebiegu jego kariery zawodowej. Ale wyobrażam sobie, że ten facet jest w porządku. Pracuje we Francji od dwóch lat, prawda?

— Tak mi się zdaje. Jest bardzo skuteczny...

— Moim zdaniem uchwalał się, bo ma zabezpieczenie.

— Zabezpieczenie?

— Albo został zatrzymany przez Niemców i zaproponował, że będzie pracował dla nich. Potem powiedział to swoim przełożonym. Albo poszedł do gestapo na rozkaz swoich przełożonych, by wejść w rolę podwójnego agenta. Kiedy się słucha twojej opowieści, widać jak na dłoni, że udało mu się zdobyć zaufanie nazistów, nie tracąc zaufania Anglików. I że pracuje dla Anglików. W przeciwnym razie Bodington by go nie bronił.

— To tylko hipoteza...

— Jasne. Ale wyobraźmy sobie, że mam rację. Niemcy są przeświadczeni, że mają doskonałego informatora. Dowód: dzięki Blainville'owi mogą aresztować agentów, przejmować zrzuty, czytać pocztę itd. Ale wszystko to dzieje się za wiedzą jego szefów. To Intelligence Service steruje Blainville'em w jego stosunkach z Niemcami.

— To ohydne! Poświęcają naszych agentów, żeby uwiarygodnić Blainville'a?

— Poświęcają ich bardzo niewiele.

— Ależ to potworne, jakkolwiek by to sobie tłumaczyć. Wysyłają ludzi na tortury i śmierć, by wsadzić swego szpiega do gestapo.

— Albo kobiety... Zobaczyłem twarz Noor.

— Albo kobiety! To barbarzyńskie metody!

— Metody stosowane na wojnie... Powtarzam jeszcze raz, moim zdaniem poświęcają przede wszystkim uzbrojenie i informacje. Muszą rzucić na pożarcie niektórych agentów, którzy według nich i tak są spaleni. We wszystkich siatkach są straty. Blainville ma w tym może swój mały udział. Ale musi ograniczać informacje do elementów materialnych. Musi mówić Niemcom: uwaga! Jeśli Anglicy zorientują się, że zdradzam, nie będę wam już do niczego służył! Nie żądajcie ode mnie zbyt wiele... Układa się jakoś z własnym sumieniem. Liczy się to, że Niemcy mu wierzą. Jeśli uznają, że pozyskali go dla swej sprawy, po roku czy dwóch Blainville staje się morderczą bronią.

— Jak to?

— To proste. Wyobraźmy sobie, że Blainville powie im: dowiedziałem się, że przewidywane lądowanie we Włoszech będzie miało miejsce na południe od Rzymu albo na Sycylii. Niemcy uwierzą, bo mu ufają. Myślą, że jesteśmy ludźmi cywilizowanymi. Myślą, że są pewne rzeczy, które oni zrobiliby, które robią, a których my nie ośmielilibyśmy się zrobić. Na przykład wydać kobietę w ręce oprawców, by wzmocnić wiarygodność podwójnego agenta. Zawsze uważali demokratów za mięczaków, skrupulantów i słabeuszy. Myślą, że Blainville mówi im prawdę, ponieważ dzięki niemu aresztowali agenta, którego torturowali i zmusili

do mówienia, i ponieważ nie pojmują, że Blainville mógł działać na rozkaz. I oto Blainville informuje ich o miejscu lądowania we Włoszech! W ten rejon przerzucają zatem swoje dywizje. A Patton ląduje gdzie indziej ! Wykonalibyśmy tę operację, oszczędzając życie naszych żołnierzy. Dziesięciu agentów, których poświęciłibyśmy z jednej strony, pozwoliliby nam uratować życie tysięcy żołnierzy piechoty z drugiej. Od strony ludzkiej to bardzo opłacalne. Jeśli ktoś zajmuje się brudną robotą, oczywiście. Oto do czego służy Blainville i faceci jego pokroju.

— Dlaczego „faceci jego pokroju”?

— Dlatego, że jeden Blainville nie wystarczy. Nie wiesz, że wujek Adolf uwielbia tajne służby? Jak wszyscy dyktatorzy. Jak wszyscy ludzie władzy. Winston jest w tym bardzo biegły. Zaczynał działalność podczas wojny burskiej. Jako minister marynarki potroił fundusze służb wywiadowczych w Navy. Nasz przyjaciel Boney *, który o mało nas nie pokonał, czytał przecież każdego ranka raporty swoich szpiegów.

* **Bonaparte.**

Od nich zaczynali Przed wszystkimi innymi, przed raportami ministrów, przed depeszami ambasadorów, przed gazetami, cesarz Francuzów pożerał raporty szpiegów. Często sam im płacił. Wprowadzano ich ukrytymi drzwiami do Tuileries. Zwyciężył pod Ulm i pod Friedland jedynie dzięki tego typu informacjom, a został pokonany pod Waterloo, ponieważ był źle poinformowany. Jego szpiegowie wyszli z sprawy: i stracił cesarstwo!

Historia była konikiem Philby'ego. Już w Cambridge zanudzał nas swymi historycznymi dywagacjami.

— Mówiłeś o Hitlerze...

— Hitler jest jak Napoleon. Każdy dzień zaczyna od zapoznania się z raportami gestapo i Abwehry. Rudolf Hess opowiedział nam te szczegóły, kiedy uciekł do Anglii.

Philby ciągnął, wyraźnie podekscytowany tematem:

— Hitler wykorzystuje je do tworzenia swej strategii, ale również do przygotowywania odpraw ze swymi generałami. Zawsze wie więcej od nich, co podnosi jego autorytet. Jeśli więc Blainville poda gestapo informację wielkiego kalibru, dobrze przez nas spreparowaną, w przeciągu dwudziestu czterech godzin trafia ona do samego Fiihrera. Właśnie dlatego powiedziałem, że działamy na mózg Hitlera. To nie przenośnia. To prawda.

— Hitler w to wierzy?

Znowu odezwał się mój wrodzony sceptycyzm wobec tajnych służb.

— Tak, kiedy źródła są zbieżne, kiedy wszystko się zgadza. Do tego potrzeba wielu Blainville'ów. A nawet wielu różnych wybiegów.

— Wielu różnych wybiegów?

— Trzeba mieć możliwie największą kontrolę nad wszystkimi źródłami informacji, jakie docierają do Hitlera. Zakłada to jednolitą strategię w skali światowej. Posłużyłem się przykładem lądowania we Włoszech. Podobnie jak wielu ludzi, w tym Hitler, obydwaj wiemy, że wylądujemy we Francji.

— Niebawem, jak się zdaje.

— Skąd to wiesz?

— Od Buckmastera i Bodingtona. Cała SOE o tym wie. Dlatego nasilamy kampanię sabotażową.

— Wobec tego sojusznicy nie są jeszcze gotowi.

— Jak to?

— Gdyby byli gotowi do lądowania, nie powiadomiliby o tym SOE. Wielu agentów wpada. Sojusznicy podają te informacje, by z niektórych z was Niemcy wyciągnęli je za pomocą tortur. Wtedy uwierzą, że lądowanie nastąpi wkrótce. Będą utrzymywali we Francji więcej dywizji ze szkodą dla swej sytuacji w Rosji. Stalin nie przestaje nalegać, by przyspieszono lądowanie. Ponieważ nie możemy wylądować natychmiast, udajemy, że możemy. To dezorganizuje Niemców, a Stalin cierpliwie czeka.

— Umyślnie nas okłamują?

— Oczywiście. Wszyscy jesteście potencjalnymi Blainville'ami. Człowiek, który sypie pod wpływem tortur, jest dla Niemców dość wiarygodny, ponieważ podaje informacje, które uważa za prawdziwe...

Byłem przerażony. Philby ciągnął:

— Jest też inna taktyka. Zamiast uwiarygodniać jednego agenta takiego jak Blainville, umieszczamy agenta na poły wiarygodnego. Na przykład w jakimś neutralnym kraju wybieramy tubylca pracującego w ambasadzie brytyjskiej, Turka, Marokańczyka czy Hiszpana. Przekazuje on parę drugorzędnych tajemnic Niemcom, którzy mają tam konsulat. Płacą mu za to. Ponieważ jednak potrzebuje pieniędzy, niektóre szczegóły zmyśla. Niemcy to spostrzegają. Chcą się go pozbyć, a wtedy facet podaje im jeszcze jedną informację drugorzędną, lecz prawdziwą i dla nich użyteczną. Wobec tego nie zrywają z nim, ale nie mają do niego zaufania. Po pewnym czasie spostrzegają, że facetowi można wierzyć, jeśli chodzi o informacje drugorzędne, natomiast zmyśla informacje ważne. Nadal mu płacą, ale selekcjonują informacje. Oczywiście my kontrolujemy każdy etap jego działalności. A potem pewnego dnia facet podaje Niemcom niezwykle doniosłą wiadomość. Na przykład: „Tego a tego dnia, o tej i o tej godzinie Rosjanie przypuszczą zmasowany atak na północy Ukrainy”. Albo: „Tego a tego dnia, o tej i o tej godzinie Amerykanie wylądują we Francji”. Tym razem wiadomość jest prawdziwa.

— Ależ... to niebezpieczne!

— Nie, to genialne. Podajemy Niemcom wiadomość prawdziwą. Wyjawiamy im tajemnicę wojskową, i to w pełnym brzmieniu. Ale właśnie tę informację odrzuca. Powiedzą sobie; „Jeśli podał ją nam ten agent, to znaczy jest nieprawdziwa. Wobec tego atak nastąpi gdzie indziej i kiedy indziej”. I wycofają swe dywizje z owego rejonu. A atak rzeczywiście następuje w zapowiedzianym czasie i miejscu. Zawiadamiamy ich o tym, a oni robią odwrotność tego, co powinni. Działamy bezpośrednio na ich mózgi.

— Ale potem agent jest spalony.

— To bez znaczenia. Tymczasem atak się udał. Po prostu trzeba unikać marnowania agentów. Trzeba trzymać ich w rezerwie na decydujący dzień. Potem maski spadają. Ale jest za późno. Wróg został wywiedziony w pole i pokonany. Później pali się archiwa.

— Pali się archiwa?

— Przecież nie można pozwolić, by historycy i dziennikarze dotarli do tego rodzaju spraw!

— A więc trzymają Blainville'a w rezerwie... A na razie uwiarygodniają go.

— Sądzę, że tak. I zaczynają grę w radiostacje... Zadrzałem. Radiostacja... Oczyma wyobraźni znów zobaczyłem twarz Noor.

— Dlaczego? Czy radiostacje są również wplątane w te operacje?

— Oczywiście. Radiostacja jest środkiem natychmiastowego przekazu. Kiedy radiostacja została „odwrócona”, można się nią posługiwać dowolnego dnia o dowolnej godzinie. Dociera do Hitlera natychmiast.

— Radiostacja „odwrócona”. To znaczy?

— Niemcy mają specjalną służbę do zwalczania radiostacji.

— Wiem. Ciężarówka z goniometrami itd.

— Kiedy złapią radiotelegrafistę, starają się „odwrócić” radiostację przeciwko nam. Chcą nadawać sami tak, żebyśmy myśleli, że radiotelegrafista nadal pracuje. W ten sposób mogą nas wprowadzać w błąd.

Podskoczyłem przy tej konkluzji, która była oczywista.

— Ale jeżeli wiemy, że radiostacja została „odwrócona”, to my ich wprowadzamy w błąd. Zgadzamy się na ich prośby o zrzuty. Dostarczamy im broń. Dostarczamy im prawdziwe informacje, dobrze przesiane, aż do chwili, gdy musimy im podać decydującą fałszywą wiadomość.

— Zaczynasz pojmować nasze sposoby rozumowania.

— A co się dzieje z radiotelegrafistą?

— Radiotelegrafista o niczym nie wie. Jest narzędziem w naszym ręku. Jeśli zbyt chętnie godzi się na współpracę, Niemcy mogą mu nie ufać. Nie są głupszy od nas.

Przed wojną przekonali Stalina, że połowa jego generałów to zdrajcy. Tymi samymi metodami...

— Udało im się?

— Tak. Stalin kazał zlikwidować wszystkich podejrzanych, którzy byli niewinni. Wielu to bohaterowie wojny domowej. Pozbawił Armię Czerwoną dowódców na podstawie bajeczki zmontowanej przez nazistów.

— Jeśli do tych gier używa się radiotelegrafistów, może to dotyczyć także Noor!

— Całkiem prawdopodobne. Nic o tym nie wiem. Ale to bardzo możliwe.

— W takim razie jest stracona. Blainville złapie ją. Niemal mu się już udało.

— Trudno mi to osądzić. Zważywszy to, co mi powiedziałeś, nie jestem optymistą... Jeśli dobrze rozumiem, jesteś bardzo zakochany?

— Tak. Można tak powiedzieć. To kobieta...

— To kobieta, którą kochasz.

Anglicy nie mają talentu do wyrażania uczuć. Kim dobrze podsumował sytuację.

— A teraz — powiedziałem — na pewno umrze. Na rozkaz moich przełożonych. Jak Buckmaster może kierować sekcją F, wiedząc, że poświęca swoich agentów?

— Myślę, że o tym nie wie.

— Nie wie? Wobec tego jak to jest zorganizowane?

— W ścisłej tajemnicy, z zastosowaniem wszystkich zwyczajowych środków ostrożności. To rzadkie przypadki, bo rzecz wymaga wielkiej zręczności. SOE nie mogłaby kierować armią agentów, a jednocześnie ich poświęcać. To nieludzkie. Działa tu Intelligence Service. Wyszukujemy agentów, którzy się do tego nadają, i dyskretnie nimi manipulujemy. Moim zdaniem Blainville jest bezpośrednio związany i z naszymi służbami, i z SOE.

— Ale dlaczego SOE go kryje?

— Gubbins, Buckmaster i inni nie kryją go. Pamiętasz, że pytałem cię o Bodingtona.

— Tak. To on krył Blainville'a.

— Czy wiesz, jakie są funkcje Bodingtona?

— Tak... Nie... Mniej więcej. Jest numerem dwa...

— Jest numerem dwa i z tego tytułu odpowiada za stosunki SOE... z Intelligence Service!

— Naprawdę?

— Tak. To przyjaciel naszych służb.

— I Noor umrze...

— Chyba że ocalisz jej życie.

Patrzyłem na Philby'ego. Zaczynałem sądzić, że za dużo mówi. Jego uwaga o konieczności zachowania dyskrecji poszła w ką. Przez swe logiczne rozumowanie

wydał mi ważną tajemnicę. A teraz sugerował, bym działał sam, poza kontrolą moich zwierzchników. Spojrzałem na niego i podjąłem:

— Ocalić ją? Przecież nie mam z nią kontaktu. Nie mogę się z nią połączyć przez radiostację Aurora i kazać jej natychmiast wracać. Jestem na urlopie. Buck kontroluje połączenia. Powinienem wrócić do Francji... tak by Bodington i Blainville o tym nie wiedzieli...

— Czy można to jakoś załatwić?

— Niewykluczone.

— Powiedz mi, Kim, dlaczego mi to wszystko mówisz? Jesteśmy przyjaciółmi. Ale posuwasz się bardzo daleko. Nie chcę stawiać cię w kłopotliwej sytuacji. Oddałeś mi ogromną przysługę. To oznaka najwyższego zaufania. Nie wydam cię. Ale dlaczego?

Philby uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Wypytywałem cię o tę małą Noor. I na początku powiedziałaś mi, że teraz z kimś pracuje.

— Tak, z Violetta Laszlo.

Kiedy wypowiadałem to nazwisko, zrozumiałem motywy działania Kima. Przypomniałem sobie pewną scenę z Beaulieu. Oczywiście! Kim i Violetta byli ze sobą bardzo blisko. Powtórzyłem z uśmiechem:

— Violetta Laszlo... Wspaniała kobieta, prawda?

— No cóż, drogi Johnie, widzisz, że nie tylko tobie na kimś zależy! Wiem, że Violetta nie jest mi zbyt wierna. Ale taki już ma styl. Kocham ją taką, jaka jest. Tym bardziej korzysta z życia, że codziennie nim ryzykuje. Rozumiem ją. W gruncie rzeczy jest podwójną agentką miłości... I podwójnie ją kocham! Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że wcześniej mnie o to zapytasz. Jeszcze nie jesteś zawodowcem. Oczywiście nie powinienem opowiedzieć ci jednej dziesiątej tego, co ode mnie usłyszałeś. Gdyby dotarło to do moich przełożonych, jutro stanąłbym przed plutonem egzekucyjnym. Podjąłem to ryzyko. Bardzo lubię moją uczennicę Noor. I kocham Violette. Jesteśmy sojusznikami. Musimy wygrać naszą małą wojnę podczas wielkiej. Jest sposób, by pojechać do Francji tak, by nie wiedzieli o twym wyjeździe. Mogę pomóc Noor, Violette i tobie...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Peter wracał wściekły. Biegł po schodach siedziby gestapo przy alei Focha, przeskakując po cztery stopnie naraz, by zdać raport z przeprowadzonej operacji. Ernst Goetz czekał na niego w swoim małym gabinecie na czwartym piętrze, ozdobionym bawarskimi sztychami i zegarem z zabawną kukułką, która donośnym głosem oznajmiała godziny. Pewnie miał taki sam zegar przed wojną, w klasie, gdzie uczył francuskiego chłopców z Monachium. Na widocznym miejscu powiesił portret Fouchego. Goetz pasjonował się historią Francji, a jego ulubionym bohaterem był minister policji Napoleona. Może dlatego postarał się o przydział do Francji, i to właśnie do policji. I może dlatego on, który nigdy nie ruszał się ze swego gabinetu, został jednym z najskuteczniejszych agentów paryskiego gestapo. To on zwerbował Pierre'a de Gensac, młodego członka Ruchu Oporu, który zaczął sypać, zanim jeszcze został wzięty na tortury i natychmiast zgodził się przejść na stronę Niemców. Od tej pory Pierre śledził agentów SOE. Czytał tylko kolaboracyjne gazety i studiował klasyków socjalizmu narodowego. Nawet swoje imię zgermanizował.

— No i co, Peter?

— Uciekli nam. Widziałem, jak mężczyzna odjechał samochodem. Ale byłem sam i nie mogłem nic zrobić. Myślałem, że złapiemy dziewczynę. Wrócili oboje do domu. Jestem pewien, że tam była. Kiedy przyszła reszta, weszliśmy na górę i wyważyliśmy drzwi. Dziewczyna znikła. To niepojęte. Nikogo nie znaleźliśmy. Wyszła. Co gorsza, z radiostacją...

— Już panu mówiłem, że na osobę, którą chcemy aresztować, najlepiej czekać w środku. Najpierw trzeba wyśledzić, gdzie mieszka, wytrychem otworzyć zamek, wejść i czekać wewnątrz, zostawiwszy kogoś na schodach. Kiedy się zadzwoni do frontowych drzwi, delikwent może uciec kuchennymi schodami. Zawsze przygotowują sobie drogę ucieczki. No dobrze. Trudno. Złapiemy ją następnym razem. Nie będzie mogła długo się ukrywać. W każdym razie informacje Blainville'a były prawdziwe.

— Tak. Wszystko się zgadzało. To dobry agent. Trochę fantasta. Ale jest dobry.

Peter poprawił kant czarnych spodni. Nosił się z elegancją, która bawiła Goetza. Tak jak Petera śmieszyła jego zabawna kukułka.

— Mamy prawie całą siatkę. Umowa z Prosperem była doskonałym pociągnięciem.

— Tak, ale teraz nabrał wody w usta. W przyszłym tygodniu wyślemy go do Niemiec.

— Oczywiście! Boemelburg nie dotrzymał żadnego z układów, jakie z nim zawarł. Nie ma sensu wszystkich oszukiwać, żeby wyglądać na dobrego nazistę. Boemelburg nigdy tego nie pojmie. Myśli, że jeśli się jest bardziej podstępny i okrutny od innych, zawsze się wygrywa. To zła metoda. Wygrywa ten, kto jest inteligentniejszy. To wszystko. Naziści zawsze kłamią.

— Pan nie jest nazistą, panie Goetz?

— Jestem. To znaczy jestem dla mego kraju. Dla Reichu. Po prostu uważam, że Boemelburgowi czasami brak subtelnosci. A propos, czy zna pan ostatni dowcip o Goebbelsie?

— Nie. Co się opowiada o ministrze propagandy?

Peter bardzo lubił ryzykowne wypowiedzi Goetza. Inteligencja nauczyciela francuskiego była usprawiedliwieniem jego zdrady. Stał nie tylko po stronie silniejszego, inteligentniejszego również.

— Hitler i Goebbels nie żyją. Zjawiają się u świętego Piotra, a ten im mówi: „Mamy tu raj, czyściec i piekło. Ale ponieważ jesteście wielkimi ludźmi, wielkimi Niemcami, postanowiłem zostawić wam wybór: dokąd chcecie pójść? „Do raju!”, mówi Goebbels. Ale Hitler jest nieufny i mówi: „Pokaż nam te miejsca, a my zdecydujemy się potem”. Święty Piotr prowadzi ich do raju. Słyszą muzykę Wagnera, widzą małą chmurkę, a na niej ludzi odzianych w białe szaty, którzy siedzą w fotelach i czytają Kanta i Hegla. „Bardzo pięknie”, mówi Hitler, „a jak wygląda czyściec?”. W czyścicu spotykają Churchilla i Roosevelta, którzy pracują w polu pod rozżarzoną słońcem. „Dobrze, dobrze”, mówi Hitler, „a jak wygląda piekło?”. W piekle ściany są obite aksamitem, na podłodze leżą puszyste dywany, a ludzie siedzą w skórzanych fotelach przed kominkiem i piją sznapsa. Dokoła nich kręcą się nagie tancerki i wykonują wyuzdane ruchy. „No cóż”, mówi Hitler, „w piekle jest o wiele lepiej! Zawsze tak myślałem”. „Tak, mein Fuhrer”, mówi Goebbels, „i miał pan rację. Obiecaliśmy ludziom raj. Ale prowadzimy ich do piekła”.

Goetz zaczął chichotać, zanim jeszcze skończył opowiadać swój dowcip. Ciągnął:

— „Tak”, mówi Hitler. „Dokładnie taka jest moja polityka. Chodźmy tutaj!”. Wchodzą. Dywany znikają, ogień bucha wielkim płomieniem, nagie tancerki zmieniają się w diabły. Zakuwają ich w łańcuchy i kłują widłami. „Nie rozumiem”, mówi Hitler, „trzeba wezwać świętego Piotra. Przecież pokazywał nam coś całkiem innego”. „Rzeczywiście”, mówi Goebbels. „Święty Piotrze! Święty Piotrze!”. Wtedy słyszą grobowy głos Pana Boga: „Propaganda! Propaganda!”.

Goetz śmiał się do rozpuku ze swego dowcipu.

W tym momencie rozległ się głos, również nieco grobowy.

— Goetz! Pańskie anegdotki są zabawne. Ale już mówiłem, że kiedy je pan opowiada, ma pan zamykać drzwi. Nie chcę, żeby żołnierze i sekretarki słuchali pańskich kawałów.

— Ależ sami opowiadają gorsze rzeczy, Sturmbannführer! Do gabinetu wszedł Kieffer, wciśnięty w za mały dla niego mundur SS. Był to tęgi, gruboskórny oficer o siwiejących skroniach. Mieszkał na piątym piętrze w umeblowanym bez gustu apartamencie — na podłodze leżał gruby wełniany dywan w kolorze fioletowym — usytuowanym dokładnie nad celami więźniów. W jednej z nich kazał zamknąć Jeana Moulina. Właśnie tam Pierre Brossolette, inny wysłannik generała de Gaulle'a, wydostał się na dach i wyskoczył na ulicę, bo chciał być pewny, że nic nie powie. Przesłuchania odbywały się w nocy. Kieffer musiał rozkazać, by przestano torturować członków Ruchu Oporu w dzień: sekretarki skarżyły się, że nie mogą pracować, słysząc ich krzyki. Jako dobry biurokrata Kieffer ustąpił, by zagwarantować dobre warunki pracy administracji.

— Podobno nie złapaliście ich.

— Istotnie. Znikli.

— Widzi pan, ta kobieta jest sprytniejsza, niż się wam zdaje. Przygotowała sobie drogę ucieczki. Trzeba zawsze czekać w mieszkaniu. Jeśli mam być szczery, drogi Peter, spodziewałem się, że panu ucieknie. Ci dwoje są groźni. O mało nie zdemaskowali Blainville'a podczas zrzutu. Ledwo się wyłgał.

— Teraz — powiedział Goetz — przyszedł mi do głowy inny pomysł, Sturmbannführer. Potrzebujemy tej radiostacji. Na razie mamy tylko radiostację Normana.

— To już coś. „Odwróciliśmy” go jak rękawiczkę.

— Tak, ale nie ufam mu. Ta historia z podwójnym sygnałem zabezpieczającym jest dziwna.

— Dlaczego? — spytał Kieffer.

— Normalnie kiedy brak drugiego sygnału, w Londynie wiedzą, że radiotelegrafista nadaje pod przymusem. Tymczasem powiedzieli Normanowi, że zapomniał o drugim sygnale. Tym samym wydali go na naszą łaskę i niełaskę. Albo coś im się pomyliło, albo zrobili to naumyślnie. Jeśli naumyślnie, to

chcieli, by Norman zdradził. Musieli wiedzieć, że jest w naszych rękach. W ten sposób zasugerowali mu, by zdradził. Potem mogliby nami manipulować.

— Pana rozumowanie jest bardzo skomplikowane — powiedział Kieffer.

— Bo to skomplikowana gra, Sturmbannführer! — odparował Goetz.

Od roku Goetz kierował „Funkspiel” („grą w radiostacje”). Subtelny, przebiegły, stał się ekspertem w „odwracaniu” radiotelegrafistów. SOE grało z nim, jakby

chodziło o partię szachów. Kombinacje przeciw kombinacjom. Tym razem Goetz udaremnił manewr Londynu.

— Tak, potrzebujemy innej radiostacji — powiedział Peter. — Pewnej.

— Więc zamiast się skarżyć, niech pan złapie tę dziewczynę!

— Byłoby świetnie — powiedział Goetz. — Teraz jest izolowana. Jeśli ją złapiemy, Londyn nie musi się o tym dowiedzieć. Moglibyśmy znowu podjąć grę...

— O jakim pomysle pan mówił?

— Moglibyśmy wykorzystać siatkę Biegun Północny w Holandii. Jest pod naszą całkowitą kontrolą. Wiem, że mój kolega z Amsterdamu zmontował wspaniałą operację w ramach Funkspiel. Doprowadził do zrzucenia setek ton broni, którą przechwyciliśmy. Teraz spowodował zrzucenie dwóch agentów, których złapaliśmy podczas lądowania. To Kanadyjczycy. Pickersgill i MacAlistair. Londyn sądzi, że podjęli pracę. Zastąpiliśmy ich dwoma naszymi ludźmi, bardzo skutecznymi, którzy wysyłają do Londynu przekonujące raporty. Dzięki nim zniszczyliśmy całą holenderską siatkę. Ale tam nie można już ich wykorzystywać. Mogą być spaleni. Przyjadą do Paryża, amsterdamskie gestapo wyraziło na to zgodę. Tam będą wykorzystywali siatkę Prospera lub jej niedobitki. Potem poproszą o nadanie pilnej wiadomości. Ponieważ w Paryżu jest już tylko jedna radiostacja SOE, Londyn będzie przekonany, że to radiostacja Aurora...

— Ale jak skontaktować Aurorę z niedobitkami siatki Prospera? Dziewczyna podejrzewa, że Blainville jest naszym informatorem, i będzie się miała na baczności.

— Postaramy się, żeby się nie miała na baczności, Sturmbannführer...

Noor maszerowała. Pełna emocji weszła na wzgórze w Suresnes. Walizka z radiostacją ciążyła jej, ale nie zwracała na to uwagi: szła ku przedwojnemu światu. Od 1939 roku nic się tu nie zmieniło. Aleja wiła się po zboczu wzgórza. Widziała wszystkie dobrze znane domy, sklepy, widoki. Tędy chodziła do szkoły. Szła tym samym krokiem co dawniej. Zamiast uczniowskiej torby, która niegdyś wpijała się jej w ramię, niosła radiostację Mark II.

Wiedziała, że ryzyko jest duże. Każdy mógł ją poznać, przecież była córką dobrotliwego indyjskiego guru, który mieszkał na wzgórzu, przecież przyjaźniła się z całą dzielnicą, przecież dzięki opowieściom o egzotycznych księżętach i mówiących węzach stała się idolem dzieci z Suresnes. Ktoś mógł do niej podejść. Albo zobaczyć ją przez okno i zawiadomić policję. Ale nie miała wyjścia.

Po ucieczce ukryła się w krzakach, obserwując przez listowie okno mieszkania, które opuściła. Zobaczyła, że ktoś je otwiera, rozgląda się po podwórzu, a potem zamyka. Nie miała odwagi wyjść na otwartą przestrzeń. Jednak po kwadransie się zdecydowała. W parku było pusto. Należał do serbskiej ambasady, teraz

zamkniętej. Noor przeskoczyła przez mur, potem szybko skierowała się w stronę placu Trocadero. Tam zeszła do metra, wsiadła do pierwszego pociągu i pojechała w obojętnym kierunku, po prostu aby mieć czas na zastanowienie. Nie miała żadnego schronienia, żadnego oparcia, nikogo, kogo mogłaby się poradzić. Oczywiście był Vienet: miała numer jego telefonu, ale było za późno. Siódma. Biura również były zamknięte. Gdzie spać? Na dworze? Ryzykowne... Hoteli się bała. Ostatecznie pomyślała o Suresnes. Było to niebezpieczne. Ale tam ktoś jej pomoże. Była sama, ścigana, zagrożona. Powrót do domu oznaczał pokrzepienie. Pokrzepienie iluzoryczne. Ale ta iluzja była jej potrzebna.

W połowie wzniesienia zadzwoniła do drzwi biało-różowej willi, częściowo ukrytej za lipami. Otworzyła jej pulchna kobieta o jasnych, kręconych włosach, ubrana w taftową sukienkę.

— Babuli! — powiedziała. — Jak się masz? Sądziłam, że jesteś w Anglii.

— Byłam w Anglii. Wróciłam. Czy mogę wejść?

— Oczywiście! Nie możesz pójść do siebie, Niemcy zajęli wasz dom.

— Niemcy zajęli Fazal Manzil?

— Tak. W czterdziestym roku. Jest tam sztab generalny nie wiem jakiej armii...

— To straszne...

Lucienne Piat była przyjaciółką Vijay Khanów. Noor, którą jak wszyscy przyjaciele rodziny nazywała Babuli, przychodziła do niej przed wojną. Piła herbatę, rozmawiała, grała na pianinie, opowiadała różne historyjki... Lucienne zaprowadziła ją do salonu pełnego kwiatów, umeblowanego sprzętami z drewna dzikiej wiśni, i usiadły na szarej aksamitnej kanapie, na której kiedyś tak często siadywała Noor. Młoda kobieta odzyskiwała siły. To otoczenie było niczym dobrze znany kokon, tak różny od strasznych przeżyć tego dnia.

— Lucienne — powiedziała — pracuję dla Anglików.

— Dla Anglików?

— Tak, dla Anglików i Ruchu Oporu. W tej walizce jest radiostacja.

— Radiostacja?

Lucienne popatrzyła na walizkę jak na jadowite zwierzę.

— Tak radiostacja. Jestem radiotelegrafistką. Wysyłam do Londynu informacje od Ruchu Oporu.

— Babuli, jesteś w Ruchu Oporu? Ależ to niebezpieczne!

— Tak, Lucienne, to niebezpieczne. Ale tak jest. Vilayat pływa na trałowcu. To też jest niebezpieczne!

— I po to wyjechaliście z Francji?

— Tak, byliśmy to winni ojcu...

— Tak. Rozumiem. W porządku.

— Lucienne, musisz mi wyświadczyć pewną przysługę.

— Przysługę?

— Nie mam dokąd pójść. Szukają mnie. Czy mogę u ciebie zamieszkać?

— Zamieszkać? Ależ... Ależ oczywiście, Babuli. Lucienne nie miała najmniejszej ochoty przyjmować radiotelegrafistki służb brytyjskich dwa kroki od domu, gdzie stacjonowali Niemcy. Jednak pomyślała, że nie ma wyboru. Lucienne była katoliczką. Przyjaciółka poprosiła o udzielenie jej schronienia. Nie miała czasu na wahania: Noor rzuciła się jej na szyję i ucałowała w oba policzki.

— Dziękuję, Lucienne, odwdzięczę ci się.

Lucienne poczuła wątpliwości. A jeśli zostaną zatrzymane obie... Powiedziała automatycznie:

— Ależ nie, to nic wielkiego!

— Owszem, to bardzo wiele, Lucienne, muszę wysłać wiadomość do Londynu.

— Wiadomość?

— Przez radiostację. Muszę gdzieś rozwiesić antenę. Masz z tyłu ogród, prawda?

— Tutaj? Przez radiostację? Ależ to niebezpieczne! Niemcy są obok.

— To nie ma znaczenia. Aby wykryć radiostację, trzeba mieć sprzęt. Oni go nie mają. Zajmują się tym wyspecjalizowane służby. Jeśli się pospieszę, nie zdążą...

— Nie zdążą z czym?

— Nie zdążą przyjechać.

— Przyjechać? Mogą tu przyjechać?

— Nie, zrobię to bardzo szybko.

Przerażona Lucienne uległa nieodpartej logice Noor. Zgodziła się. Noor rozwinęła antenę i rozpięła ją między drzewami ogrodu. Okno zostawiła otwarte. Włączyła radiostację i zaczęła nadawać. Cichy dom napełniły ostre dźwięki morsa.

— Noor, robisz piekielny hałas! Usłyszają!

— Ależ nie, są za daleko.

Lucienne poszła do kuchni przygotować herbatę. Jej męki nie trwały długo. Wiadomość była krótka. Z regulaminowymi sygnałami zabezpieczającymi Noor nadała dwa zdania: „Radiostacja Aurora działa. Czekam na rozkazy”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Przy ujściu rzeki Falmouth „Angele-Rouge” wypłynęła na wzburzone morze. Białe grzebienie fal biegły ku nam, a wybrzeże znikało w ciemnościach. Południowo-zachodni wiatr wiał w dziób statku z siłą przeszło sześciu stopni. Musieliśmy przecinać w poprzek fale, wspinać się na ściany czarnej wody, by za chwilę spaść w wieniec z piany. Płaskie dno uderzało w dołżną fal, co sprawiało, że statek trząsał się od kadłuba po czubek masztu.

Birkin, zbyt wysoki, by w pozycji stojącej utrzymać się w sterówce, uderzał głową o sufit, gdy fale zalewały pomost, a bryzgi smagały bulaje niczym bicze. Chwyciłem się stolika do map. Złożył się przy raptownym skręcie kutra, marynarskie mapy rozsypały się po podłodze. Szmata, którą był zatkany kanał tuby, wypadła, i fala morskiej wody zmieszana z rdzą chlusnęła na podłogę kabiny. Birkin zaklął i schylił się, by ją podnieść. Przy następnym skręcie kompas, rocznik Reeda i linały paralelne zostały rzucone najpierw na jedną ze ścian, a potem spadły w brunatną wodę. Kiedy Birkin, chodząc na czworakach, usiłował odzyskać swe przyrządy, złapał go atak choroby morskiej. Chwycił toczące się po ziemi wiadro i wymiotował do niego, klęcząc w wodzie, która przelewała się z jednego końca w drugi koniec kabiny. Ustawiłem pionowo stół do map, pozbierałem z ziemi przyrządy i zamknąłem je w schowku na prawej ścianie.

— Dziękuję — rzekł do mnie Birkin — zawsze mam chorobę morską, kiedy wypływamy. To normalne. Admirał Nelson chorował pierwsze pięć dni każdej kampanii. Więc...

Kapitan, z niezmaconym spokojem trzymający koło steru, ledwo rzucił na nas okiem; cała jego uwaga była skoncentrowana na kursie statku.

— Jest trochę bryzy — powiedział — powinniście zrobić herbatę...

Płynęliśmy piętnastometrowym, przysadzistym trawlerem o zadartym dziobie i kwadratowej rufie, pomalowanym na kolory biały i niebieski, o krótkim maszcie z balsy i wąskiej kabinie z oszklonymi drzwiami. Przed trzema godzinami, w cichym plusku rzeki Falmouth, spokojnie napinał swoje cumownicze liny, a marynarze ładowali na niego sprzęt i kanistry z mazutem. Przyjął mnie wysoki chudy chłopak z fajką w zębach, wciśnięty w jasnogrnatowy skafander, w rybackiej czapce na głowie.

— Witamy na pokładzie HMS „Angele-Rouge”! Na ekspresowej linii Anglia-Francja!

David Birkin był nawigatorem i drugim oficerem na „Angele-Rouge”, która naprawdę nazywała się MFV 2023 (Motor fishing vessel 2023). SOE bardzo szybko doszła do wniosku, że połączenia lotnicze z okupowaną Francją nie

wystarczają. Należało równolegle uruchomić morską linię komunikacyjną która pozwoliłaby przewozić pocztę, broń i agentów między południowym wybrzeżem Anglii i Bretanią, gdzie od 1940 roku pracowało kilka siatek. Philby o tym wiedział. Zabrał z biura Intelligence Service formularz, wypełnił go i przekazał na Pałace Street — tam bowiem mieściła się siedziba miasta Westminster, gdzie koordynowano morskie przerzuty SOE firmowane przez Royal Navy — pisemną prośbę o przewiezienie mnie do Francji. Ponieważ nie było żadnych podstaw, by cokolwiek podejrzewać — dlaczego jakiś żołnierz miałby się bawić w wyjazd do Francji i narażać tam życie, gdyby nie zlecono mu misji — na Pałace Street znaleziono mi miejsce na statku odpływającym z Falmouth. Oczywiście Pałace Street powiadomi o tej misji SOE. Tam zorientują się, że wyjechałem bez rozkazu. Ale wówczas będę już w drodze do Paryża.

„Angele-Rouge” miała odbić od brzegu nieco przed zachodem słońca, by przepłynąć La Manche nocą, niewidzialna dla niemieckich samolotów. Wyjaśniłem Birkinowi, że ja też jestem nawigatorem. Był zachwycony, że może się z kimś podzielić swymi troskami.

— Droga jest bardzo prosta — powiedział, śmiejąc się. — Nie ma żadnego punktu orientacyjnego. Niemcy usunęli boje i wygasili latarnie morskie. Trzeba się posuwać na oko i dokładnie o piątej dotrzeć do plaży Bonapartego, położonej w głębi zatoki Saint-Brieuc. Jeśli zboczę milę lub godzinę się spóźnię, nie zdążę na spotkanie.

Schylony w małej kabinie, otworzył teczkę wypchaną mapami, notesami i dobrze zaostrzonymi ołówkami. Wyjął z niej mapę La Manche, rozłożył ją na drewnianym pulpicie, umocowanym na prawo od koła sterowego, i wskazał ołówkiem ujście rzeki Falmouth.

— Proszę bardzo. Określam swoje położenie według kompasu i, jeśli mgła nie jest zbyt gęsta, jakiegoś punktu orientacyjnego. Potem trzeba wszystko obliczyć, uwzględniając prąd, dryf, wiatr, szybkość, co tu gadać — wszystko, by z zamkniętymi oczami dotrzeć do plaży. Kiedy się uda, to prawdziwy cud.

Birkin zawsze dawał sobie radę. Tylko mgła lub zła pogoda przeszkadzały mu trzymać się wyznaczonego kursu. Całe dni pracował na swych mapach i na pamięć znał kształt najmniejszej skały w zatoce Saint-Brieuc, w zależności od wysokości przyływu i kierunku namiaru.

O dziewiętnastej trzydzieści jakiś chudy marynarz, również ubrany w rybacki skafander, przeszedł przez kładkę. Birkin krzyknął: „Kapitan na pokładzie!”. Czterej marynarze przerwali zajęcia, by oddać mu honory. Pasza z „Angele-Rouge” nazywał się Slocum, co mnie zachwyciło: Slocum to również nazwisko jednego z najślawniejszych nawigatorów w historii statków spacerowych. Na początku wieku

na pokładzie legendarnego „Spraya” pierwszy samotnie opłynął żaglówką kulę ziemską. Opowieść Slocuma stała na poczesnym miejscu w mojej bibliotece obok pism Alaina Gerbaud i artykułów Adlarda Colesa. Inny Slocum, który miał nas zawieźć do Francji, był doświadczonym i lakonicznym oficerem Royal Navy. Dowodził trawlerem bardzo szczególnego rodzaju.

„Angele-Rouge”, zbudowana w moich okolicach w East Cowes według projektu Laurenta Gilesa, była podobna do francuskich trawlerów, krążących po bretońskich wodach. Kotwicę miała z tyłu, a na przednim pomoście małą pomalowaną na czarno łódź wielorybniczą, umocowaną siecią lin... Ale w ładowniach statku kryły się dwa silniki Hall Scott o mocy pięciuset koni, dzięki którym posuwała się z szybkością dwudziestu węzłów. A w szafie mesy, wśród pistoletów i granatów bojowych, stał karabin maszynowy Enfield. O dwudziestej, kiedy słońce chowało się za pagórki Dorset, „Angele-Rouge” płynęła w dół rzeki między dwoma zielonymi brzegami. Myślałem o Noor, pracującej w śmiertelnym zagrożeniu. Nazajutrz wieczorem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, będę w jej ramionach... Dwadzieścia minut później fałszywy trawler kołysał się na falach La Manche.

Blady jak kreda, zgięty we dwoje Birkin ustalał za pomocą ręcznego kompasu pierwsze położenie statku, długo wpatrując się w różne miejsca na wybrzeżu. Gdy nanosił namierzone punkty na mapę, znów chwyciły go wymioty. Tym razem wybiegł z małej kabiny i wychylił się za burtę. Kiedy wrócił na stanowisko, ociekał morską wodą. Dokończył namiarów, szcękając zębami, potem przygotował herbatę na małej wysuwanej maszynie przymocowanej do ściany kabiny.

— Mamy przed sobą sto dwadzieścia mil — powiedział. — Przy szybkości szesnastu węzłów dopłyniemy za siedem godzin i trzydzieści minut. Będziemy o wpół do piątej, godzinę przed wschodem słońca. Dobrze...

— Dlaczego wybraliście akurat plażę Bonapartego?

— Bonaparte to zakodowana nazwa. Plażę tę dobrze znamy. To jedyne piaszczyste wybrzeże między Saint-Quay i Paimpol. Poza tym w Saint-Brieuc i w Binic jest operatywna siatka Ruchu Oporu. Zarzucamy kotwicę przy skałach i dopływają do nas szalupa. Tym razem mieliśmy im dostarczyć tylko sprzęt, broń, fałszywe papiery i instrukcje. Później Pałace Street zawiadomiła nas, że trzeba zaokrętować jeszcze pana. Chyba mają kłopoty ze zorganizowaniem zrzutów w tej strefie. Wokół Saint-Malo jest bardzo silna obrona przeciwlotnicza. To niebezpieczne. Lepiej przepłynąć się morzem. W zimie docieramy dalej, do estuarium Benoit, a nawet do południowej Bretanii, do strefy połowów koło wysp Glenan. Noce są wtedy dłuższe, mamy czas, żeby tam dopłynąć. W lecie trzeba zrobić to najkrótszą drogą. A najkrótsza droga prowadzi do plaży Bonapartego.

— Dlaczego nie pływacie do Normandii? Jest bliżej.

— Nie, w tym regionie obrona niemiecka jest zbyt silna. A poza tym trzeba się poruszać w czynnych strefach połowów. W Bretanii Niemcy tolerują statki rybackie. Bardziej na północ wprowadzili dla nich zakaz. Często zostajemy cały dzień na miejscu i wracamy dopiero następnej nocy. Chodzi o to, by wmieszać się w tłum prawdziwych rybaków. To dość zabawne. Od czasu do czasu domyślają się, kim jesteśmy. Nadają do nas wówczas alfabetem Morse'a za pomocą lamp. „God save the King” albo po prostu literę V.

Pomyślałem o Noor.

Z trudem utrzymywaliśmy herbatę w filiżankach. Trzeba się było przekrzykiwać przez hałas fal i silnika. Zapalając fajkę, Slocum pochylił się, by osłonić płomień. Na wodzie najmniejsze światło widać z odległości wielu mil. Byliśmy na pełnym morzu bez osłony z powietrza. Musieliśmy być niewidoczni. Czytając mapę, Birkin przyświecał sobie małą lampką z czerwoną osłoną, która dawała przytłumione światło. Koło północy wskazał mi palcem sondę, która się nagle zanurzyła.

— Jesteśmy dokładnie o czasie — powiedział z zadowoleniem w głosie. — Obliczenia są dobre. Będziemy punktualnie.

— Ale skąd pan wie, gdzie jesteśmy?

— W tym miejscu, w Hurd Deep, jest uskoki, dno schodzi na głębokość poniżej sześćdziesięciu metrów. Nie można się pomylić!

Przypomniałem sobie moje wrażenia z Cowes, gdy ojciec zabierał mnie małą żaglówką na drugą stronę La Manche na długie przejażdżki po Wyspach Normandzkich, najeżonych skałami, spowitych mgłą, otoczonych prądami potężnymi jak górskie potoki. Teraz były to wyspy wrogie: Jersey, Guernesey i Aurigny były jedynymi skrawkami brytyjskiego terytorium zajętych przez nazistów.

Godzinę później Birkin wyjął ze schowka w prawej burcie dużą lornetę. Wiatr ucichł i morze powoli się uspokoiło, chociaż martwa fala nadal kołysała trawlerem. Birkin wpatrywał się w mrok, szukając czarnej linii wybrzeża. Ale niebo pokrywały chmury — był to jeden z warunków przeprawy: w świetle księżyca niemieccy obserwatorzy wykryliby statek.

— Piekło i szatani! — krzyknął Birkin. — Widzę latarnię morską!

— No to co? Bardzo dobrze, może się pan zorientować, gdzie jesteśmy...

— Zapalają latarnie morskie, gdy niemiecki konwój patroluje wybrzeże... Przez resztę czasu są zgaszone, by uniemożliwić nawigację obcym.

— Zwalniam — rzekł Slocum. — Sutherland, niech pan weźmie drugą lornetkę. Podejmiemy obserwację okrężną.

Każdy z nas zaczął przeszukiwać połowę horyzontu, by wykryć niemiecki konwój, który mógł przeciąć nam drogę do plaży. Trawler nadal płynął po martwej

fali, a potem spadał w dolizny. Z trudem utrzymywałem horyzont w polu widzenia lornetki. Pół godziny minęło na wpatrywaniu się w czarną wodę, która odbijała nieco światła, gdy księżyc wyrzął zza chmur. Nagle rozróżniłem trójkątną sylwetę nieco ciemniejszą od powierzchni morza. Zbliżała się powoli.

— Statek za prawą burzą! — krzyknąłem.

Slocum zatrzymał maszyny. Noc, piana i fosforescencja. Gdyby „Angele-Rouge” płynęła dalej, ciągnąc za sobą białą smugę wody, zdradziłaby swą obecność. Pokazałem palcem namiar podejrzanego statku. Birkin skierował tam lornetę i zawołał:

— Za nim jest jeszcze jeden! I jeszcze jeden! To konwój! Jest ich przynajmniej dziesięć!

Gdy zatrzymaliśmy się, gwałtowne ruchy trawlera stały się jeszcze bardziej dokuczliwe. Kołysał się i podskakiwał wściekle, rzucając nas od ściany do ściany. Śledziłem wzrokiem sznur okrętów, które płynęły nocą z zachodu na wschód, do Saint-Malo i Granville, omijając skały w zatoce Saint-Brieuc. Nagle zobaczyłem okręt niższy od innych, płynący tuż za poprzednim. Konwój wszedł w zasięg światła latarni morskiej na wybrzeżu. Sylwetki okrętów przez chwilę rysowały się w przerywanym świetle latarni. Na wodzie znów pojawił się niski okręt. Zobaczyłem lśniący, metalowy pomost, zmoczoną, skierowaną do przodu armatę i wąską wieżyczkę.

— Mają łódź podwodną! — krzyknąłem.

— Tak — powiedział Birkin. — Holują U-Boota. Cholera! Gdybyśmy mieli armatę, posłalibyśmy go na dno!

W 1941 i 1942 roku niemieckie łodzie podwodne o mało nie pokonały Anglii. Niewidoczne, bezlitosne, zatopiły więcej okrętów, niż sojusznicy mogli wyprodukować. Potem sytuacja się odwróciła. Udoskonalenie środków wykrywania i rozwój amerykańskiego budownictwa okrętowego pozwoliły przezwyciężyć trudności. Ale dla marynarzy brytyjskich U-Booty były niczym wilki, które należało bezlitośnie tępić.

— Zaczekajmy, aż konwój przepłynie — rzekł Slocum. — W zasadzie nie mogą nas widzieć.

Dokładnie w tym momencie morze nas zdradziło. Fala wyższa od innych podniosła trawler, który przechylił się na bok. Birkin rzuciło na stół do map, który znów się złożył. Walnął głową w ścianę. Kabinę zalało ostre światło. Padając, rozbił czerwoną osłonę lampy, ale nie stłukł żarówki.

— Do diabła! Zgaście mi to natychmiast! — wrzasnął Slocum.

Wziąłem do ręki przewód elektryczny i gwałtownie pociągnąłem. Nie puścił. Zacisnąłem pięść na przewodzie. Sparzył mnie. Potrząsałem nim na wszystkie strony. Wreszcie światło zgasło.

— Do stu tysięcy diabłów! — powtórzył Slocum. — Niech pan podejmie obserwację! Będzie cud, jeśli nas nie zauważyli.

Podczas gdy Birkin podnosił się i przeproszał, chwyciłem lornetkę. Potrzebowałem całej minuty, by wypatrzeć linię niemieckich okrętów. Kiedy czarne sylwetki znów pojawiły się w moim polu widzenia, przez szum fal przedarło się echo syreny. Cień ostatniego okrętu zwęził się. Skręcał ku nam. Światło wielkiego reflektora przeczesywało morze w naszym kierunku.

— Rany boskie! — zaklął Slocum. — Zobaczą nas! Trzeba wiać. Trudno!

Z bólem pomyślałem o Noor. Slocum dodał gazu i skierował statek na północny zachód. Był to jedyny możliwy manewr. Jeśli Niemcy zatrzymaliby trawler ze zgaszonymi światłami i poddali go przeszukaniu, byłoby po nas, nawet gdybyśmy pozbyli się kompromitującego ładunku. Slocum i Birkin nie mówili po francusku. A moc silników, znacznie przewyższająca normy statków rybackich, zdemaskowałaby nas w minutę. Slocum schylił się do interfonu:

— Wszyscy na pokład, przygotować się do bitwy!

Na pokład wyszli kolejno czterej marynarze uzbrojeni w pistolety. Ostatni zamocował karabin maszynowy Enfield na tylnym pokładzie. Ale uratować nas mogła tylko szybkość. Jeden celny strzał kanonierek, osłaniających niemieckie konwoje, rozniósłby nas na strzępy. Zaczynał się wyścig.

— Nie poddamy się — uprzedził Slocum. — Jeśli nas dogonią, otwieramy ogień. Odpowiedzą ogniem i zatopią nas! Lepiej umrzeć na morzu niż być przesłuchiwanym przez gestapo!

Widziałem w lornetce okręt, który odłączył od konwoju, by podjąć pościg. Reflektor nadal przeczesywał wodę. Nagle w moim polu widzenia szukające nas światło stało się jaśniejsze. Znaleźli nas. Slocum włączył silniki na pełną moc. „Angele-Rouge” skakała po falach z szybkością dwudziestu węzłów, podnosząc olbrzymie grzywy piany. Za kanonierką, po mojej lewej stronie, zobaczyłem oddalający się konwój. Płynął na zachód, na pewno, by doholować U-Boota do doków remontowych w Saint-Malo. Znowu zacząłem obserwować ścigających. Reflektor świecił równie jasno i miał niezmienną średnicę. Ani oni nas nie dogonili, ani myśmy im nie uciekli.

Birkin pochylał się nad mapą. Zerknąłem mu przez ramię. Byliśmy na południowy zachód od Wysp Normandzkich. Aby najkrótszą drogą dotrzeć do Anglii, musieliśmy trzymać kurs wzdłuż szelfu Minquiers, archipelagu skał i bezludnych wysepek, a potem przepłynąć La Manche. Przeszło sto mil. Jeśli

Niemiec dysponuje prędkością choćby o jeden węzeł większą od naszej, dogoni nas.

— Kurs na północ, kapitanie! — powiedział Birkin. — Płyniemy wzdłuż Minquiers.

— Wiem — westchnął Slocum.

Znów wziąłem lornetkę. Przeraziłem się. W moim polu widzenia reflektor stawał się coraz jaśniejszy i większy.

— Podpływają, kapitanie. Reflektor powiększa się.

— Boże, dopomóż nam! — westchnął Slocum. Kanonierką była szybsza: nasz los został przesądzony. Za pół godziny, może nieco później, znajdą się w zasięgu skutecznego ognia. Trzeba będzie zatrzymać się i poddać albo wpakują nam pocisk i pójdziemy na dno. Uratować nas mógł tylko cud. Na przykład, gdyby Niemcom zepsuł się silnik... Zawsze można pomarzyć. Podeszedłem do mapy. Rozsiane skały Minquiers dzieliły nas jeszcze od cieśniny. Z tej strony nie było cienia szansy, by się ukryć... w żadnym wypadku nie wolno nam było zapuszczać się pomiędzy skały, bo moglibyśmy nadzieć się na jedną z nich... Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Przyświecając sobie latarką kieszonkową, z obłędem w oczach pochyliłem się nad szczegółowymi mapami, na których kolorem ciemnobrązowym były oznaczone skały i otaczające je płycizny. Stół do map, podobnie jak cała kabina, drżał pod wpływem wibracji dwóch silników pracujących na maksymalnych obrotach.

— Birkin, przy jakiej głębokości osiadziemy na mieliźnie? Spojrzał na mnie zaintrygowany.

— Metr. To statek o płaskim dnie.

— A oni?

Birkin odwrócił się, jakby mógł oszacować zanurzenie kanonierki, szukając jej w ciemnościach.

— Przynajmniej dwa metry, jeśli nie trzy. To wąski okręt. Potrzebuje większej głębokości pod kilem.

— Niech pan spojrzy...

Birkin pochylił się nad mapą. Położyłem palec wskazujący na archipelagu Minquiers, na prawo od północno-zachodniej boi, którą każdy statek powinien okrążyć z lewej strony. Wyprostował się z powątpiewającą miną.

— Myśli... myśli pan, że może się udać?

— Trzeba wycelować z dokładnością do dziesięciu metrów. Może pan to zrobić?

— Niezbyt dobrze znam Minquiers...

— Tak, ale tam, na prawo, jest ta skała. Huguenan. Wystaje dziewięć metrów nad wodą. Chyba łatwo ją dostrzec i zidentyfikować, prawda?

— Bez wątpienia. Chyba można zobaczyć ją przez lornetę. Trzeba by ją ominąć niezbyt daleko z lewej burty...

— Tak. Ile jest wody o tej porze? Birkin otworzył jeden ze swych notesów.

— Przyptyw minus godzina i dziesięć minut. Osiem metrów trzydzieści — powiedział po zrobieniu rachunku ołówkiem.

— Sonda wskazuje siedem metrów. Jeśli przepłyniemy tędy, będziemy mieli metr wody. Nawet nieco więcej...

— Tak. Ale jeśli znajdziemy się w doliźnie fali, uderzymy dnem.

— Przy odrobinie szczęścia przejdziemy.

— W każdym razie oni okrążą skałę tak, jak wskazuje boja.

— Niekoniecznie. Będą się bali nas zgubić. Slocum słyszał to wszystko. Wtrącił się:

— Sutherland ma rację. To nasza jedyna szansa. Spróbujmy. Podajcie mi kurs.

Birkin popatrzył na nas. Uśmiechnął się.

— To szaleństwo. Jednak jakkolwiek się to skończy, będzie to piękna opowieść.

Spojrzał na mapę i obrócił swoje dwa paralelne liniały.

— Kurs dwadzieścia trzy — powiedział.

— OK — rzekł Slocum. — Lekko zbaczam. Sprawdźcie, czy płyną za nami.

Znów wziąłem lornetkę. Reflektor jeszcze się powiększył. Morze uspokoiło się i kanonierką bez trudu pruła wodę. Ozdobiona wielkimi pióropuszcami piany, zdobywała nad nami przewagę. Poczulem, że trawler powoli skręca. Reflektor został z tyłu.

— Płyną za nami.

— Doskonale — powiedział Slocum. — Prosto na Minquiers.

Upłynęło dziesięć minut. Pędziliśmy wprost do jednej ze stref, cieszących się najgorszą reputacją na zachodniej półkuli, gdzie rozbiło się mnóstwo statków, które nadziały się na skały. Teraz kanonierką była dobrze widoczna w okularach mojej lornetki. Nagle za reflektorem zobaczyłem błysk.

— Strzelają! — krzyknąłem.

— To normalne, są w zasięgu celnego strzału — odpowiedział Slocum.

Ledwo zaczął zdanie, a sto metrów po mojej lewej stronie zobaczyłem białawy gejzer.

— Pudło! Z tyłu i na lewo!

— Zaraz zmienią nastawy celownika — rzekł Slocum. — Będę płynął zygzakiem.

— Nie, nie utrzymamy kursu.

— Ale będą do nas strzelali jak do królików.

— Trudno — powiedziałem. — Musimy wytrzymać pięć minut.

— Potwierdzam — powiedział Birkin.

Z kanonierki wytrysnął drugi błysk. Tym razem pocisk upadł pięćdziesiąt metrów na prawo.

— Jesteśmy obramowani — powiedział po prostu Slocum.

— Widzę już skałę! — krzyknął Birkin. — Trochę w lewo.

— Trochę w lewo — powtórzył Slocum.

Na naszym kilwaterze, na prawo, ukazał się gejzer.

— Gdybym nie skręcił, trafiliby nas — rzekł Slocum. Zboczył nieco i wrócił na poprzedni kurs. Tym razem gejzer nas opryskał.

— Płyną za nami? — spytał kapitan.

— Tak. Nie rozumiem — rzekł Birkin.

— Myślą, że torujemy drogę. Wśród skał należy zawsze płynąć za innym statkiem, to najbezpieczniej.

Slocum uśmiechnął się krwiożerczo.

— Przepływamy koło Huguenana — powiedział Birkin. Zobaczyłem dużą, czarną skałę przesuwającą się wzdłuż burty, dwadzieścia metrów od nas, i chwyciłem się stołu, spodziewając się uderzenia. Kiedy mijaliśmy ją, usłyszeliśmy, że coś się trze.

— Dotknęliśmy podłoża — rzekł Birkin.

— Tak, ale przejdziemy! — odpowiedziałem i nagle się uśmiechnąłem.

Dno statku otarło się o skałę, ale wody wystarczyło. Musieliśmy przeorać algi, nic nie szkodzi. Slocum skręcił zdecydowanie w prawo. Chciał, by Huguenan znalazł się między nami a kanonierką. Był to świetny manewr: nowy gejzer wystrzelił dziesięć metrów od nas, dokładnie tam, gdzie bylibyśmy, gdyby nie zboczył z kursu.

— Znowu pudło! — powiedziałem.

Przez minutę Slocum znów płynął zygzakiem. Obserwowałem Niemca przez lornetkę. Teraz widziałem obsługę działa, uwijającą się na dziobie. Znów w nas celowali. Kanonierka zbliżała się z pełną szybkością do Huguenana. Nagle okręt zatrzymał się. Żołnierze zostali rzućni do przodu, potem za burtę. Reflektor zgasł. Czarna sylweta zanurzyła się dziobem, a następnie obróciła i stanęła w poprzek. Kanonierka z pełną szybkością uderzyła w mieliznę obok Huguenana. Jej dwumetrowe zanurzenie okazało się zgubne. Tam gdzie my otarliśmy się o dno, oni rozbili się o skałę.

— Hura! Hura! — wrzasnął Birkin. — Załatwiliśmy ich! Sutherland, jest pan geniuszem!

Zobaczyłem sylwetki biegające po pomoście kanonierki. Jedni szukali kolegów, którzy wpadli do wody, inni wychyleni za burtę oceniali rozmiar szkód. Pod wpływem uderzenia kadłub musiał się rozpruć. Zobaczyłem, że okręt przechylił się na jedną stronę. Szybko się zanurzał. Jedyne płytkie w tym miejscu dno nie pozwoliło mu zatonać. Rzeczywiście po trzydziestu sekundach kanonierka znieruchomiała. Slocum skręcił w lewo i „Angele-Rouge” zawróciła.

— Dokończymy dzieła — oświadczył.

Otworzył drzwi kabiny i zwrócił się do czterech marynarzy, którzy spoglądali na niego rozbawieni.

— Dobijemy go i weźmiemy załogę. Jeśli zrobią najmniejszy ruch, strzelajcie.

Godzinę później mknęliśmy wesoło w kierunku Anglii. Slocum wyjął butelkę whisky. Po zgarnięciu ośmiu Niemców z kanonierki wrzuciliśmy do wraku wiązkę granatów i obserwowaliśmy pożar. Jeńców związaliśmy i ułożyliśmy rzędem w mesie. Potem cała załoga zebrała się w kabinie wśród głośnych rozmów i śmiechów. Wprawdzie wyznaczone zadanie, to znaczy przerzut broni i materiałów, nie zostało wykonane, ale marnie zamaskowany trawler zatopił nowoczesną kanonierkę o dużej sile ognia. Czyn ten zasługiwał na medal.

Pośród ogólnej wesołości tylko ja byłem zupełnie załamany. Obsesyjnie widziałem przed sobą twarz Noor. Nie uda mi się do niej dotrzeć. Natychmiast po wylądowaniu w Anglii zostanę zdemaskowany, aresztowany i osadzony za niesubordynację. Ja pójdę do więzienia, a ona zginie. Slocum spojrzał na moją zmartwioną twarz.

— Sutherland, niech się pan rozchmurzy! To pan jest bohaterem! Przygotuję panu taki raport, że dostanie pan Victoria Cross. Przysięgam. A jeśli chodzi o pańską misję, wypłynie pan w najbliższych dniach. Tym razem dowieziemy pana do samej plaży, może pan być spokojny.

— Nie, panie kapitanie, pojutrze będzie za późno. Moja misja nie może czekać. Chodzi o życie wielu towarzyszy. — Popatrzył na mnie z powagą.

— Tak. Rozumiem. Bardzo chciałbym panu pomóc. Ale muszę wracać. Nie możemy już płynąć do plaży. Za godzinę się rozwidni. Jeśli nie odpłyniemy dostatecznie daleko, złapią nas.

— Trudno, panie kapitanie. Dziękuję. Jestem bardzo wzruszony.

Zatopiony w myślach, patrzyłem na obmywany falami dziób. Woda zalewała przymocowaną do pokładu łódź wielorybniczą i pobłyskując, znów wpadała do morza. Odwróciłem się do Slocuma:

— Panie kapitanie, jednak może pan coś dla mnie zrobić.

— Śmiało, niech pan mówi.

— Proszę posłuchać...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Noor, która w ostatniej chwili uciekła z mieszkania przy ulicy de la Pompe i zamieszkała u Lucienne, spotykała się z Vienetem w restauracjach Fouquet's i La Pérouse, a z Kerlevenem w lokalach Négociants na ulicy Custine i Balto w Montreuil. Obydwaj jej potrzebowali. Trzeba było przekazywać informacje wojskowe, organizować nowe zrzuty, odsyłać pilotów ze strąconych samolotów, przyjmować instrukcje z Londynu. Radiostacja Aurora pracowała pełną parą. Noor nie chciała zostać u Lucienne, która przy każdej transmisji strasznie się denerwowała. A poza tym w Suresnes nie była bezpieczna, bo dużo ludzi ją znało. Trzeba więc było opuścić to miejsce, a wraz z nim dzieciństwo. Vienet znalazł jej mieszkanie na bulwarze Richard-Wallace w Neuilly. Był to surowy pokój na parterze dużego białego budynku, gdzie kwaterowali również niemieccy oficerowie. Kerleven podał Noor adres pewnej robotniczej rodziny w Bondy, która miała domek z czerwonej cegły obok niewielkiej odlewni położonej przy spokojnej ulicy. Noor nadawała codziennie z różnych miejsc, by uniemożliwić namierzenie jej przez niemieckie służby, a chcąc do reszty zatrzeć ślady, od czasu do czasu wracała do Lucienne. Wychodziła z domu wcześniej rano, wsiadała do metra na stacji Porte Maillot i odbywała niekończącą się podróż do Bondy, trzymając walizkę z radiostacją w ręku, a w torebce notes z kodami. Za każdym razem ryzykowała życie. Pewnego dnia dwaj żołnierze kazali jej otworzyć bagaż, gdy przesiadała się na Gare du Nord. Krew odpłynęła jej z twarzy. Była przekonana, że zaraz ją aresztują. Bezdźwięcznym głosem wyjaśniła, że wiezie sprzęt fotograficzny. Żołnierze, bardziej zainteresowani figurą pięknej dziewczyny niż walizką, pozwolili jej odejść, może nie chcąc zdradzić się ignorancją. Innym razem, naciskana przez Kerlevena, który chciał natychmiast wysłać jakąś wiadomość do Londynu, musiała nadawać ze swego mieszkania. Zaczęła rozwieszać antenę na gałęziach krzewów otaczających mały ogródek przy domu.

Kiedy instalowała zielony drut w listowiu, usłyszała głos:

— Czy mogę pani pomóc?

Odwróciła się i zmartwiła. Zobaczyła przed sobą oficera Wehrmachtu, którego znała z widzenia i wiedziała, że mieszka na trzecim piętrze. Patrzył na nią rozbawiony, z uśmiechem na ustach.

— Owszem. Jeśli jest pan tak uprzejmy — powiedziała. — Muszę rozwiesić pranie...

— Proszę mi to dać, naciągnę sznurek. Zrobię na końcu węzełek, ma być tu, na tej gałęzi?

— Doskonale!

— Zrobione. Ciekawe, rozwiesza pani pranie na metalowych przewodach...

— Mhmm.

Mrugnął do niej porozumiewawczo.

— Kiedy słucha pani BBC — powiedział z uśmiechem — proszę przyciszyć radio. Moi koledzy mogą usłyszeć.

Potem zasalutował i trzasnął obcasami. Oszołomiona Noor patrzyła, jak odchodzi. Sądził, że instaluje antenę radiową, i postanowił przymknąć oko na wybryki młodej kobiety. Noor pomyślała, że szczęście jej nie opuszcza.

Pewnego upalnego popołudnia siedziała koło dużego basenu w Ogrodzie Luksemburskim, obok pomalowanej na zielono drewnianej chatki, gdzie wynajmowano miniaturowe żaglówki.

Po krótkiej chwili jakieś dwie ręce zakryły jej oczy. Była to Violetta Laszlo. Za pośrednictwem Garry'ego wyznaczyła jej tu spotkanie.

— Przybywam, by chronić radiostację Aurora — powiedziała. — Prosił mnie o to Sutherland. Wiesz, że bardzo mu na tobie zależy! Masz od niego jakieś wiadomości?

— Nie. John zniknął. Wiem, że jest w Anglii. Dziwne, ale Londyn nabrał wody w usta na jego temat.

— Mężczyźni są niestali!

— Nie, to bardzo dziwne. John miał poinformować Londyn o Blainville'u. Od tej pory cisza. Blainville działa jak dawniej. Jestem pewna, że jest zdrajcą, a Londyn nic nie robi. Nie mogę tego zrozumieć.

— Może nie wierzą...

— Więc się mylą. To tragiczny błąd.

— Co sądzi o tym Vienet? Blainville zna go. Jeśli jest zdrajcą, może go w każdej chwili zadenuncjować.

— Londyn przekonał go, że Blainville jest czysty.

— Może się mylisz... Jeśli zaczniemy wszystkich podejrzewać, nie będziemy mogli nic zrobić.

Violetta zamieszkała u Darbois, który nadal rezydował przy ulicy Joseph-de-Maistre. Obydwoje starali się chronić Noor. Eskortowali ją podczas jej wypraw i byli obok, gdy nadawała, obserwując wszystko czujnym wzrokiem, z pistoletami w kieszeni. Początkowo Violetta chodziła trzydzieści metrów za Noor, by wypatrzeć ewentualnych aniołów stróżów. Potem postanowiły podróżować razem, aby niekończące się przejazdy metrem były mniej nudne.

Rozmowy przy stolikach ucichły, kiedy obie wkroczyły do Laurenta. Z rozwichrzonymi włosami i błyszczącymi oczyma, poprzedzane przez kelnera w białej marynarce, przeszły przez salę. Był to wielki salon w stylu Drugiego

Cesarstwa, z puszystymi dywanami i kanapkami krytymi zielonym i czerwonym aksamitem. Vienet czekał przy stoliku w głębi, pod oknem wychodzącym na ogrody przy Polach Elizejskich.

— Jesteście olśniewające, moje panie — usłyszały komplement. — Można by rzec, dwie amazonki wracające z wojennej wyprawy.

— To niemal prawda — powiedziała Violetta.

Vienet, ze swym cienkim, dobrze przystrzyżonym wąsem i w świetnie skrojonym garniturze w pepitkę przysunął krzesło Violetcie, a potem Noor.

— Wezmą mnie za donżuana! — rzekł nieco zarozumiale i uśmiechnął się.

— Ależ jest pan nim — odpowiedziała Violetta.

— Och, nie! — rzekł Vienet. — Moja żona nigdy się na to nie zgodzi.

— Ho, ho — zaśmiała się Violetta.

Zamówili ostrygi i kuropatwy. Vienet był myśliwym. Zaczął im opowiadać o polowaniu w Sologne. Violetta zrewanżowała się opowieścią o obławie na wilki na Węgrzech, którą zrelacjonowała z werwą, pod zafascynowanym spojrzeniem Vieneta.

Noor śmiertelnie się nudziła.

— Nasza przyjaciółka chyba nie jest tym zainteresowana — zauważył Vienet. — Droga Violetto, zaproszę panią kiedyś na kolację i będziemy mogli porozmawiać o polowaniach, nikogo nie zanudzając! Pójdziemy do La Tour d'Argent. Jadła pani ich kaczkę w krwistym sosie?

— I owszem. Chodziłam tam przed wojną, kiedy przyjeżdżałam do Paryża z mężem. Czy pańska żona wybierze się z nami?

— Nie... będzie w podróży.

— Ale skąd może pan wiedzieć, nie ustaliliśmy jeszcze daty? — powiedziała Violetta kpiąco.

— Moja żona dużo podróżuje...

Noor zaśmiała się ukradkiem, czytając notes, który otworzyła podczas opowieści o polowaniu na wilki.

— Co to za notes, droga Noor? — spytał Vienet, by zmienić temat.

— To mój notes połączeń z Anglią. Muszą je wszystkie zapisywać. Są tu także szyfry i klucze do kodowania, dzień po dniu.

— Ale dlaczego nosi go pani? Przecież to niebezpieczne!

— Londyn kazał mi zawsze mieć notes przy sobie i każdego dnia zapisywać połączenia. Więc się z nim nie rozstaję. Jest im to potrzebne.

— Ale właściwie dlaczego? To fatalny pomysł!

— Nie wiem. Taki dostałam rozkaz. W każdym razie nie przez ten notes mnie aresztują. Albo mnie aresztują, albo nie.

— Ale jeśli panią aresztują, wszystkie kody wpadną w ich łapy.

— Tak, ale mamy podwójny sygnał zabezpieczający. Jeśli nie użyję żadnego sygnału albo użyję tylko jednego z nich, Londyn będzie wiedział, że nadaję pod kontrolą Niemców. Natychmiast przerwą kontakt i zmienią kody. Wie pan, mamy sygnały zabezpieczające.

— Nie rozumiem, dlaczego trzeba notować wszystkie informacje. Kto panią o to prosił?

— Osoba wyższa stopniem, która przyjechała do Tangmere zobaczyć się ze mną przed wyjazdem. Chyba niejaki Bodington...

— Bodington? Ach tak. To człowiek numer dwa w SOE. Musi wiedzieć, co robi. Jednak to dziwne.

— Wykonujemy dziwny zawód — powiedziała Violetta.

— Droga Noor — rzekł Vienet, zmieniając ton. — Będzie nam pani potrzebna dziewiątego września na placu de l'Alma. To niedaleko stąd. Może pani tam przyjść?

— Oczywiście...

— Zbierze się Krajowa Rada Ruchu Oporu, by wybrać przewodniczącego. Moulin wykonał wspaniałą robotę. On nie żyje, ale my musimy pracować dalej. Jako swego delegata Generał przysłał nam Seurelles'a. Poszczególne formacje i siatki są prawie zjednoczone, ale potrzebują jakiegoś organu przedstawicielskiego. W przeciwnym razie istnieje ryzyko, że Ruch Oporu podzieli się albo wpadnie w ręce czerwonych.

— Czerwonych? — spytała Noor.

— Komunistów. Ktoś musi być obecny na tym zebraniu, sporządzić sprawozdanie i natychmiast przesłać je do Londynu.

— Zrobione — powiedziała Noor. — Przyjdę.

— I ostatnia rzecz — rzekł Vienet. — Chciałbym, aby spotkała się pani z dwoma kanadyjskimi agentami. Zrzucono ich w Holandii, ale muszą wrócić do Londynu. Na razie trzeba przesłać ich raport. To rzecz niezwykle pilna!

— Blainville zna tych ludzi? — spytała Noor.

— Tak, to on ich do mnie przysłał.

— A jeśli Blainville jest zdrajcą? Rozmawialiśmy o tym, René!

— Jeśli Blainville jest zdrajcą, dawno powinienem być aresztowany!

— Może czeka...

— Londyn uważa, że jest niewinny. Muszę mieć do kogoś zaufanie, kochana Noor. Narazamy się, to prawda, ale jeśli nie będziemy się narażali, nic nie zdziałamy.

— Dobrze... jak pan uważa. Jednak jeśli chodzi o tych dwóch Kanadyjczyków, chciałabym najpierw skonsultować się z Londynem. Upoważnia mnie pan do tego, René?

— Jak pani sobie życzy.

— Jak się nazywają?

— Mają skomplikowane nazwiska. Zaraz je znajdę. O, już mam! Pickersgill i MacAlistair.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

O świcie archipelag Ecrehous był jedynie ciemną plamą na horyzoncie. Wiosłując miarowo na spokojnych wodach La Manche, co i rusz spoglądałem na nią przez ramię, by trzymać kurs. Miałem nadzieję, że za dwa dni dotrę do Paryża. Niemile spotkanie w zatoce Saint-Brieuc spowodowało niebezpieczne opóźnienie. Teraz musiałem dotrzeć do brzegu na wiosłach, omijając niemieckie umocnienia. Mimo że był to bezsensowny plan...

Slocum przychylił się do mojej prośby, chociaż sprawa wydawała się nierealna. Czując, że jest mi to winien, skręcił na zachód, wypłynął na pełne morze koło Jersey i dopiero potem wziął kurs na Anglię. Trzy mile od małego, bezludnego archipelagu Ecrehous, położonego na północny zachód od Jersey, spuścił na wodę łódź wielorybniczą, do której wsiadłem sam, zabierając tylko pistolet, stena, torbę i kosz prowiantu z zapasów trawlera. Od godziny, popychany przez południowy prąd, wiosłowałem w brzasku wstającego dnia. Na łódce, mknącej z szybkością dwu węzłów ku niebezpiecznemu brzegowi, pędziłem na ratunek mojej księżniczce, układając w głowie plan, który miał wszelkie szanse, żeby się nie udać.

Ecrehous, widoczny z Jersey kamienisty teren między tą wyspą a francuskim brzegiem, znajdował się w zasadzie pod kontrolą niemiecką. Ale liczyłem, że nie stacjonuje tu żaden garnizon: po co pilnować nieprzyjaznych skał, na których stoi dziesięć wąskich domów, służących garstce mieszkańców Jersey jako letnie siedziby? Wstawał dzień. Wtem gdzieś w oddali, na zachodzie, usłyszałem warkot samolotu. Niemcy szukali swojej kanonierki. Natychmiast wślizgnąłem się do zimnej wody i czekałem, zasłoniętą poszyciem łodzi, z ręką zaciśniętą na linie cumowniczej. Warkot silnika nasilał się. W chwili, gdy samolot leciał pionowym lotem, zanurzyłem się i nie wypuszczając liny, okrążyłem dziób łodzi, by dotrzeć do burty z przeciwnej strony. Jeśli pilot zobaczy dryfującą łódź, natychmiast o tym zamelduje. Miałem nadzieję, że zdążę dopłynąć do brzegu, zanim sprawdzi to jakiś kuter patrolowy. Samolot przeleciał dwa razy, przez co musiałem dwukrotnie zmieniać burte, nie przestając dygotać z zimna w wodzie. Warkot słabł. Odczekałem jeszcze pięć minut, potem ociekając wodą, wdrapałem się na mój mały stateczek i drżąc z zimna, zacząłem wiosłować najszybciej, jak mogłem.

Dzięki prądowi po godzinie dotarłem do centrum archipelagu, gdy na jasnym niebie, nad widocznym w oddali francuskim wybrzeżem wschodziło już słońce. Wyszukałem zatoczkę o urwistych brzegach i przycumowałem po stronie przeciwległej do porannego światła. Moja łódź była pomalowana na czarno. W cieniu skały nie będzie jej można dostrzec z powietrza.

W głębi wysepki, na stromym wzniesieniu, dominującym nad długim, piaszczystym wybrzeżem, była wciśnięta mała osada z granitu. Na wodzie przed miniaturową wioską nie zauważyłem żadnej łodzi: nie było też ludzi. Wspiąłem się na wzniesienie, wszedłem po schodach do największego domu i wyważyłem drzwi. Znalazłem się w salonie, gdzie przed dobrze wyczyszczonym kominkiem stał drewniany stolik i dwa ratanowe fotele. Z tyłu była nieduża kuchenka, a na piętrze dwa maleńkie pokoiki. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny, a na białych ścianach widniały plamy wilgoci. Przysunąłem fotel do okna i siadłem twarzą do morza. Musiałem uzbroić się w cierpliwość i opanować trwogę w sercu, mając świadomość, że Noor nadal kroczy w dolinę cieni.

Czekałem cały dzień wśród wrzaskliwych mew i szumu fal, obserwując poziom przyływu, wpatrując się w południowy horyzont i licząc godziny. Daremnie. W nocy dobrze spałem w wąskim łóżku i wilgotnej pościeli, którą znalazłem w małej szafce. Wreszcie następnego dnia, na godzinę przed przyływem pojawił się jakiś statek. Był to rybacki kuter poławiaczy homarów. Słońce stało już wysoko na niebie, a błękitne morze falowało wśród otoczonych pianą skał. Z mego punktu obserwacyjnego zobaczyłem mały statek w kolorze turkusowym, z białą drewnianą nadbudówką, który sunął po zwierciadle morza i ostrożnie wpłynął między skały. Na bakburcie dojrzałem duży kołowrót napędzany pasem transmisyjnym od silnika. Był to mechanizm, pozwalający podnosić klatki na homary z dna zatoczek. Już przedtem zauważyłem przed domem kauczukowe pływaki, unoszące się na powierzchni zielonej wody. Wiedziałem, że są przywiązane liną do stalowych klatek umieszczonych na dnie dziesięć lub piętnaście metrów niżej; w klatkach tych były lejkowate otwory, przez które homary wpadały w pułapkę. Dwa lub trzy razy ojciec zabrał mnie tu żaglówką w czasie naszych peregrynacji po Wyspach Normandzkich. Obserwowałem wówczas pracę przybyłych z Francji poławiaczy homarów, którzy użytkowali to łowisko wspólnie z mieszkańcami Jersey.

Statek zarzucił kotwicę pod domem w środku zatoczki. Potem rybak wziął do ręki długi bosak i przyciągnął do burty pierwszą boję. Okręcił linę wokół kołowrotu i zaczął podnosić skrzynkę. Kiedy skończył, spokojnie wyszedłem z domu. Rybak znieruchomiał. Domyślałem się, że na jego twarzy widnieje zdumienie. Widziałem, że rozgląda się wkoło, szukając wzrokiem jakiejś łodzi. Podniosłem rękę, by go uspokoić, potem bez pośpiechu podszedłem do mojej łodzi ukrytej w cieniu skały, odczepiłem ją i zacząłem wiosłować w jego stronę. Gdy znalazłem się w zasięgu głosu, krzyknął:

- Stój! Zatrzymaj się! Czego chcesz? What do you want?
- Jestem rybakiem. Zostawili mnie tutaj.
- Skąd jesteś?

Spodziewałem się tego pytania. Miałem jedną szansę na cztery. Jeśli zna port, który wymienię, zdemaskuje mnie. Na dnie łodzi położyłem przy nogach stena i przykryłem go jakąś szmatą. Moja łódź zbliżała się do kutra poławiacza homarów. Jeśli mi nie uwierzy, byłem zdecydowany użyć siły.

— Z Carteret!

— Jak się nazywasz? Od jakiego jesteś armatora?

— Kapitan Delassus! Od Henocka!

Były to nazwiska dwóch francuskich rodzin, które poznałem w 1938 roku podczas wycieczki na Jersey z ojcem, kiedy cumowaliśmy burta w burtę w porcie Saint-Helier. Przynajmniej nazwiska były z tych stron.

— Delassus z Villedieu?

— Tak — zaryzykowałem.

— Co się stało?

— Karciany dług. W ubiegłym tygodniu graliśmy całą noc. Jeden facet oszukiwał. Przyłapałem go. Wszyscy byli w zмовie. Wywieźli mnie tutaj i zostawili. Teraz muszę jakoś wrócić!

Historia była nieprawdopodobna. Nie potrafiłem wymyślić nic lepszego. Ale kiedy wymieniłem nazwisko Delassus, rybak nabrał zaufania. Widziałem jednak, że się waha.

— Mogę ci pomóc podnosić skrzynki — powiedziałem.

— Dobrze. Wskakuj!

Rzuciłem mu linę cumowniczą, którą okręcił wokół stalowego pachołka. Podałem mu swoją walizkę i wskoczyłem na pokład, odpychając się nogą od ławeczki w mojej łodzi. Łódź zakołysała się i szmata przykrywająca stena spadła.

— Hej, zaczekaj! A co to takiego?

Przeniósł wzrok z moich rąk na stena. Chwycił duży nóż, leżący w widocznym miejscu na pokrywie silnika, i zaczął iść w moim kierunku. Zrobił krok ku burcie, pochylił się nad łodzią i popatrzył na stena.

— To angielski pistolet maszynowy! Tak właśnie myślałem. Przybywasz z Anglii!

— Tak.

— Nie mogłeś powiedzieć od razu, kretynie?

Leżąc obok siebie w wielkim łóżku, Noor i Violetta gawędziły jak dwie pensjonarki. Wracały z placu de l'Alma. Noor napisała sprawozdanie z posiedzenia Rady Krajowej, a potem, kiedy przywódcy Ruchu Oporu rozeszli się, natychmiast nadała streszczenie z obrad, zredagowane wspólnie z nowym szefem podziemnego ruchu, Georges'em Bidault. Violetta i Darbois zostali na dole, jedno w holu budynku, drugie na przeciwległym chodniku, na rogu alei Marceau, by ochraniać

zebranie. Inni uzbrojeni agenci stali na sąsiednich ulicach, by zapobiec wtargnięciu niepowołanych osób. Obrady były długie i burzliwe. Gaulliści chcieli ustanowić zwierzchnictwo Generała nad krajowym Ruchem Oporu. Szykowali się do objęcia władzy po zakończeniu wojny. Przede wszystkim zaś de Gaulle potrzebował tej gwarancji, by pokonać Girauda w bezwzględnej walce, jaką ten prowadził w Algierze, i zapewnić sobie hegemonię nad wolną Francją. Roosevelt popierał Girauda, Churchill zaczynał uważać, że de Gaulle staje się zdecydowanie zbyt samodzielny. Podziemne organizacje pragnęły zachować niezależność; komuniści starali się popierać własną jednolitą organizację, Front Narodowy. W końcu ludzie najbardziej politycznie wyrobieni zrozumieli, o co toczy się gra. Uznali, że zgrupowanie się wokół de Gaulle'a położy kres manewrom Girauda, którego mieli za zbyt konserwatywnego i zbyt bliskiego Amerykanom, a jednocześnie zmniejszy ryzyko, że po zwycięstwie władzę obejmą komuniści. Noor przekazała do Londynu jednolity tekst, w którym zebrani zgodnie poparli de Gaulle'a, w zamian za daną przez Generała obietnicę, że zaangażuje się na rzecz idei republikańskich i reform społecznych. Potem obie kobiety wsiadły do metra, Noor z walizką z radiostacją, Violetta z ręką na pistolecie. Były bardzo zmęczone, bo spały w małym pokoiku, gdzie było tylko jedno łóżko.

— Jak robi się w Niemczech dzielenie? — spytała Noor.

— Jak to dzielenie? — spytała Violetta.

— Dzielenie. Działanie matematyczne zwane dzieleniem. Jak dzieli się jedną liczbę przez drugą?

— Ale... dlaczego o to pytasz?

— Mam pomysł, co zrobić jutro.

— Pickersgill i MacAlistair?

— Tak. Przysyła ich Blainville. Nie ufam mu.

— Co ma wspólnego jedno z drugim?

— Zaraz ci wyjaśnię. Jak Niemiec robi dzielenie?

Noor wyrwała z notesu kartkę i podała ją Violetcie wraz z ołówkiem. Violetta nie rozumiejąc, do czego zmierza przyjaciółka, zrobiła dzielenie.

— Jesteś pewna?

— Tak. Chodziłam do szkoły na Węgrzech. Wiem, że metoda jest taka sama jak w Niemczech. W pierwszej linijce pisze się dzielną, w linijce pod spodem dzielnik, a wynik na prawo nad resztą.

— Świetnie. Anglosasi przeciwnie, umieszczają dzielną po prawej, a dzielnik po lewej stronie. Przyda się...

Kuter poławiacza homarów płynął wzdłuż archipelagu Chausey. Po prawej stronie zostawił wieżyczkę Pignon i wziął kurs na latarnię morską w Roc, gdzie

Niemcy zbudowali dwa bunkry, jeden na północ od wzniesienia, drugi na południe, nad portem.

— Jesteśmy o czasie — powiedział Samoel.

Przez cały dzień podnosiliśmy skrzynki na Ecrehous, potem popłynęliśmy na południe, w stronę Granville, macierzystego portu Samoela, rybaka, który sprzyjał Ruchowi Oporu. Podobnie jak jego koledzy wiedział, że pływają tu statki SOE. Ale rozumiało się samo przez się, że nikt nigdy nie wyda owych nocnych podróży. Większość rybaków nadal uprawiała swój zawód. Tylko rybacy z Sein i Molene już w 1940 roku zabrali się do Anglii. Pozostali powiedzieli sobie, że trzeba jakoś żyć. Ale w przeciwieństwie do wielu innych ta grupa zawodowa była nastawiona patriotycznie. Samoel postanowił zawieźć mnie do Granville. Trzeba było jednak oszukać niemieckie kontrole.

— Zapada zmierzch — powiedział rybak. — Trzeba teraz minąć mola. Obowiązuje zakaz żeglugi nocą. Ale jeśli będzie pół godzinki opóźnienia, przymkną oko. Kiedy dopłyniemy, będzie już całkiem ciemno. To wszystko ułatwi. Jak minieme bunkier i dostatecznie zbliżymy się do brzegu, znajdziemy się w martwym polu widzenia posterunków. Ani z mola, ani z bunkra nie będą mogli nas zobaczyć. Wtedy wsiądziesz do swojej łodzi i odcepię cię. Opłyniesz pierwsze molo i wejdiesz do starego portu. Wartownik będzie patrzył na mnie. Nie przyjdzie mu do głowy, by spojrzeć w dół z mola.

— OK. Dziękuję za wszystko. Samoel podał mi szklaneczkę calvadosu.

— Kropnij sobie, to nie ostatni kieliszek skazańca, ale rozgrzewka.

Włożyłem wszystkie swoje rzeczy do wielorybniczej łodzi, którą holował kuter. Dwa razy spotkaliśmy niemieckie kutry patrolowe, których załogi pozdrawiały nas ruchami rąk. Przez trzy lata okupanci i rybacy przyzwyczaili się do siebie. W tej części La Manche między Wyspami Normandzkimi i brzegiem panował spokój. Niezwykle silne umocnienia na Jersey i Guernesey były niczym bastiony wysunięte w stronę Mont-Saint-Michel. Odpędzały samoloty RAF-u. SOE wysadzała swych agentów bardziej na zachód, w Bretanii. Czujność Niemców osłabła.

Kuter zbliżał się do Roc, wysuniętego na zachód cypla, na którym nad zatoką osłoniętą od północnych i zachodnich wiatrów zbudowano pierwsze portowe doki. Z niewielką szybkością, płynąc blisko skarpy, minął cypel tuż pod latarnią morską i bunkrem. Teraz zrobiło się już zupełnie ciemno. Samoel zapalił światła pozycyjne. Moja łódź wielorybnicza, którą holował, od razu stała się niewidoczna.

— W porządku — powiedział, spoglądając do tyłu — już nas nie widzą. Masz najwyżej dwie minuty!

— Dobrze powiedziane! Niech Bóg ma cię w swej opiece — powiedziałem. — Niech żyje Normandia!

— Słusznie. Precz z Jersey!

Wskoczyłem do mojej łodzi. Rybacy z Normandii i z Jersey nieustannie darli koty o łowiska. Normandczycy musieli mieć poczucie interesu narodowego wysokiej próby, by ocenić wrogów i uznać, że Anglicy są mniejszym niebezpieczeństwem niż Niemcy. Samoel odczepił linę holowniczą i rzucił mi ją, ani na moment nie zmniejszając szybkości swego kutra. Zacząłem wiosłować jak wariat w stronę mola, którego ciemny masyw wznosił się nade mną. Była niewielka szansa, by wartownicy, z oczami utkwionymi w światła kutra, dostrzegli małą ciemną plamę łódki, mknącej do brzegu. Dotarłem do stóp mola, gdzie fale rozpryskiwały się o granitowe kamienie, podnosząc grzywy piany. Skręciłem prostopadle do ściany, w stronę wieżyczek przy wejściu. Wystarczyło, by któryś z wartowników wychylił się, a zobaczyłby mnie. Ale ich uwaga musiała być skierowana na wpływający do portu kuter poławiacza homarów. W ciągu pięciu minut byłem przy wejściu do portu, kiedy morze zaczynało się już cofać. Przekroczyłem krąg czerwonego światła wysyłanego przez latarnię przy wejściu po lewej stronie. Trzydzieści metrów dalej, na końcu drugiego mola, błyskało także zielone światło. Samoel powiedział mi o kamiennych schodkach, które schodzą nad samą wodę po wewnętrznej stronie mola. Tam właśnie przycumowałem łódź i rzuciłem torbę na lśniące stopnie, które prowadziły w górę. Wyjąłem komandoski nóż i młotek, który zostawił mi Samoel. W niecałą minutę zrobiłem dwie dziury w dnie łodzi. Zaczęła nabierać wody. Wskoczyłem na stopnie, potem odepchnąłem łódź najdalej, jak mogłem. Szybko odpłynęła dziesięć metrów, a potem zwalniała, nabierając wody. Znajdą ją w mule podczas odpływu. A ja będę wtedy daleko stąd.

Chwyciłem torbę i ostrożnie wszedłem na molo. Na jego końcu, koło latarni, stał żołnierz i patrzył w morze. Znajdowałem się pięćdziesiąt metrów za nim. Skierowałem się w głąb portu, a on w ogóle nie zareagował. Kiedy dotarłem do początku mola, moim oczom ukazał się piękny widok: w dole, w doku remontowym, zobaczyłem znajomy podłużny kadłub z nadbudowaną małą wieżyczką przykrytą dużą plandeką, zasłaniającą ją przed samolotami rozpoznawczymi. Był to U-Boot, którego widziałem dwie noce wcześniej, zanim zaczęła na nas polować kanonierka. Było to ważne odkrycie. Niemcy nie mogli naprawić łodzi podwodnej w Saint-Malo niewątpliwie dlatego, że tamtejsze stocznie były zawałone robotą. Doholowali ją do Granville, gdzie zajęła się nią inna ekipa remontowa. Szedłem szybko, korzystając z faktu, że wartownik był do mnie zwrócony tyłem.

Szybko podjąłem decyzję. Co tu dużo gadać: jadąc na ratunek Noor, skrewiłem. Ale mój gest był logiczny: nie mogłem przejść obojętnie obok łupu tak ważnego dla Navy. Byłaby to zdrada. Musiałem załatwić tę cholerną łódź podwodną nawet za

cenę utraty dwóch lub trzech dni. Noor będzie jeszcze bardziej narażona na aresztowanie. Jednak nie miałem wyboru. Przycupnąłem za stertą pustych skrzynek, cuchnących zeschniętymi skorupiakami, i zacząłem obmyślać plan.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

I tym razem pojawienie się Noor sprawiło, że rozmowy umilkły. Mężczyźni odwracali głowy, a kobiety obrzucały ją zazdrosnym lub pełnym podziwu spojrzeniem. Na tarasie Cafe Flore, na brzegu bulwaru wymiecionego z samochodów, siedziało sporo ludzi. Dzwonnica kościoła Saint-Germain-des-Pres rysowała się na tle wrześnieowego nieba usianego małymi chmurkami. Noor pchnęła ciężkie, oszklone drzwi i weszła do kawiarni. W głębi sali czekało na nią dwóch Kanadyjczyków. Pickersgill był młodym blondynem o rzadkich włosach i roześmianych niebieskich oczach, MacAlistair nosił krótką bródkę, która równoważyła przedwczesną łysinę.

— Dzień dobry — powiedziała Noor — jestem Aurora. Obydwaj mężczyźni wstali i przedstawili się.

— Dziękujemy, że zechciała pani przyjść — rzekł Pickersgill. — Utknęliśmy w Paryżu. Bez pani pomocy jesteśmy bezradni...

— Byliście w Holandii?

— Tak, ale nie mogliśmy tam zostać dłużej. Musieliśmy się szybko zwinąć. Znaliśmy tylko Blainville'a. Przez niego dotarliśmy do pani...

— Jest w Paryżu?

— Tak. Właśnie wrócił z Londynu. Dostał nowe instrukcje. Na razie zawiesił działalność. Ukrywa się. Bywa tylko godzinę dziennie w kawiarni swojej żony, przy ulicy Saint-Andre-des-Arts. Po wpadce Prospera jest ostrożny...

— Widzę, że wprowadził panów w nasze kłopoty...

— Z grubsza. Nie może nas wywieźć do Anglii. Będziemy musieli skorzystać z siatki Cinema. Blainville powiedział, że może się pani z nią skontaktować...

Po chwili wahania Noor rzekła:

— Tak, mogę. Ale będzie to wymagało trochę czasu. Wrócimy do tego. Chcecie wysłać wiadomość i nie macie radiostacji?

Odpowiedział jej Pickersgill, który był radiotelegrafistą.

— Skonfiskowali ją nam w Holandii. Ale zanim wpadła w ręce gestapo, udało mi się ją uszkodzić.

Dwa stoliki od nich, na ławeczce obitej czerwoną skórą, usiadł jakiś samotny mężczyzna. Noor obrzuciła go spojrzeniem.

— Musimy coś nadać — ciągnął Pickersgill. — To raport z naszej działalności w Holandii, dość długi.

— Macie tekst przy sobie? Mogę go zaraz zabrać, będzie prościej.

— Tak. Proszę, oto on. MacAlistair wyjął kilka kartek.

Noor zauważyła spojrzenie mężczyzny, siedzącego samotnie na ławeczce, który na moment odwrócił się w ich kierunku. Wzięła kartki.

— To długi tekst — powiedziała. — Policzę go, chciałabym wiedzieć, czy trzeba będzie nadawać parę razy. Moja radiostacja jest jedyna w Paryżu i mam dużo pracy. Zsumowała litery i linijki, a potem liczyła w pamięci.

— Co najmniej trzy godziny transmisji! — powiedziała. — Nie można trochę tego skrócić?

Oceniając czas transmisji, popełniła błąd w obliczeniach. Jeśli Pickersgill nie poprawi jej, nie jest radiotelegrafistą. Ale nie dał się nabrać.

— Niemożliwe — powiedział z uśmiechem. — To nie mogą być trzy godziny.

— Proszę poczekać, policzę jeszcze raz.

Noor otworzyła notes i powtórzyła obliczenia, tyto razem na piśmie. Skończyła i zamknęła notes.

— Tak! Trzy godziny!

— Ale... chyba musiała pani popełnić jakiś błąd. Nie może pani nadawać tak wolno. — Pickersgill niecierpliwił się.

Noor wydarła z notesu czystą kartkę i podała mu ją wraz z ołówkiem.

— Niech pan policzy sam. Nadaję dwadzieścia cztery słowa na minutę. Nie ma mowy o omyłce.

Zdenerwowany oczywistym błędem wziął ołówek i zaczął liczyć sam. Pomnożył liczbę linijek przez liczbę słów w każdej z nich, potem sumę podzielił przez 24. Noor nie odrywała oczu od papieru, na którym pisał. Zamiast umieścić podzielnik w tej samej linijce co dzielną, Pickersgill wpisał go linijkę niżej.

Odsunęła krzesło do tyłu i wstała. Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła pistolet.

— Nie jesteście żadnymi Kanadyjczykami! Blainville znów chciał mnie złapać. Nie ruszać się!

Klienci patrzyli na nią. Kelnerzy stanęli. Pickersgill i Mac-Alistair siedzieli jak sparaliżowani. Noor wolno cofnęła się i zaczęła zbliżać się do wyjścia. Mężczyzna, siedzący na ławeczce, wyjął broń. Noor zauważyła to i wzięła go na muszkę.

— Odłóż to!

Mężczyzna usłuchał. Dwaj fałszywi Kanadyjczycy wstali. Noor celowała teraz w nich z wyciągniętej ręki, która drżała.

— Uwaga! Będę strzelać! Nie ruszać się!

Dwóch klientów weszło z tarasu do kawiarni i zaczęło zachodzić ją od tyłu. Poczula czyjaś obecność i odwróciła się. Dwaj mężczyźni zastygli bez ruchu. Ale skorzystali z tego Kanadyjczycy i podeszli bliżej. Kleszcze się zaciskały. Reszta klientów patrzyła na tę scenę w osłupieniu.

— Niech pani odda pistolet — powiedział jeden z mężczyzn.

— Odsuń się, bo będę strzelać!

Jej głos stracił teraz na pewności. Noor bała się. Wiedziała, że nie strzeli. Czterej mężczyźni wolno podchodzili do niej.

W tym momencie z drugiego końca sali, od strony kręconych schodów, prowadzących na pierwsze piętro, rozległ się zdecydowany głos.

— Nie ruszać się!

Violetta Laszlo wstała. Wycelowała stena w grupę. Mężczyzna z ławeczki, częściowo ukryty za kolumną, sądził, że go nie widzi, i sięgnął po broń. Przeszyła go krótka seria. Osunął się na stół, brocząc krwią. Kilku klientów krzyknęło. Inni schowali się pod stoły.

— Noor, wiejemy!

Wycofały się z kawiarni tyłem, z bronią wycelowaną w salę. Na bulwarze czekał na nie citroen. Wsiadły każda innymi drzwiczkami i samochód ruszył. Nadbiegli trzech policjanci i otworzyli ogień. Na próżno. Citroen skręcił w ulicę de Rennes i znalazł się poza jego zasięgiem.

— Znów się wam wymknęła! To chyba jakieś fatum! Na dodatek mamy zabitego.

Goetz złorzeczył, chodząc szybkim krokiem po swym gabinecie w alei Focha.

— Nasi ludzie świetnie się sprawili — powiedział Peter. — Została otoczona. Ja byłem na tarasie z Hansem. Nas czterech na nią jedną. Nie było problemu. Ale nagle wstała, nie wiem dlaczego...

— Wstała, bo udało jej się sprowokować tego kretyna do wykonania dzielenia — rzekł Goetz. — Ależ do jasnej cholery, to elementarne rzeczy! Wszyscy u nas wiedzą, że działania arytmetyczne wykonuje się różnymi metodami w różnych krajach! Ciągłe się tym posługujemy do demaskowania Anglików. Prosimy, by coś podzielili lub pomnożyli. Robią to inaczej niż Francuzi. My zresztą też. Wykołowała was. Jest bardzo sprytna. Nie docenicie jej!

— Przecież naszym agentom udało się ją oszukać...

— Tak im się zdawało! Za wszelką cenę musimy ją złapać.

To ostatnia radiotelegrafistka pracująca dla SOE w regionie paryskim. Jeśli wpadnie w nasze ręce, nie będą mieli nikogo przez ładne parę tygodni. Mamy dużą szansę, by ich wykiwać, bo wokół niej zostało już mało ludzi. Jeśli zrobimy to umiejętnie, możemy ją „odwrócić” przeciwko Baker Street.

— Wiem, Herr Ober, wiem...

— A ta dziewczyna, która strzelała z pistoletu maszynowego! Skąd się wzięła? Po naszej stronie mamy zabitego agenta, a nikogo nie aresztowaliśmy! Boemelburg będzie zachwycony! Blainville powiedział nam, że ta Aurora jest całkiem sama. Akurat! Miała ochronę i szofera.

— Tak. Teraz już nie będzie ufała Blainville'owi. Dotąd udawało mu się uchodzić za niewiniątko. Teraz znów jest podejrzany... Zdaje się, że nasi ludzie popełnili kolejną gafę!

Goetz stanął. Zwrócił czerwoną twarz w stronę Petera, jego oczy miały błyskawice.

— Co takiego? Jeszcze jedną? — Aż kipiał z wściekłości.

— Tak — rzekł Peter. — Aby uwiarygodnić swą historię, powiedzieli dziewczynie o kawiarni Blainville'a i podali godziny, kiedy w niej bywa.

— Chyba odebrało im rozum!

— Nie, zrobili to celowo. Ona zna Blainville'a. Podając te szczegóły, chcieli udowodnić, że należą do siatki.

— Do diabła! W chwili obecnej Blainville jest naszym najcenniejszym agentem. Trzeba go chronić! Podali jego zamiary dziewczynie, która zabiła naszego człowieka, zdemaskowała Blainville'a i dwukrotnie nam uciekła.

— Pewnie i tak je znała...

— Nie, sądziła, że Blainville przebywa w Anglii. Teraz wie, że jest w Paryżu. To niebezpieczne, bardzo niebezpieczne...

— Blainville nie zawsze nam pomaga...

— Nie może. Kieffer tego nie rozumie. Pan też, Peter. Jeśli Blainville będzie nam wszystko mówił, przestanie być wiarygodny dla Anglików. Wtedy żaden z niego pożytek. Ten facet wie dużo rzeczy, czuję to. Ma dostęp do angielskiego dowództwa. Pewnego dnia może podać nam decydującą informację. Trzeba go chronić.

— Nic złego się nie stało. Wystarczy, że Blainville zmieni adres.

Goetz wyszedł z siebie.

— Nie może, jego żona prowadzi kawiarnię! A jeśli zmieni adres, Anglicy będą się mieli na baczności.

— Ale czego się pan boi?

— Ta dziewczyna jest niebezpieczna. Może uderzyć w Blainville'a. Teraz jest pewna, że ją zadenuncjował. Nie zawaha się go sprzątnąć albo spowoduje, że zrobi to ktoś inny. Peter, udało im się zabić naszego agenta i uciec w samym centrum Paryża. To zawodowcy z prawdziwego zdarzenia.

— Tak... Rzeczywiście ma pan rację.

Goetz zaczął nakręcać swój zegar z kukułką. Doszedł do samego końca sprężyny. Odwrócił się i stał nieruchomo, wpatrując się w Petera.

— Mam pomysł! Ta dziewczyna zna adres kawiarni i godzinę, o której Blainville tam bywa, prawda?

— Tak.

— Może uda nam się jeszcze naprawić wasz błąd...

W małym pokoiku przy bulwarze Richard-Wallace Noor siedziała na kanapie, obitej wytartym materiałem, i patrzyła na Violette, która poprawiała makijaż w lusterku usianym czarnymi plamami. Ona też aż kipiała ze złości.

— Te łobuzy o mało nas nie złapały! To Blainville, znów Blainville, ciągle Blainville! Ale kiedy ci z Londynu zrozumieją?

— Niemców mógł poinformować ktoś inny — powiedziała Violette. — Najwidoczniej gestapo infiltrowało całą siatkę Prospera...

— Ależ nie, Violetto! Vienet mówił mi o dwóch Kanadyjczykach przysłanych przez Blainville'a. A ci dwaj Kanadyjczycy to ludzie gestapo. Mam pełne zaufanie do Vieneta. Wiem, że jest pewny. To Blainville. Trzeba go unieszkodliwić. Praca w tych warunkach jest zbyt niebezpieczna.

— Jednego zlikwidowałyśmy. Chociaż tyle.

— To prawda. Ale dlaczego strzełaś?

— Chwycił za pistolet. Musiałam go rozwalić. Noor, twój pacyfizm cię zgubi.

— Nawiasem mówiąc, jestem coraz mniej pacyfistyczna... Violetto, mam dobrą informację.

— Jaka?

— Codziennie koło dziewiątej rano Blainville przychodzi do swojej kawiarni.

— Ma kawiarnię?

— Tak. Kupił ją na spółkę z żoną. To przykrywka, zapłaciło za nią SOE. Wiem to wszystko od Johna. Znajduje się na rogu ulic Saint-André-des-Arts i Git-le-Coeur.

— No i co z tego?

— To, że możemy go zlikwidować.

— Zabić go? Noor, co za ewolucja!

— To szkodnik. Uratujemy dużo ludzi...

— Nie przeczę. Mamy rozkaz zabijania zdrajców. To podstawowa zasada... Ale trzeba zawiadomić Londyn.

— Powiedzą nam, że Blainville jest człowiekiem godnym zaufania.

— Nie możemy bez rozkazu zlikwidować agenta SOE.

— Mamy dowód, że zdradził. Czego więcej trzeba?

— Rozkazu.

— Będziemy tracić czas. Zniknie.

— Nie. Możemy porozumieć się z Londynem. A tymczasem zlokalizować Blainville'a. Potem ich powiadomimy.

— Violetto, on jest zdrajcą. Trzeba go zlikwidować. John mnie nauczył, że nie wolno się wykręcać.

- Jeśli jest zdrajcą, sama go zlikwiduję.
- Zaczniemy od razu — powiedziała Noor, wstając.
- Musimy być ostrożne. Blainville ma się na baczności. Trzeba go wyśledzić, tak by się nie zorientował.
- Mogę się tym zająć, znam Blainville'a. Co do reszty, liczę na ciebie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Pociągnąłem żołnierza do tyłu, zatykając mu usta ręką, potem wymierzyłem mu mocny cios nożem od dołu do góry. Ostrze weszło aż po rękojeść. Wyciągnąłem nóż, ale nadal trzymałem żołnierza ręką. Nie krzyczał. Stał, tkwiąca w jego plecach, przeszła klatkę piersiową. Wiedziałem, że przebiła tętnicę, może serce. Krew zalała mu płuca i nie docierała już do mózgu. Żołnierz stracił przytomność. Osunął się powoli. Przytrzymałem go, wsunawszy mu prawą rękę pod ramię i nie zdejmując lewej z jego ust, spokojnie położyłem go na ziemi. Za dwadzieścia sekund będzie martwy.

Przez dziesięć minut czołgałem się w trawie centymetr po centymetrze, by się do niego bezszelestnie zbliżyć. Z wysokości dwudziestu metrów niedbale wpatrywał się w morze. Stał na warcie na południe od cypla w Roc, przed bunkrem, który Niemcy zbudowali poniżej latarni morskiej. Nie odwrócił się, gdy się zbliżałem, w przeciwnym razie musiałby mnie dostrzec w świetle księżyca. Przywarłem w ciemnościach do ziemi, mój komandoski nóż, tkwiący w pochwie, przytwierdziłem do uda. Sto razy powtarzałem ten ruch na treningach. Żołnierz umarł nieświadomy tego, co się dzieje.

Skierowałem latarkę do tyłu. Błysnąłem jeden raz. Cztery czarne sylwetki oderwały się od stoku i pospieszyły do bunkra. Usłyszałem suchy szcęk welrodów z tłumikiem. Dwaj żołnierze, stanowiący załogę bunkra, musieli spać. Oni też umarli w ciszy. Jeden z ludzi Cowburna zawlókł ciało wartownika do bunkra. Zaczął ściągać z niego mundur, by przebrać się i zająć jego miejsce. W dole widać było spokojną tafłę wody w porcie, odbijającą światło księżyca. Trwał przypływ i morze stopniowo wypełniało pierwszy basen. Drugi, od strony miasta, zamykała śluza. U naszych stóp, na początku mola, wzdłuż którego dwa dni temu płynąłem nocą na wiosłach, był wydrążony w skale dok remontowy. Trawlery do remontu wpływały do niego w porze przypływu, a potem, kiedy woda opadła, osiadały na dnie. Podczas odpływu, dzięki szpalerom wykutych w skale stopni, na których robotnicy mogli pracować pod kadłubem statków, dok przypominał owalny amfiteatr. Na miejscu trałowców stał teraz U-Boot. Był tu, dokładnie pod nami, okryty dużą, ciemną plandeką.

Musieliśmy wyeliminować jeszcze jednego wartownika, a potem pokonać zasieki z drutu kolczastego. Opanowaliśmy bunkier północny, leżący po drugiej stronie cypla, koło kasyna. Pozostawiliśmy za sobą dwóch przebranych wartowników, którzy mówili po niemiecku. SOE dawno już dostarczyło Cowburnowi zdobyte przez Ruch Oporu plany robót (mniej więcej takich samych wzdłuż całego wybrzeża) i procedury ochrony, stosowane przez Niemców na Wale

Atlantyckim. Nasi ludzie, którzy zajęli miejsce zlikwidowanych przez nas wartowników, z powodzeniem ich zastąpią przez godzinę lub dwie, gdy my będziemy zajęci przy U-Boocie.

Znalazłem Cowburna przez skrzynkę kontaktową Garry'ego w Dreux. Przedstawiłem mu całą sprawę i wspólnie sporządziliśmy plan ataku. Portu w Granville strzeżono z dwóch stron. Przejście przez miasto było niemożliwe ze względu na silne umocnienia. Ale jeśli się okrążyło cypel w Roc od północy, obok kasyna, można było dotrzeć do portu, przechodząc pod latarnią morską, jak gdyby wychodziło się z morza. Stały tam dwa bunkry z działami wycelowanymi na otwarte morze. Unieszkodliwiając je, otworzylibyśmy sobie możliwość przejścia przez umocnienia. Niemcy nie przypuszczali, że atak może nastąpić z tej strony. Granville leżało w głębi zatoki Mont-Saint-Michel. Aby tam dotrzeć, wroga flotylla musiałaby zbliżyć się do Wysp Normandzkich, których olbrzymie działa były zdolne zatopić każdy okręt. Bunkry zbudowano w Granville na wszelki wypadek.

Gdy na nabrzeżu, u stóp cypla w Roc, Cowburn i Garry zbliżali się do ostatniego wartownika, ja położyłem się w trawie na trasie przemarszu patrolu, która biegła w połowie stoku. Wyjąłem lornetkę i położyłem przed sobą stena. Ubezpieczałem ich na wypadek, gdyby od strony miasta nadszedł jakiś patrol. Gdyby pojawiły się jakieś problemy, miałem wezwać Cowburna przez talkie-walkie. Zacząłem obserwować przez lornetkę port oświetlony blaskiem księżyca, którego blade odbicie widziałem w morzu; wszędzie panował spokój. Wartownik, stojący na końcu mola od strony otwartego morza, również wpatrywał się w dal. Widziałem go, gdy płynąłem łodzią wielorybniczą. Czerwone światło lampy przy wejściu do portu oświetlało go pulsacyjnie i odbijało się w wodzie. W pierwszym basenie stało kilka statków handlowych i trawlerów, burta w burtę przed ciemną halą targową. Za basenem zobaczyłem inny, słabo oświetlony posterunek otoczony barierami i drutami kolczastymi, które zagradzały drogę do miasta. Panował zupełny spokój.

Zawróciłem w stronę nadal ciemnego, opustoszałego portu i wartownika. Znieruchomiałem. W czerwonym świetle latarni moją uwagę zwrócił pewien szczegół. Wyregulowałem lornetkę na lustro wody pod mołem. Zaintrygowany, potem zafascynowany zauważyłem mały, ruchomy ślad na wodzie w pierwszym basenie. Ślad, którego na pewno nie pozostawił statek. Wybałuszyłem oczy. Nie było wątpliwości. Taflę wody przecinała smuga pęcherzyków powietrza. Smugę tę wytworzyło powietrze wydobywające się z butli przypiętych do skafandrów: w porcie pływali ludzie-żaby.

— Cowburn — powiedziałem przez talkie-walkie. — Mamy problem.

— Co takiego?

— Proszę tu przyjść. Koniecznie.

— Sutherland, co pan opowiada?

— W porcie dzieje się coś, co zmienia wszystkie nasze plany.

— Co takiego?

— Proszę przyjść. Koniecznie.

Cowburn zjawił się za pięć minut, a za nim Garry i trzeci dywersant. Położyli się w trawie nieco dalej i wbili wzrok w posterunek. Podałem Cowburnowi lornetkę.

— Tam, w środku portu — powiedziałem, wskazując ręką. Skierował lornetkę na spokojną wodę.

— Co to może być?

— Ludzie-żaby. Zbliżają się do U-Boota.

— Co tu robią?

— Moim zdaniem chcą zrobić to samo co my. Prawdopodobnie Birkin i Slocum wysłali raport. Któryś z samolotów musiał wykryć U-Boota. Postanowili wysadzić go w powietrze. Nadarzyła się okazja. Są gotowi na wszystko, by zniszczyć każdego U-Boota. Mieli ten sam zamiar co my i wysłali łódź podwodną, która na pewno czeka kilka mil stąd. Ludzie-żaby pływają na tych urządzeniach napędzanych śrubą, poruszających się pod wodą jak wielkie torpedy. Musi ich być czterech, dwóch płynie do U-Boota, a dwóch czeka na zewnątrz na torpedach.

W mojej lornetce pojawiła się czarna, błyszcząca głowa i natychmiast znikła pod wodą.

— Widziałem jednego. Wynurzają się, by sprawdzić, gdzie są.

Wyobraziłem sobie człowieka-żabę sprawdzającego namiary na fosforyzującej tarczy busoli przypiętej do nadgarstka. Znów się zanurzył. Teraz kierował się namiarami, obserwując busolę. Smuga pęcherzyków powietrza zboczyła prosto w stronę łodzi podwodnej.

— Mogli nas zawiadomić! — powiedział Cowburn.

— My ich też nie zawiadomiliśmy.

— Co teraz zrobimy?

— Moim zdaniem nic. Nie możemy się z nimi skontaktować, a dopływają już do U-Boota. Niech pan spojrzy.

Mały ślad zniknął pod plandeką zakrywającą łódź podwodną. Dwóch nurków musiało przymocować do jej kadłuba miny o opóźnionym działaniu.

— Ależ to bez sensu! — powiedział Cowburn. — Ryzykujemy życie, żeby wysadzić w powietrze tę cholerną krypę, a oni robią to przed nami!

— Zaczekajmy, zobaczymy, co będzie dalej.

Po pięciu minutach pęcherzyki powietrza pojawiły się znowu. Dwóch nurków płynęło ku wyjściu z portu. Nakierowałem lornetkę na wartownika.

Żołnierz nie patrzył już na morze. Oparł się łokciem o żelazną barierkę mola i zwrócony twarzą do nas obserwował port. Jego sylwetka rysowała się na tle połyskujących fal.

— Robi się niebezpiecznie! Może zauważyć pęcherzyki powietrza.

— Garry — rzekł Cowburn. — Niech pan weźmie karabin. Wartownik, tam, na pomoście.

Garry wziął karabin. Złożył się i wycelował.

— Mam go w lunecie.

— Proszę czekać na mój rozkaz. Może nic nie zobaczy... Jeśli będziemy zmuszeni, strzelamy, a potem szybko dajemy nogę. — Cowburn odwrócił się do Garry'ego. — Trzeba go zabić. Jeśli pan spuszcza, podniesie alarm. Przeszukają zatokę i złapią nurków.

Cowburn zdjął plecak, położył go przed sobą i wyjął trzy granaty. W lornetce widziałem wartownika, który nadal stał nieruchomo, opierając się o barierkę. Smuga pęcherzyków powietrza zbliżała się do niego coraz bardziej. Aby wypłynąć z portu, nurkowie musieli wejść w światło latarni. Wartownik wyprostował się, a potem pochylił nad czarną wodą. Stał jeszcze chwilę nieruchomo, a potem zrobił krok w prawo, później jeszcze jeden... W świetle dojrzał ślad na wodzie. Szedł mołem i obserwował go.

— Zobaczył ich — powiedziałem. — Zaraz podniesie alarm.

— Ognia! — rzekł Cowburn.

Garry strzelił. W lornetce zobaczyłem, że żołnierza odrzuciło do tyłu aż do przeciwległej barierki. Miał już upaść, gdy Garry strzelił jeszcze raz. Głowa żołnierza poleciała do tyłu. Ciało zachwiało się i znikło po drugiej stronie mola. Musiał spaść parę metrów od ludzi-żab.

Po porcie rozniósł się huk naszych wystrzałów. Nad nami otworzyły się drzwi posterunku i w prostokacie światła ukazał się żołnierz. Odwrócił się ku wierzchołkowi cypla, skąd padły strzały... Cowburn zabił go trzema strzałami z pistoletu. Potem wyrwał zawlecзки z granatów i kolejno rzucił je w otwarte drzwi. Posterunek zawalił się i zaczął płonąć. Garry zwrócił swój karabin z lunetą w kierunku drugiego posterunku, od strony miasta. Wszedł z niego żołnierz. Upadł trafiony przez Garry'ego. Reszta wartowników została w środku. Na pewno telefonowali po posiłki.

— Wiejemy! — krzyknął Cowburn.

Gęsiego ruszyliśmy ścieżką okrążającą cypel w Roc. Kiedy zbliżaliśmy się do bunkra, zadzwonił telefon. Człowiek Cowburna, który zajął miejsce wartownika, wszedł do środka i podniósł słuchawkę.

— Ja, ja — powiedział. — Ich habe sie gesehen. Nein, Oberleutnant, sie will nicht gehen!

Fałszywy Niemiec wyszedł szeroko uśmiechnięty.

— Sądzą, że bunkier nadal należy do nich. Kazali mi pilnować drogi do portu i nie pozwolić uciec dywersantom.

— Doskonale. Idziemy — rzekł Cowburn. — Szybko! Pięć minut później byliśmy już po drugiej stronie cypla, pod kasynem, którego ciemną bryłę widzieliśmy nad sobą. Drugi fałszywy wartownik odebrał podobny telefon, a potem przyłączył się do nas. Wąska droga prowadziła w kierunku miasta. Niemcy sądzili, że dwa bunkry na cyplu zagradzają drogę nieprzyjacielowi. Podstęp Cowburna udał się. Po trzech minutach rozpierzchliśmy się po ulicach Granville i poszliśmy do domów, w których mieliśmy się ukryć. W chwili, gdy wychodziliśmy ze ścieżki obok mola Plat-Gousset, rozległa się potężna detonacja.

— Udało się! — powiedziałem. — U-Boot wyleciał w powietrze. Dobra robota! Umieścili szybkie mechanizmy o opóźnionym działaniu.

— A to dopiero historia! — powiedział Cowburn. — Ale historia!

— Niemcy nic z tego nie rozumieją. Druty kolczaste są nietknięte. Będą się głowili, jak udało nam się podejść do łodzi podwodnej. A ponieważ Garry celnie strzelał, nigdy się nie dowiedzą, że byli tam ludzie-żaby! Chyba się wściekną.

Cowburn, człowiek, który nigdy się nie uśmiechał, wybuchnął śmiechem.

— A nurkowie będą się całe życie zastanawiać, dlaczego jakiś żołnierz wskoczył do wody, kiedy tamtędy płynęli. Mam nadzieję, że nie spadł im na głowę. Ale sukces! Ale historia!

— Niech pan tak nie mówi — odparłem. — Powodzenie tej operacji jest wynikiem doskonałej koordynacji działań obu zespołów. Oto co będziemy opowiadać historykom.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Goetz znów nakręcał swój zegar z kukułką, słuchając Petera. Młody człowiek widział szerokie plecy i czaszkę byłego nauczyciela francuskiego, który po każdym jego zdaniu kiwał potakująco głową.

— Blainville je śniadanie w swojej kawiarni, Le Latin. Podaje mu żona. Nie wiem, czy ma taki zwyczaj, ale wczoraj tak to się odbyło. Najwidoczniej tam sypia. Siada przy oknie i czyta gazetę, pijąc kawę i smarując kromki chleba masłem. W tym miejscu jest łatwym celem.

— Lepiej go o tym nie uprzedzać — rzekł Goetz. — Po co komplikować sprawy. Jeśli się dowie, że jest zagrożony, może się ukryć, i nasz plan spali na panewce. To samo dotyczy reszty. Interesuje nas dziewczyna, Peter. To absolutny priorytet. Potrzebujemy radiostacji. Tym razem nie może być mowy o żadnej wpadce. Zlokalizujemy jej mieszkanie. Kiedy z niego wyjdzie, wkraczamy do środka i czekamy. Muszę mieć absolutną pewność, że się uda. Żadnej strzelaniny na ulicy czy ucieczki kuchennymi schodami.

Goetz skończył nakręcać zegar. Ustawił wskazówkę na pełną godzinę, żeby odezwała się kukułka. Mechaniczny ptak wydał ostry dźwięk. Goetz znów usiadł za biurkiem i spojrział na Petera, który strzepywał jakiś paproch z nogawki spodni.

— Czy dzisiaj rano zauważył pan coś podejrzanego?

— Nie. Nikt się nie zatrzymał. Byli tylko przechodnie, którzy nawet nie rzucili okiem na kawiarnię. Może jeden młody facet, który w przelocie zajrzał do środka. Rano ulica jest wyludniona. Nie ma też klientów.

— Wobec tego nie zrobili jeszcze rozpoznania. Czy można jakoś chronić Blainville'a?

— Tylko pilnować go. Ale nie wiem jak, jeśli się go nie uprzedzi. Trzeba by siedzieć w środku.

— Jeśli się go uprzedzi, stracimy przynętę.

— To prawda. Ale to bardzo skomplikowane. Ulica Gîtle-Coeur dochodzi do ulicy Saint-André-des-Arts. To uliczki, po których rano nikt się nie kręci. Jeśli ktoś stoi w bramie albo przed księgarnią obok... nazywa się Chevreuil albo coś w tym guście... natychmiast go widać.

— Tamci będą mieli ten sam problem. Jeśli nie dokonają rozpoznania bardzo dyskretnie, Blainville ich zauważy. Poza tym wiedzą, że my wiemy. Oczywiście pomyślą, że zastawiamy na nich zasadzkę. Muszą znaleźć jakiś sposób, by rozpoznać teren tak, żebyśmy ich nie zauważyli.

— Więc nie przyjdą. Obejrzą sobie tę ulicę i dojdą do wniosku, że rzecz jest niemożliwa.

— Nie jest to wcale pewne. Będą chcieli pozbyć się zdrajcy. Rozkazy SOE są tu kategoryczne. Likwiduje się zdrajców zaraz po zdemaskowaniu, bez sądu, bez wahania. W zasadzie będą się starali go zabić. A ponieważ wiedzą, że jest w kawiarni o dziewiątej, wybiorą właśnie ten moment. Ale nie mogą przyjść z pistoletem i strzelić do niego. To zbyt niebezpieczne. Muszą najpierw sprawdzić, czy to nie zasadzka, i zabezpieczyć sobie drogę.

— Nie mam pojęcia, jak postąpią — powiedział Peter, rozkładając ręce.

— Mogą prowadzić obserwację z klatki schodowej jednego z domów naprzeciwko kawiarni...

— Nie da rady, sprawdziłem. Są tam trzy budynki wyższe od kawiarni. Jeden jest zamknięty. Nie ma drzwi. Bramy dwóch pozostałych nie wychodzą na ulicę. Trzeba by dostać się do któregoś z mieszkań, co zakłada, że ma się w nim współlnika. Niemożliwe.

— Pomyślał pan o hotelu?

— Hotelu Eugénie? Oczywiście. Ale nie widać z niego kawiarni. To również sprawdziłem.

— Nie, o innym hotelu.

— Innym hotelu? W pobliżu kawiarni nie ma innego hotelu. Goetz z triumfalnym wyrazem twarzy wyjął rulon papieru i rozwinął go przed Peterem.

— Kiedy pan pracował nogami, ja pracowałem głową. Zażądałem planu katastru z Ratusza. Oto parcela na skrzyżowaniu ulic Gît-le-Coeur i Saint-André-des-Arts.

Peter obszedł biurko, by przyjrzeć się planowi.

— He, he — powiedział Niemiec. — Widzi pan ten dom. — Pokazał palcem budynek położony koło kawiarni Blainville'a, nieco na lewo. — Ma kształt litery L. Z tyłu jest ulica Saint-André-des-Arts. Ale z przodu wychodzi na plac Saint-André-des-Arts, tuż przy wejściu do metra. Sprawdziłem w książce telefonicznej. To hotel. Nazywa się La Gentilhomme.

— Czy z tyłu są pokoje?

Goetz odwrócił się i spojrzał na Petera z błyskiem w oku.

— Owszem.

— Bardzo sprytne. Ale może są zajęte.

— Telefonowałem. Są wolne...

— Wiedzą, że my wiemy — powiedział Darbois. — Prawdopodobnie będą pilnowali kawiarni. Kiedy się zjawimy, rzucą się na nas. Przeszedłem tamtędy dzisiaj rano. Blainville siedział przy stoliku. Nie widział mnie. Ale rano te dwie uliczki są praktycznie puste. Kręcił się tam jakiś podejrzany typ, ubrany jak Brummell, który szedł wolno, przypatrując się budynkom. Widział mnie. Jeśli rozstawiają dwóch lub trzech ludzi, na pewno nas złapią.

— Musimy zrobić rozpoznanie — powiedziała Violetta. — Trzeba do niego strzelać z pewnego miejsca, mającego tylne wyjście.

Siedzieli we trójkę u Darbois, na ulicy Joseph-de-Maistre, w folelach pokrytych czerwonym skajem. Gospodarz wyciągnął koniak.

— Derek twierdzi, że jest tam dość pusto — powiedziała Noor. — Natychmiast nas zauważą.

— Trzeba znaleźć jakiś sposób, by dyskretnie zbliżyć się do kawiarni — odpowiedziała Violetta. — Dereka widziano w okolicy, w najbliższym czasie nie może tam się pokazać. Dziś sama tam się wybiorę. Po południu musi być więcej ludzi...

— Nie jest to wcale pewne — rzekła Noor. — Uważaj, Violetto. Już cię znają.

— Wezmę riksę. Kiedy człowiek siedzi w środku, nie zwraca niczyjej uwagi. Poza tym mam pewien pomysł. Derek, czy masz aparat fotograficzny?

Pociąg Granville-Paryż wolno jechał przez normandzką wieś. Pagórki błyszczały w słońcu, a z cienia wyłaniały się doliny. Mgła unosiła się nad polami przegrodzonymi rzędami drzew. Zmęczony nocną akcją, pogrążony w dziwnym stanie między jawą a snem, myślałem o Noor. Nazajutrz po ataku na łódź podwodną wsiadłem w pierwszy pociąg do Paryża. Cowburn pożyczył mi garnitur i krawat i przekazał wiadomości ze stolicy. Dostał zaszyfrowany list od Violetty. Obie z Noor były nadal wolne, aktywne i użyteczne. A więc Noor żyje. Niemcy jej nie złapali. Jeszcze nie. Znów byłem przedstawicielem fabryki maszyn do pisania. Nim wsiadłem do pociągu, dwaj żołnierze sprawdzili moje dokumenty. Były w porządku.

Miałem już przygotowany plan. Podzieliłem się nim z Cowburnem, który mi ufał. Zaakceptował go. We Francji groziło Noor zbyt wiele niebezpieczeństw. Radiostacja Aurora powinna przerwać pracę, chyba że się poświęci radiotelegrafistkę. Na jej miejsce SOE przyśle kogoś innego. Dopóki Blainville przebywa na wolności, stanowi śmiertelne zagrożenie. Natychmiast po przyjeździe na dworzec Montparnasse popędzę do Darbois, a on zaprowadzi mnie do Noor. Jak najszybciej pojedziemy do Normandii, gdzie Cowburn zorganizuje nam przelot do Anglii. Wytlumaczę się, jak potrafię, Buckmasterowi i Bodingtonowi. Spojrzałem na zegarek: dziewiąta dwanaście. Za trzy godziny Noor zostanie uratowana.

Tego samego poranka o dziewiątej piętnaście Noor wysiadła na stacji metra Saint-Michel przy placu Saint-André-des-Arts. Poprzedniego dnia Violetta wróciła triumfująca ze swej wyprawy. Przejechała całą ulicę Saint-André-des-Arts ukryta w rikszy, robiąc mnóstwo zdjęć przez boczne okienka wycięte w składanym dachu. Darbois wywołał zdjęcia w łazience za pomocą materiałów od SOE. Noor znalazła rozwiązanie. W oknach jednego z budynków po drugiej stronie ulicy niż kawiarnia,

nieco na lewo od niej, jej uwagę zwróciły do połowy opuszczone zasłony. Na zdjęciach można było odczytać wyblakły napis: „La Gentilhommiere”. Był to hotel: jego wejście znajdowało się na placu Saint-André-des-Arts, a tył wychodził na kawiarnię Blainville'a.

— Pojadę tam jutro rano — powiedziała Noor. — Teraz moja kolej.

— Trzeba sprawdzić, czy są tam warunki do oddania celnego strzału — powiedziała Violetta.

— Wynajmę pokój od tyłu — odpowiedziała Noor. — Jeśli dobrze zrozumiałam, drzwi do hotelu są tuż przy wyjściu z metra. Jeśli niemieccy agenci będą pilnowali kawiarni, ustawią się na ulicy Saint-André-des-Arts, a nie na placu. Jest tam więc bezpiecznie. Zrobię zdjęcie. Violetta będzie mogła się zorientować, jak to wygląda.

O dziewiątej trzydzięci Noor weszła do hotelu. Poprosiła o pokój od tyłu. Dostała numer 27 na drugim piętrze. Weszła po wąskich schodach o nierównych stopniach. Dzielnica należała do najstarszych w Paryżu. Mury były zrobione ze starego kamienia, a stopnie z ciemnego, wydeptanego drewna. Noor weszła do małego pokoju, w którym stała szafa z lustrem i żelazne łóżko. Na suficie były belki, a obok drzwi porcelanowa umywalka. Noor podeszła do okna, opuściła zasłonę z napisem „La Gentilhommiere”, potem uchyliła ją nieco i spojrzała w dół. Miała widok na kawiarnię. Zobaczyła Blainville'a, który siedział przy stoliku pochylony nad gazetą. Zrobiła kilka zdjęć. Potem odczekała. O dziesiątej Blainville wstał i zniknął w głębi. Noor znów zrobiła parę zdjęć, po prawej i po lewej stronie kawiarni, by wykryć ewentualnych obserwatorów. Nikogo nie było. Violetta nie będzie miała żadnej trudności z wzięciem Blainville'a na muszkę. Po oddaniu strzału będzie musiała zejść na parter, z hotelowego holu pobiec do metra i wskoczyć do pierwszego pociągu. Gdy zjawi się policja, będzie już daleko. Darbois może ją osłaniać, czekać na dole przy wejściu do hotelu, na wypadek gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

Noor schowała aparat fotograficzny do torby, włożyła do szafy trochę ubrań, które przyniosła w małej walizce, i wyszła. Schodząc ze schodów, rozejrzała się uważnie. W hotelu było pusto. Nikt nie będzie im przeszkadzał. Nie zatrzymała się na podeście pierwszego piętra, rzuciła tylko dokoła okiem. Zostawiła klucz w recepcji. Kiedy już była na placu, wcisnęła głowę w ramiona: zostało jej już tylko parę metrów, które należało przebiec, by znaleźć się w metrze. Spojrzała na zegarek: dziesiąta dziesięć. Ledwo miała czas wrócić do domu i przebrać się przed spotkaniem z Vienetem i resztą. Spiesząc się, uspokojona co do głównych punktów planu, nie zauważyła, że drzwi od numeru 17 na pierwszym piętrze, znajdującego się pod jej pokojem, są uchylone.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Była jedenasta, gdy pociąg Granville-Paryż dysząc i sapiąc wjechał na dworzec. Wyskoczyłem na peron i pobiegłem do wyjścia. Wzdłuż ulicy de l'Arrivée czekał sznur taksówek na gazogenerator. Pół godziny później wchodziłem po schodach odrapanego budynku przy ulicy Joseph-de-Maistre. Darbois dopiero wstał, niewątpliwie zmęczony po jednej ze swych rozpustnych nocy.

— Arthur! Wrócił pan! Cieszę się, że pana widzę. Zdawało mi się, że ewakuował się pan do Londynu. Tak szybko pana odesłali?

— Tak, nie, to znaczy... Gdzie jest Noor?

— Gdzie? Nie wiem. Ale w południe mam się z nią spotkać. Pracujemy nad sprawą Blainville'a.

— To niebezpieczny człowiek.

— Tak, wiem, zdrajca.

— Zdrajca? Nie jestem pewien...

— Nie jest pan pewien? Ale my jesteśmy. Przez niego o mało nie złapali Noor... Ledwo wyszliśmy z tego cało. Postanowiliśmy go zlikwidować.

— O mało jej nie złapali... Tak prędko? Derek, muszę panu coś wyjaśnić. Ma się pan spotkać z Noor?

— Tak. Z nią, Vienetem i Violetta. Powstał pewien plan. Mamy się zobaczyć i ustalić szczegóły.

— Gdzie i o której?

— O trzynastej w hotelu Regina, na rogu ulic de Rivoli i des Pyramides, przed posągiem Joanny d'Arc. To jedyny na tej ulicy hotel, który nie został zarekwirowany przez Niemców... Vienet bardzo lubi lokale tego rodzaju. Zna właściciela, który uprzedza go w razie niebezpieczeństwa. To zupełnie pewne miejsce.

Spojrzałem na zegarek: za kwadrans dwunasta.

— Mamy pół godziny. Niech pan siada.

Hotel z ciosowego kamienia miał wysokie okna i ozdobne balkony. Jedna z jego fasad wychodziła na Tuilerie, koło pawilonu Colberta, jedynej pozostałości dawnego królewskiego pałacu spalonego podczas Komuny. Druga wystawała nad złożonym posągiem Joanny d'Arc, która wyciągała swój sztandar w kierunku ulicy de Rivoli, pośrodku małego, kwadratowego placu, gdzie brała początek ulica des Pyramides. Kiedy się wychodziło ze stacji metra Tuilerie, którego wejścia ciągnęły się wzdłuż ogrodów, po lewej stronie, niedaleko placu Zgody widziało się powiewające wielkie czerwone flagi ze swastyką. Była to dzielnica hoteli, bogatych turystów, banków, luksusowych sklepów. Niemcy zainstalowali się tu już w 1940

roku. Vienet uważał, że łatwiej jest ukryć się wśród luksusu i nazistów. Nie chciał, by Ruch Oporu zmuszał go do wyrzeczeń. Zgadzał się poświęcić życie, ale nie sposób życia.

Wejście do hotelu Regina było nieco cofnięte, znajdowało się w półcieniu, pod arkadami. O trzynastej dziesiąt pchnąłem obrotowe drzwi z masywnymi uchwytnymi z brązu i razem z Darbois znaleźliśmy się w środku. Powitał mnie ukłonem groom w czerwonym uniformie i wszedłem do holu z marmuru i rzeźbionego drewna, oświetlonego dwoma kryształowymi żyrandolami. Na prawo zobaczyłem salę restauracyjną pełną klientów, którzy rozmawiali ściszymi głosami. Nie było ani jednego Niemca. W głębi siedział Vienet z Violetta. Noor widziała, jak nadchodzę ulicą de Rivoli. Serce mi się ścisnęło, gdy zobaczyłem ją już nie w marzeniach, lecz rzeczywistością, jeszcze piękniejszą, niż zapamiętałem. Wstała i wyszła nam naprzeciw, uśmiechnięta, oczy jej błyszczały. Miała na sobie niebieski blezer z szerokimi klapami, krótką, plisowaną spódnicę i białe skarpety, podkreślające ciemny kolor łydek. Pośrodku restauracji padła mi w ramiona.

— Najdroższy, jesteś...

Musnęła mnie wargami, potem oparła policzek o moją pierś i przycisnęła mnie do siebie. Staliśmy tak objęci, nieruchomi, pod rozbawionym wzrokiem klientów, którzy nagle umilkli. Po dłuższej chwili Darbois, który przestępował z nogi na nogę, wpatrując się w wykładzinę na podłodze, dyskretnie zakaszłał.

— Może byśmy tak usiedli.

Noor nie drgnęła. Owionął mnie zapach jej perfum. Tuliła się do mnie bez słowa. Odsunąłem ją łagodnie i objąłem w talii. Patrzyła przed siebie poważna i drżąca. Mocno ścisnęła moje ramię. Vienet i Violetta śmiali się głośno. Vienet wstał i odsunął krzesło Noor.

— Cóż za namiętność! — powiedział rozbawiony.

Miał na sobie biały dwurzędowy garnitur, w ręku trzymał cygarniczkę. W butonierce tkwił czerwony goździk.

— Jak się pan miewa, John, miał pan dobrą podróż? — spytała Violetta.

— Urozmaiconą. Przeprowiłem się przez morze. Ale lubię żeglować. Pani przyjaciel Cowburn zajął się mną w Normandii. Jest skuteczny jak zawsze.

— To prawdziwy wojownik — rzekła.

— Pani także — rzekł Vienet, wpatrując się w nią natarczywie. — Nasza amazonko...

Ujął jej rękę i pochylając się, podniósł ją do twarzy.

— Drogi René, proszę się do mnie nie zalecać. Wie pan, że jestem zaręczona...

— Jest wojna, moja droga, życie jest krótsze. Kobieta taka jak pani nie może żyć jak mniszka.

— Proszę być cicho! — rzekła Violetta z udanym gniewem. — Zachowuje się pan niestosownie.

— John chce powiedzieć nam coś ważnego — przerwał Darbois.

— Zamówmy coś — rzekł Vienet. — Łatwiej będzie się rozmawiało. Najpierw szampana dla zakochanych!

Z kieliszkiem szampana w ręku zrelacjonowałem swoją podróż do Londynu. Ale zamiast opowiedzieć o rozmowie z Philbym, jako własne przemyślenia przedstawiłem jego rozumowanie, prowadzące do paradoksalnego wniosku: Blainville jest zdrajcą, ale zdrajcą użytecznym, który pracuje dla Intelligence Service.

— To jakiś obłąd! — powiedziała Violetta. — Blainville doprowadza do tego, że Niemcy przechwytyją sprzęt i agentów, bo chce być dobrze widziany przez gestapo. To potworne.

— To się zdarza — powiedział Vienet. — Jeśli Niemcy mają do niego zaufanie, Londyn może ich indoktrynować za jego pośrednictwem. To gra...

— Gra barbarzyńska — odezwała się Noor.

— Walczymy z barbarzyńcami — powiedział Vienet. — Jeśli będziemy przestrzegali zasad cywilizacji, zginiemy...

— Jeśli my też jesteśmy barbarzyńcami, to po co walczyć?

— Nasze cele nie są te same, droga Noor. Na tym polega różnica.

— Operujemy tymi samymi środkami...

— Niekiedy...

— Ale — odezwał się Darbois, jakby zbudzony ze snu — nie powinniśmy zabijać Blainville'a.

Podszedł kelner, by odebrać zamówienie. Vienet, nie pytając nikogo o zdanie, zamówił ostrygi, dziczyznę i wino nuits-saint-georges, rocznik 1932.

— Czarny rynek ma jednak swoje dobre strony — powiedział, zamykając kartę, obrzucany ponurym spojrzeniem Violetty.

— Derek zrozumiał — rzekłem. — Trzeba zawiesić likwidację Blainville'a. Jeśli moje rozumowanie jest dobre, możemy stanąć przed sądem wojennym za głupotę lub niesubordynację.

Sądzę, że Blainville jest człowiekiem Bodingtona. Trudno w to uwierzyć, ale tak jest.

— To skończony łajdak — powiedziała Violetta.

— Użyteczny łajdak — sprostowałem — są i tacy.

— Przecież — odparła — robi, co może, żebyśmy wpadli. Nie aresztują nas jednak, a to dlatego, by ułatwić obrzydliwe kombinacje Bodingtona. Jestem

przekonana, że Buckmaster nic o tym nie wie. Ci faceci z Intelligence Service to jacyś pomyleńcy.

— Ci, którzy mają czyste ręce, przegrywają brudne wojny — ciągnąłem. — Ale w jednej sprawie ma pani rację: trzeba zerwać wszelki kontakt z Blainville'em. Przemyślałem to. René, pan jest w największym niebezpieczeństwie: zna pana...

— Nie zna mego prawdziwego nazwiska. Prawdopodobnie postanowił nie wydawać mnie, w przeciwnym razie już by to zrobił. Dzięki panu, John, sytuacja nieco się wyjaśniła. Blainville nie mówi wszystkiego Niemcom. Robi tylko to, co niezbędne, by uważali go za wiarygodnego agenta. Będę więc uważał.

— Derek i Violetta są bardzo zagrożeni. Uważam, że powinni pojechać do Normandii z Cowburnem.

— Mogę ukryć Violette — zaproponował Vienet.

— Jest pan bardzo miły — powiedziała Violetta. — Ale może ukryje pan Dereka? W każdym razie moje miejsce jest przy Noor. Radiostacje muszą mieć ochronę...

— Nie będzie jej potrzebna — powiedziałem. — Noor jutro ze mną wyjeżdża. Wracamy do Anglii.

— Co takiego? — odezwała się Noor. — Ale dlaczego? Muszę pozostać w Paryżu.

— Teraz to zbyt niebezpieczne, Noor. Znają cię, jak szaleni szukają radiostacji, pomaga im Blainville. Dwa razy o mało cię nie złapali. SOE bardzo szybko kogoś tu przyśle. Musisz zrobić sobie przerwę. Nikt nie może nic ci zarzucić.

— Ale ja jestem tu, by pracować. Nie mogę wyjechać po trzech miesiącach, kiedy w regionie paryskim nie ma innej radiostacji.

— Dostaną inną. Porozmawiam o tym z Buckiem. Zrozumie.

— John ma rację — powiedział Vienet. — Powinna pani wrócić do Anglii. — Popatrzył jej w oczy. — Zrobiła pani znacznie więcej, niż pani musiała. Dostanie pani krzyż walecznych, Noor. Jeśli pani tu zostanie, nie dosłuży się pani niczego więcej, my również. Chyba że koniecznie chce pani zostać odznaczona pośmiertnie...

Violetta ujęła rękę Noor i potakująco skinęła głową. Noor oparła się o krzesło i opuściła ramiona na znak, że się poddaje.

— Napijmy się dla uczczenia pani powrotu — powiedział Vienet, sięgając po butelkę nuits-saint-georges. — Uśmiechnął się do Noor. — Chociaż jedna, której nie dostaną Niemcy.

Posiłek zakończył się wesoło. Czując się bezpiecznie dzięki Vienetowi i jego znajomości z właścicielem hotelu, odprężyliśmy się w tej niespodziewanej oazie

spokoju. Vienet zalecał się uporczywie do Violetty, wkładając w to cały swój dowcip.

— Przekracza je pani... — odezwał się nagle, patrząc na nią z pochyłą głową.

— Co takiego? — powiedziała Violetta.

— Przekracza je pani.

— Jak to przekraczam je, co to ma znaczyć, przekraczam je? Niczego nie przekraczam. Nie przekraczam i już.

— Ależ tak, przekracza je pani.

— Ależ co, u licha?

— No cóż, granice wdzięku i urody!

Wśród ogólnego śmiechu usiłował zgadnąć, kto jest angielskim narzeczoną Violetty. Wymienił Buckmastera, Bodingtona, Montgomery'ego, Mountbattena. W przypadku każdego z nich wymyślił skomplikowany romans z Violetta. Robiło się coraz weselej. Noor płakała ze śmiechu. Pochyliła się ku mnie ufnie, trzymając rękę na moim ramieniu. Czułem pod stołem jej kolano, ocierające się o moje. Vienet mówił:

— Już wiem, to Churchill! Oto dlaczego wysłano panią do Francji. Ta idylla sprawiała kłopot rządowi. Trzeba było was rozdzielić. Racja stanu! Niech pani sobie wybije z głowy ten romans, Violetto, jest z góry skazany na niepowodzenie. W każdym razie Clementine nie będzie go tolerowała.

Łyknął trochę wina i ciągnął:

— Winston jest zazdrosny. Oto cały sekret. Ma pani za duże powodzenie, Violetto, Winston nie może już tego znieść. Musiało się w to wmieszać MI pięć. A potem MI dziewięć, SOE, wszyscy. Wszyscy odpowiedzialni za bezpieczeństwo kraju. Któregoś wieczoru słyszeliśmy, jak Winston deklamuje w swoim bunkrze. — Zaczął naśladować Churchilla wygłaszającego najśłynniejsze przemówienie: — „Nigdy w historii konfliktów ludzkich tylu mężczyzn nie chciało pobaraszkować z tą samą kobietą”.

Śmiechy stały się jeszcze głośniejsze. Vienet powiedział nosowym głosem premiera:

— A udało się to mnie. Dwa razy jednej nocy. Była to „moja najpiękniejsza godzina”.

O czwartej dość podchmieleni, z brzuchami obolałymi od śmiechu, musieliśmy się rozstać. W holu powiedziałem naszym przyjaciółom:

— Muszę zamienić słówko z Noor.

— Rozumiem — rzekł Vienet. — Przyjdę później z listami do Anglii. Wolę dać je raczej panu niż Blainville'owi. Zaczeka pan?

— Tak. Będę czekał.

Darbois i Violetta długo się z nami żegnali i życzyli nam szczęśliwej podróży. Potem wszyscy troje wyszli przez obrotowe drzwi. Przez szybę zobaczyłem, jak Vienet bierze Violette pod ramię. Nie protestowała. Ale ona z kolei ujęła pod rękę Darbois i tak szli, trzymając się pod ręce, wzdłuż ogrodu tuileryjskiego. Staliśmy nieruchomo w holu i patrzyliśmy, jak w ulicy Rivoli ich sylwetki stają się coraz mniejsze. Niewątpliwie było to najprzyjemniejsze popołudnie, jakie spędziłem od wybuchu wojny. Przez trzy godziny nie czułem strachu. Widząc, jak nasi przyjaciele znikają we wrogim mieście, czułem, że znowu powraca.

— Noor, wyjeżdżamy jutro o siódmej rano pociągiem do Dreux. Mamy czas...

— Czas?

— Tak, czas dla siebie...

Spojrzała na mnie uśmiechnięta, oczy jej błyszczały.

— Czas dla siebie...

Dwie minuty później wchodziliśmy do królewskiego apartamentu, pełnego aksamitu i tapiserii, którego wysokie okna wychodziły na Tuileries. Noor podbiegła do balkonu i otworzyła go, gdy wręczałem napiwek hotelowemu chłopcu.

— Widzę Suresnes! — krzyknęła wesoło. — Gdybyśmy mieli lornetkę, można by zobaczyć Fazal Manzil!

Podszedłem do niej i otoczyłem ją ramieniem. Przytuliła się i pokazała palcem na zachód. Apartament znajdował się na ostatnim piętrze hotelu. Przed sobą widzieliśmy zieleń Tuileries wzdłuż Sekwany, której kamienne mosty wyłączało słońce. Na lewo lśniła w świetle kupa Instytutu; na prawo odcinała się na tle błękitnego nieba czarna wieża Eiffla, na horyzoncie wznosił się cień pagórków w Saint-Cloud i Suresnes.

— Była to stolica świata — powiedziałem. — A teraz jest więzienie.

— Ale piękne więzienie. A poza tym przecież kiedyś sobie stąd pójda... Teraz jestem pewna, że wygramy.

— Dlaczego to mówisz?

— Z powodu tego, co mi opowiedziałeś. Jeśli potrafimy stosować tego rodzaju podstęp, nie możemy przegrać. Byłam naiwna. Wobec gestapo musimy stosować metody wszelkiego rodzaju. To obowiązek. Bodington ma rację. Porozmawiamy z nimi o tym. W Londynie...

Rozmarzonym wzrokiem patrzyła w dal. Uświadomiłem sobie, że w tym samym kierunku co Suresnes i Lasek Buloński jest również Anglia.

— John — odezwała się po chwili — jestem szczęśliwa. Odwróciłem się do niej. Pod światło dostrzegałem tylko blask jej czarnych oczu. Mocno pocałowała mnie w usta. Wziąłem ją w ramiona.

Chwilę później leżeliśmy w wielkim łóżu. Mieliśmy czas. Noor rozebrała się powoli. O szóstej zadzwonił telefon.

Był to Vienet, który wrócił z listami. Noor wyskoczyła z łóżka, naga i lekka. Promień słońca namalował złotą plamę na jej brązowych plecach.

— Przez ten czas, gdy będziesz rozmawiał z Vienetem — powiedziała, ubierając się — pójdę po swoje rzeczy. Zajmie mi to godzinę.

— Nie chcesz, żebym poszedł z tobą? To może być niebezpieczne.

— Nie — odpowiedziała. — Na pewno macie do omówienia mnóstwo spraw. W każdym razie mam umowę z konsjerżką. Uprzedza mnie, ilekroć dzieje się coś podejrzanego. Muszę zabrać swoje notesy i kody. Radiostację zostawię w mieszkaniu. Osoba, która przyjedzie na moje miejsce, będzie mogła się nią posługiwać. Wrócę za godzinę.

— Dobrze... Dziś wieczorem pójdziemy na kolację do Dzielnicy Łacińskiej. Do zobaczenia, najdroższa.

— Kocham cię — powiedziała, zamykając drzwi.

— Niemiecka policja. Nie ruszać się!

Konsjerżką, jak to czasem robiła, wystawiła w oknie swego mieszkania jakiś obrazek. Noor nie zobaczyła w tym niczego podejrzanego. Kiedy jednak otworzyła drzwi do swego pokoju, Peter chwycił ją za nadgarstki. Zaczęła krzyczeć.

— Łajdak!

Usiłowała go kopnąć. Zrobił unik. Schyliła się i wpiła zęby w jego rękę. Bolało go coraz bardziej. Nie mógł się wyswobodzić. Puścił jeden jej nadgarstek i lewą ręką chwycił pistolet zatknięty za pasek. Przyłożył go do gardła Noor.

— Będę strzelał!

Zacisnęła zęby z całych sił. Wtedy skierował lufę pistoletu niżej.

— Zacznę od kolana.

Noor zrozumiała, że naciśnie na spust. Zwolniła uchwyt, a wtedy rzucił ją na kanapę obok łóżka. Wrzasnęła:

— Na pomoc! Na pomoc! Gestapo!

Zrozumiał, że chce zaalarmować sąsiadów, i podszedł do niej, wściekły. Usiłowała przewrócić go, łapiąc za ubranie. Oswobodził się gwałtownie. Znów krzyknęła. Cofnął się do drzwi wejściowych i wycelował do Noor z pistoletu. Patrzyła na niego z dzikim wyrazem twarzy, podkuliwszy nogi, wczepiwszy się rękami w obicie kanapy, gotowa w każdej chwili skoczyć. Nie może jej zabić. Nie może poskromić. A tym bardziej nie może jej stąd zabrać. Trwali tak dłuższą chwilę, nie spuszczać z siebie oczu.

— Łajdak — powiedziała. — Złapał mnie pan, gdy miałam już wyjechać.

Wracała jej dawna naiwność.

— Nie trzeba było chodzić do La Gentilhommiere! Świetnie wiedzieliśmy, że będzie pani chciała zabić Blainville'a. Gdy wyszła pani z pokoju dwadzieścia siedem, wystarczyło po prostu pójść za panią.

Nagle obok łóżka zobaczył czarny bakelitowy telefon. Zbliżył się do niego powolutku, nie spuszczać z oka Noor. Podniósł słuchawkę i tą samą ręką wykręcił jakiś numer.

— Tu Peter. Proszę mnie połączyć z Goetzem. Czekał z drwiącą miną.

— Tak. Mam ją.

— Tak, notesy mam także...

— Nie, jestem sam. Niech pan przyśle dwóch ludzi. Jest niebezpieczna. Noor padła na kanapę. Przygryzła wargę i zaczęła płakać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Samochód zatrzymał się pod bramą domu numer 84. Był to sześciopiętrowy budynek, górujący nad aleją Focha i Porte Dauphine. Noor, ściśnięta na tylnym siedzeniu między dwoma policjantami w szarych mundurach, widziała przez szybę przesuwające się drzewa Lasku Bulońskiego. Za nim było Suresnes i Fazal Manzil. Gdy dojeżdżali do Porte Dauphine, na końcu alei dostrzegła Łuk Triumfalny. Wiedziała, że po drugiej stronie wzniesienia, którego najwyższym punktem jest plac Gwiazdy, w dole Pól Elizejskich, czekam na nią, spokojny, w wielkim pokoju wyłożonym promieniami zachodzącego słońca. Przygryzła wargę.

— Wysiadka — rzekł Peter. — Teraz żarty się skończyły. Noor weszła do siedziby gestapo niczym gwiazda filmowa.

Patrzyli na nią wartownicy, oficerowie podnosili głowy, sekretarki wychodziły na próg pokoju, by ją obejrzyć. Eskortowana przez Petera weszła po kamiennych schodach. Goetz czekał na nią przed gabinetem. Z uśmiechem otworzył ramiona.

— Panna Aurora! Nareszcie! Od wielu tygodni nie przestajemy o pani myśleć. Miło mi powitać panią.

Wyglądał na starego wujaszka, uradowanego ze spotkania z siostrzenicą. Noor patrzyła na niego twardym wzrokiem.

— Ogromnie mi przykro — ciągnął — ale tak już jest w tej grze. Człowiek jest raz na wozie, raz pod wozem. Tak czy owak pani siatka była skorumpowana. Prawdziwa kolekcja donosicieli.

— Wiem, że mieliśmy w naszych szeregach zdrajcę — powiedziała Noor przez zaciśnięte zęby — ale niewiele zwojuje.

— Zdrajcę? Nie, zdrajców, zdrajców wszelakiego autoramentu. Należeli do nich prawie wszyscy członkowie siatki.

Ciągle starają się chronić Blainville'a, pomyślała Noor. Wtem na schodach na końcu korytarza dostrzegła czarne, błyszczące buty. Ukazał się Kieffer w opiętym mundurze. Także i on uśmiechał się dobrodusznie, zмирzając ku niej.

— Czarująca! — powiedział i spojrzał łakomie. — Droga Auroro, przysporzyła nam pani wielu kłopotów. Brawo! Ale czas z tym skończyć. Pani szefowie zostawili panią własnemu losowi. Posłali panią w zasadzkę, to chyba jasne. Teraz trzeba będzie nam pomóc... Może chce pani cukierka?

Kieffer miał zwyczaj odwiedzać więźniów z torebką cukierków, które kazał kupować w mesie oficerom, mieszkającym w jednym z budynków przy Porte Dauphine.

— Pomóc wam? Żartuje pan, kapralu! —Nadał się, słysząc, że myli jego stopień.
— Jest pan łajdakiem, podobnie jak wy wszyscy. Już przegraliście wojnę, dobrze o tym wiecie. Pomóc wam? Przecież już jest po was, biedaku.

Grzbietem dłoni Noor odepchnęła torebkę. Cukierki rozsypały się po podłodze. Kieffer zbladł.

— Już jest, ale po tobie! Zabrać ją!

Dwaj policjanci chwycili Noor pod pachy i pociągnęli na schody. Minęli jakiegoś żołnierza, który wyszedł na korytarz, by zobaczyć aresztowaną. Za jego plecami dostrzegła długi pokój o ścianach pokrytych półkami. Zrozumiała, że to biblioteka. I rzuciwszy okiem przez ramię feldfebla, dostrzegła nagle wysokiego mężczyznę o wystającym podbródku, który trzymał w ręku książkę i patrzył na nią z zaciekawieniem. Był to John Starr. Natychmiast przypomniała sobie Arisaig, Beaulieu i dowcipnego malarza, rozśmieszającego cały kurs. Uśmiechnęła się.

Starr mrugnął do niej porozumiewawczo, a kiedy żołnierz spojrzał w jego kierunku, otworzył książkę i udał, że czyta.

Kiedy Noor znikła, a dwaj żołnierze zbierali cukierki, Kieffer zwrócił się do Goetza.

— Ale charakterek!

— Nazwała pana kapralem — rzekł Goetz z uśmiechem. — Proszę się tym nie przejmować. Taki stopień miał Führer podczas poprzedniej wojny...

— Bardzo zabawne, Goetz!

— Jutro będzie jej mniej do śmiechu, Sturmbannführer — powiedział Goetz, stając na baczność.

Na szóstym piętrze, na poddaszu, eskortowana przez policjantów Noor minęła ubikację z uchylonymi drzwiami, potem mały pokoik, gdzie siedział jakiś feldfebel zatopiony w lekturze „Signal”, kolorowego pisma, na którego okładce widniał żołnierz z Waffen SS, zapatrzony w horyzont. Policjanci kazali jej skręcić w prawo, w korytarz o mansardowym suficie. Po każdej jego stronie były drzwi z nieheblowanych desek, zamykane na masywne zasuwki. Feldfebel szedł za nimi z pękiem kluczy w ręku. Wyprzedził ich i otworzył środkowe drzwi po lewej stronie. Noor wepchnięto do pomieszczenia bez okna. Drzwi zatrzasnęły się za nią ze szcękaniem żelastwa.

Był to dawny pokoik dla służby, który zmniejszono, przegradzając go dodatkową ścianką. Po prawej stronie celi stało żelazne łóżko ze starym materacem w brązowe pasy, a na wprost niego krzesło. Innych mebli nie było. Podniósłszy głowę, Noor zobaczyła na końcu czegoś w rodzaju przewodu kominowego niewielkie okienko; mimo wysokiego sufitu otwór był zabezpieczony poziomymi stalowymi prętami.

Przez szybę wpadało światło zachodzącego słońca, rzucając na podłogę cień prętów. Noor usiadła na łóżku zdruzgotana.

Siedziała tak załamana dobry kwadrans, wsparta dłońmi o materac. Potem podniosła się, podeszła do drzwi i zastukała. Po chwili usłyszała ciężkie kroki żołnierza.

— Was ist das? O co chodzi? Proszę o spokój! Przyjdą po panią...

— Chcę pójść do ubikacji.

— Później. Są na to wyznaczone godziny.

— Nie! Muszę pójść zaraz. Nie wytrzymam. Nie może mi pan zabronić.

Zapadła cisza. Żołnierz podjął decyzję i poszedł do wartowni po klucze.

— Dobrze, niech pani idzie. Ale pójdę z panią.

Szła pierwsza, skręciła w lewo i otworzyła drzwi do ubikacji, którą widziała, gdy ją prowadzono do celi. Miała je za sobą zamknąć, ale żołnierz zablokował je ręką.

— Nie wolno zamykać.

— Co takiego?

— Drzwi muszą być otwarte. Taką mamy instrukcję.

— Otwarte? Ależ to nieprzyzwoite. Nie będzie pan na mnie patrzył. Nie jestem zwierzęciem.

— Nie będę patrzył, ale drzwi zostaną otwarte. Takie mamy rozkazy.

Zaczęła krzyczeć:

— Naprawdę jesteście barbarzyńcami! Albo pan jest zboczeńcem!

Żołnierz patrzył znudzony, niezbyt rozumiejąc, o co jej chodzi.

— Prędeż, Fräulein, proszę się pospieszyć.

— Nie obnażę się przed panem, świntuchu!

— W porządku, żołnierzu! Niech jej pan pozwoli zamknąć drzwi. Nie ma o co kruszyć kopii.

Na górę wszedł zwabiony hałasem Goetz. Z pewnym rozbawieniem przypatrywał się tej scenie. Na twarzy żołnierza odmalował się zawód, ale cofnął się. Noor zamknęła drzwi na zasuwkę.

Zlustrowała wzrokiem ubikację: po jednej stronie prysznic, na środku umywalka, z której biegła żeliwna rura, przechodząca przez kratkę, a po drugiej muszla klozetowa z drewnianą deską. Pomieszczenie było oświetlone okienkiem z matową szybą. Podeszła do niego, przekręciła rygiel i otworzyła je. Zobaczyła wewnętrzny dziedziniec, ciemny i głęboki, o poczerniałych od dymu murach poprzecinanych dokoła prostokątnymi oknami. Wychyliwszy się, dostrzegła, że nad każdym piętrem jest gzymś z szarego cementu. Natychmiast się zdecydowała. Zamknęła oczy, skupiła się, odczekała chwilę, weszła na drewnianą deskę, chwyciła się obydwoma rękami futryny i przełożyła nogę przez okno. Odwróciła się twarzą do

ubikacji i przelożyła drugą nogę. Potem opuściła się wzdłuż muru, opierając się czubkami stóp o cementowy gzyms. Jedną ręką trzymała się drewnianej framugi, drugą chwyciła się następnego okna. Przyklejona do muru, zawieszona sześć piętér nad ziemią, zaczęła okrążyć podwórze, posuwając się od okna do okna.

Po pięciu minutach dotarła do otwartego okna po drugiej stronie podwórza. Miała się już odwrócić i wskoczyć do środka, gdy ktoś chwycił ją za ramię. Usłyszała drwiący głos Goetza:

— Proszę uważać, Auroro, bo może pani zlecieć na dół. Byłem pewien, że pani nie da za wygraną. Proszę wejść, powolutku, pomogę pani...

Za godzinę będę, powiedziała Noor. Dlaczego puściłem ją samą? Wydawała się taka pewna siebie, taka spokojna. O wpół do ósmej poprosiłem hotelową telefonistkę, by połączyła mnie z jej mieszkaniem. Odpowiedział męski głos.

— Aurora? Nie, nie ma jej.

— Kiedy przyjdzie? Mówi Jules...

— Jules? Ach tak, będzie za godzinę.

— Dobrze, zadzwonię jeszcze raz.

Oczywiście Noor nie знаła żadnego Julesa. Mężczyzna nic o niej nie wiedział. Wolno odłożyłem słuchawkę i ciężko siadłem na łóżku. Telefon przyjął policjant. Złapali Noor. Świat usunął mi się spod nóg. Siedziałem nieruchomo i patrzyłem w okno. Przed dwiema godzinami widziałem jej sylwetkę na tle nieba. Teraz jest w piekle. Ale jak mogłem pozwolić, by poszła sama? Ledwo ją odnalazłem, zniknęła. Przeze mnie! Przeze mnie! Do oczu napłynęły mi łzy.

Poszedłem zobaczyć się z Vienetem. Czekał na mnie w holu, zagłębiony w klubowy fotel.

— Wzięli Noor — powiedziałem.

— Niemożliwe? Gdzie?

— Poszła do siebie po notesy i swoje rzeczy. Nie wróciła. Zadzwoniłem do niej. Telefon odebrał jakiś mężczyzna. Tylko ona i Violetta wiedzą o tym mieszkaniu. To policjant.

— Potworne! — rzekł Vienet. Wyglądał, jakby stracił kogoś bliskiego. Potem otrząsnął się. — Musi pan natychmiast wyprowadzić się z hotelu. Proszę zwolnić pokój, zabiorę pana...

— Noor nic nie powie...

— Nie mamy pewności.

— Nie będzie mówiła.

— Proszę nie dyskutować. Taka jest procedura. Jeśli agent zostanie aresztowany, inni agenci zmieniają adresy.

W samochodzie myślał na głos:

— Najpierw trzeba zawiadomić Dereka i Violette. Natychmiast do nich pojedziemy. Potem postaramy się dowiedzieć, dokąd ją zabrali. Zobaczymy, co się da zrobić.

Siedziałem obok niego w milczeniu, z nieruchomym spojrzeniem, ledwo widząc ulicę, i zastanawiałem się, jak mogłem popełnić tak straszny błąd.

— A pan? — odezwałem się po jakichś dziesięciu minutach.

— Przyczaję się gdzieś. Mam melinę na Pigalle, a moim współpracownikom powiem, że biorę kilka dni urlopu. Jeśli gestapo nie przyjdzie, to znaczy, że Noor nic nie powiedziała. Wtedy wrócę do biura. Trzeba przestrzegać zasad. I bez tego dostatecznie się narażamy.

Przy ulicy Joseph-de-Maistre, na wiadomość o nieszczęściu,

Darbois i Violetta zbledli. Spakowali się w milczeniu. Koło La Chapelle mieli drugie mieszkanie, które Darbois zaraz po przyjeździe wynajął na wszelki wypadek.

— Trzeba ją wyciągnąć — powiedziała Violetta. — Musimy coś wymyślić.

— Oczywiście — przytaknął Vienet. — Cóż prostszego. W centrum Paryża, w siedzibie policji, w otoczeniu niemieckiej armii. Żaden problem.

Violetta chwyciła go za ramię.

— René, zna pan Niemców, ma pan swoich ludzi. Można spróbować coś zrobić.

— Nawet nie wiemy, gdzie jest. Pospieszcie się, do licha, lada moment może się tu zjawić gestapo. Pojedźcie metrem. My z Johnem postaramy się dowiedzieć, dokąd ją zabrali.

Vienet skręcił na zewnętrzne bulwary przy Porte de Clignan-court, a wyjechał z nich przy Porte Maillot. Przeciął Lasek Buloński i wjechał w bulwar Richard-Wallace. Przed drzwiami Noor nikogo nie było. Ale na rogu następnej ulicy pokazał mi mężczyznę w nieprzemakalnym płaszczu, który czytał gazetę oparty o ogrodzenie.

— To oni.

Wróciliśmy do Porte Maillot. Vienet zatrzymał się przed jakąś kawiarnią.

— Niech pan do niej zatelefonuje i powie, że za dziesięć minut przywiezie pan list.

Głos w słuchawce odpowiedział mi, że Aurory jeszcze nie ma. Zaproponowałem, że przyjadę. „Czekam”, usłyszałem.

Wyszedłem z kawiarni i wsiadłem do samochodu. Vienet znów pojechał na bulwar Richard-Wallace. Mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu zniknął.

— Poszedł na górę. Będą na pana czekali w środku, jeden zostanie w mieszkaniu, drugi ukryje się gdzieś na klatce schodowej.

Vienet zaparkował samochód w pewnej odległości od domu Noor.

— Przyczaimy się tutaj. Kiedy się nie doczekają, zrozumieją, że domyśliliśmy się, iż to zasadzka. Dadzą sobie spokój i wrócą do swej firmy.

Podziwiałem zimną krew i spryt Vieneta. Rzeczywiście po godzinie dwaj gliniarze wyszli z budynku, skręcili w lewo, przeszli koło nas i wsiedli do zielonego renaulta. Zaraz gdy nas minęli, Vienet przekręcił kluczyk w stacyjce, jakby dopiero wsiadł do samochodu. Ruszył tuż po nich i jechał za nimi w dość dużej odległości.

— To trochę niebezpieczne — powiedział — ale nie przyjdzie im do głowy, że jesteśmy na tyle szaleni, by ich śledzić. W każdym razie sądzę, że nie pojedą daleko. W aleję Focha albo na ulicę Lauriston. To w szesnastej dzielnicy, całkiem blisko stąd.

Przy Porte Dauphine renault skręcił w aleję Focha i stanął przed numerem 84.

— Proszę bardzo! — rzekł Vienet, który zatrzymał się na placu. — Już wiemy. Gestapo zajmuje całą dolną część tej alei. Pracują tu Boemelburg, Kieffer, Schmidt, cała śmietanka! Zajmują się członkami Ruchu Oporu, komunistami, Żydami, radiotelegrafistami... Kieffer mieszka tutaj, Boemelburg w Neuilly. Musieli zamknąć ją na górze, na poddaszu. Chyba mówiłem panu, że właśnie tutaj trzymali Moulina, zanim przenieśli go do willi Boemelburga. Mieliśmy gotowy plan jego ucieczki, ale za szybko go stąd zabrali... Przedtem trzymali więźniów we Fresnes, ale tam mogli rozmawiać z innymi aresztowanymi i wysyłać wiadomości na zewnątrz. Więc umieścili ich tutaj, przynajmniej najważniejszych, w dawnych pokojach dla służby. Sami pilnują więźniów, a gdy chcą ich przesłuchać, są pod ręką. Drogi Johnie, jest jeszcze szansa... Niewielka, ale jest.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Noor patrzyła na Goetza i Petera ze złym wyrazem twarzy.

— Musi nam pani wszystko powiedzieć, Auroro — powtarzał Goetz — i tak wszystko już wiemy od pani przyjaciół. Jeśli będzie pani milczała, stracimy dużo czasu i w końcu będziemy musieli użyć innych metod.

Słysząc było tylko tykanie zegara z kukułką. Peter przysiadł na biurku, na prawo od Goetza, który siedział na wprost Noor. Było jej niewygodnie na drewnianym krześle.

— Nic nie powiem.

— Znam instrukcje waszej organizacji. Macie milczeć przez czterdzieści osiem godzin. Ale to bez sensu. Wiemy prawie wszystko o Prosperze. Świetnie zdaje pani sobie z tego sprawę. Więc wszystko nam pani powie i uzupełnimy swoją dokumentację.

— Jeśli wszystko wiecie, nie jestem wam potrzebna. A przesłuchujecie mnie dlatego, że wcale wszystkiego nie wiecie.

— Ta kobieta zaczyna działać mi na nerwy — powiedział Peter, poprawiając kołnierzyk koszuli. — Kochany panie Goetz, trzeba będzie zmienić taktykę. Nie będziemy przecież z nią tu siedzieć przez cały dzień.

— Niech pan zaczeka, Peter. Jestem pewien, że okaże się rozsądna.

Otworzył szufladę biurka, wyjął jakieś dossier i położył je przed Noor tak, by mogła je czytać. Noor patrzyła na kartki, które, w miarę jak czytała, Goetz przewracał tak, jak przedstawiciel handlowy swój katalog. Na pierwszej stronie widniał napisany wielkimi literami tytuł „Special Operations Executive” i podtytuł po niemiecku, którego Noor nie zrozumiała. Na drugiej stronie były adresy siedziby organizacji w Londynie i nazwy obozów szkoleniowych. Na trzeciej schemat organizacyjny z nazwiskami Daltona, Gubbinsa, Buckmastera, Bodingtona i dziesiątką innych. Potem długi tekst, również po niemiecku. Po dziesiątej stronie Goetz przestał przewracać kartki: oczom Noor ukazała się mapa Francji z nazwami siatek SOE: „Salesman, Tailor, Butcher...”. W większości były to nazwy zawodów (sprzedawca, krawiec, rzeźnik...) Noor wpatrywała się uważnie w mapę. Obok Paryża widniał napis: „Prosper”. Ale na lewo, w Normandii, nie było siatki Cinema. Pomyślała, że Cowburn, o którym jej tyle opowiadałem, jest rzeczywiście skuteczny.

— To imponujące, doktorze Goetz. Ale widzę tu pewne luki. Goetz naburmuszył się. Peter zeszywniał.

— Pomoże nam pani, Auroro.

— Nigdy. Nie przeciągniecie mnie na swoją stronę. Nic nie powiem. Nic. Widzi pan wszystkie te siatki? To tylko początek. Kiedy schwytacie jednego agenta, wysyłamy w jego miejsce pięciu następnych. I nie wliczam w to Francuzów. Stary marszałek oszukał ich. Dzisiaj już to wiedzą. Nie pozostawią was w spokoju.

Noor przypomniała sobie wykłady Blainville'a na temat polityki. Ciągnęła:

— Obliczył pan, ilu niemieckich żołnierzy możemy zabić dzięki tym siatkom? Powinien pan zrobić taki rachunek.

Peter wstał, rozwścieczony.

— Przecież ta zdzira nas znieważa!

— Ty, pętaku, jesteś Francuzem, prawda? — powiedziała Noor. — Wiesz, co się z tobą stanie, gdy nasze wojska wejdą do Francji? Wiesz, że zostaniesz rozstrzelany.

— Dość tego! — zawył Peter. — Zamknij się!

— Wydawało mi się, że chcecie, żebym mówiła.

Peter podszedł do niej i z całej siły uderzył ją w twarz. O mało nie upadła. Potem jeszcze kilkakrotnie bił ją grzbietem dłoni.

— Zobaczysz, co to gestapo. Jest już po tobie! Nie będziemy się z tobą cackać bez końca. Przejdziemy do skuteczniejszych metod.

Uderzył ją jeszcze raz, tym razem tak mocno, że osunęła się na podłogę. Kopał z całej siły, gdy skuliła się, objawszy głowę rękami, by ją osłonić.

— Daj spokój, Peter — rzekł Goetz po dłuższej chwili. — Zrozumiała. Wrócimy do tego jutro. Będzie miała czas, by się zastanowić.

Wstał i zawołał strażnika.

— Zabrać ją!

Żołnierz pochylił się i chwycił Noor za ramię, by ją podnieść. Z jej warg ciekła krew, a wokół lewego oka widniał czerwony krwiak. Kiedy żołnierz ciągnął ją na korytarz, Peter jeszcze raz wymierzył jej policzek.

Noor obudziła się i zerwała na równe nogi. W nocnej ciszy rozbrzmiewało przeciągłe wycie. Wycie człowieka doprowadzonego do granic wytrzymałości, który dawał wyraz swemu cierpieniu dobywającym się z piersi chrapliwym, donośnym głosem. Krzyk ścichł, przeszedł w coś w rodzaju czkawkę. Potem rozległ się jęk, na który nałożyły się jakieś głosy. Potem znowu wycie, jeszcze głośniejsze niż poprzednie. Przez podłogę Noor słyszała na przemian odgłos kroków, pytania, których treści nie mogła uchwycić, skargi i zwierzące wycie.

Przez okienko widziała światło księżyca. Po powrocie z przesłuchania siedziała na łóżku, obmacując rany na twarzy i stłuczone żebra, tam gdzie ją skopał Peter. Podtrzymywały ją wściekłość i nienawiść. Z nadejściem nocy ogarnął ją ogromny strach. Płakała, nie mogła się opanować. Jedząc kolację — miskę tłuczonych

kartofli i kawałek kielbasy — dostrzegła współczujące spojrzenie żołnierza, który przyniósł posiłek. Ten drobny przejaw ludzkich uczuć zdwoił jej strach. Zasnęła, wyczerpana, długo po zachodzie słońca. Wyciągnęła rękę i blask księżyca, wpadający przez okienko w suficie, oświetlił jej zegarek. Druga w nocy. Wycie rozległo się znowu. Zimny pot zrosił jej czoło. Jutro, pomyślała Noor, czeka mnie to samo.

O tej samej porze Goetz i Peter siedzieli w barze w One Two Two. Dwa, trzy razy na tydzień chodzili razem do tego najsłynniejszego domu publicznego w Paryżu. Tam pośród aksamitów i złocień widywało się najładniejsze prostytutki stolicy, pijące z oficerami Wehrmachtu lub z grubymi rybami kolaboracji czy jakąś fiszą czarnego rynku. Za okrągłą sumkę można było pójść z wybraną piękną na piętro do któregoś z wyspecjalizowanych salonów. One Two Two miało w sobie coś z kolonialnej wystawy. Był tam salon egipski z wypchanymi węzami i widokami piramid, salon afrykański z Murzynkami w przepaskach na biodrach i skórami leoparda na podłodze, salon w stylu Ludwika XV z buduarem ozdobionym jedwabnymi zasłonami i reprodukcjami Watteau.

— Peter — powiedział Goetz. — Jest pan dobrym agentem, ale za mało pracuje pan głową.

— Nie można pozwolić, by ta dziewczyna nas obrażała — odparł Peter, dopijając trzecią whisky.

Nie odrywał oczu od boginki w kusej sukience. Uśmiechnęła się do niego. Ciągnął:

— Ostatecznie jesteśmy przedstawicielami niemieckiej armii!

— Ma pan rację. Należało zareagować. Ale do tej dziewczyny trzeba podejść trochę inaczej. To wariatka, idealistka. Widział pan przecież. Da się pociąć na kawałki...

— Bardzo bym chciał osobiście ją przesłuchać.

— Zapewniam pana, że nie na wiele by się to zdało.

— Jak to nie na wiele? Powiedziała panu, że brak nam niektórych siatek. Musimy wydusić z niej wszystko, co wie.

— Wie niewiele więcej niż my. Przede wszystkim interesuje nas radiostacja...

— Przecież ją mamy... Nie wiemy tylko, jak jej użyć...

— Już wiemy, mój drogi — rzekł Goetz z triumfalnym uśmiechem. — Po przesłuchaniu przestudiowałem notesy, które pan tak dzielnie zdobył. Ślęczałem nad nimi cztery godziny. Mam szyfry, klucze, a nawet zabezpieczenia. Wszystko zapisywała, to nie do wiary! Są nadane przez nią informacje, zarówno pisane otwartym tekstem, jak i zakodowane! Jest pierwsze zabezpieczenie; jeśli chodzi o drugie, wiem już, na czym polega wybieg: robią ewidentny błąd ortograficzny w

pierwszym słowie pierwszej wiadomości, potem w drugim słowie drugiej wiadomości i tak dalej, a następnie zaczynają od nowa. Jeśli wyślą wiadomość bez błędu ortograficznego, to znaczy, że nadają pod naszą kontrolą. To bardzo proste. Dziś wieczorem radiostacja Aurora zacznie znowu nadawać. Myślę, że wygraliśmy.

— Na pewno inni agenci zawiadomią Londyn, że jest w naszych rękach.

— Niekoniecznie. Nie mają radiostacji. Ta była ostatnia w regionie paryskim. Brak im łączności.

— Wymyślą coś...

Boginka podeszła i usiadła na sąsiednim taborecie. Peter uśmiechnął się do niej, słuchając słów Goetza.

— Nie jestem pewien — rzekł. — Zgodnie z instrukcją mają się ukryć, gdy któryś agent zostanie aresztowany. Zasztyją się gdzieś. Jeśli zechcą skontaktować się z Londynem, Blainville będzie o tym wiedział. Zawiadomi nas...

— A jeśli zrobią to innym kanałem?

— Zazwyczaj uciekają przez Hiszpanię, a to wymaga czasu... Prawdopodobnie mamy przed sobą kilka tygodni.

— Wobec tego po co ją przesłuchiwać? Peter objął dziewczynę w talii i oboje wstali.

— Nie dowierzam Anglikom. Powoli przyzwyczajają się do naszych metod. Jeśli coś podejrzewają, mogą zapytać o ten czy inny szczegół z życia osobistego. Musimy nauczyć się odpowiadać tak, jakbyśmy byli Aurorą.

— Jeśli nie zechce mówić, przestaniemy bawić się w sentymenty...

— Oczywiście, żadnych sentymentów. Jutro będziemy ją przesłuchiwać dalej. Ale chcę ją zmiękczyć sam. Jeśli mi się nie uda, pan mnie zastąpi.

O trzeciej dziesięć Noor usłyszała na korytarzu kroki i szuranie, jakby po podłodze wleczono jakiś tłumok.

— Ojej, ale ciężki! — odezwał się jakiś głos.

— Rzucimy go na łóżko i idziemy spać — odpowiedział ktoś z silnym południowym akcentem.

Szczękniętą zamek, zaskrzypiały sąsiednie drzwi i zza ścianki doszedł Noor odgłos ciała rzuconego na sprężyny żelaznego łóżka. Drzwi zatrzasnęły się, znów szczękniętą zamek i kroki na schodach ucichły.

Przez kwadrans panowała cisza. Noor nie mogła już zasnąć. Usiłowała sobie wyobrazić, w jakim stanie jest człowiek, który leży dwa metry od niej na żelaznym łóżku takim samym jak ona. Zaczęła nasłuchiwać z drżeniem. Wydało się jej, że słyszy cichy jęk. Potem zaskrzypiały sprężyny: więzień poruszył się. Noor usiadła na łóżku. Znowu dobiegł ją jęk. Wstała, skuliła się na ziemi po drugiej stronie celi i przyłożyła ucho do ścianki działowej. Teraz słyszała naciągające się i rozciągające

sprężyny i cichy świszczący oddech. Człowiek musiał leżeć jakieś dwadzieścia centymetrów od niej. Rozkręciła zegarek i włożyła kopertę między kciuk i palec wskazujący. Uderzając w cienką drewnianą ściankę, wystukała alfabetem Morse'a trzy znaki: „OK?”. Nasłuchiwała. Cisza. Ale sprężyny znów się poruszyły. Ktoś chrząknął. Wystukała jeszcze raz: „OK?”. Ciągle nic. Zamierzała zapytać raz jeszcze, gdy rozległo się stukanie, mniej dźwięczne od jej własnego. Człowiek musiał pukać w ściankę palcem. Zrozumiała odpowiedź i poczuła coś w rodzaju dreszczu radości: „OK”.

Mogli porozmawiać. Jej sąsiad stukał nie tak wprawnie jak ona. Ale słuchała przerywanych, cichych dźwięków, jakby były słowami nadziei.

— Nazywam się Aurora. Dobry wieczór.

— Dobry wieczór, Auroro.

— Jak się pan czuje?

— Nieźle.

— Bardzo boli?

— Już mniej.

— Ma pan jakieś rany?

— Wyrwali mi cztery paznokcie.

Noor poczuła dreszcz przerażenia. Więzień stukał dalej:

— Nic nie powiedziałem.

— Byłam tego pewna...

— Bili panią?

— Nie, jeszcze nie.

— Z jakiej jest pani siatki?

Noor pomyślała, że może to podstęp, by coś z niej wyciągnąć. Ale przecież to ona zaczęła rozmowę. Postanowiła jednak zachować ostrożność.

— SOE — odpowiedziała, mówiąc sobie, że to właściwie do niczego nie zobowiązuje.

— SOE?

— Siatka angielska. A pan?

— Organizacja Ruchu Oporu w Armii. OROA.

— Jak się pan nazywa?

— Faye.

— Chce się panu spać...

— To był długi wieczór... Auroro?

— Tak?

— Jest pani ładna? Uśmiechnęła się w ciemnościach.

— Jest pan Francuzem?

— Niczego się przed panią nie ukryje. Dobranoc...

Culioli mieszkał w górze ulicy Lepie, na zboczu wzgórza Montmartre. Kiedy nie strzelał do Niemców, wiódł życie człowieka interesu nieco szczególnego rodzaju. Wstawał późno i koło południa schodził na plac Pigalle. Jadł obiad u swego przyjaciela Pierre'a Poggioli, który miał kawiarnię na wprost Moulin-Rouge. Po południu grał w karty przy ulicy de Chateaudun albo Richer. Mniej więcej o szóstej znów wdrapywał się w górę ulicą des Martyres, by sprawdzić, czy dziewczęta w skąpych bluzkach na wydatnych biustach i w błyszczących opinających pośladki spódnicach stoją na posterunku, podpierając mury pod drzwiami domów. Potem robił obchód barów i hotelików, do których szły z klientami, wpłacając od razu do kasy należną mu część.

Od dwóch dni zaniedbywał interesy. Zamieszkał u niego Vienet i pewien zaprzyjaźniony z nim drażal, z którym „zorganizował” zamach na Foligny'ego. Tego ranka odbyliśmy naradę wojenną. Siedzieliśmy w głębokich fotelach i na aksamitnych kanapach, a Suzy, kochanka Culioli, w pantofelkach bez pięt i jedwabnym peniuarze, podawała nam kawę. Darbois i Violetta przyszli razem. Jedli rogaliki maczane w kawie, a „Paul” i «Dominique”, dwaj przyjaciele Culioli, nalewali sobie pastis przy małym mahoniowym barku.

— Violetto — powiedział Vienet. — Może pani zamieszkać tutaj. Mój przyjaciel Culioli wystąpił z taką propozycją. Jest tu z tyłu dziesięć pokoi. Dostanie pani wspaniałe lokum z widokiem na Sacre Coeur.

— René — odparła Violetta. — Zajmijmy się poważnymi sprawami.

— Zgoda. Jutro spotkam się z moją informatorką. Wspomniała mi o Angliku, który siedzi tam od kilku tygodni. Niejaki John Starr. Czy to nazwisko coś wam mówi?

— Starr! Oczywiście! — powiedziałem. — To nasz człowiek! Byłem nawet jego instruktorem. Facet ma głowę na tkarku...

— Rzecz w tym, że nie wiem, czy jest wiarygodny. Według mojej informatorki zaprzyjaźnił się z Niemcami i uzyskał jakieś przywileje. W dzień siedzi w bibliotece albo w biurze. Podobno umie rysować...

— W cywilu jest malarzem — potwierdziła Violetta. — To uzdolniony amator. Wystawiał w angielskich galeriach.

— No więc teraz wystawia w gestapo — rzekł Vienet. — Robi portrety, rysuje mapy i schematy organizacyjne, Kieffer bardzo go polubił.

— Może gra komedię, by zyskać swobodę ruchów — zaryzykowałem.

— Może — zgodził się Vienet. — W każdym razie nie mamy wyboru. Nie uda nam się wejść do tego budynku. Wszędzie są żołnierze. Starr i Noor muszą więc uciec dachami. Wydaje się to możliwe. Ich cele znajdują się na poddaszu i mają

małe okienka. Możemy czekać na nich na dole pod warunkiem, że się przedostaną na ślepą uliczkę na zapleczu. Kiedy planowaliśmy odbicie Moulina, okazało się, że to jedyne rozwiązanie. Oczywiście Starr musi przyłączyć się do nas. Jeśli trzyma z Niemcami, nie ma o czym gadać.

— Trzeba spróbować — powiedziałem. — Czy jest jakaś inna możliwość?

— Żadnej. Jutro dziewczyna przekaże Starrowi wiadomość. Zobaczymy...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Noor weszła do gabinetu Goetza blada i przygnębiona. Udało jej się zasnąć dopiero nad ranem. Obudziła się zrana potem, gdy przyśniło jej się, że zaczynają jej wrywać sutki. Niemiec spojrzał na nią. Zrozumiał, że dobrze słyszała tortury, jakim poddano Faye'a. Kiedy siadała, podziwiał jej twarz i figurę.

— Dzień dobry, Noro Wilson! Podniosła głowę zdziwiona.

— Otóż znam pani prawdziwe nazwisko. Jest pani z RAF-u, była pani radiotelegrafistką. Widzi pani, przed wujkiem Goetzem nic się nie ukryje.

— Słyszała pani, co się działo dzisiejszej nocy? Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, czeka panią to samo. Nie lubię tych metod, ale...

— Ale je pan stosuje.

— Jeśli sytuacja mnie do tego zmusza. Trzeba przecież bronić naszych żołnierzy. Ludzie tacy jak wy nie znają litości. Działacie bez mundurów, poza wszelkimi prawami. Mordujecie, uprawiacie sabotaż, masakrujecie. A potem dziwicie się, że nasza służba bezpieczeństwa reaguje.

Mówił „służba bezpieczeństwa”, a nie gestapo, tak bowiem brzmiał oficjalny tytuł niemieckiej policji, Sicherheitsdienst, służba bezpieczeństwa.

— Ponieważ wy szanujecie prawa?

— Jeśli chodzi o wojnę prowadzoną w mundurach, tak. Ale w wypadku waszej brudnej wojny to niemożliwe. Uprawiacie terroryzm, który jest sprzeczny z prawami wojny.

— Nie rozumiem pani, Noro. Jest pani ładną kobietą, bardzo wykształconą, idealistką. Co pani robi wśród tych gangsterów?

— To nie gangsterzy, to bojownicy. A wkrótce staną się zwycięzcami.

— Na razie my jesteśmy górą. Ja siedzę za biurkiem, a pani przed nim. Kiedy będzie na odwrót, zobaczymy.

— Ten dzień już jest blisko...

— Być może. Ale na razie Rzesza kontroluje całą Europę. Rosjanie są na Ukrainie, a Amerykanie w Afryce Północnej. Mamy trochę czasu! Sprzymierzyliście się z tymi dzikusami bolszewikami. Wehrmacht zwycięży. Bronimy zachodniej cywilizacji. Cała Europa jest z nami. Gdyby komuniści zwyciężyli, wszystko zostałoby obrócone wniwecz. Kultura, inteligencja, sztuka, religia. Wierzy pani w Boga, Noro?

— Tak.

Nora potwierdziła. Przygryzła wargę. Straszliwie bała się tortur. Powiedziała sobie, że na błahе pytania może odpowiadać. Trochę odsunie od siebie moment

bicia. Jej umysł wołał: „uważaj!”. Ale zmęczone ciało bało się bólu. Rozmawiając, miała poczucie wytnienia, niemal bezpieczeństwa.

— Jeśli wierzy pani w Boga, nie może pani akceptować bolszewików. Oni nie mają Boga.

— To ich prawo...

— Jak to ich prawo? Nie ma społeczeństwa bez Boga. Bez religii społeczeństwo się rozpada. Ludzie bez wiary to zwierzęta.

Noor przypomniała sobie nauki ojca.

— Naziści są poganami. Czczą bogów lasu, bogów gór. Zatrzymali się na poziomie wikingów. Palą ogniska na polach, siadają dokoła nich i myślą, że to religia. Nazizm jest religią siły. Niech pan posłucha Wagnera. Zygfyrd jest głupim barbarzyńcą. Ma szablę i siłę. To żadna religia!

— Zdaje się, że jest pani rozmiłowana w muzyce, Noro. Wobec tego powinna pani wiedzieć, że Wagner pisał opery chrześcijańskie. A Führer broni katolicyzmu...

— Wsadza do więzienia księży,

— Kiedy spiskują.

— Religia to tolerancja.

— Tolerancja? Ależ to pomysł dla słabych, dla demokratów. Dla Żydów...

Noor zapomniała o torturach. Również Goetza zaczęła wciągać ta dyskusja. Wyjął notes i zapisywał to, co mówiła Noor.

— Doktorze Goetz, nie ma pan o tym pojęcia. Wszystkie religie są tolerancyjne, jeśli trzymamy się nauk ich proroków, to znaczy nauk Boga.

— Jaką religię pani wyznaje, Noro? Odnoszę wrażenie, że jest pani bardzo wykształcona...

— Wszystkie religie.

— Jak to?

— Nie powiem panu nic więcej. Ale tak naprawdę religie są do siebie podobne. Bóg jest jeden. Wyraził się za pośrednictwem wielu proroków, Jezusa, Buddy, Mahometa... Tym, co się najbardziej liczy, jest dostęp do bezpośredniego poznania!

Goetz szybko zapisywał słowa Noor. Podniósł głowę.

— Ależ pani jest mistyczką, Noro. To interesujące! Lubię te wschodnie religie. Musi pani być Hinduską albo czymś w tym rodzaju. Wie pani, skąd pochodzi swastyka, Noro? Z dawnego kultu hinduskiego. Führer żywi najgłębszy szacunek dla aryjskich religii. Nie rozumie pani, że Trzecia Rzesza zapoczątkuje nową erę. Będzie to nowy renesans. Pozbędziemy się Żydów, bolszewików, demokratów i ich materialistycznego świata. Jest pani mistyczką, Noro, a broni pani materialistów. Broni pani Żydów i pieniądza. To niesłychane.

— Bronię wolności wyboru. Ludzie muszą znaleźć swoją drogę sami. Wy chcecie myśleć za nich. Chcecie zabić ducha.

— Chcemy stworzyć nową cywilizację, Noro, to warte paru poświęceń. Biada tym, którzy stają nam na drodze.

— Myślicie tylko o zabijaniu!

— Dość już tego! — warknął.

Noor poczuła, że znów ogarnia ją strach. Zaczęła drzeć. Goetz spostrzegł to i złagodniał.

— Zaraz udowodnię, że nie jesteśmy tacy, jak pani mówi. Może pani wrócić do celi. Na dzisiaj przesłuchanie skończone.

Patrzyła na niego zaskoczona.

— Tak, skończone. Jak widać, nawet pani nie dotknąłem. Jeśli pani chce, może poprosić o papier do pisania. Intelktualiści zawsze o to proszą. Może pani również pójść do biblioteki na pierwszym piętrze. Są tam książki Wiktora Hugo i Aleksandra Dumas. Rozerwie się pani. Strażnik!

Kiedy Noor wyprowadzono, do gabinetu wszedł Peter.

— Mówi?

— Zaczęła. Robię postępy... Robię postępy...

Gdy młoda sprzątaczką położyła karteczkę na biurku Starra, podniósł głowę. Patrzyła na niego badawczo. Szepnęła: „Byron!”. Instynktownie wziął kartkę i włożył ją do kieszeni. Kobieta odwróciła się i dalej zamiatała podłogę obok stanowiska strażnika. Żołnierz siedział rozwalony na krześle i bujał się, trzymając nogi na biurku. Niczego nie zauważył. Starr umoczył pędzel w szklance z kolorową wodą. Kiedy kobieta przepasana niebieskim fartuchem wyszła, zabierając szczotkę i wiadro, nawet na niego nie spojrzała. On zaś był nadal skoncentrowany na malowaniu wiejskiego pejzażu, zamówionego przez Kieffera, który podczas najbliższej przepustki chciał ofiarować jakiś oryginalny obraz żonie.

Podczas gdy żołnierz łapczywie pochłaniał gazetę, Starr wyjął kartkę i rozprostował ją. Była pokryta bez ładu ni składu literami rozmieszczonymi w pionowych i poziomych liniach, tworzących niezrozumiałe kwadraty. Poznał podwójną transpozycję, jakiej uczono go w Beaulieu. Zrozumiał, że „Byron” to słowo-klucz, pozwalające rozszyfrować wiadomość. Poprosił, by odprowadzono go do celi.

Po południu Starr wrócił do biblioteki, by dokończyć obraz. Został tam dwie godziny. Gdy zaczynało zmierzchać, zamknął pudełko z akwarelami, położył na nim trzy pędzle, przykrył je dłonią i wziął pudło do ręki. Wstał, ale przed opuszczeniem pokoju wziął z półki Marzenie Emila Zoli, jedyną powieść tego pisarza, której Vichy nie umieściło na indeksie. Potem poszedł za żołnierzem, który

odprowadzał go do celi. Aby zamknąć za sobą drzwi biblioteki, włożył pod pachę pudełko z farbami i pędzle.

Na szóstym piętrze zajmował celę w głębi korytarza, w dość dużej odległości od cel innych więźniów. Aby się tam znaleźć, trzeba było iść od wartowni prosto, nie skręcając w prawo. Kiedy znalazł się na wysokości korytarza, gdzie były cele Noor i Faye'a, upuścił pudełko z farbami i pędzle. Zaklął. I nim strażnik zdążył się odwrócić, kopnął jeden z pędzli pod drzwi Noor.

— Cholera — zaklął. — Przepraszam.

Podczas gdy usłużny żołnierz schylił się, by podnieść pudełko, z którego wypadło kilka krążków farb, poszedł dalej korytarzem. Ukląkł na podłodze, by podnieść pędzel, szybko wyjął z kieszeni kartkę papieru i wsunął ją pod drzwi. Żołnierz niczego nie zauważył.

Starr wrócił, odebrał od niego pudełko i poszedł do swej celi.

— Dziękuję, bardzo pan uprzejmy. Przepraszam...

Noor usłyszała hałas upadającego pudełka. Gdy zobaczyła kartkę, natychmiast zrozumiała, o co chodzi. Podniosła ją i rozłożyła. Tekst był krótki: „Nie jest pani sama. Czuwam nad panią. Pani przyjaciele także. Proszę pójść do łazienki i zajrzeć pod kratkę przy umywalni. Starr”. Włożyła karteczkę do ust i połknęła ją.

O siódmej zastukała do drzwi i strażnik zaprowadził ją do łazienki. Pozwolił, by zamknęła drzwi na klamkę, ale nie na zasuwkę. Odkręciła kran, potem przykucnęła nad kratką przy umywalce, wyjęła ją i wsunęła rękę do środka. Było to małe wilgotne zagłębienie, rozszerzające się u wylotu. Obmacując brzeg, znalazła w rogu zwiniętą, niewidoczną z zewnątrz karteczkę. Dziesięć minut później z bijącym sercem czytała wiadomość od Starra. „Droga Noro. Cieszę się, że znów panią widzę. Proszę nie myśleć, że o pani zapomniano. Pani przyjaciele są ze mną w kontakcie. Pomogą nam. Od dwóch miesięcy miałem czas wszystko przemyśleć. Jeśli usuniemy kraty, możemy wydostać się na dach. Pani przyjaciele będą na nas czekać na dole, w ślepej uliczce. Więcej szczegółów w następnym liście, który zostawię tam gdzie ten. Proszę mi odpowiedzieć w ten sam sposób. Odwagi, nadziei...”.

Wieczorem Faye'a znowu torturowano. Noor czekała na jego powrót. O drugiej zapytała, jak się czuje. Tym razem wbijano mu szpilki w pierś i złamano dwa palce, powoli je wyginając. Nadal nie uległ. Leżał na swym żelaznym łóżku i jęczał. O wpół do trzeciej przerwał im alarm. Gdzieś od zachodniej strony usłyszeli warkot samolotu. Co chwila rozlegały się strzały artylerii przeciwlotniczej. Reflektory przeczesywały niebo, rzucając przez okienka odbłaski zimnego światła. Zgodnie z rozkazem strażnik wstał z łóżka i w pizamie zrobił obchód cel, które kolejno otwierał. Ponieważ nie wolno było zapalać światła, przeprowadzał inspekcję,

przyświecając sobie latarką. Noor leżała w łóżku i czekała na koniec alarmu. Kiedy powróciła cisza, przekazała Faye'owi wiadomości od Starra.

— Nasze sprawy idą w dobrym kierunku, Peter. Ma do mnie coraz większe zaufanie.

— Ale nic nie powiedziała o swojej działalności, o siatce...

— To bez znaczenia. Wszystko przecież wiemy. Mówi o tym, czego mi brak: o swoim otoczeniu, kulturze. Chyba już ją dobrze znam. Jeśli Anglicy będą mi stawiali podchwytliwe pytania, potrafię na nie odpowiedzieć.

— Próbowali?

— Nie. Na razie gładko przetykają wszystkie wiadomości. Sądzą, że siatka Prospera odbudowuje się. W przyszłym tygodniu organizuję mój pierwszy zrzut. Dostałem gratulacje od Buckmastera. Doradza mi ostrożność. Powiedział: „Auroro, proszę uważać. Kiedy pani nadaje, proszę mieć przy sobie broń”. Widzi pan, Peter, wiem, dlaczego to mówi. Ta dziewczyna jest mistyczką. Musi być Hinduską albo czymś w tym rodzaju. Ci ludzie nie znają przemocy. Dlatego Buckmaster nie szczędzi jej rad tego rodzaju. Odpowiedziałem: „Wie pan, jakie są moje przekonania. Bóg jest ze mną...”.

Goetz roześmiał się szczerze. Peter patrzył na niego z otwartymi ustami, niezbyt rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi.

Noor prowadziła z Goetzem długie rozmowy, które codziennie miały bardziej poufale i osobisty charakter. W jego spojrzeniu Noor widziała jakby podziw, a nawet czułość. Dotychczas nigdy nie mówiła o swej rodzinie, ale pewnego razu, zmieniając miejsca i okoliczności, opowiedziała wreszcie o swym dzieciństwie. Goetz dowiedział się, że gra na pianinie i na harfie, pisze bajki dla dzieci i o wiele lepiej od niego zna się na teologii. Dziwna rzecz, nadal notował to, co mówiła.

Po dwóch dniach Faye zaczął mówić. Dochował nakazanego terminu. Wyjaśnił Noor, że podał informacje już znane albo niemające większego znaczenia. Kieffer, który chciał się wreszcie wyspać, zadowolony tymi zeznaniami i rozkazał, by przestano go torturować. Starr ciągle malował. Oprócz pejzaży rysował karykatury najwyższych oficerów z alei Focha. Pokazywał je sekretarkom i żołnierzom, którzy pękali ze śmiechu. Okazał się też złotą rączką i reperował różne urządzenia, jakie mu znoszono z całego budynku: lampy, zszywarki, maszyny do pisania. Za każdym razem dawano mu skrzynkę z narzędziami, którą oddawał po wykonaniu naprawy.

Pewnego dnia, gdy zreperował mechanizm dużego budzika, zamknął jego metalową obudowę, wkręcił śrubki i sprawdziwszy, że strażnik nie patrzy, zamiast włożyć śrubokręt do przegródki w skrzynce, ukrył go w kominku za stalową płytą, oddzielającą palenisko od pomieszczenia. Jeśli się zorientują, że brakuje

śrubokrętu, nie znajdują go przy nim. Oddał skrzynkę z narzędziami, a po południu wrócił do biblioteki, by malować.

Tego samego dnia wieczorem Noor znalazła pod umywalką śrubokręt i wiadomość: „Można tym poluzować pręty. Wystarczy trochę wyskrobać zaprawę. To kwestia czasu. Kiedy pani skończy, przekażę śrubokręt Faye'owi. Proszę mu wytłumaczyć. Moje pręty są zamocowane w drewnianej ramie. W dniu ucieczki usunę ją w ciągu godziny... Proszę dobrze schować śrubokręt. Odwagi i nadziei”.

Noor popatrzyła najpierw na śrubokręt, potem na kraty. Były za wysoko. Weszła na krzesło, ale nie mogła do nich sięgnąć, nawet wspinając się na palce. Pomyślała chwilę. Było tylko jedno rozwiązanie. Zdjęła materac i koc, bardzo ostrożnie przesunęła łóżko i zdołała oprzeć je pionowo o ścianę. Przysunęła krzesło, weszła na nie i postawiła nogę na wezłowniu. Znalazła się w bardzo niewygodnej pozycji na górze żelaznej ramy, ale teraz mogła sięgnąć do prętów. Chwyciła pierwszy z nich jedną ręką i stwierdziła, że drugą może zdrapywać zaprawę. Zeszła na dół, a potem jeszcze raz wspięła się na łóżko, tym razem ze śrubokrętem. W chwili, gdy zaczynała usuwać zaprawę wokół pierwszego pręta, źle ustawione łóżko ześlizgnęło się do środka pokoju i z piekielnym hałasem runęło na podłogę. Noor zawisała, trzymając się jedną ręką prętu, nogi miała o metr od ziemi. Usłyszała kroki strażnika. Puściła pręt i spadła na łóżko. Przerazona czekała jak sparaliżowana, aż wejdzie, zupełnie nie wiedząc, jak wytłumaczyć dziwną pozycję.

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku i w drzwiach stanął strażnik. Patrzył na nią osłupiały. Noor wyglądała jak ktoś zupełnie załamany. W zaciśniętej dłoni trzymała pasek od sukienki. Strażnikowi zdawało się, że wie, co się stało.

— Fräulein, co pani zrobiła najlepszego? Nie trzeba. Jeśli będzie pani współpracowała, nie spotka panią nic złego. Nie trzeba odbierać sobie życia! Jeśli zdecyduje się pani mówić, wszystko się dobrze skończy.

Wyrwał łkającej Noor pasek z rąk.

— Przecież — dodał — nie sięgnie pani do prętów. No, proszę się uspokoić! Porozmawiam o tym z doktorem Goetzem jutro rano. Niech się pani położy i zaśnie.

Vienet rozłożył przed sobą plan. Suzy podawała nam dzin z tonikiem i whisky, krążąc po pokoju w obcisłej różowej spódnicy. Uśmiechała się do mnie szeroko pod ponurym spojrzeniem Culioliego, który zaczynał dochodzić do wniosku, że pobyt szefa siatki w jego domu zanadto się przedłuży.

— Tutaj widzicie aleję Focha, tu budynek, gdzie ich trzymają. Zaczęli poluzowywać pręty. Wyjdą na dach w tym miejscu, pójdą prostopadle do alei Focha w kierunku domów wychodzących na ślepą uliczkę. Tutaj będzie im trochę

trudno, ale przeskakując, dostaną się na ten budynek, zejną na dół wewnętrznymi schodami. W tym miejscu wyjdą na ślepą uliczkę.

— Gdzie stoją wartownicy? — spytała Violetta.

— Tu, tu i tu. Dwóch przy wlocie do ślepej uliczki, jest też posterunek na rogu przy Porte Dauphine. Zlikwidujemy wartowników, natychmiast gdy nasi wyjdą z budynku w głębi uliczki. Dobiegają do nas i dajemy nogę. Jest ich troje. Do wywiezienia ich potrzebujemy dwóch samochodów. I dwóch dla obstawy.

— Prowadziliśmy obserwację przez dwa dni, wczoraj i dziś. Aż się tam roi od żołnierzy i glin. Ale przy wlocie uliczki stoi tylko dwóch wartowników. Reszta jest na rogu alei. Rozmawiają i nie zawsze oglądają się za siebie. Jeśli będziemy działać szybko i po cichu, może się udać...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

— Nie rozumiem, dlaczego mnie nie torturują...

— Nie wszystkich torturują.

— Ale powinni się mną interesować. Jestem radiotelegrafistką.

— Wiedzą już dostatecznie dużo.

— Może. To dlaczego mnie tu trzymają?

W nocnej ciszy Noor rozmawiała z Faye'em alfabetem Morse'a, siedząc na podłodze w swojej celi, z uchem przy ścianie. Ich kontakty nabrały serdecznego, zabawnego, osobistego charakteru. Rozmowy prowadzone w dzień były krótsze, bardziej bezosobowe. W ciemnościach Noor odnajdywała swe dziecinne wspomnienia, kiedy to rozmawiała cichutko z bratem w wielkiej sypialni w Fazal Manzil. Mimo powolności, z jaką Faye posługiwał się morsem, Noor polubiła towarzystwo tego człowieka, którego nigdy nie widziała. Był inteligentny, błyskotliwy, ojcowski. Nagle rozległy się syreny alarmowe. Musiała wrócić do łóżka i czekać najpierw na pojawienie się żołnierza z latarką, potem na odwołanie alarmu. Gdy nastał spokój, wróciła pod drewnianą ściankę.

— Udało się pani ruszyć łóżko? — spytał Faye.

— Tak. Przesunęłam je w głąb celi, na wprost drzwi.

— Nic nie powiedzieli?

— Nie. Uznali, że to dziwne. Ale przecież ja jestem dziwna.

— Tak, jak też tak uważam.

Łóżko przestawiła wieczorem. Żołnierz spytał, dlaczego to robi. Odpowiedziała, że życie jest takie monotonne, że chce chociaż przemeblować celę. Wezwany na pomoc Goetz uśmiechnął się do Noor i wzruszył ramionami. Łóżko zostało na nowym miejscu.

— Będziemy gotowi najdalej za tydzień. Pręty są marnie przytwierdzone.

— Spotkamy się na dachu.

— Będę miał okazję stwierdzić, że jest pani ładna.

— A pan jest przystojny?

— Bardzo.

— Zobaczymy.

Dwa dni później Noor pchnęła łóżko pod ściankę, oddzielającą od Faye'a. Żołnierz nie protestował. Po kolejnych dwóch dniach umieściła je na środku celi, a krzesło tuż obok. Zaczekała do wieczora. Podając jej miskę z jedzeniem, żołnierz nie zauważył zmiany. Noor odczekała godzinę, potem wzięła krzesło i postawiła je na łóżku. Weszła najpierw na łóżko, a następnie na krzesło, które się nieco chwiało na sprężynach w metalowej ramie. Podniosła ręce i chwyciła za jeden z prętów.

Udało się jej zachować równowagę. Wówczas wyjęła z kieszeni śrubokręt i zaczęła skrobać zaprawę wokół pierwszego pręta. Gdyby usłyszała, że korytarzem idzie żołnierz na niespodziewaną kontrolę, miałyby ledwo czas, by zejść, postawić krzesło na miejsce i wsunąć się pod koc. Przećwiczyła to trzy razy. Nasłuchiwała i zeszkrobywała zaprawę.

— Nie można zbudować cywilizacji na jednostkach — rzekł Goetz. — Ludzie nie są równi. Ludzi przeciętnych jest za dużo. Wielkie rzeczy robią wielcy ludzie. A rasa, która wydaje wielkich ludzi, jest rasą wyższą.

— Dla Boga człowiek jest człowiekiem — odpowiedziała Noor. — Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje.

— Kiedy więc widzi Żydów, z trudem się w nich rozpoznaje! — zawołał Goetz ze śmiechem.

— Ciągłe Żydzi! Ma pan obsesję.

W ich codziennych dyskusjach Goetz często powracał do religii i polityki. Za każdym razem kierował rozmowę na życie osobiste Noor, jej uczucia, rodzinę, dzieciństwo. Mówiła o tym niechętnie. Ale w końcu znalazła przyjemność w wymianie myśli z byłym nauczycielem. Uszczypliwa, skupiona, nigdy mu nie ustępowała w intelektualnych potyczkach. Przypominała sobie wykłady z filozofii i dyskusje z bratem. Do Goetza czuła głęboką odrazę, połączoną z mimowolną wdzięcznością dla człowieka, dzięki któremu uniknęła tortur. Między ofiarą a katem zrodziło się pewne porozumienie. Noor wstydziła się tego. W głębi duszy czasem się przyznawała, że chodzi jej o uniknięcie zniewag i bicia.

— Ależ skąd! — ciągnął. — Żydzi wyznają religię słabszych. W konsekwencji wszystkich deprawują. Zdaniem antysemitów Żydzi są źli, chciwi, przebiegli. Za to ich nienawidzą. Ale nie w tym rzecz. Żydzi są niebezpieczni, gdyż ich religia wynosi słabych. Tymczasem grupie, rasie, trzeba religii silnego człowieka, który dokona wielkich czynów. Liczą się jedynie dzieła grupy. Jednostka musi usunąć się w cień. My jesteśmy niczym. Grupa wszystkim!

— Jednak demokracje dokonały wielkich rzeczy. Przemysł, powszechne nauczanie, nowoczesna sztuka, Ameryka... To osiągnięcia demokratycznych cywilizacji.

— Nic podobnego! Wszystkiego dokonali wielcy ludzie! Śmiesz mnie pani tą swoją demokracją. Jeden człowiek, jeden głos. Jakby ludzie byli tyle samo wari. To śmieszne. Jeśli większość zgodnie uzna jakieś kłamstwo, czy staje się ono prawdą? Czy tego nauczał pani ojciec?

— Tak, ale niczego się pan o nim nie dowie...

— Otrzymała pani wyższe wykształcenie, Noro. Chciałbym poznać pani rodzinę.

— Ona nie chciałaby pana poznać, doktorze Goetz.

— A gdzie jest pani matka? — spytał, nie reagując na te słowa.

— W Anglii. Jeśli chce pan ją poznać, musi pan tam wkroczyć z Wehrmachtem. Obawiam się więc, że nigdy się nie poznacie...

Goetz słuchał z natężoną uwagą. Noor zrozumiała, że udało mu się zaprowadzić ją w rejony, w które nie chciała się zapuszczać. Zamknęła się.

— Szkoda — powiedział. — Może po wojnie... W każdym razie pani demokratyczna teoria nie trzyma się kupy. Pani wierzy w Boga. Demokracja nie wierzy w nic. Nie zna prawdy, ideału, namiętności. Na jednej płaszczyźnie stawia to, co prawdziwe, i to, co fałszywe...

— Ostatecznie prawda zawsze dochodzi do głosu... Wystarczy zwrócić się do Boga.

— A jeśli Boga nie ma?

— Bóg jest nie tylko w religii. Jest w życiu, w przyrodzie, w miłości ludzi. Kiedy to sobie uświadomimy, Bóg staje się oczywistością. Można go poznać. Wystarczy otworzyć przed nim swoje serce.

— Ale większość ludzi myśli tylko o sobie. Nie o Bogu. Potrzebują przywódcy. Religia jest po to, by służyć przywódcy. To przywódca objawia rasię jej wielkość. Wolność to dekadencja.

— Ludzie są słabi — podjęła Noor — popełnili grzech pierworodny. Ale mogą zostać odkupieni. To jest sens religii. Każdy ma szansę. Doktorze Goetz, można to pokazać na przykładzie arytmetyki. Bóg przemawia również poprzez wiedzę matematyczną. Nigdy się pan nie zastanawiał, dlaczego przyrodę można wyjaśnić dzięki równaniom i obliczeniom? Proszę sobie wyobrazić, że istnieje zgodność między prawami ducha i prawami świata materialnego. Obydwa stworzył Bóg. To te same prawa. Im bardziej zagłębiamy się w naukę, tym bardziej poznajemy zamiary Boga. W arytmetyce istnieją operacje odwracalne i nieodwracalne. Dodawanie lub mnożenie można wykonać w obu kierunkach. Dwa dodać trzy albo trzy dodać dwa to to samo. Ale dwa odjąć trzy albo trzy odjąć dwa to nie to samo. Dobrą cywilizacją jest cywilizacja operacji odwracalnych. Pomagam bliźniemu, on pomaga mnie. On jest wolny, więc i ja jestem wolna. Wszystko jest odwracalne, wzajemne, jak operacje dodawania i mnożenia. Wszyscy na tym zyskują. W waszej arytmetyce istnieją jedynie operacje odejmowania i dzielenia. Myślicie tylko o zniewalaniu. W gruncie rzeczy chodzi wam tylko o zabijanie.

— Proszę nie zaczynać, Noro. Nie zdaje sobie pani sprawy, jak bardzo jest pani uprzywilejowana. Tutaj ja jestem pani obrońcą...

— Ale dlaczego pan to robi, doktorze Goetz? Po co te wszystkie dyskusje? Zrobił zakłopotaną minę.

— Hmm... Muszę napisać raport. O naszych wrogach. Moimi zwierzchnikami są policjanci. Chcą zrozumieć swoich wrogów. A więc muszę zgłębić tę kwestię...

Noor nie uwierzyła w ani jedno słowo Goetza.

Trzeba było uporać się z problemem chleba. Noor zrobiła w zaprawie dziury, które były widoczne z dołu. Gdyby strażnik podniósł głowę, próba ucieczki zostałaby odkryta. Noor spytała swych towarzyszy, co z tym począć. Faye poradził, by zatykała dziury miękiszem chleba. Odtąd jadła jedynie skórki. Ale chleb był jaśniejszy od zaprawy. Rozwiązanie tej kwestii znalazł Starr. Zostawił pod umywalką kulki chleba, które uprzednio pokolorował akwarelami. Noor zatykała nimi dziury. Przez to mniej rzucały się w oczy.

Dyskusja na temat koców zajęła trzy dni. Potrzebowali lin na wypadek, gdyby musieli zsunąć się wzdłuż fasady budynku. Nie wiedzieli, jak wygląda przejście między ich celami a budynkiem, wychodzącym na ślepą uliczkę na zapleczu alei Foche'a. Niemcy nie dali im bielizny pościelowej, a jedynie koce, które były za grube, by zwinąć je i powiązać. Należało je pociąć. Było to czasochłonne i trudne: nie mogli zrobić tego wcześniej, bo sprawa by się wydała. Wreszcie Starr znalazł rozwiązanie. Zdobył nóż. Mieli pociąć koce dopiero po wyjściu na dach.

Nazajutrz Starr minął się na schodach ze sprzątaczką. Dyskretnie podał jej małą kulkę papieru, którą wzięła, nie zwalniając kroku. Kiedy Vienet rozprostował papier, przeczytał: „Będziemy gotowi jutro wieczorem”.

Wieczorem tego samego dnia w One Two Two Goetz nie posiadał się z radości.

— Coraz więcej wiem! Jest dużo rzeczy bezużytecznych. Ale wyciągnąłem z niej mnóstwo informacji. Znam jej rodzinę, wiem, że jej ojciec nie żyje albo wyjechał, w każdym razie od dawna go nie widziała. Wiem, jak została wychowana i że gra na pianinie i na harfie.

— Po co to panu? — spytał Peter, który pił czwarty kieliszek koniaku i wpatrywał się w zielonooką brunetkę z prostą grzywką i cygarniczką w dłoni. — Prawda jest taka, że wpadła panu w oko, Goetz. Usidliła pana...

— Ależ skąd! To fascynująca kobieta, ale jestem za stary na takie rzeczy.

— Dlaczego za stary? Uważa się pan za jej ojca. Świetnie widzę, że ją pan chroni.

— Za dużo pan wypił, Peter. Nie robi pan użytku z głowy. Posuwamy się naprzód jak nigdy dotąd. Dam panu przykład. Wczoraj Anglicy przekazali wiadomości o jej matce. Powiedzieli: „Pani matka czuje się dobrze; jej zdrowie się poprawia”. Była to pułapka.

— Jaka pułapka?

— Powiedzmy nie pułapka, ale pewna trudność. Nie sędzę, by Anglicy zastawili na mnie pułapkę. Mają zaufanie, uważają, że Aurora ciągle działa. Gdybym nie

wiedział, że SOE dostarcza wiadomości tylko w jednym kierunku, a nigdy na odwrót — zdradził mi to Norman, radiotelegrafista Prospera — mógłbym w odpowiedzi nadać coś w rodzaju „Proszę ją uściskać”. I byłoby po wszystkim. Natychmiast zrozumieliby, że to nie Aurora nadaje, ale że radiostacja jest pod naszą kontrolą. Aurora nie mogłaby nadać takiej odpowiedzi. Świetnie wie, że matka nie ma pojęcia o jej pracy i że SOE niczego jej nie przekazuje. Buckmaster zasięga informacji o rodzinach agentów i dla ich spokoju sam je im dostarcza. Ale nigdy nie robi tego w odwrotnym kierunku. Z powodu trzech słów „Proszę ją uściskać” radiostacja Aurora byłaby spalona! Trzeba o wszystkim wiedzieć, Peter, o wszystkim. Jeśli kiedyś powiedzą: „Pani ojciec czuje się dobrze”, będę wiedział, że to podstęp, ponieważ jej ojciec zniknął. Od czasu do czasu robią jakieś osobiste aluzje. Uważają to za trzecie zabezpieczenie.

— Nie do końca rozumiem...

— Niech się pan nie stara zrozumieć, zyskamy tylko na czasie. Drogi Peter, dzięki tej dziewczynie mamy kure, która znosi złote jaja. To żyła złota. Zobacz pan. Jeszcze kilka tygodni i radiostacja Aurora będzie naszym największym sukcesem.

Następnego dnia pod wieczór Culioli zaparkował beżowego citroena na południe od Porte Dauphine, naprzeciw zaułka Fouchégo. Wysiadł z samochodu. Udał, że zamyka na klucz drzwiczki, i odszedł. Dwukrotnie powtarzaliśmy próbę. Obydwaj żołnierze, trzymający wartę przy wlocie do ślepej uliczki, patrzyli na niego i nie reagowali. Na wypadek kontroli Culioli miał ausweis lekarza. Odkryliśmy też pewien ważny szczegół: samochody parkujące w pobliżu gestapo nie były ani kontrolowane, ani rewidowane. W sercu Paryża Niemcy czuli się bardzo pewnie.

Godzinę później wyszedłem ze stacji metra Dauphine, obejmując ramieniem Violette. Niedaleko ślepej uliczki, nieco na prawo, w dole alei, był niewielki ogród publiczny. Usiedliśmy tam, objęci, na jednej z ławek, Violetta położyła głowę na moim ramieniu i zaczęliśmy rozmawiać. Piętnaście metrów za citroenem zaparkował furgon z plandeką. Wysiadł z niego przebrany za szofera Vienet i oddalił się. Obserwowaliśmy ruch wokół budynków gestapo. Parę samochodów przyjechało i odjechało. O siódmej sekretarki i urzędnicy wyszli z biura. Na zewnątrz zostali tylko wartownicy, po dwóch przy każdym wejściu. Po drugiej stronie placu widzieliśmy okna dużej wartowni, gdzie w elektrycznym świetle rysowały się sylwetki w hełmach.

Pięć po ósmej, kiedy się ściemniło, podeszliśmy do naszych samochodów. Dwie minuty później na plac wjechał pędem motocykl z przyczepą i zderzył się z ciężarówką na gazo-generator. Żołnierze jak jeden mąż odwrócili głowy w tamtą stronę. W tym momencie wskoczyłem do citroena od strony kierowcy, na tylne

siedzenie wślizgnął się Darbois, który dyskretnie podszedł do samochodu, chowając się za drzewami, a Violetta i Culioli wsiedli do furgonu z plandeką. Trzej faceci na placu kłócili się w najlepsze na oczach żołnierzy. Wreszcie z budynku pod numerem 86 wyszedł oficer i kazał im odjechać. Żołnierze wepchnęli uszkodzony motocykl na chodnik, dwaj ludzie z ciężarówki zostawili swe adresy wściekłemu motocykliście, i wszyscy się rozjechali.

Leżałem na podłodze citroena, z głową pod kierownicą. W schowku na rękawiczki znalazłem pistolet z tłumikiem, ukryty tam przez Vieneta. Darbois, leżący na tylnym siedzeniu, znalazł taką samą broń w kieszeni przyszytej na plecach siedzenia dla pasażera. Wiedziałem, że w furgonie Violetta odkręciła już metalową płytę w podłodze i wyjęła ze schowka karabin z lunetą i pistolet maszynowy. Żołnierze pilnujący ślepej uliczki byli o dziesięć metrów od nas; pozostali, ci z rogu alei Focha, patrzyli w stronę Porte Dauphine. Teraz pozostawało już tylko czekać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Kiedy Starr otworzył okienko i wyszedł na dach, twarz owionął mu lekki wietrzyk. Październikowa noc była ciepła. Na prawo zobaczył drzewa Lasku Bulońskiego. Spowił go zapach zżółkłych jesiennych liści. Na lewo, w górze alei, lśnił w świetle księżycy biały masyw Łuku Triumfalnego. Zdjął buty, związał je sznurowadłami i zawiesił na szyi. W samych skarpetkach ostrożnie poszedł po blaszanym dachu w stronę trzech pozostałych okienek.

Wystarczyło mu dziesięć minut, by wyjąć drewniane ramy, do których były przymocowane kraty w jego celi. Niemcy nie wierzyli, by w sercu dzielnicy, w której zajmowali tyle budynków, ucieczka była możliwa. Starr był wysoki. Gdy przystawił łóżko pionowo do ściany, wślizgnął się do przewodu kominowego. Musiał już tylko wyciągnąć rękę, by otworzyć okienko i oprzeć ręce na obramowaniu. Podciągnął się i wy dostał z przewodu kominowego. Oparł łokcie na blasze i spokojnie wyszedł na dach.

Nastawił ucha, ale słyszał tylko szum liści. Doczołgał się nad pierwsze okienko i otworzył je. W dole zobaczył uniesioną ku sobie twarz Faye'a. Dał mu znak, by wdrapał się na górę. Jak ustalili wcześniej, Faye usunął z okienka dwa pręty, a trzeci zostawił, by posłużył mu za stopień. Starr zobaczył jego ręce, zaciśnięte na stali. Faye podniósł ku niemu głowę.

Potem rozległ się szmer i ciche przekleństwo. Głowa Faye'a zjechała na dół.

— Cholera — powiedział, spoglądając w górę. — Złamali mi dwa palce prawej ręki.

Przewód kominowy był dłuższy niż w celi Starra. Faye nie mógł chwycić się krawędzi dachu. Musiał obrócić się na pręcie jak na trapezie, potem przerzucić nogę i oprzeć się na niej, by wspiać się wyżej. Obrażenia, jakie odniósł, bardzo mu to utrudniały. Starr pochylił się nad kominem i wyciągnął dłoń.

— Niech pan spróbuje jeszcze raz! — powiedział. — Niech pan mnie złapie za rękę.

Faye usiłował wywindować się na dach. Starr zobaczył w otworze jego głowę, potem usłyszał szybkie ruchy świadczące, że podejmuje kolejną próbę. Nagle poczuł, że Faye chwyta jego rękę. Ciągnął go całą siłą swych osiemdziesięciu kilogramów. Oparł się na łokciu, wstrzymał oddech i zdołał nieco podnieść więźnia. Faye'owi udało się oprzeć o krawędź i Starr musiał już tylko wyciągnąć go z komina, chwytając go pod łopatki.

— Strasznie mi przykro — szepnął Faye. — Pokiereszowali mi rękę. Dziękuję!

— Chodźmy po dziewczynę.

Noor słyszała nad sobą przytłumione szmery. W okienku widziała rozgwieżdżoną noc. W otworze ukazał się jakiś cień. Ona też ustawiła łóżko w pozycji pionowej. Obiema rękami chwyciła się ostatniego prętu. Kiedy była już w połowie przewodu kominowego, Starr wyciągnął do niej dłoń. Złapała ją i została uniesiona w górę. Postawiła stopy na stalowym pręcie i szybko wyslizgnęła się na zewnątrz.

— Pani poszło szybciej! — powiedział Starr. — Nie torturowali pani.

— Nie. Dali mi spokój...

— Prawda, przecież jest pani radiotelegrafistką...

Faye wolno rozwiązywał buty poranioną ręką. Noor usiadła i zrobiła to samo.

— Nie myliłem się — rzekł Faye. — Jest pani ładna. Nie słuchała. Odwróciła się do Starra.

— Dlaczego? — spytała zaintrygowana. — Czy nie torturują radiotelegrafistów?

— Nie wtedy, kiedy mają ich notesy. Zabrali je pani, prawda?

— O tak., rzeczywiście.

— Nie mogła ich pani zniszczyć?

— Bodington kazał mi je zachować.

— Bodington? To dziwne... To wbrew wszelkim zasadom.

— Jestem gotów — rzekł Faye.

— Ruszamy — odpowiedział Starr. — Musimy iść prostopadle do alei. Uliczka, na którą mamy wyjść, jest tam.

W skarpetkach, z przewieszonymi przez szyję butami, stąpali po niezbyt spadzistym blaszanym dachu. Poniżej, po prawej stronie wznosił się prostopadle drugi dach. Starr i Faye dotarli do niego pierwsi. Odwrócili się za siebie i osłupieli. Noor zatrzymała się na kalenicy. Jej ciemna sylwetka widniała na tle nieba jak posąg na szczycie pomnika. Stała nieruchomo, z opuszczoną głową, i nad czymś medytowała. Starr zawrócił. Gdy znalazł się obok niej, zawołał cicho:

— Noro, co pani wyrabia?

— Dlaczego Bodington mnie o to prosił? — powiedziała jakby do siebie.

— Nie mam pojęcia. Gwiżdżemy na to. Nie czas się nad tym zastanawiać!

— Nie, wcale na to nie gwiżdżemy — powiedziała — miał jakiś powód. Chyba już rozumiem...

— Noro, dość tego, wyjaśnicie to sobie w Londynie. A teraz chodźmy!

Wziął ją za rękę. Poszła z nim bez oporu.

Na tyłach dachu domu pod numerem 84 znaleźli żelazne klamry, prowadzące na sąsiedni budynek. Włożyli buty. Kiedy Noor wiązała sznurowadła, Starr usłyszał, jak szepce sama do siebie.

— To wszystko zmienia — mówiła. Kolejno zeszli na dół.

Gdy byli w połowie drugiego dachu, ogłoszono alarm lotniczy. W dali usłyszeli warkot samolotu, potem, bardzo blisko, sygnał alarmowy, a w końcu kakofonię syren i zobaczyli las skierowanych w niebo snopów światła.

— No nie! — rzekł Starr głośno, przekrzykując hałas. — Alarm! Znowu bombardują Asnieres i Suresnes. Strażnik będzie sprawdzał cele! Za dwie minuty odkryją naszą ucieczkę.

— Trzeba się pospieszyć — rzekł Faye.

Poszedł prędzej ku krawędzi dachu, wystającego parę metrów nad długim, betonowym tarasem: na jego końcu zobaczyli następny budynek.

— Skaczymy — rzekł Starr. — Noro, pani pierwsza.

— Złapią nas — powiedziała. — Kiedy okaże się, że nas nie ma, okrążą całą dzielnicę.

— Noro, proszę znowu nie zaczynać. Zobaczymy. Może dopisze nam szczęście. Niech pani skacze! To rozkaz!

— Niech pani skacze, na litość boską! — naglił Faye. — Proszę nam zaufać.

— Nie chodzi o was — powiedziała Noor, zanim rzuciła się w otchłań.

Na oślep wylądowała na chropowatej powierzchni. Starr zwinnie dołączył do niej. Szybko ruszyli na drugi koniec tarasu.

Prawie już tam dotarli, gdy wtem zawyła syrena, przeraźliwsza od innych. Trzydzieści sekund później snop światła jednego z reflektorów zniżył się i zaczął przeczesywać szczyty dachów.

— Strażnik włączył alarm — rzekł Starr. — Szukają nas!

— Przepadło — szepnęła Noor. — Trudno, zrezygnujmy.

— Młoda damo, niech pani nie będzie defetystką — powiedział Faye. — Idziemy dalej!

— Uwaga — odezwał się Starr. — Reflektor!

Padli na ziemię. Krąg światła prześlizgnął się po nich, ale się nie zatrzymał. Starr wstał.

— Nie zauważyli nas! Gazu!

Pobiegli do budynku wznoszącego się na końcu tarasu. Reflektor przesunął się nadal.

— Wszystko diabli wzięli! — powiedział Darbois, usłyszawszy alarm.

— Niekoniecznie — odpowiedziałem, ciągle leżąc pod kierownicą citroena. — Kiedy się zajmą alarmem, będą mniej czujni.

Nie wiedzieliśmy, o której godzinie troje więźniów podejmie próbę ucieczki. Nie miało to większego znaczenia. Zgodnie z umową powinni dotrzeć do budynku w głębi ślepej uliczki, wyjść na chodnik i pomachać czymś białym. Zaraz po północy Darbois i ja mieliśmy obserwować widoczne z samochodu wyjście z budynku,

wyglądając ostrożnie przez szyby. Od północy co trzydzieści sekund rzucaliśmy na przemian okiem w tamtą stronę. Po ogłoszeniu alarmu żołnierze byli zajęci głównie patrzeniem w niebo.

— Na razie nic nie widzę — rzekłem. — Uwaga wartowników jest skierowana na inne rzeczy. Istnieje jeszcze szansa.

Reflektor zawrócił. Uciekinierzy znów padli na beton i podnieśli się dopiero, gdy nastąpiła ciemność. Dotarli na koniec tarasu. Za przepaścią, dwa metry od nich, wzdłuż tylnej ściany budynku biegły żelazne schody. Pochylili się nad ciemną studnią jak alpinieści nad krawędzią szczeliny.

— Nie mamy wyboru — rzekł Starr. — Skaczemy i chwytamy się poręczy. Ja pierwszy. Podam wam rękę.

Wziął rozbieg, skoczył w kierunku żelaznych schodów i chwycił się obiema rękami za ich ramiaki. Wykręcił się i postawił piętę na poręczy. Przedostał się na drugą stronę i upadł na wąski podest. Zaklął, podniósł się, przeszedł przez poręcz, jedną ręką chwycił się pionowego ramiaka, a drugą wyciągnął nad przepaścią.

Teraz skoczyła Noor i machając nogami, zawisła na jednej ręce nad głęboką studnią podwórza. Przez kilka długich sekund kołysała się nad czeluścią. Potem chwyciła się żelaznego ramiaka pod nogami Starra i upadła na niższy podest.

Faye wziął rozbieg i zawahał się chwilę przed skokiem. W tej pozycji złapał go reflektor. Znalazłszy się nagle w białym świetle, krzyknął z wściekłością.

— Niech pan skacze! Trudno! — zawołał Starr.

Faye podszedł ku przepaści i skoczył, wyrzucając nogę do przodu. Wpadł w ramiona Starra, zawisł na jego szyi i zdrową ręką zdołał złapać za poręcz. Chwilę później zeszli po żelaznych stopniach, cały czas prowadzeni światłem reflektora.

— Zlokalizowali nas — powiedział Starr. — Jeśli budynek ma wyjście na ślepą uliczkę, mamy jeszcze jakąś szansę. W przeciwnym razie...

Na parterze wybili szybę w drzwiach, otworzyli je i weszli do jakiejś kuchni. Starr runął do drzwi, przebiegł korytarz i dwa pokoje oświetlone blaskiem księżyca i znalazł się w obszernym, ciemnym salonie. Wymacał wyłącznik. Pokój zalało światło szklanego żyrandola. Stały w nim duże fotele, kanapa i niski stolik; wszystkie meble były nakryte białym płótnem. Na oknach zobaczył metalowe, pomalowane na biało okiennice. Wybrał okno z lewej strony, przekręcił uchwyt i na oścież otworzył okiennice. Wychylił się: okno wychodziło na ślepą uliczkę, na której nie było żywego ducha. Na końcu każdego chodnika stał wartownik zwrócony do niego plecami. Za chwilę pojawili się Noor i Faye.

— W drzwiach są klucze — powiedział. — Zamknijcie za nami wszystkie pokoje!

Potem przelożył nogi przez parapet, zeskoczył na chodnik, wyciągnął chustkę i pomachał nią nad głową.

Sygnal zobaczył Darbois.

— Są! — powiedział.

— Jesteś pewien?

— Tak. Pewien.

— Dobrze. Jesteś gotów? — spytałem.

— Policz do trzech! — odparł.

— Raz... dwa... trzy!

Każdy z nas otworzył drzwiczki ze swojej strony. Dwaj wartownicy zobaczyli nas za późno. Welrody z tłumikiem wydały głuchy dźwięk. Obydwaj Niemcy osunęli się na ziemię. Rozejrzeliśmy się na wszystkie strony. Żołnierz trzymający wartę na rogu alei Focha był zaprzątnięty alarmem. Nic nie widział. Skoczyłem za Darbois ku dwóm wartownikom leżącym na ziemi. Pierwszy nie żył. Drugi wił się na ziemi, ściskając rękami brzuch. Załadowałem welroda i wycelowałem pod hełm, między oczy. Ciało żołnierza podskoczyło i znieruchomiało.

Z drugiego końca uliczki egzekucję widział Starr. Odwrócił się do dwojga pozostałych uciekinierów.

— Idziemy!

Podbiegł do mnie. Zobaczyłem, że teraz na chodnik wyskakuje Faye. Starr minął mnie pędem. Darbois pokazał mu ręką Citroena. Pognał do niego. Za chwilę dotarł do mnie Faye.

— Niech pan wsiada — powiedziałem. — Gdzie Noor?

— Jest z nami, zaraz tu będzie! — odparł, biegnąc do samochodu.

Żołnierz na rogu alei Focha nadal niczego nie spostrzegł. Odwróciłem się, mając nadzieję, że teraz zobaczę Noor.

— Czemu tak marudzi? — krzyknął stojący obok mnie Darbois.

Nie miałem pojęcia.

Wiedziałem jedno: nie możemy tu zostać!

— Pójdę zobaczyć! Zaczekaj na mnie. Zdezorientowany, wściekły, popędziłem do domu, skąd wyszli Starr i Faye.

Bez trudu znalazłem otwarte okno i wskoczyłem przez nie do wewnątrz. Na środku oświetlonego salonu, na stojącej na wprost okna kanapie siedziała Noor i trzymała głowę w rękach.

— Noor, co ty wyprawiasz? — zawołałem. Podniosła twarz i spojrzała na mnie.

— Najdroższy!

Wstała i podbiegła do mnie.

— Najdroższy — powiedziała — to ty?

Padła mi w ramiona, przytuliła mnie z całej siły i pocałowała. Wyrwałem się z jej objęć.

— Noor, uciekajmy! Szybko!

Oderwała się od moich ust, odsunęła nieco i spojrzała mi w oczy.

— Nie — powiedziała. — Nie trzeba. Idź już! Tamci są uratowani. Ja zostaję!

— Zostajesz? Oszalałaś! Zostajesz? Ależ... To nie ma sensu! Miałem jakieś przeczucie. Wbrew sobie, w odruchu, który do końca życia będzie mnie prześladował, spytałem:

— Dlaczego?

— Wiesz, nie torturowali mnie — rzekła. — Możesz być spokojny. Wszystko zrozumiałam. Bodington jest prawdziwym mistrzem. Rozmyślnie kazał mi zachować kody. Teraz Niemcy sądzą, że radiostacja Aurora jest pewna. Drogo ich to będzie kosztowało! Muszę zostać, w przeciwnym razie plan Bodingtona spali na panewce.

Nie mogłem uwierzyć. Mimo niebezpieczeństwa mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Tego, czego nie rozumiałbym, gdyby nie Philby, Noor domyśliła się sama. Była pionkiem w grze, która nas przerastała. Zdawała sobie z tego sprawę. Niemcy byli przekonani, że Londyn nie wie, co się stało z radiostacją Aurora. Mogliśmy więc robić im wodę z mózgu. Nie chciała wyprowadzać ich z błędu.

— Noor, nie rób tego, nie! To jakieś obłąkane zagrywki. Nie musisz o tym wszystkim wiedzieć. Chodź! Nie będą mieli do ciebie o nic pretensji! Zrobiłaś więcej, niż musiałaś. Chodź. Życie jest przed nami!

Spojrzała mi prosto w oczy. Czułem jej ciało przytulone do mego.

— Za późno, John!

— Zaraz tu przyjdą, Noor. Chodźmy!

— Nie! Jeśli pójdę, dopuszczę się zdrady. Muszę spełnić swój obowiązek. Wiem! Radiostacja Aurora też jest bronią. Nie mam prawa jej niszczyć. Najdroższy, kocham cię! Nie bój się. Nie zabiją mnie. Jestem radiostacją Aurora. Alianci mnie potrzebują. Najdroższy. Spotkamy się po wojnie.

Usłyszałem rumor dochodzący z głębi mieszkania, od strony kuchni. Ktoś mówił po niemiecku. Nadciągał patrol. Żołnierze dobijali się do drzwi. Dokładnie wtedy przez okno wskoczył Darbois.

— Co wy wyprawiacie? Chodźcie! Oszaleliście! Będziecie sobie gruchali później!

W tej samej sekundzie rozległy się strzały.

Violetta i Culioli widzieli z furgonetki, jak zabijamy wartowników i wchodzimy w zaułek Fouchégo. Potem reflektory zaczęły przeczesywać ulice. W alei Focha

żołnierze biegali na wszystkie strony. Violetta zrozumiała, że szukają uciekinierów. Podniosła plandekę. W jej celowniku poruszał się wartownik, niewątpliwie zawiadomiony przez załogę spod numeru 84. Pierwszy żołnierz, który pojawił się po drugiej stronie Porte Dauphine, dostał kulę w czoło. Drugi runął do tyłu, trafiony w pierś. Trzeciemu pocisk przebił nos. Pozostali padli na ziemię, kryjąc się za murami.

Na rogu alei Focha ukazał się pluton, poganiany przez oficera. Dwoma salwami Culioli położył ich na chodniku. Potem siadł za kierownicą, uruchomił silnik i mruknął do Violetty:

— Mamy najwyżej minutę! Wiejemy! Tamci zrobią to samo.

Darbois patrzył na nas, objętych, niepewnych, jak postąpić. Podjął decyzję.

— Ona nie chce iść, John. Musimy ją zostawić! Zmywamy się!

Trzymałem Noor wtuloną w moje ramiona. Darbois chwycił mnie za rękę, by mnie od niej oderwać. Oswobodziła się i odsunęła. Po jej policzkach spływały łzy.

— Noor, zostanę z tobą. Trudno!

Darbois patrzył na nas zdezorientowany, doprowadzony do rozpaczony takim szaleństwem. Patrzył to na jedno, to na drugie z nas. Nagle podjął decyzję.

— John, niech Noor robi, co chce. Ale pan musi iść ze mną.

— Zostaję!

Walnął mnie pięścią w szczękę. O mało nie upadłem. Darbois chwycił moją rękę i pociągnął za sobą. Jak przez mgłę słyszałem za sobą strzały i hałasy dochodzące od frontowych drzwi. Zaciągnął mnie do okna i wypchnął na ulicę. Serce pękało mi z bólu. Odwróciłem się. Zobaczyłem wyważane drzwi i Noor stojącą na środku salonu oświetlonego szklanym żyrandolem. Podniosła rękę. Nie spuszczała ze mnie wzroku. Widziałem jej kciuk i palec wskazujący. Uśmiechnięta, z twarzą zalaną łzami, pokazywała literę V jak Victoria, jak Zwycięstwo.

Epilog

Obraz Noor prześladował mnie do końca wojny. Serce mi krwawiło, nie mogłem się o niej niczego dowiedzieć. SOE nie miało pojęcia, co się z nią stało. Jej brat Vilayat także nic nie wiedział. Pytałem go o nią w Londynie po kapitulacji Niemiec. Od czasu do czasu dzwoniłem do niego. Noor nie wróciła. Jej rodzina przywdziała żałobę. Wszyscy przypuszczaliśmy, że nie żyje. Pośmiertnie przyznano jej Victoria Cross. Nazwisko Noor zostało wyryte na małym pomniku pośród pól, niedaleko zameczku Beaulieu, gdzie słuchaliśmy wykładów Philby'ego. Potem pewnego dnia w 1946 roku w telefonie usłyszałem głos Vilayata: „Niech pan przyjedzie. Dostałem list z SOE”. Oto co mi opowiedział w dużym salonie w Fazal Manzil, górującym nad całym Paryżem, gdy dzień miał się ku zachodowi.

Zakutą w kajdanki i drżącą Noor patrol zaprowadził w aleję Focha do budynku gestapo. Kieffer był wściekły. Gdy weszła, rozkazał żołnierzom postawić ją pod ścianą.

— Do szeregu! — wrzasnął. Nie zrozumieli.

— Do szeregu! To rozkaz! Na moją komendę, ognia!

W śmiertelnej ciszy pięciu żołnierzy wolno stanęło w szeregu. Goetz i Peter, oniemiała, stali z tyłu za Kiefferem. Noor patrzyła na nich wyzywająco.

— Celuj! — rzekł Kieffer.

W tym momencie wszedł strażnik, który przeszukiwał cele. Podał Kiefferowi zwitek kartek pokrytych rysunkami. Były to wykonane przez Starra karykatury oficerów i urzędników gestapo. Kieffer oglądał je kartka po kartce. Po chwili jego wściekłość zmaląła. W kąciку warg pojawił się uśmiech. Na widok swojej karykatury roześmiał się.

— W porządku — powiedział, podnosząc głowę. — Zabierzcie ją do celi. Jutro zastanowię się, co z nią zrobić.

Noor została jeszcze pięć tygodni w budynku gestapo, ciągle przesłuchiwana przez Goetza. Ten zaś ze zdziwieniem stwierdził, że chętniej teraz współpracuje. Przypisywał tę zmianę załamaniu po nieudanej ucieczce. Ale Noor przestała mu już być potrzebna. Kieffer podpisał rozkaz jej przeniesienia i pojechała do Niemiec z transportem kobiet. Siedziała w Pforzheim. Pewnego dnia przyszedł nowy rozkaz. Wraz z trzema innymi kobietami z Ruchu Oporu została deportowana do Dachau. Wsadzono ją do celi i przykuto za ręce i nogi. Wczesnym rankiem jakiś esesman otworzył drzwi i kazał jej wyjść. Znalazła się na środku małego podwórka otoczonego barakami. Zobaczyła inną młodą kobietę w podartej sukience, z posiniaczoną twarzą. Esesman kazał im uklęknąć obok siebie. Kobieta zaczęła płakać. Noor ujęła ją za rękę. Blade słońce oświetlało całą tę scenę. Uklękły w

zimnym błocie. Noor drgnęła po pierwszym strzale. Trysnęła krew i jej towarzysza padła do przodu. Wtedy Noor wyprostowała się, przygryzła wargę i krzyknęła mocnym głosem: „Niech żyje wolność!”. Przerwał jej drugi strzał i runęła twarzą na ziemię, z kulą w tyle głowy.

Gdy Vilayat skończył swą opowieść, wstał. Zrobiłem to samo. Podeszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach. W mroku, spowijającym salon w Fazal Manzil, słyhać było tylko dwóch płaczących mężczyzn.

Wróciłem do Londynu zdruzgotany. Poszedłem zobaczyć się z Philbym, który przyjął mnie w swoim klubie z kieliszkiem xeresu w ręku. On też dowiedział się z przerażeniem, jaki los spotkał Violette Laszlo. Aresztowano ją niedługo po ucieczce z alei Focha. Zanim ją poskromili, zabiła trzech policjantów. Gestapo torturowało ją przez trzy kolejne noce. Kiedy ją w końcu rozstrzelano, jej piękna, gładka twarz była jedną krwawą miazgą.

W kolonialnym salonie wspominaliśmy kolejno bohaterów przygody z siatką Prospera.

Prosper został rozstrzelany, podobnie jak Norman i Andrée Borrel.

Profesor Adamowski wrócił z deportacji z bardzo nadszarpniętym zdrowiem i zmarł kilka miesięcy po wyzwoleniu.

Manuchiana złapano i również rozstrzelano wraz z członkami jego grupy. Podejrzewano, że maczała w tym palce Francuska Partia Komunistyczna.

Natomiast Kerleven został ważnym przywódcą tej partii.

Darbois przeżył, pozostawiając po sobie wspomnienie jednej z najpiękniejszych karier w SOE. Mieszkał w Londynie z dwoma kotami. Spotykaliśmy się regularnie.

Vienet nadal walczył z Niemcami. W pierwszym szeregu brał udział w wyzwoleniu Paryża. Później, zawsze elegancki i zabawny, przeszedł do cywila, niczego nie żądając. Kierował jakąś spółką, bywał w najlepszym paryskim towarzystwie i kolekcjonował kochanki.

Blainville działał jeszcze przez pół roku, potem wrócił do Londynu. Pod koniec 1945 roku kilku członków Ruchu Oporu wniosło przeciw niemu oskarżenie o zdradę. Pojechał do Francji ze swym nieodłącznym uśmiechem na ustach. Zamknięto go we Fresnes i postawiono przed sądem. Oskarżenie dysponowało przytłaczającymi dowodami jego zdrady. Ale ważne osobistości, które potajemnie przewoził z Anglii do Francji i na odwrót, przede wszystkim Felix Gouin, ówczesny szef rządu, oraz Francois Mitterrand, którego właśnie wtedy wybrano do Zgromadzenia Narodowego, zeznawały na jego korzyść. Blainville twierdził, że pracował dla Intelligence Service. Byłem wtedy w Paryżu, ale nie dostałem wezwania na jego proces. Drugiego dnia sąd zebrał się na posiedzeniu przy drzwiach zamkniętych, by przesłuchać pewnego świadka z Wielkiej Brytanii. Z

upoważnienia swych zwierzchników człowiek ten wyjaśnił, że Blainville działał na rozkaz i że oddał sprawie aliantów ogromne usługi, chronione tajemnicą wojskową. Blainville został uniewinniony.

Nazajutrz przeczytałem we „France-Soir” nazwisko angielskiego świadka, które zdobył jeden z dziennikarzy: Nick Bodington.

— Co za historia — mówił Philby. — Co za historia! Ale, drogi Johnie, wiem na ten temat jeszcze więcej niż ty.

— To znaczy?

— Przeglądałem dossier siatki Prospera, które „C” udostępnił mi ze względów osobistych. Chciałem się z nim zapoznać ze względu na Violette. Mój drogi, gdybyśmy nie kochali tych kobiet, to znaleźlibyśmy tam powody do wielkiej satysfakcji. Zwłaszcza twoja ukochana odegrała ważną, bardzo ważną rolę.

Philby opowiedział mi koniec historii Noor, ten, o którym nikt nie wie. Radiostacja Aurora działała jeszcze przez pół roku. Goetz, zbyt dumny ze swego podstępu, do końca nie rozumiał, że manipulują nim Anglicy. Pozwolili sobie nawet zastawiać na niego sidła, wypytyjąc o szczegóły dotyczące Noor, a on dostarczał je im z uczuciem triumfu. Zorganizował dwanaście zrzutów, które przechwycili Niemcy. Udało mu się doprowadzić do aresztowania jeszcze trzech agentów, których poświęcił Londyn. Rozbił całą siatkę. A 22 kwietnia 1944 roku sądził, że osiągnął apogeum. W krótkim i mało znaczącym pośłaniu Londyn prosił Noor o przekazanie siatkom SOE w regionie paryskim następującego rozkazu: „Przenieść skrytki z bronią z Sologne do departamentów Nord i Pas-de-Calais. Wzmocnić liczebność w Amiens, Arras i Lille”. Upojony sukcesem Goetz natychmiast powiadomił o tym sztab generalny Fihrera. Nazajutrz rano Hitler dosłownie pochłonął raport Goetza, kontrasygnowany przez Kieffera i Kaltenbrunera.

Tydzień przedtem, w obecności swych generałów zebranych wokół wielkiej mapy Francji, pokazał palcem prostą linię wybrzeża Normandii, na północ od Caen.

— Panowie — oświadczył. — Oto gdzie wylądowałbym, gdybym był Eisenhowerem!

Ale nazajutrz powiedział sobie, że nie jest Eisenhowerem. Wiele elementów cytowanych w porannych raportach skłaniało do przypuszczenia, że ostatecznie alianci wybiorą rozwiązanie najprostsze: lądowanie w Pas-de-Calais, w najwęższym miejscu kanału La Manche, o kilka dni marszu od przemysłowego serca Niemiec. Patton został mianowany głównodowodzącym silnej liczebnie armii, stacjonującej w hrabstwie Kent, na wprost Dieppe i Dunkierki. Ten odcinek wybrzeża bombardowano dwakroć silniej niż Normandię. Raport Goetza potwierdził te przypuszczenia: Ruch Oporu chce wzmocnić siły w departamencie

Nord, mówili Goetz i Kieffer, przekazując wiadomość przechwyconą dzięki radiostacji Aurora, by uderzyć na tyły niemieckich obrońców rozstawionych na wybrzeżu. Nazajutrz, cóż za zbieg okoliczności, Kieffer dostał poufną informację od Blainville'a. Podwójny agent, który zdaniem gestapo pracował na jego rzecz, donosił, że według uporczywych plotek, krążących w SOE, miejscem przyszłego lądowania będzie Pas-de-Calais.

Zdaniem Hitlera wszystko zaczynało się zgadzać. Pogłoski o lądowaniu w Normandii uznał za podstęp, który ma ściągnąć w ten rejon pancerne dywizje broniące najważniejszego przejścia koło Lille i Dunkierki. Prawdziwe lądowanie odbędzie się natomiast w departamencie Nord. Hitler postanowił działać zgodnie z tym poglądem.

— Wraz z paroma innymi osobami tego pokroju — podsumował Philby, podnosząc kieliszek — radiotelegrafistka Aurora pomogła nam wygrać wojnę. Całkiem nieźle jak na hinduską muzykantkę.

Rok później, 24 października 1947 roku, szedłem sam po zielonych jeszcze mimo jesieni polach, dwa kilometry od rzeki

Beaulieu, owej bazy szpiegostwa, teraz znów służącej żeglarzom i wędkarzom. W szczerym polu wznosił się mały kamienny kościółek, w którym znajdowała się marmurowa tablica z wyrytą na niej setką nazwisk. W rękę trzymałem wiązanek kwiatów. Podeszedłem do tablicy i tak jak poprzedniego roku przebiegłem wzrokiem pierwszą kolumnę nazwisk. W środku zatrzymałem się. Była tutaj. „Noor Vijay Khan, agent of the Special Operations Service, killed in the field. George Cross”. Skupiłem się przez chwilę, potem położyłem kwiaty pod tablicą. Obok zauważyłem jeszcze jedną świeżą wiązanek. W poprzek biegła wstęga z napisem: For Noor. The princess that will not be forgotten" (Dla Noor, księżniczki, która nie zostanie zapomniana). Odwróciłem się. Wtedy ich zobaczyłem.

Z drugiej strony kościoła wpatrywali się we mnie dwaj mężczyźni, dotychczas ukryci za występem muru, nie wiedząc, jak się zachować: Bodington i Blainville. Patrzyłem na nich przez kilka długich sekund. Stali nieruchomo, w milczeniu. Podeszedłem do nich spokojnie, bez nienawiści. Uśmiechnęli się lekko i stanęli przy mnie. Po policzku spływała mi łza.

Blainville spojrzał na mnie, jeszcze niezbyt pewny.

— Wojna to paskudna rzecz, Sutherland. Bodington położył mi rękę na ramieniu.

— Sutherland, to była najłagodniejsza bojowniczką, jaką znałem.